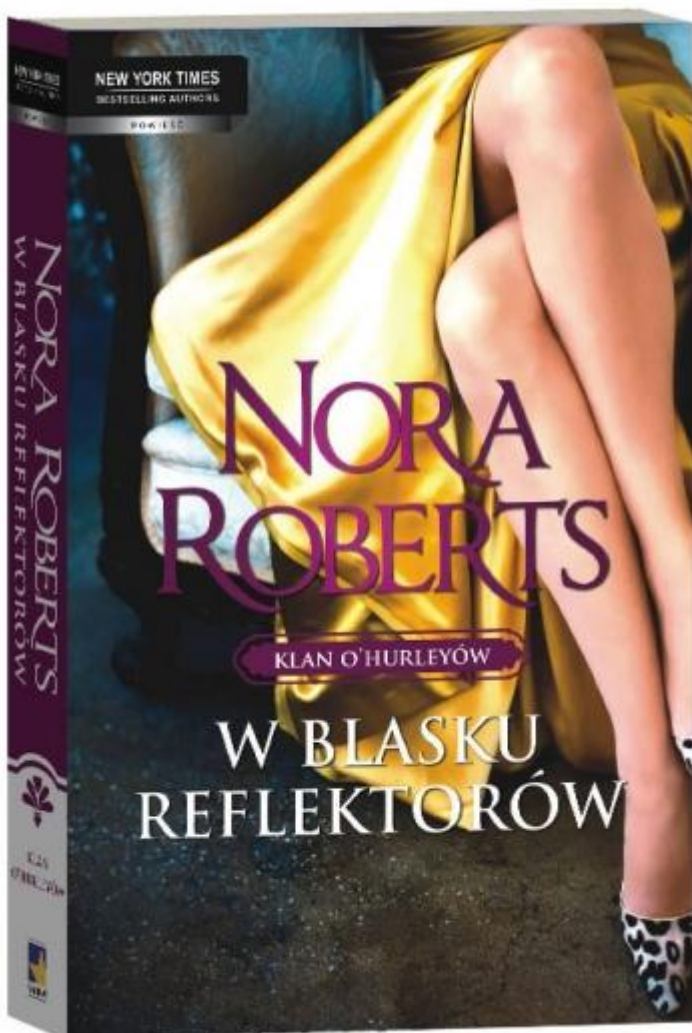


NORA ROBERTS
W BLASKU REFLEKTOROW

1. KŁAMSTWA I TAJEMNICE
(OSTATNIA UCZCIWA KOBIETA)

2. ROZTAŃCZONE ŻYCIE
(ZA KULISAMI)



WYDAWCA
CZAS OPIELCZĄ

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHOR

POWIEŚĆ

NORA ROBERTS
W BLASKU REFLEKTORÓW



CZAS
OPIELCZĄ



NORA ROBERTS

KLAN O'HURLEYÓW

W BLASKU REFLEKTORÓW

PROLOG

- Może pani krzyczeć, jeśli to pani pomoże. Oddech miała przyspieszony, urywany. Pot spływał jej z czoła, rękami mocno chwyciła się za poręcze.

- Molly O'Hurley nie wita swych dzieci na tym świecie krzykiem - odparła.

Była dość drobnej budowy, lecz głos miała donośny. Jego melodyjne dźwięki dotarły do odległych zakątków dużej sali porodowej. Zaledwie przed paroma minutami przywiózł ją tu mąż, w ostatnim stadium porodu. Nie było czasu na przygotowanie ani na potrzymanie za rękę i słowa pociechy. Lekarz dyżurny tylko na nią spojrział i w ubraniu kazał natychmiast wwieźć na salę.

Większość kobiet na jej miejscu by się bała. W nieznanym mieście, wśród obcych, zdana wraz ze spieszącym się na ten świat maleństwem całkowicie na ich łaskę. Ona też czuła strach, ale za nic by się do tego nie przyznała.

- Twarda z pani kobita, co? - Położnik dał znak pielęgniarce, by otarła jej czoło.

W sali było wyjątkowo duszno i gorąco.

- Wszyscy O'Hurleyowie są twardzi - zdołała odpowiedzieć, choć prawdę mówiąc, miała ochotę krzyczeć. Ból był nie do wytrzymania. Dziecko rodziło się wcześniej niż powinno. Oby nie za wcześnie. Skurcze były tak częste, że odbierała je jako jeden wielki ból.

- Gdyby pani pociąg spóźnił się o te pięć minut, urodziłaby pani w przedziale. No, jeszcze niech pani trochę pooddycha.

Przekląła go z wprawą, jakiej nabyła w ciągu siedmiu lat życia ze swym Francisem, i kolejnych siedmiu lat występów w klubach ponurych miasteczek od Los Angeles w Kalifornii po góry Catskills w stanie Nowy Jork. Lekarz uśmiechnął się tylko i patrzył, jak posłusznie wypełnia jego polecenie.

- No, dość, wystarczy. Teraz niech pani prze. Raz, a dobrze.

- Już ja panu pokażę! - wystękała, lecz zastosowała się do jego polecenia. Po chwili w sali porodowej rozległ się cichy płacz maleństwa.

- Dziewczynka.

Opadła na poduszki, z oczu popłynęły jej łzy. Dziewczynka. Udało się. Francis będzie dumny.

- Nawet nie musiałem dawać jej klapsa - zauważył lekarz. - Nieduża, ale zgrabniutka.

- Pewnie. A te płuca! Taki głos bez mikrofonu dotrze do najdalszych rzędów. Parę tygodni przed czasem, ale... O Boże!

Kiedy jej ciało przeszył ból, Molly aż usiadła.

- Proszę ją wziąć. - Lekarz podał maleństwo pielęgniarce, a drugiej kazał chwycić Molly za ramiona. - Zdaje się, że pani córka ma towarzystwo.

- Jeszcze jedno? - Mimo bólu Molly udało się uśmiechnąć, i to wcale nie histerycznie.
- A niech cię, Frank. Zawsze wykręcisz mi jakiś numer.

Spacerujący sprężystym krokiem po poczekalni mężczyzna po raz piąty w ciągu ostatnich trzech minut spojrzał na zegarek. Siedzenie nie było w jego stylu. Jeśli akurat nie tańczył, to przynajmniej chodził. Był szczupły i energiczny, o optymistycznym spojrzeniu. Od czasu do czasu gładził po głowie siedzącego na krześle chłopczyka.

- Trace, twój braciszek albo siostrzyczka jest już pewnie na tym świecie. Na pewno zaraz ktoś tu do nas wyjdzie.

- Jestem zmęczony, tato.

- Zmęczony? - Mężczyzna roześmiał się i chwycił synka w ramiona. - Nie czas teraz na sen, chłopcze. To ważna chwila. Rodzi się kolejny O' Hurley. Mamy premierę.

Trace oparł głowę o ramię ojca.

- Nie zdążyliśmy do teatru.

- Nie szkodzi. To nie ostatni nasz wieczór.

Właściwie tylko przez chwilę żałował odwołanego występu. Przecież nawet w Duluth są jakieś kluby. Zanim znów ruszą w drogę, może uda im się raz czy dwa gdzieś wystąpić. Urodził się, by bawić ludzi, śpiewać i tańczyć, i dziękował gwiazdom, że Molly jest taka sama. To prawda, że nie zarabiają wiele w ciągłym objeździe po drugorzędnych zadymionych knajpkach, ale przyjdzie jeszcze ich czas.

- Zanim się zorientujesz, zobaczysz plakaty Wielkiej Czwórki O'Hurleyów. Nikt nas nie powstrzyma.

- Nikt nas nie powstrzyma - powtórzył jak echo chłopczyk to, co słyszał chyba codziennie.

- Pan O'Hurley?

Frank przystanął. Objął mocniej synka i spojrzał na lekarza. Był przecież tylko mężczyzną i zupełnie nie znał się na porodach.

- Tak, to ja. - W gardle mu zaschło, chyba nawet się jąkał. - Jak Molly? Co z nią?

- Pańska żona to wspaniała kobieta - uśmiechnął się lekarz. Frank z pełną radości ulgą aż pocałował synka.

- Słyszałeś, chłopcze? Twoja mama jest super. A dziecko? Wiem, że trochę się pospieszyło, ale jak ono?

- Silne i piękne - zaczął lekarz. - Każde z nich.

- Silne i piękne. - Frank nie posiadał się z radości.

- Molly wie, jak rodzić dzieci. Czasem może myli krok, ale zawsze wychodzi zwycięsko. Czyż to nie... - Urwał i dopiero teraz popatrzył na uśmiechniętego od ucha do ucha lekarza. - Każde z nich?

- To pański syn?

- Tak, to Trace. Co to znaczy: każde z nich?

- Panie O'Hurley, pański syn ma trzy siostry.

- Trzy... - Nie wypuszczając Trace'a z objęć, Frank opadł na krzesło. Jego nogi tancerza tym razem go zawiodły. - Trzy. Trzy naraz?

- W odstępie kilku minut, ale w sumie trzy. Przez chwilę siedział bez słowa. Trzy.

A on nie wie dział nawet, czy uda im się wykarmić jedno. Trzy. Same dziewczynki. Kiedy wreszcie doszedł do siebie, wybuchnął śmiechem. Los przyniósł mu w darze trzy córki. Francis O'Hurley nigdy nie przeklinał losu, lecz ze spokojem przyjmował wszystko, co mu przynosił.

- Słyszałeś, synu? Nasza mamusia za tymi drzwiami sprokurowała trojaczki. Trzy dziewczynki w cenie jednej. A ja zawsze lubiłem dobre okazje. - Frank zerwał się na nogi i mocno uściskał dłoń lekarza. - Niech pana Bóg błogosławi. Na całym świecie nie ma dziś szczęśliwszego człowieka niż Francis Xavier O'Hurley.

- Moje gratulacje.

- Ma pan żonę?

- Tak.

- Jak ma na imię?

- Abigail.

- To tak właśnie nazwiemy jedną z małych. Kiedy będę mógł zobaczyć rodzinę?

- Za parę minut. Poproszę, żeby któraś z pielęgniarek zajęła się pańskim synem.

- O, nie. - Frank chwycił Trace'a za rękę. - Pójdzie ze mną. Nie co dzień chłopakowi rodzą się trzy siostry.

Lekarz nawet nie próbował go przekonywać.

- Jest pan tak samo uparty jak pańska żona.

- To ja ją tego nauczyłem - odparł z dumą Frank. - Proszę za mną.

Najpierw zobaczył je przez szybę. Trzy maleńkie istotki w inkubatorach. Dwie spały, trzecia popłakiwała.

- Daje znać światu, że już tu jest. No, Trace, patrz, to twoje siostry.

Trace, rozbudzony na dobre i nastawiony do wszystkiego sceptycznie, przyglądał im się uważnie.

- Jakieś takie pomarszczone...

- Ty też taki byłeś, mądralo. - W oczach Franka pojawiły się łzy. Jak prawdziwy Irlandczyk, wcale ich się nie wstydził. - Będę o was dbał najlepiej jak umiem. O wszystkie trzy.

Miał nadzieję, że to wystarczy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wiedziała, że nie będzie to zwykły dzień. Teraz, gdy decyzja została już podjęta, nieprędko wszystko wróci do normalnej, codziennej rutyny. Mogła się tylko pocieszać, że robi to, co należy.

W cichej, pachnącej zwierzętarni stajni Abby osiodłała konia. Może nie powinna kraść tych paru chwil wytchnienia, ale bardzo ich potrzebowała. Samotnie spędzona godzina, z dala od domu, od obowiązków, wydawała jej się cudownym luksusem. Zawahała się jeszcze raz, potem zdecydowanie potrząsnęła głową. Skoro już postanowiła ukraść ten czas, to trzeba go wykorzystać jak najprzyjemniej. Pomyślała sobie, że coś takiego mógłby powiedzieć jej ojciec, i wybuchnęła śmiechem. Zresztą jeśli pan Jorgensen naprawdę chce kupić to źrebie, to zadzwoni jeszcze raz. Czekające od dawna na zapłacenie rachunki mogą poczekać. Zajmie się nimi później. Teraz miała ochotę na szybką podróż przed siebie.

- Jedziemy, Judd. - Z wprawą wskoczyła na siodło i ruszyła na południe.

W błocie i topniejącym śniegu o szybkiej jeździe nie mogło być mowy. Było chłodno i wilgotno, lecz Abby była w pełnym oczekiwania nastroju. Coś zaczyna się zmieniać... Czego więcej można chcieć? Prowadziła konia szybkim krokiem w stronę czegoś, co zawsze wydawało się poza jej zasięgiem. Ku wolności.

Może zgoda na wywiad do tej książki będzie właśnie jej częścią. Taką miała nadzieję. Ale i wątpliwości, które nie opuszczały jej ani na chwilę. Co jest dobre, co złe, jakie będą konsekwencje? A odpowiedzialność poniesie tylko i wyłącznie ona. Jechała po polach, które kochała, ale których nigdy tak do końca nie uważała za własne. Leżący na pastwiskach śnieg wyraźnie topniał. Za jakiś miesiąc źrebie będzie się bawić na świeżej trawie. Wyrosną zboża i może w tym roku wreszcie jej finanse zaczną przedstawiać się choć trochę mniej czarno.

Chuck na pewno by się tym nie martwił. Nigdy nie myślał o jutrze. Wyłącznie o następnej, najbliższej chwili. Wiedziała, czemu kupił tę ziemię w rolniczej Wirginii. Może zawsze to wiedziała. Wtedy jednak ów wynikający z poczucia winy gest uznała za oznakę nadziei. I tylko dzięki tej nadziei wytrzymała aż osiem lat.

Chuck kupił tę ziemię, a potem spędził na niej w sumie zaledwie kilka tygodni. Był zbyt niespokojny, by siedzieć i patrzeć, jak trawa rośnie. Niespokojny, nieostrożny i samolubny, taki właśnie był. Wiedziała o tym jeszcze przed ślubem. Może właśnie dlatego za niego wyszła. Przecież wcale nie udawał kogoś innego. To ona widziała to, co widzieć chciała. Zjawił się w jej życiu jak kometa, a ona, oślepiąca, podążyła za nim.

Osiemnastoletnia Abigail O'Rudey była oszołomiona i podniecona miłością, jaką obdarzył ją Chuck Rockwell. Był znakomitym kierowcą, zwycięzcą torów całego świata i jego nazwisko widniało na pierwszych stronach gazet. Był też zdobywcą niezliczonych kobiet i jego nazwisko pojawiło się na pierwszych stronach brukowców. Młodziutka Abigail brukowców jednak nie czytywała.

Wciągnął ją w wir swego życia w Miami i oczarował. Obiecywał ciekawe, życie pełne wrażeń. Zabawne i wolne od odpowiedzialności. Zanim zdążyła zaczerpnąć tchu, była już jego żoną.

Choć zaczął padać lekki kapuśniaczek, Abigail zatrzymała konia. Deszcz jej nie przeszkadzał. Dawał coś, czego tego ranka bardzo potrzebowała. Odsobnienie. Wiedziała, że to objaw tchórzostwa, ale nigdy nie uważała się za odważną. Najważniejsze jest przetrwać. O to starała się do tej pory i tak będzie dalej.

Kiedy Judd niecierpliwie parsknął, poklepała go uspokajająco po szyi. Wokoło było tak pięknie. Poznała Monte Carlo, Londyn, Paryż i Bonn, ale wciąż, po pięciu latach codziennego życia i ciężkiej pracy od świtu do nocy, uważała, że to najpiękniejszy zakątek na świecie.

Wiedziała, że deszcz spowoduje, iż przecinające jej posiadłość drogi staną się nieprzejezdne, a jeśli temperatura spadnie poniżej zera, wszystko pokryje się warstwą lodu. Mimo to uwielbiała tę ziemię. Za nią była Chuckowi wdzięczna. Ale to nie wszystko.

Był jej mężem. Teraz została wdową. Zanim spłonął w rozbitym samochodzie, bardzo ją zranił, ale zostawił jej to, co było dla niej najważniejsze w życiu - synów.

To dla nich zgodziła się w końcu na przyjazd tego pisarza. Przez ponad cztery lata odrzucała wszelkie tego typu propozycje. Nie przeszkodziło to w ukazaniu się nie autoryzowanej biografii Chucka Rockwella ani różnym historiom wciąż pojawiającym się w prasie. Po miesiącach namysłu Abby doszła w końcu do wniosku, że jeśli znajdzie się jakiś dobry autor, z którym będzie mogła współpracować, to będzie miała pewną kontrolę nad treścią książki. A kiedy rzecz się ukaże, jej synowie będą mieli coś po swym ojcu.

Dylan Crosby miał opinię znakomitego pisarza. Abby zdawała sobie sprawę, że ma to swoje dobre, ale i złe strony. Będzie drażył tematy, których dotąd wołała nie poruszać. Teraz jednak zapragnęła przedstawić komuś swoją wersję wydarzeń i zamknąć wreszcie ten rozdział swego życia.

Będzie musiała wykazać się sprytem. Ściągnęła cugle i ruszyła dalej. Problem polegał na tym, że nigdy nie była szczególnie sprytna.

Z nich trzech tylko Chantel wykazywała spryt. Jej starsza siostra - tylko o dwie i pół minuty, ale jednak - zawsze umiała planować, manipulować i realizować wszystkie swe zamierzenia.

Była też Maddy, ostatnia z sióstr, młodsza o dwie minuty i dziesięć sekund. Otwarta, szczerą, osiągająca wiele samą siłą woli.

I w końcu Abby, średnia z trojaczek. Spokojna. Odpowiedzialna. Spolegliwa.

Aż się skrzywiła na te określenia.

Ale to nie te etykiety, które przyłgnęły do niej już we wczesnym dzieciństwie, były teraz jej problemem. Obecnie problem stanowił Dylan Crosby, były dziennikarz śledczy, który przekwalifikował się na biografę. Mając dwadzieścia kilka lat, ujawnił powiązania mafijne, które zniszczyły jedną z najpotężniejszych rodzin wschodniego wybrzeża Stanów. Zanim skończył trzydziestkę, ukrócił obiecującą karierę pewnego senatora, właściciela tajnego konta w szwajcarskim banku, i jego wysokie aspiracje. Teraz to ona miała sobie z nim poradzić.

I dokona tego. Dylan Crosby będzie przecież na jej terenie, pod jej dachem. Podzieli się z nim swymi informacjami, a tajemnice, zamknięte w jej głowie i sercu, pozostaną tam na zawsze. Tylko ona ma do nich klucz.

Jako średnia córka pary wędrownych artystów nauczyła się wielu pożytecznych rzeczy, także dobrze grać. Aby osiągnąć to, co chce, musi odegrać przed Dylaniem Crosbym prawdziwe przedstawienie.

„Nigdy nie mów całej prawdy, córeczko. Nikt nie chce jej słuchać”. Tak ciągle powtarzał jej ojciec. I to będzie powtarzała sobie samej przez najbliższe kilka miesięcy.

Z niechęcią opuściła otwartą przestrzeń, zawróciła konia i ruszyła do domu.

Czas zaczynać.

Dylan po raz kolejny przeklął pogodę, wyciągnął rękę przez okno i całkiem mokrą już ścierką przetarł przednią szybę. Wycieraczka po jego stronie pracowała zrywami, druga zrezygnowała zupełnie. Lodowaty deszcz przemoczył całkowicie rękaw jego marynarki. Chyba zwariował, kupując to dwudziestopięcioletnie auto, choć miało tak szlachetną linię. Corvette z sześćdziesiątego drugiego roku wyglądała jak marzenie, a jechała jak ostatni gruchot.

Jazda z Nowego Jorku w środku lutego nie była rozsądnym pomysłem, chciał jednak mieć tę swobodę i własne auto pod ręką, choćby nie najlepsze. Ale przynajmniej śnieg, z którym zmagał się w Delaware podczas jazdy na południe, zmienił się w deszcz.

Mogło być gorzej, przekonywał sam siebie. Nie wiedział co prawda dokładnie, co mogło być gorsze, ale przypuszczał, że było to jednak możliwe. Miał w końcu zrealizować swój zamiar, do którego przymierzał się od niemal trzech lat. Najwyraźniej Abigail Q'Hurley Rockwell uznała, że wycisnęła już od wydawcy, ile się tylko dało.

Ostra musi być z niej kobieta. Uwiodła jednego z najświetniejszych i najbogatszych kierowców wyścigowych na świecie, a była jeszcze prawie dzieckiem. Zanim skończyła dziewiętnaście lat, nosiła już norki i brylanty i grała w kości w Monte Carlo. To żaden problem wydawać czyjeś pieniądze. Jego była żona w ciągu zaledwie osiemnastomiesięcznego, na szczęście, małżeństwa udowodniła mu to bardzo wyraźnie.

Kobiety zresztą już rodzą się przebiegłe. Udają bezradne i bezbronne, dopóki nie zarzucą na ciebie wędkę. Żeby się wyswobodzić, musisz trochę pokrwać. A potem, jeśli jesteś rozsądny, spoglądaj od czasu do czasu na te rany i pamiętaj, jakie naprawdę jest życie.

Dylan z trudem rozłożył mapę na kierownicy, przez chwilę utrzymując ją w odpowiedniej pozycji łokciami. Znow zaklął. Tak, to był tamten skręt. Właśnie go przejechał. Szybko oszacował zamgloną drogę z piskiem opon zawrócił. Wycieraczki są może kiepskie, ale zwrotność znakomita.

Nie mógł pojąć, jak Chuck Rodkwell, którego tak podziwiał, mógł osiąść w odludnej Wirginii. Pewnie ta kobietka namówiła go na kupno tej posiadłości jako czegoś w rodzaju azyłu. Sama siedzi tu już od trzech lat.

Ciekawe, jaka ona jest? Żeby napisać rzetelną biografię tego człowieka, musiał zrozumieć jego żonę. Przez cały pierwszy rok nie odstępowała Rockwella nawet na krok. Może później znudził jej się zapach benzyny i dymiących opon. Nie obserwowała z trybun zwycięstw i porażek swego męża. Co więcej, nie było jej tam, gdy odbywał swój ostatni wyścig. Ten, w którym zginął. Z informacji zdobytych przez Dylana wynikało, że kiedy po trzech dniach od jego śmierci pojawiła się na pogrzebie, nie powiedziała ani słowa. Nie uroniła ani jednej łzy. Poślubiła żylę złota i przymykała oczy na niewierność Chucka. Pieniądze były jedynym wytłumaczeniem. Teraz, jako wdowa po nim, nie musi nawet stuknąć palcem o palec. Nieźle jak na była piosenkarkę, która nigdy nie wyszła poza scenę drugorzędnych klubów i hoteli.

Zwolnił i wjechał na teren posiadłości przez bramę z odrapaną skrzynką pocztową oznaczoną nazwiskiem Rockwell. Najwyraźniej szkoda jej pieniędzy na takie drobiazgi, pomyślał. Jadąc wyboistą drogą, przestał przeklinać deszcz. Przerzucił się na Abigail. Ma szafę pełną futer i jedwabi, a żałuje na remont podjazdu.

Kiedy zobaczył dom, ożywił się. Spodziewał się imponującej wiejskiej rezydencji, a miał przed sobą uroczy, niewielki budynek. Błękitne okiennice kontrastowały z białymi ramami okien. Drewniany ganek wyglądał zachęcająco i zwyczajnie. Choć przydałaby mu się nowa farba, dom nie wyglądał na zaniedbany, lecz po prostu na zamieszkały. Z komina unosił się dym, na podjeździe leżał dziecięcy rowerek. Z oddali dobiegało szczekanie psa.

Dylan nieraz myślał, by znaleźć sobie takie właśnie miejsce, z dala od tłumu i hałasu, gdzie mógłby skupić się na pisaniu. Ten budynek przypominał mu dom, w którym mieszkał jako dziecko, gdzie poczucie bezpieczeństwa szło w parze z ciężką pracą.

Kiedy zderzak corvetty znów potarł o wyboje, jego zachwyty zniknęły. Stał za jakąś półciężarówką i zniszczonym samochodem osobowym, po czym zgasił silnik. Rzucił mokrą ścierkę na podłogę auta, podciągnął szybę i chciał już otworzyć drzwi kiedy rzuciła się na niego masa mokrego futra.

Pies był ogromny. Może miało to być przyjazne powitanie, ale w tej chwili zwierzę wcale nie wyglądało sympatycznie. Oparło zabłocone łapy o okno i donośnie szczekało.

- Sigmund!

I pies, i Dylan spojrzeli w stronę domu, na stojącą przed gankiem kobietę. A więc to jest Abigail. Widział tyle jej zdjęć, że poznał ją od razu. Świeża niewinność na trybunach w czasie zawodów. Elegancka piękność w Londynie i Chicago. Chłodna, opanowana wdowa stojąca przy grobie męża. A jednak nie tego się spodziewał.

Włosy w kolorze miodu opadały jej na czoło i ramiona. Miała na sobie dzinsy, długie buty i gruby sweter. Nie widział z tej odległości koloru jej oczu, ale widział usta - pełne, bez śladu szminki.

- Sigmund, złaż natychmiast.

Pies szczeknął jeszcze raz i posłuchał swej pani. Dylan ostrożnie otworzył drzwi i wysiadł.

- Pani Rockwell?

- Tak. Przepraszam za psa. Nie gryzie. W każdym razie nie często.

- Dobrze wiedzieć - mruknął Dylan i otworzył bagażnik.

Kiedy wyciągał torby, Abby stała nieruchomo. To obcy, a ona wpuszcza go do swojego domu, do swojego życia. Może powinna to wszystko przerwać? Natychmiast. Zanim ten człowiek zrobi następny krok.

Wtedy odwrócił się i, z torbami w ręku, spojrział na nią. Krople deszczu spływały mu z włosów. Ciemnych, teraz jeszcze ciemniejszych, bo mokrych, przyklejonych do twarzy. Niezbyt sympatycznej, uznała. Ten człowiek za dużo wie. Tylko idiotka dopuściłaby takiego

mężczyznę do siebie. W tej samej chwili zauważyła, że jest przemoczony do suchej nitki, a jego buty toną w błocie.

- Chyba przydałaby się panu kawa.

- Tak. Ta pani droga to tragedia. - Dylan spojrział jeszcze raz na psa, obwąchującego mu kostki.

- Wiem. Mamy ciężką zimę.

Dylan stał nieruchomo i po prostu na nią patrzył.

Jakby mnie podsumowywał, uznała Abby i nerwowo wsunęła ręce do kieszeni. Zobowiązała się do czegoś i jeśli stchórzy, nie osiągnie tego, co zamierza.

- Proszę do środka. - Podeszła do drzwi i czekała tam na niego.

Jej zielone oczy wpatrywały się w niego uważnie. Czyżby malował się w nich strach? Delikatność, jaką zauważył z daleka, z bliska była bardzo wyraźna. Abby miała dobrze zaznaczone kości policzkowe i lekko zadartą brodę. Jasną skórę, ciemne rzęsy. Albo była mistrzynią makijażu, albo nie miała go w ogóle. Pachniała deszczem i drzewnym dymem.

W progu Dylan zrzucił zabłocone buty.

- Chyba nie chce pani, żebym włożył w czymś takim.

- Bardzo dziękuję. Niech pan na razie zostawi rzeczy tutaj i wejdzie do kuchni. Jest ciepła i trochę pan obeschnie.

- Chętnie.

Wnętrze domu zaskoczyło go tak samo jak jego wygląd zewnętrzny. Podłogi były wytarte i matowe. Na stoliku przy schodach zauważył niezgrabny papierowy kwiat, najwyraźniej zrobiony ręką dziecka. Po drodze Abby mimochodem podniosła z podłogi dwóch plastikowych żołnierzyków.

- Przyjechał pan z Nowego Jorku?

- Tak.

- Niezbyt przyjemnie w taką pogodę. - Racja.

Nie zamierzał być nieuprzejmy, ale w tej chwili dom interesował go bardziej niż rozmowa o niczym. W zlewie nie było brudnych naczyń, podłoga była wyszorowana do czysta. Mimo to kuchnię, do której go wprowadziła, z trudem można było nazwać schludną. Każde wolne miejsce na lodówce pokrywały malunki, rysunki, jakieś wycinki. Na blacie ktoś zostawił nie dokończoną układankę. Przy drzwiach wałało się kilka par dziecięcych tenisówek.

Ale w ceglany piecu płonął ogień i w powietrzu unosił się zapach kawy. Jeśli nie będzie chciał rozmawiać, daleko nie zajedziemy, pomyślała Abby i jeszcze raz przyjrzała mu

się uważnie. Nie, jego twarz rzeczywiście nie jest sympatyczna, ale intrygująca. Jednodniowy zarost, ciemne, gęste brwi, jasnozielone oczy. Głębokie. Tak, to już знаła. Kiedyś takim samym dała się uwieść. Oczy Chucka były piwne, ale wyczytała w nich to samo. Zdobywam, co chcę, bo nic mnie nie obchodzi, co muszę zrobić, żeby wygrać.

I tak istotnie było. Abby przeraziła się, że właśnie otworzyła swe życie przed takim samym człowiekiem. Teraz jednak jest starsza oraz zdecydowanie mądrzejsza. I tym razem nie jest zakochana.

- Wezmę pański płaszcz.

Wyciągnęła ręce i czekała, aż się rozbierze. Po raz pierwszy od wielu lat zauważyła męskie ciało i na nie zareagowała. Mężczyzna był wysoki i dobrze zbudowany, a jej. .. zrobiło się gorąco. Zganiła się w duchu, odwróciła i powiesiła jego płaszcz na kołku przy drzwiach.

- Jaką kawę pan pije?

- Czarną, bez dodatków.

Jakiegolwiek zajęcie zawsze ją uspokajało, a spokój był jej w tej chwili bardzo potrzebny. Wybrała dla gościa ogromny kubek, dla siebie nieco mniejszy.

- Długo pan jechał?

- Przez całą noc.

- Przez całą noc? - powtórzyła. - Musi pan być wykończony - dodała, choć wcale na takiego nie wyglądał. Może trochę był rozczochrany i wymięty, ale czujny i uważny.

- Złapałem drugi wiatr. - Kiedy brał od niej kubek, zauważyła jego długie, szczupłe palce. Bez obrączki. - Wie pani pewnie, jak to jest.

Zmarszczyła brwi i usiadła naprzeciwko niego. Była matką i nieraz po nie przespanej nocy musiała w ciągu dnia funkcjonować na pełnych obrotach.

- Chyba tak. - Ponieważ wyraźnie nie miał ochoty na kulturalną pogawędkę, postanowiła od razu przejść do rzeczy. - Czytałam pańską pracę, panie Crosby. Książka o Millicent Driscoll była ostra, ale rzetelna.

- Rzetelna to kluczowe słowo.

- Szanuję to. Żal i współczucie zostawił pan innym. Znał ją pan osobiście?

- Poznałem ją już po samobójstwie. Musiałem, żeby napisać taką książkę.

- Była znakomitą aktorką, wspaniałą kobietą. Ale jej życie nie było łatwe. Znałam ją trochę dzięki mojej siostrze.

- Chantel O'Hurley, kolejna znakomita aktorka. Abby uśmiechnęła się i zmiękła.

- Tak, to prawda. Poznał ją pan przy zbieraniu materiału o Millicent, prawda?

- Przelotnie. - I wystarczyło mu to aż nadto. Wszystkie trzy siostry O'Hurley w ten czy inny sposób stały się sławne.

- W ten czy inny.

- Jak to jest: mieć takie siostry?

- Jestem z nich bardzo dumna.

- A pani nie myśli o powrocie na scenę?

Gdyby nie wychwyciła nuty cynizmu w jego głosie, pewnie by się roześmiała.

- Nie. Mam inne priorytety. Widział pan kiedyś Maddy na Broadwayu?

- Parę razy. - Dylan pił kawę i z każdym łykiem czuł się lepiej. - Nie jest pani do niej podobna. Do Chantel chyba też nie.

Abby była przyzwyczajona do takich porównań.

- To prawda. Ojciec zawsze mówił, że zrobiłybyśmy furorę, gdybyśmy były identyczne. Jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję. Podobno Chuck Rockwell wszedł do tego klubu, w którym występowała pani z rodziną, i nawet nie spojrzał na żadną z pani sióstr. Patrzył tylko na panią.

- Tak pan słyszał? - Abby odstawiła kubek i wstała. - Tak. Ludzie lubią romantyczne historie.

- Ale pan nie - rzuciła, zajęta już przy kuchni.

- Co pani robi?

- Kolację. Mam nadzieję, że lubi pan gulasz.

A więc sama gotuje, a w każdym razie dzisiaj. Może żeby zrobić wrażenie? Dylan oparł się o krzesło i patrzył, jak podrumienia mięso.

- Ja nie piszę romansu, proszę pani. Jeśli wydawca nie przedstawił pani jasno moich zasad, chętnie sam teraz panią uświadomię.

- Po co tracić czas? - Abby nie przerywała roboty.

- Racja, i dlatego informuję panią, że to ja piszę tę książkę. Za to mi płacą. A pani za współpracę.

Abby hojną rękę sypnęła do garnka przyprawy.

- Dziękuję, że mi pan to uświadomił. Są jeszcze inne zasady? Była chłodna i, jak powiedzieliby niektórzy, nieczuła.

- Tylko ta jedna. Ta książka jest o Chucku Rockwellu; pani jest jej częścią. Wszystko, czego się o pani dowiem, choćby było to coś bardzo osobistego, jest moje. Podpisując zgodę, zrezygnowała pani z prywatności.

- Z prywatności zrezygnowałam, wychodząc za Chucka, panie Crosby. - Abby zamieszała mięso i dołąła odrobinę wina. - Czy się myślę, czy też ma pan wątpliwości co do pisania tej książki?

- Do książki nie. Do pani.

Odwróciła się i spojrzała na niego uważnie. Nie on pierwszy doszedł do wniosku, że wyszła za Chucka dla pieniędzy.

- Rozumiem. Jest pan szczery. Wcale nie musi mnie pan lubić.

- Nie muszę. I wzajemnie. Jednego może być pani pewna: mojej uczciwości. Zamierzam napisać najgłębszą i najpełniejszą biografię pani męża, jaką potrafię. Żeby to zrobić, będę musiał być natarczywy i namolny.

Abby przykryła garnek pokrywką i z kubkiem kawy wróciła do stołu.

- Ja się tak łatwo nie denerwuję. Często mówiono mi, że jestem za..., spokojna.

- Gwarantuję pani, że zanim skończymy, będzie pani zdenerwowana.

- Czyżby o to panu chodziło?

- Sam nie jestem szczególnie spokojny.

Tym razem się roześmiała, choć był to gorzki śmiech.

- Miał pan kiedyś okazję poznać Chucka? - spytała, unosząc kubek.

- Nie.

- Dobrze byście się porozumieli. Był człowiekiem, który zawsze miał w głowie jeden cel: wygrywać. To albo nic. Żadnych kompromisów.

- A pani?

Choć było to pytanie raczej grzecznościowe, potraktowała je poważnie.

- W młodości dawałam sobą kierować każdemu, kto miał na to ochotę. Od tamtej pory wiele się nauczyłam - dodała, kończąc kawę. - Pokażę panu pański pokój. Zdąży się pan rozpakować i trochę odpocząć przed kolacją.

Ruszyła przed siebie korytarzem, biorąc po drodze jedną z jego toreb. Nawet nie zdążył zaprotestować. Wiedział, że jest ciężka, ale Abby niosła ją zupełnie bez wysiłku. Nie wyglądała na taką silną. Jeszcze jeden dowód, że pozory mylą. Czujność nie zawadzi.

- Łazienka jest w końcu korytarza. Gorącą wodę mamy prawie zawsze. - Otworzyła drzwi do pokoju, weszła i postawiła torbę obok łóżka. - Wstawiłam tu panu biurko. Mam na dole coś w rodzaju gabinetu, ale wydawało mi się, że tak będzie wygodniej.

- Tak jest dobrze.

Było więcej niż dobrze. Pokój pachniał olejkiem cytrynowym i wanilią, świeżo i zapraszająco. Dylan lubił antyki i od razu poznał szlachetność umeblowania. No i ten widok z okien: wprost na ośnieżone wzgórza i stajnię.

- Bardzo tu ładnie.

- Dziękuję. - Abby też wyjrzała przez okno. - Szkoda, że nie widział pan, jak to wszystko wyglądało, kiedy kupiliśmy tę posiadłość. Dach nie przeciekał może tylko w pięciu miejscach, a hydraulika była wspomnieniem. Jednak od razu wiedziałam, że tu jest moje miejsce.

- Pani je wybrała?

- Tak.

- Dlaczego?

Wciąż patrzyła przez okno, więc odwrócona była do niego plecami. Wydawało mu się, że słyszy jej westchnienie.

- Człowiek musi gdzieś zapuścić korzenie. W każdym razie niektórzy czują taką potrzebę.

Dylan wyjął z torby dyktafon i położył go na biurku.

- Z toru wyścigowego to daleka droga.

- Ja się nigdy nie ścigałam. - Spojrzała na niego przez ramię i zauważyła dyktafon. - Ma pan wszystko?

- Na razie. Jedno pytanie, zanim zaczniemy. Dla czego teraz? Dlaczego po tylu latach zgodziła się pani autoryzować biografię pani męża?

Były dwa powody, dwa bardzo ważne, ale wątpiła, by ten człowiek je zrozumiał.

- Powiedzmy, że wcześniej nie byłam gotowa. Teraz od jego śmierci minęło prawie pięć lat.

A po pięciu latach pieniądze niemal się skończyły.

- Jestem pewien, że umowa z wydawcą była bardzo lukratywna.

Kiedy nie odpowiedziała, spojrzał na nią, ale w jej błękitnych oczach nie było złości. Wolałby to niż ten dziwny, trudny do rozszyfrowania chłód.

- Kolacja powinna być gotowa na szóstą. Wcześniej się tu kładziemy.

- Jeśli kiedykolwiek panią urażę, może mi się pani zawsze zrewanżować mocnym kopem.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy. Śmiały się nie tylko jej usta, ale i oczy.

- Nigdy nie umiałam walczyć. Pewnie dlatego zawsze tego unikam.

Gdzieś z dworu dobiegł jakiś trzask, ale nawet nie drgnęła. Nie zdziwił jej też dziki, niemalże indiański wrzask, szczekanie psa i tupot na ganku.

- Czyste ręczniki są w łazience.

- Dzięki. Przepraszam, że pytam, ale co się tam dzieje?

- Gdzie?

Po raz pierwszy zauważył w jej oczach szczere rozbawienie. I pewność siebie. Miał przed sobą kobietę, która wie, kim jest i dokąd zmierza.

- Zupełnie jak jakiś najazd.

- Bo to jest najazd.

- Mamo! Jesteśmy! - dobiegło z dołu.

- Moje dzieci tak właśnie oznajmiją swoje przyjście. Bóg jeden wie czemu. Przepraszam pana, chyba powinnam ratować dywan w salonie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy dotarła do kuchni, synowie już zdejmowali kurtki. Od drzwi wejściowych ich drogę znaczył cienki strumyczek wody na podłodze.

- Cześć, mamó. - Obaj uśmiechali się od ucha do ucha. Szkoła się skończyła i świat był piękny.

- Cześć, chłopaki.

Na blacie leżały przemoknięte książki. Obok lodówki, gdzie stali chłopcy, tworzyła się niewielka kałuża. Drzwi były otwarte na oścież i chłodne powietrze mieszało się z bijącym od pieca gorącem. Abby szybko oceniła sytuację i uznała zniszczenia za niewielkie.

- Chris, to coś na podłodze to chyba twoja kurtka. Młodszy z chłopców spojrzał na nią z widocznym zdziwieniem.

- Tommy Harding znów dziś rozrabiał w autobusie. - Chris podniósł z podłogi kurtkę i powiesił ją na kołku przy drzwiach. - Będzie musiał siedzieć z przodu przez całe dwa tygodnie.

- Pluł na Angelę - poinformował ją Ben, chwytając dzbanek z sokiem. - Prosto we włosy.

- Pięknie. - Abby podniosła mokre rękawiczki Chrisa i wręczyła je synowi. - Mam nadzieję, że nie mieliście nic z tym wspólnego.

- Y yyy. Powiedziałem tylko, że jest brzydka.

- Ale tylko trochę. - Chris zawsze bronił słabszych.

- Ma gębę jak ropucha - stwierdził Ben, nalewając sobie sok. - Chris i ja ścigaliśmy się od autobusu. Dałem mu fory, ale i tak byłem pierwszy.

- Gratulacje.

- Niewiele brakowało, a bym wygrał. - Chris zdejmował już drugi but. - I jestem strasznie głodny. - Jedno ciasteczko.

- Jestem naprawdę bardzo głodny.

Miał twarz cherubinka, okrągłą, bladą i śliczną.

Jasne włosy kręciły mu się trochę za uszami, piwne oczy błyszczały. Kiedy na nią spojrzał, musiała się poddać.

- Dwa - westchnęła z rezygnacją.

- Umieram z głodu. - Ben wypił duszkiem szklankę soku i wierzchem dłoni otarł usta. Diablątko. Z opadającymi na czoło ciemnoblonde włosami i figlarnymi oczami.

- Dwa - powtórzyła Abby.

- Czyje to auto stoi przed domem? - Ręka Bena już była w ogromnym słoju o kształcie kaczkę. - Niezłe.

- Pisarz przyjechał, zapomniałeś? Pan Crosby.

- Ten, który ma napisać książkę o naszym tacie?

- No.

- Nie wiem, jak ktoś może chcieć czytać o kimś, kto nie żyje.

Znowu, pomyślała ze smutkiem Abby. Ta szczerza, otwarta niechęć Bena do własnego ojca. Czy to Chuck jest temu winien, czy ona, bo nie targała malucha na każde wyścigi? Wszystko jedno. Liczy się skutek.

- Twój ojciec był bardzo sławny, Ben. Ludzie wciąż go podziwiają.

- Jak George'a Washingtona? - zainteresował się Chris, wpychając do buzi ostatnie ciastko.

- Niezupełnie. Idźcie na górę i przebierzcie się do kolacji. I nie przeszkadzajcie panu Crosby'emu - dodała. - Jest w gościnnym pokoju tuż przy schodach. Ma za sobą długą podróż i pewnie odpoczywa.

- Dobra. - Ben za plecami matki posłał bratu znaczące spojrzenie. - Będziemy bardzo cicho.

- Cieszę się.

Gdy zniknęli, Abby wsparła się o drążek szczotki do mycia podłogi. Jeszcze raz powtórzyła sobie samej, że podjęła właściwą decyzję. Bez wątplenia.

- Uważaj, żeby schody nie trzeszczały - ostrzegł brata stąpający na palcach Ben. - Bo usłyszysz, że idziemy.

- Mielśmy mu nie przeszkadzać - przypomniał dla zasady Chris, ale posłusznie naśladował Bena.

- I nie będziemy. Tylko na niego popatrzymy.

- Ale mama mówiła...

- Posłuchaj. - Ben przystanął na wysokości trzech schodków od góry i zniżył głos.

- A jeśli on wcale nie jest pisarzem, tylko złodziejem...

- Złodziejem?

- Tak. - Podekscytowany tym pomysłem Ben na chylił się bratu do ucha. - Jest złodziejem i poczeka, aż wszyscy zaśniemy. Wtedy nas obrobi.

- Zabierze moje ciężarówkę?

- Możliwe. Założę się, że ma też broń. Musimy być naprawdę cicho i go obserwować.

Wyraźnie już przekonany, Chris kiwnął głową.

Z bijącymi sercami bracia pokonali ostatnie stopnie.

Dylan włożył ręce w tylne kieszenie spodni i wyglądał przez okno. Widoczne z oddali wzgórza były zupełnie niepodobne do tych, które widział w dzieciństwie ze swojego pokoju. Padał deszcz, mgła była coraz gęstsza. W okolicy nie widać było żadnego domu.

Nie tego się spodziewał. Z drugiej jednak strony lubił niespodzianki. Zakładał, że dom Abigail O'Hurley Rockwell będzie bogaty i elegancki. Był pewien, że zastanie tam całe zastępy służby. Chyba że akurat gdzieś wyjechali. Wydawało mu się jednak, że służby nie ma tu wcale, a dom okazał się po prostu wygodny i przytulny. Wiedział oczywiście, że Abby ma dzieci, ale spodziewał się, że mają nianię albo wręcz przebywają w szkole z internatem. Kobieta, której zdjęcie miał w swoim archiwum, ubrana w białe norki i błyszcząca brylantami, nie miałaby czasu ani ochoty, by naprawdę zajmować się dziećmi.

Skoro nie jest tamtą kobietą, to kim, do cholery, jest? Miał za zadanie zbadać życie Chucka Rockwella, ale wdowa po nim zaciekawiała go dużo bardziej.

Zresztą wcale nie wygląda na wdowę, pomyślał, kładąc na łóżku jedną z walizek. Bardziej na studentkę na zimowych feriach. No tak, była przecież kiedyś swego rodzaju aktorką. I może nadal gra...

Podniósł wieko walizki i w tej samej chwili jego uwagę zwrócił cichutki szmer.

Jako dziennikarz śledczy, Dylan tak często bywał w ciemnych zaułkach i podejrzanych spelunach, że nauczył się mieć oczy z tyłu głowy. Jak gdyby nigdy nic, wyjmował po kolei koszule i swetry, ale jego wzrok powędrował do wiszącego przy łóżku lustra.

Drzwi do pokoju otworzyły się wolniutko, tylko odrobinę. Potem trochę szerzej. Dylan zeszywniał i czekał, choć z pozoru wyglądało, że kontynuuje rozpakowywanie. W lustrze dostrzegł dwie pary oczu, jedną nad drugą. Podchodząc do komody, usłyszał nerwowy oddech. Kiedy drzwi otworzyły się jeszcze szerzej, na ich krawędzi pojawiły się maleńkie paluszki.

- Wygląda jak złodziej - szepnął Ben, z trudem ukrywając podniecenie. - Ma chytne oczy.

- Myślisz, że ma broń?

- Pewnie cały arsenał. - Zachwycony Ben śledził każdy krok Dylana. - Podchodzi do szafy - szepnął z przejęciem. - Cicho.

Ledwo wypowiedział te słowa, kiedy drzwi otworzyły się na całą szerokość. Zaskoczeni bracia wpadli do środka. Rozciągnięty na dywanie Chris spojrział na stojącego nad nim mężczyznę. Wargi mu drżały, ale oczy miał suche.

- Nie dam panu moich ciężarówek - wyjąkał. Czuł, że lada chwila wrzaskiem przywoła matkę do pomocy.

- W porządku. - Dylan przykucnął i patrzył mu teraz prosto w oczy. - Może kiedyś sam mi je pokażesz.

- Może. Jest pan złodziejem?

- Chris! -Zawstydzony Ben wysunął się spod brata i wstał. - To jeszcze dziecko - próbował załagodzić sytuację.

- Wcale nie. Mam już sześć lat.

- Sześć? - Dylan udał, że jest zaskoczony. - A ty?

- Osiem. No, prawie. Mama myśli, że jest pan pisarzem.

- Czasami i ja tak myślę. - Ładny chłopczyk, pomyślał. I taki ciekawy wszystkiego, że trudno mu się oprzeć. - Jestem Dylan. - Wyciągnął rękę i czekał, aż Ben się zdecyduje.

- Ben. - Chłopak był wyraźnie dumny, że potraktowano go jak mężczyznę. - A to Chris.

- Miło cię poznać. - Dylan podał teraz rękę Chrisowi, który potrząsnął nią niepewnie.

- Masz niezły samochód.

- Mnie się też tak czasami wydaje.

- Ben mówi, że wyciąga ponad setkę.

- Może i tak. Nie próbowałem. - Dylan nie mógł się już opanować i pogładził małego po włosach.

Chris uśmiechnął się. Podobał mu się zapach tego mężczyzny. Pachniał zupełnie inaczej niż matka.

- Mama mówiła, żebyśmy ci nie przeszkadzali.

- Jeżeli będzie przeszkadzać, sam wam powiem. Chris wyraźnie wziął to za dobrą monetę.

W gramolił się na łóżko i paplał wesoło, patrząc, jak Dylan rozpakowuje bagaże. Ben trzymał się nieco z daleka. Niewiele mówił, lecz pilnie obserwował obcego. Niełatwo zdobyć jego zaufanie, pomyślał Dylan.

- Mama mówi, że to brzydki nałóg - stwierdził Chris na widok kartonu z papierosami.

- Mamy zawsze mają rację - zaśmiał się Dylan.

- Lubisz brzydkie nałogi?

- Ja... - Dylan uznał, że lepiej zmienić temat. Możesz podać mi ten aparat?

Chętny do pomocy Chris wyjął z futerału niewielki aparat fotograficzny i przez chwilę przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Niezły.

- Dzięki.

- Będziesz robił nam zdjęcia?

- Może. Interesuje cię to? - spytał, widząc, że Ben naciska klawisze dyktafonu.

Przyłapany na gorącym uczynku, chłopiec schował ręce za siebie.

- Takich używają szpiedzy.

- Podobno. Masz tu jakichś w okolicy?

Ben spojrzał na niego uważnie. Za uważnie jak na tak małe dziecko.

- Możliwe.

- Kiedyś myśleliśmy, że pan Petrie, który pomaga przy koniach, jest szpiegiem. - Chris spojrzał na walizkę, ciekaw, czy jest tam jeszcze coś interesującego. - Ale okazało się, że nie.

- Macie konie?

- Kilka.

- Jakie?

- Głównie duże. - Chris wzruszył ramionami.

- Głupi jesteś - nie wytrzymał Ben. - To morgany. Będę kiedyś jeździł na Piorunie. To ogier. - Czujność zniknęła już z jego spojrzenia, był za to pełen entuzjazmu. - Najlepszy ze wszystkich.

A więc jest jakiś klucz do tego chłopaka.

- Też miałem kiedyś ogiera.

- Naprawdę? Ale na pewno nie był taki szybki jak Piorun.

Kiedy Dylan nie zaprzeczył, Ben wkrótce się poddał i zapytał:

- Jak miał na imię?

- Sły. Zawsze wiedział, w której kieszeni mam marchewkę.

- Ben. Chris.

Na widok stojącej w progu matki Ben poczerwieniał. Nie lubił tego jej tonu. Nieświadomy niczego Chris podskakiwał radośnie na łóżku.

- Cześć, mamo. Dylan wcale nie jest złodziejem.

- Bardzo nas to wszystkich cieszy. Benjamin, czy nie prosiłam, żebyście nie przeszkadzali panu Crosby' emu?

- Tak, proszę mamy. - Kiedy mówiła do niego „Benjamin”, lepiej było odpowiadać w ten sposób.

- Wcale mi nie przeszkadzali. - Dylan wieszał właśnie w szafie parę spodni. - Musieliśmy się poznać.

- To miłe z pana strony - odparła chłodno i zaraz o nim zapomniała. - Czyżbyście nie mieli żadnych obowiązków? - zwróciła się do synów.

- Ale mam... - próbował protestować Ben. Uciszyła go jednym spojrzeniem. - To nie czas na dyskusję.

Dylan z trudem powstrzymywał śmiech. Ileż to razy słyszał to samo od własnej matki.

- Zwierzęta same się nie nakarmią - przypomniała synom Abby. - A to - pokazała trzymaną w ręku kartkę - chyba wypadło ci z tornistra. Nie wątpię, że zamierzałeś mi pokazać.

Ben spuścił głowę. Wolał nie patrzeć na czerwoną trójkę widniejącą pod jego dyktandem.

- Ale przecież się uczyłem.

- Oszukujesz. - Abby uśmiechnęła się i ujęła synka pod brodę. Szczęśliwy, że kryzys minął, Ben też się do niej uśmiechnął.

- I dzisiaj znów się będę uczył.

- Mam nadzieję. A teraz biegnij. Ty też. - Wyciągnęła rękę i pomogła Chrisowi wstać.

- Ben mówił, że on może ukraść mi ciężarówkę.

- Jesteś bardzo łatwowierny. - Abby pocałowała go głośno w czoło.

- To wszystko?

- Na razie. Przebierz się.

Sześciolatek Chris pewnie nie potrafiłby zdefiniować słowa „urok”, ale bez wątpienia wiedział, że go ma.

- Jestem wciąż strasznie głodny.

- No to zjemy wcześniej. Jak tylko zrobisz, co należy.

Widząc, że ciastka są już wykluczone, mały wysunął się z objęć matki i podszedł do drzwi. W progu przystanął i z uśmiechem spojrzał na Dylana.

- Cześć.

- Do zobaczenia.

- Przepraszam pana - powiedziała Abby, kiedy zostali sami. - Chyba przyzwyczaili się, że mają cały dom dla siebie, i nie myślą o innych.

- Wcale mi nie przeszkadzali.

Abby zaśmiała się i potrząsnęła głową.

- To długo nie potrwa, może pan być pewien. Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, to zjemy, kiedy tylko skończą z obowiązkami i trochę się umyją.

- Jestem gotów w każdej chwili.

- Proszę pana... - zaczęła ostrożnie. Nie śmiała się już, a jej spojrzenie było spokojne i poważne. Ale to jej usta przyciągały jego wzrok. Pełne i zmysłowe. - Może pan liczyć na moją współpracę przy książce, ale to nie dotyczy moich dzieci.

- To znaczy?

- Nie chcę ich w to mieszać. Ma pan ich nie pytać o Ojca.

Dylan odłożył na toaletkę kosmetyczkę i spojrzał na nią. Tylko z pozoru jest taka miękka i uległa. W obronie dzieci staje się lwicą. Jej prawo.

- Właściwie w ogóle mi to nie wpadło do głowy. Chyba są za mali, żeby wiele pamiętać.

Zdziwiłbyś się, pomyślała, ale skinęła głową.

- No to się rozumiemy.

- Jeszcze nie. Bynajmniej... pani Rockwell.

Nie podobało jej się jego spojrzenie. Zbyt... świdrujące. Czy uda jej się zachować przy nim swą prywatność? Zaryzykowała jednak i nie zamierzała się poddać.

- Kiedy kolacja będzie gotowa, przyślę po pana któregoś z chłopców.

Gdy zamknęła za sobą drzwi i szła korytarzem, zrobiło jej się zimno, tak zimno, że drżała. Chciałaby teraz zadzwonić do rodziny, usłyszeć pocieszające głosy rodziców. Albo uszczypliwe uwagi Chantel. Może powinna zadzwonić do Maddy i posłuchać jej optymistycznych opinii o życiu jako takim. Do Trace'a zatelefonować nie mogła. Starszy brat podróżował gdzieś po Europie czy Afryce albo Bóg wie gdzie jeszcze.

Wiedziała jednak, że nie może zadzwonić do nikogo. Jest samodzielna i to od dawna, z własnego wyboru. Oczywiście przyjechaliby, każde z nich z osobna i wszyscy razem, gdyby tylko wspomniała, że ich potrzebuje. Ale już nie jest średnią z trojaczków. Jest Abby Rockwell, matką dwojga dzieci. Musi się nimi opiekować, zarabiać na nich, wychowywać. I Bóg świadkiem, dopilnuje, by otrzymali coś w rodzaju spadku po ojcu.

W kuchni wyjęła ze spizarki warzywa i zajęła się sałatą, za którą żaden z chłopców nie przepadał.

Kiedy zwierzęta były już nakarmione, a ręce i buzie ostatecznie umyte, zgasła gaz pod garnkiem z gulaszem.

- Chris, idź i powiedz panu Crosby'emu, że kolacja gotowa.

- Ja pójdę. - Reakcja Bena była błyskawiczna i zupełnie nie w jego stylu. Kiedy Abby spojrzała na niego pytająco, wzruszył ramionami. - I tak muszę coś wziąć z góry.

- Dobrze, dzięki. Ale pośpiesz się.

- Nie będę musiał jeść pieczarek, prawda? - Chris już sadowił się na stołku.

- Nie, nie będziesz musiał jeść żadnych pieczarek. - Powyjmujesz je?

- Tak.

- Wszystkie. Jeśli zjem choć jedną, zwymiotuję.

- Rozumiem. Proszę, siadajcie - powiedziała, widząc wchodzącego Bena i Dylana.

Spokojnie rozkładała sałatę do miseczek.

- Ja nie chcę - oznajmił Ben.

- Ale twój organizm tak - rzuciła, polewając porcję sosem. - Proszę, Chris, ani jednej pieczarki.

- Jeśli jest choć jedna, to...

- Tak, wiem. - Jedną z miseczek postawiła przed Dylanem. - A teraz... - Kiedy spojrzała na niego i zobaczyła, że się uśmiecha, ugryzła się w język. O, przepraszam. - Sałata, którą mu podała, była pokrojona na małe kawałeczki, jak dla dzieci. - To tak machinalnie.

- Nie szkodzi. Jakoś dam sobie radę.

U siadła w końcu i zaczęła jeść. Chris paplał bez przerwy, nawet z pełną buzią. Ben dłużył w sałacie i kątem oka obserwował Dylana. Dziwne, pomyślała, nie jest szczególnie otwartym dzieckiem, ale ta ostrożność, może niechęć? Dziwne...

Nagle Abby uświadomiła sobie, że Dylan siedzi na miejscu Chucka. Prawda, siedział na tym krześle zaledwie parę razy, i to w dużych odstępach czasu, niemniej było to jego miejsce. Czy Ben to pamięta? Miał zaledwie trzy lata, kiedy jego ojciec ostatni raz był w tym domu. Zaledwie trzy, a już był taki dorosły.

- Co takiego? - oprzytomniała, czując stukający ją łokieć.

- Już nie mogę. - Ben odsunął miseczkę z sałatą. Abby sięgnęła po łyżkę, by nałożyć mu gulasz.

Gdy talerz chłopca był pełny, ponad głową Bena chwyciła spojrzenie Dylana. Zła na siebie, podsunęła Dylanowi garnek.

- Deszcz już chyba słabnie - oznajmiła.

- Tak wygląda. - Dylan nałożył sobie porcję. Ale jeszcze przez parę dni zostaną po nim ślady.

- Błoto po kostki. Jeśli lubi pan świeże powietrze, to mam nadzieję, że wziął pan coś lepszego niż adidas.

- Dam sobie radę. - Dylan spróbował gulasz. Albo rzeczywiście był pyszny albo on przeraźliwie głodny. Tak czy owak, jadł z apetytem. - Chłopcy mówili, że ma pani konie.

- Tak, hodujemy morgany. Chris, weź serwetkę.

- Hodujemy? Nie wiedziałem, że robi to pani zawodowo.

- I niestety inni też nie wiedzą. - Abby uśmiechnęła się i delikatnie pociągnęła Bena za ucho. - Ale się dowiedzą. Zna się pan na koniach?

- Miał agiera - wtrącił się Chris.

- Ogiera. - Ben aż wznosił oczy do nieba. - Podobno był super.

- Naprawdę?

- Wychowałem się na farmie w Jersey.

- To pewnie teraz głupio być pisarzem - skomentował Ben, wskrobując talerz. - Strasznie nudno, tak jakby cały czas się było w szkole.

- Niektórzy ludzie lubią korzystać ze swojego mózgu. Jeszcze trochę, panie Crosby?

- Odrobinę. - Choć nie był gadułą i zazwyczaj wolał słuchać, uznał jednak, że musi się jakoś usprawiedliwić przed tym chłopakiem. - Ale wiesz, jak piszę, to dużo podróżuję i spotykam mnóstwo ludzi.

- To fajnie. Ja też będę podróżował. Kiedy dorosnę, będę kosmicznym bandytą.

- Ciekawy wybór - mruknął Dylan.

- Będę latał z galaktyki na galaktykę i napadał i gra... gra...

- Grabił - dokończyła za niego Abby. - Ben jest zafascynowany przestępstwami. Już zaczęłam oszczędzać na okup.

- Ale jestem lepszy niż Chris. On chce być śmieciarzem.

- Już nie.

- Nie mów z pełną buzią, słonko. W zeszłym roku byliśmy z wizytą u Maddy. Chris zakochał się w śmieciarkach.

- Idiota. Zupełny idiota - skomentował Ben.

- Ben, dziś chyba twoja kolej na zmywanie?

- Oj, mamoo...

- Umówiliśmy się. Ja gotuję, wy na zmianę zmywacie.

Chłopczyk zamyślił się na chwilę, ale zaraz w jego oczach rozbłysły wesołe ogniki.

- On też tu teraz mieszka. - Kiwnął głową w stronę Dylana. - Powinien mieć swoją kolej.

Ciekawe, dlaczego Ben jest taki logiczny tylko wtedy, gdy może na tym skorzystać? - zastanowiła się Abby.

- Pan Crosby jest gościem, Ben. A teraz...

- Chłopak ma rację - przerwał jej Dylan, co spotkało się z pełnym uznania spojrzeniem Bena. - Ponieważ trochę tu pobędę, to chyba powinienem dostosować się do panujących tu zasad.

- Panie Crosby, nie musi pan spełniać zachcianek tych potworów. Ben bardzo chętnie pozmywa.

- Wcale nie.

- Jeżeli ktoś ugotuje ci pyszny posiłek, to przynajmniej możesz się zrewanżować i posprzątać. - Wstając od stołu, Dylan kątem oka zauważył spuszczoną głowę Bena. - Dziś moja zmiana.

- Naprawdę? - Ben natychmiast podniósł głowę.

- Co w tym dziwnego?

- Super. Chodź, Chris, idziemy...

- Odrabiać lekcje - dokończyła Abby, a chłopcy nawet nie próbowali dyskutować.

- Potem możecie pooglądać telewizję. - Tupot małych stóp na schodach zagłuszył jej ostatnie słowa. - Chyba znów powinnam przeprosić za ich zachowanie.

- Nie ma sprawy. Też kiedyś byłem dzieckiem.

- Domyślam się. - Abby wsparła się na łokciach i spojrzała na niego. - Pewnych ludzi trudno sobie wyobrazić jako małych i bezbronnych. Ma pan jeszcze na coś ochotę?

- Pani dzieci nie mają problemu z mówieniem mi po imieniu. Właśnie zjedliśmy razem kolację i będziemy razem jeszcze przez kilka tygodni. Może skończymy z tymi formalnościami? Abigail?

- Abby - poprawiła go odruchowo.

- Abby.

- Dylan to rzadkie imię.

- Ojciec chciał coś bardziej statecznego. Na przykład John. Matka była bardziej romantyczna. I bardziej uparta.

Patrzył na nią uważnie i wiedziała już, że w jego głowie rodzą się kolejne pytania. Nie była jeszcze gotowa, by na nie odpowiadać.

- Moi rodzice zawsze lubili rzeczy nieprzeciętne - oświadczyła i zaczęła zbierać ze stołu.

- To moja działka. Abby nie zareagowała.

- Jestem pewna, że zaskarbiłeś sobie wdzięczność Bena, ale nie czuj się zobowiązany.

- Umowa to umowa. - Dylan wyjął jej z ręki miseczki. Jego palce musnęły jej dłoń, tak zwyczajnie, jak to bywa w codziennych kontaktach między ludźmi. Ona jednak odskoczyła jak oparzona i omal nie upuściła naczyń na podłogę.

- Zdenerwowana? - Znow na nią patrzył. Wiedział dobrze, że twarze mówią dużo więcej niż słowa.

- Nie jestem przyzwyczajona do obcych w mojej kuchni. - Nawet w jej uszach nie brzmiało to przekonująco. - Pomogę ci, w każdym razie dziś, dopóki nie zorientujesz się, gdzie co leży. Dziwne, że chłopcy tak się zawsze targują o to zmywanie, skoro trzeba przecież tylko załadować i rozładować zmywarę.

- Możemy jeszcze bardziej ich odciążyć. Raz w tygodniu będę gotował ja, ty zajmiesz się zmywarką.

- Umiesz gotować? - Zdziwiona?

Wiedziała, że to głupie, ale żaden, ze znanych jej mężczyzn nie rozróżniał-nawet palników od piekarnika. Pamiętała, jak kiedyś w hotelowym pokoju ojciec gotował jajko na elektrycznej maszynie, ale to było jego największe osiągnięcie.

- Jeśli się mieszka samemu, to się pewnie przydaje.

- Nawet jeśli się nie mieszka samemu. - W stawiając kolejny talerz, zauważył, że całe urządzenie się chwieje. - Coś tu jest nie tak.

- Nie tak, ale działa. - Nie zamierzała się przyznawać, że kupiła używaną zmywarę i sama ją zainstalowała, okupiwszy to połamanymi paznokciami i mnóstwem potu.

- Jak uważasz. Ale wydaje mi się, że musiało się obłuzować kilka śrubek. Ktoś powinien się nią zająć.

I wieloma innymi rzeczami. Ale najpierw rękopis książki musi znaleźć się u wydawcy, a reszta pieniędzy na jej koncie.

- Pewnie chcesz, żebyśmy ustalili jakiś plan pracy. - Chcesz już zacząć? Bez pytania naląła dwie filiżanki kawy.

- Przyjechałeś tu po informacje, a ja mam ci ich dostarczyć. Dla mnie najlepsze będzie późne przedpołudnie albo wczesne popołudnie, ale mogę się dostosować.

- Doceniam to.

- Śniadanie jemy wcześnie. Dzieci muszą złapać szkolny autobus o siódmej trzydzieści, więc jeśli lubisz spać dłużej, będziesz musiał obsłużyć się sam.

- Dam sobie radę.

- Jeśli nie będzie mnie w domu, to będę albo w stajni, albo w którejś szopie. Ale o dziesiątej mogę być do twojej dyspozycji.

Co kobieta o rękach pianistki robi przez półtorej godziny w stajni? Wolał nie pytać, lecz sam sprawdzić.

- Niech będzie dziesiąta. Czasem wcześniej, czasem później, jak wyjdzie.

- Rozumiem, oczywiście.

Kiedy rozmowa skoncentrowała się na interesach, Abby odprężyla się. Czekają ją jeszcze kilka godzin pracy nad rachunkami.

- Jeszcze jedno pytanie.

- Nie do druku? Prywatnie?

- Tym razem tak. Dlaczego zrezygnowałaś z występów?

Tym razem naprawdę się roześmiała. Nisko, gardłowo, zmysłowo.

- Widziałeś kiedyś nasz występ? Trzy Siostry na scenie?

- Nie.

- Tak myślałam. Inaczej byś nie pytał.

Trudno się było oprzeć ludziom, którzy potrafili śmiać się z samych siebie.

- Aż tak było źle?

- Gorzej. Dużo, dużo gorzej. - Abby wstała i opłukała pod zlewem filiżankę i - Muszę zajrzeć do chłopców. Jeśli za długo jest u nich cicho, zaczynam się niepokoić. Należy sobie jeszcze kawy. Telewizor jest w salonie.

- Abby... - Nie był zadowolony z niej, z tego domu, z sytuacji. Nic nie było takie, jakie wydawało się z pozoru, tego był pewien. Kiedy jednak odwróciła się i na niego spojrzała, jej oczy były spokojne. - Zamierzam dotrzeć do ciebie. Do samego dna.

Słyszając te słowa, Abby zeszywniała. Ale tylko na ułamek sekundy.

- Nie jestem wcale taka skomplikowana, jak ci się wydaje. Zresztą przyjechałeś tu, żeby pisać o Chucku.

- To także zrobię.

Na to liczyła. Tego się bała. Skinęła mu głową i poszła do dzieci.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po raz drugi Dylan usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi do swego pokoju. Nagle przebudzony, dopiero po chwili uświadomił sobie, że nie jest w żadnym hotelu w podróży służbowej. Te dni już minęły, a pod poduszką nie ma pistoletu, który trzymał tam zawsze aż przez trzy lata. Z przyzwyczajenia jednak nie otwierał oczu i oddychał miarowo.

- Dalej śpi. - Cichy, odrobinę pogardliwy głos należał do Bena.

- Jak można tak długo spać! - zawtórował mu Chris.

- Bo jest dorosły, idioto. Dorośli mogą robić, co chcą.

- Mama już wstała. A też jest dorosła.

- To co innego. To mama.

- Ben, Chris! - rozległ się z dołu głos Abby. - Pospieszcie się. Za dziesięć minut macie autobus.

- No, chodź. - Ben ostatni raz zajrzał do pokoju Dylana. - Pośledzimy go później. Kiedy drzwi się zamknęły, Dylan otworzył oczy. Nie był znawcą dzieci, ale zaczynał podejrzewać, że ci chłopcy to szczególny gatunek człowieka. Podobnie jak ich matka. Podniósł się i spojrział na zegarek. Siódma dwadzieścia. Pora zaczynać.

Dwadzieścia minut później zszedł na dół. W domu panowała cisza. Zapach kawy ściągnął go do kuchni. Wyglądała, jakby przeszedł przez nią huragan.

Na blacie stały dwa pudełka płatków śniadaniowych, oba otwarte. Między zlewem a kuchenką torba z chlebem. Obok miseczka czegoś wyglądającego jak dżem winogronowy. Był tam jeszcze otwarty słoik masła orzechowego, kilka noży, łyżek i misek. Przy drzwiach widniały ślady zabłoconych łap.

Dylan nalał sobie kubek kawy i podszedł do okna. Przynajmniej na dworze wszystko było normalnie. Deszcz zamarzł i pokrył resztki śniegu cieniutką warstewką, błyszczącą w porannym słońcu. Pod koniec dnia, niestety, znów zrobi się z tego błoto. Mgła już opadła i za stacją widać było ośnieżone wzgórza. Która kobieta chciałaby mieszkać w takiej głuszy? Szczególnie kobieta przyzwyczajona do świateł rampy i rozrywek.

Niepokoilo go coś jeszcze. Właściwie od samego początku. Czy są w jej życiu jacyś mężczyźni? Przecież tak urodziwa kobieta musi kogoś mieć. Od czterech lat jest wdową. Młodą, zdrową wdową. Owszem, gołym okiem widać, jak serio traktuje macierzyństwo, ale to nie dawało odpowiedzi na jego pytanie. Dwaj kilkuletni chłopcy nie zastąpią męskiego towarzystwa.

Najwyraźniej chciała, by wziął jej niewielką farmę i domatorstwo za dobrą monetę. Dylan zmarszczył brwi i dopił kawę. Nigdy nie brał niczego za dobrą monetę. Zwłaszcza kobiet.

W tej samej chwili ją zobaczył. Wyszła z niewielkiej szopy i dokładnie zamknęła za sobą drzwi. Przystanąła w słońcu i palcami przeczesła włosy. Miała na sobie krótką kurtkę, dzinsy i podniszczone boty.

Czyżby grała? - pomyślał, czując, jak robi mu się gorąco. Czy wie, że on tu jest, że patrzy, jak ona z uśmiechem wystawia twarz do słońca? Nawet nie spojrzała w stronę domu. Nie odwróciła się. Z koszem w rękę przeszła po zmrożonej ziemi do stajni.

Abby zawsze lubiła nastrój i zapach stajni, szczególnie rano, kiedy zwierzęta dopiero się budzą. W półmroku słychać było miauczenie stajennych kotów domagających się śniadania. Postawiła kosz przy drzwiach, zapaliła światło i zajęła się robotą.

- Cześć, maleńka. - Otworzyła pierwszy boks i zajrzała do kasztanowej klaczy, będącej w mocno zaawansowanej ciąży. - Wiem, czujesz się brzydka i gruba. Ja też już dwa razy tak się czułam - dodała z uśmiechem i pogładziła przyszłą matkę po wydętym brzuchu. - Za tydzień czy dwa będzie po wszystkim. Będziesz miała śliczne dziecko. Wiesz, że pan Jorgensen myśli o kupnie twojego maleństwa? - Westchnęła i oparła głowę o łeb klaczy. - Czemu na samą myśl o tym czuję się jak handlarz niewolników?

- Pierwsza sprzedaż?

Nie słyszała, jak wchodził. Odwróciła się powoli, jedną ręką nadal obejmując łeb konia. Dylan rano się ogolił i choć jego twarz była teraz gładka i nadal przystojna, wcale nie wydał jej się sympatyczniejszy.

- Tak. Do tej pory tylko kupowałam i rozkręcałam interes.

Dylan podszedł bliżej, by dokładniej ocenić klacz. Była piękna i silna jak najlepszej klasy morgan.

- Sama ją wybrałaś?

- To Eve. Nazywam ją Eve, bo jest moją pierwszą klaczą rozplodową. Kiedy kupiłam ją na aukcji, dopiero niedawno przestała ssać. Pan Petrie kazał mi stanąć do licytacji, więc stanęłam.

- Widać, że twój Petrie zna się na rzeczy. Jestem pewien, że ta młoda Jama da ci wiele potomstwa. Zamierzasz ją dalej rozmnażać?

- Taki był zamiar. Ale jakoś mi z tym głupio.

- Po to została stworzona. - Dylan już dawno nie miał do czynienia z końmi. Do tej chwili nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo za nimi tęsknił. Nagle Eve potrząsnęła

głową, Abby odskoczyła i... otarła się o jego ramię. - Ile ich masz? Jej mózg, zazwyczaj tak sprawny, tym razem zareagował z opóźnieniem.

- Ich?

- Koni?

- Och! - To idiotyczne. Zareagowała tak, jakby nigdy nie dotknęła żadnego mężczyzny. - Osiem. Ogiera, dwie klacze już zapłodnione i dwie, które zapłodnimy wiosną, i trzy geldingi pod wierzch. - Te ostatnie były luksusem, którego nigdy nie żałowała. - Trudno to nazwać prawdziwym stadem - ciągnęła trochę już spokojniej.

- Cztery klacze i porządny ogier to pod właściwą opieką całkiem niezły początek.

- To właśnie mam. Początek.

- Co robisz? - spytał, widząc, że sięga po uździenicę.

- Muszą wyjść na padok, kiedy będę czyścić stajnie. - Ty? Sama?

- Pan Petrie przychodzi trzy razy w tygodniu, że by mi pomóc, ale leży teraz z grypą jak stąd dotąd. - Abby przeszła już do drugiego boksu. - No, chodźcie, dziewczynki. - Chwyliła je za uprząż i wyprowadziła na dwór.

Dylan przez chwilę stał nieruchomo z rękami w kieszeniach. Ta kobieta wyglądała mu na taką, która złamie się przy pierwszej łopacie gnoju. Co takiego chce udowodnić? Niektórzy mężczyźni może i lubią męczennice, ale on zawsze uważał, że skoro ktoś się o coś prosi, to pewnie na to zasługuje.

Potem spojrzał na rząd boksów. Zaklął i ściągnął uździenicę. Nawet jeśli Abby robi to na pokaz, to on nie może stać z założonymi rękami i pozwalać, by wykonała tę robotę sama.

Na dworze Abby zamknęła wrota padoku za pierwszymi dwiema klaczami, odwróciła się i... zobaczyła Dylana prowadzącego następną parę.

- Dzięki. - Spotkała go w połowie drogi i machinalnie sięgnęła po ramię. Kiedy spojrzał na nią surowo, poczuła się głupio i cofnęła. - To nie była żadna aluzja. Nie chcę, żebyś czuł się zobowiązany.

- Nie czuję się zobowiązany. - Minał ją i wprowadził konie na padok.

- Panie Crosby... Dylan. Naprawdę dam sobie radę. Na pewno masz ciekawsze zajęcia.

- N a pewno - odparł i zamknął wrota. - Chodźmy po następne konie.

Abby uniosła brwi, ale posłusznie poszła za nim. - N o cóż, skoro jesteś taki uprzejmy...

- Jestem znany z uprzejmości.

- Nie wątpię. Wierzchowe wychodzą, pierwsze trzy po tej stronie. Ogiera na razie zostawiam. Gotów ugryźć któregoś geldinga albo dopaść jakiejś klaczy.

- Niezły musi być z niego numer.

- Jest złośliwy, ale bardzo dobrej krwi. Pewnie wolałby przejazdkę niż tylko padok. -

Zaśmiała się, klepiąc konia po szyi. - Później, mały. Teraz jestem zajęta.

Kiedy konie były już na dworze, Abby wciągnęła rękawice.

- Jesteś pewien? - spytała, wręczając Dylanowi drugą parę.

- Ty weź lewą stronę. - Dylan chwycił widły i zabrał się do pracy. Był pewien, że zdąży sprzątnąć cztery boksy i wrzucić do nich świeże siano, zanim ona upora się z jednym.

Już bardzo dawno nie zajmował się pracą fizyczną.

Gimnastyka utrzymywała jego ciało w formie, ale, jak stwierdził, nie dawała tej samej przyjemności. Abby włączyła tranzystorowe radio i pracując, podśpiewywała. Dylan nie zwracał na nią uwagi. A w każdym razie próbował.

Nigdy dotąd nie pracowała razem z mężczyzną. Owszem, był pan Petrie, pomyślała, ocierając pot z czoła, ale to co innego. Chuck nawet nie zaglądał do stajni. A ojciec... Kiedy Francis Xavier O'Hurley odwiedzał farmę, zawsze, kiedy była robota, miał coś pilnego do zrobienia. Ależ za nim tęskniła, podobnie jak za resztą rodziny.

Ta niewielka farma w Wirginii nie pasowała do ich stylu życia. Nie pasowała do stylu Chucka. Tego ni gdy nie zapomni.

Dylan wbił widły w przemoczoną ściółkę i spojrzał na Abby, która właśnie weszła do sąsiedniego boksu.

- Może raczej skończysz tam?

- Już skończyłam - odparła i zaczęła przerzucać gnój.

Dylan spojrzał najpierw przez ramię, potem odwrócił się. Wszystkie trzy boksy Abby były czyste i świeżo wyłożone sianem. A on ledwo zaczął trzeci.

- Szybko pracujesz - mruknął.

- Kwestia wprawy. - Ponieważ nigdy tak naprawdę nie rozumiała męskiego ego, w ogóle nie wiedziała, o co chodzi. Spokojnie nakładała nawóz do tacek.

- Powiedziałem, że ja zrobię tę stronę.

- Tak, doceniam twoją pomoc. - Abby wrzuciła ostatnią porcję i podeszła, by podnieść taczki.

- Zostaw to.

- Już są prawie pełne. Wyrzucę, zanim...

- Zostaw je w spokoju, do cholery. - Dylan wbił widły w siano i podeszedł do tacek.

Złość - męska złość. Abby co prawda od dawna nie miała z nią do czynienia, lecz od razu ją rozpoznała. Ostrożnie postawiła taczki i puściła rączki.

- Zostawiłam.

- Dopóki ja tu jestem, nie pozwolę, żebyś to pchała. - Ale przecież...

- Nie będziesz wozić dziesięciu kilo końskiego gnoju w mojej obecności. - Dylan chwycił rączki taczek. - Zrozumiałaś?

- Pewnie tak. - Spokojnie podniosła widły i wsparła się o nie. - Ale mogę sobie pchać, ile chcę, jeśli ciebie nie będzie?

- Oczywiście.

- Przecież to idiotyczne.

Dylan mruknął pod nosem coś, czego nie dosłyszała. Potrząsnęła głową i wyszła, by wprowadzić konie.

Po tej pierwszej kłótni pracowali w milczeniu. Kiedy Dylan kończył swoją stronę, Abby wprowadziła wszystkie konie do boksów i nakarmiła je. Został jeszcze tylko ogier.

- Ja go wyprowadzę. Jest humorzasty i nieprzewidywalny. Nie lubisz siedzieć w zamknięciu, co, Piorunie? Na wiosnę będziesz miał świeżą trawę i dwie piękne klacze - mówiła do konia, który posłusznie dał się wyprowadzić.

Kiedy wróciła, Dylan prawie już kończył.

- Ta robota chyba nie jest ci obca - zauważyła.

Zdjął kurtkę, widziała, więc teraz dokładnie jego silne ramiona. Tak bardzo chciała ich dotknąć, poczuć ich siłę. Już tak dawno nie... Mruknął coś w odpowiedzi, ale nie zrozumiała.

- Hodowałeś konie?

- Krowy. - Rozrzucał siano na podłodze boksu.

- Mieliśmy farmę mleczną, ale oczywiście zawsze było tam kilka koni. Ostatni raz czyściłem stajnię, kiedy miałem szesnaście lat.

- Ale niczego nie zapomniałeś.

Nie, nie zapomniał. A teraz przede wszystkim nie powinien zapominać, po co tu przyjechał. Mimo to w tej chwili chciał skończyć to, co zaczął.

- Masz miotłę?

- Zamiatanie stajni to robota Bena. - Wzięła od niego widły i powiesiła na haku. - Zazwyczaj, kiedy jest ładna pogoda, zostawiam ogiera na padoku przez całe przedpołudnie, więc na razie tutaj koniec. Dzięki tobie zaoszczędziłam mnóstwo czasu, mogę ci się więc zrewanżować świeżą kawą.

- Dobra. - Wtedy weźmie dyktafon i notatnik i zajmie się tym, po co tu przyjechał.

- W kuchni był straszny bałagan - wspomniała. - Miałeś jakieś kłopoty ze zrobieniem śniadania?

- Piłem tylko kawę.

Abby pochyliła się po koszyk. Trochę bolały ją plecy.

- No to zrobię ci jajecznicę na bekonie. Gwarantuję, że jajka są świeże. Dylan zajrzał do koszyka.

- Masz kury?

- Tam. - Wskazała szopę, przy której widział ją przez okno. - Latem to zajęcie chłopców. Nie mam serca zmuszać ich do pracy przed lekcjami, więc...

Dylan pośliznął się. Idąca obok Abby próbowała go podtrzymać i sama się pośliznęła. Instynktownie chwycili jedno drugie za ramiona i dzięki temu utrzymali równowagę. Z twarzą wtuloną w jego kurtkę, Abby parsknęła śmiechem.

- Nie byłoby ci do śmiechu, gdybyś wylądowała na plecach i potłukła swoje... jajka. - Jego ręka znalazła się w jej włosach. Wiedział, że nie powinien ich dotykać, ale były takie miękkie...

- Zawsze się śmieję, kiedy uda mi się uniknąć jakiejś katastrofy. - Spojrzała na niego wciąż uśmiechnięta. Była zarumieniona, oczy jej błyszczały.

Niewiele myśląc, bo w tej chwili w ogóle nie był w stanie myśleć, mocno objął ją w pasie. Uśmiech na jej twarzy zbladł, ale oczy błyszczały nadal. Może nawet jeszcze bardziej. Był tak blisko i patrzył na nią tak, jakby znali się całe życie, a nie zaledwie jeden dzień.

Chciałaby, żeby tak było. Strasznie chciała, żeby okazał się kimś, z kim może porozmawiać, dzielić się myślami, z kim mogliby się wzajemnie wspierać. Kiedy jego palce musnęły jej szyję, przeszył ją dreszcz. A przecież były ciepłe.

- Powinam cię ostrzec... - zaczęła. Nagle stwierdziła, że jej serce bije zbyt mocno, by mogła myśleć, a co dopiero mówić.

- Przed czym? - To bez sensu. Nie, nie. Nie powinien ani na moment zapominać o celu swej wizyty.

Chciał jednak poczuć smak jej ust. Nie odrywając od niej wzroku, pochylił głowę.

- Przed tą ścieżką. - Abby odsunęła odrobinę głowę gestem zawstydzenia, który równie dobrze można by wziąć za zalotny. Ale oczu nie spuściła. I jej wargi pozostały rozchylone. - Często robi się śliska.

- Zauważyłem. - Przyciągał ją coraz bliżej, bliżej...

- Nie, proszę.

- Za późno. - Jego wargi musnęły jej usta.

- Nie. - Czuła, że słabnie, nawet nie była w stanie go odepchnąć. - Proszę.

- Jak sobie życzysz. - Nie lubił kobiet, które udają brak ochoty, bo wolał, by to mężczyzna wziął na siebie całą odpowiedzialność. I winę. Pragnął jej, ale wypuścił z objęć. Jego oczy były zimne.

Nie spodobał jej się ton jego głosu, ale w tej chwili wołała się nad tym nie zastanawiać. Stąpając ostrożnie, ruszyła w stronę domu.

Od razu weszła do kuchni i zabrała się za mycie jajek. Dylan wszedł tuż za nią.

- Za chwilę zrobię ci coś ciepłego - rzuciła przez ramię.

- Nie spiesz się. - Minął ją i wyszedł z kuchni.

Myślała każde jajko dokładnie, czekając, aż odzyska równowagę. Najważniejszy jest spokój. Nie pozwoli, by zakłócił go przypadkowy uścisk mężczyzny, którego praktycznie w ogóle nie zna. Czyż nie puścił jej bez chwili wahania? Nie, nie ma powodu się go bać.

Nigdy nie była szczególnie zmysłowa. Chuck nieraz jej to wypominał. Po prostu nie była w stanie zaspokoić mężczyzny. Była dobrą żoną, odpowiedzialną, współczującą, ale nie potrafiła zmienić w raj nocy żadnego mężczyzny.

No i dobrze. Jest szczęśliwa taka, jaka jest. I tak pozostanie. Kawa była już gotowa, na patelni skwierczał bekon, kiedy Dylan wrócił do kuchni.

- Nie zapytałam, jaką lubisz jajecznicę - zaczęła i znieruchomiała, widząc w jego ręku dyktafon. - Tu taj chcesz pracować?

- Czemu nie? A jajecznicę lubię lekko ściętą.

Znalazł stosunkowo wolne miejsce przy blacie i usiadł.

- Posłuchaj, Abby, nie oczekuję, że będziesz mi gotować trzy razy dziennie.

- Czek, który przysłałeś na pokrycie kosztów, był więcej niż hojny. - Abby wbiła na patelnię pierwsze jajko.

- Spodziewałem się, że będziesz miała służbę.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Zupełnie już odprężona, wybuchnęła śmiechem.

Dylan machinalnie włączył dyktafon.

- Rockwell był bogaty, ty jesteś jego spadkobierczynią. Większość kobiet w twojej sytuacji miałyby kogoś do pomocy.

Stała przy kuchence, włosy zasłaniały jej twarz.

- Nie lubię, kiedy się obcy wokół mnie kręca.

Większość czasu spędzam w domu głupio by było, gdyby ktoś za mnie ścierał moje kurze.

- Nie miałaś służby, kiedy żył twój mąż?

- Tutaj nie. W Chicago. - Abby mieszkała teraz jajecznicę. - To było przed i zaraz po urodzeniu Bena. Mieszkaliśmy w apartamencie jego matki. Miała dużo służby.

Chuck sporo podróżował i tak naprawdę nie mieliśmy jeszcze rodziny, więc nie zdecydowaliśmy, gdzie się osiedlimy.

- Jego matka chyba cię nie zaakceptowała. Abby spokojnie postawiła przed nim talerz.

- Kto ci to powiedział?

- Tak słyszałem. Tu i ówdzie. To część mojej pracy. Niełatwo było mieszkać w domu Janice Rockwell, skoro nie aprobowała waszego małżeństwa.

- Nie można chyba powiedzieć, że nie aprobowała. - Abby ostrożnie dobierała słowa. - Była bardzo oddana Chuckowi. Pewnie wiesz, że po śmierci męża sama go wychowywała. Chuck miał zaledwie siedem lat. Niełatwo wychowywać dzieci samotnie.

- Ty coś o tym wiesz.

- Owszem. W każdym razie Janice była bardzo opiekuńcza wobec Chucka. To był energiczny, atrakcyjny facet, który przyciągał kobiety. Na torze zawsze kręci się dużo chętnych pańienek.

- Ty nie byłaś jedną z nich.

- Nie interesowały mnie wyścigi. Cały czas byliśmy w trasie, graliśmy w klubach i tak dalej. Kiedy poznałam Chucka, nawet nie wiedziałam, kim jest.

- Trudno w to uwierzyć.

Abby naląła dwie filiżanki kawy.

- Janice też była tego zdania.

- I czuła do ciebie niechęć.

- Czy musisz wkładać słowa w moje usta? - Abby dla uspokojenia wypła łyk kawy.

A więc nie da się wyprowadzić z równowagi. Na wszystko ma gotową odpowiedź.

- Nie. Mów dalej.

- Janice nie czuła niechęci do mnie osobiście. Nie lubiłaby każdej kobiety, która zabrałaby jej Chucka. To normalne. Myślę jednak, że jakoś nam się układało.

Choć miał ochotę drażnić ten temat dalej, odłożył to na później.

- No to opowiedz mi, jak poznałaś Rockwella.

To było proste. O tym mogła mówić bez wykrętów. - Występowaliśmy - moja rodzina i ja - w pewnym klubie w Miami. Trochę piosenek, skecze, jakiś taniec. A jakie mieliśmy kostiumy... - Przerwała ze śmiechem i zaczęła porządkować kuchnię. - No, w każdym razie coś zarabialiśmy. Zawsze uważałam, że to dzięki Chantel. Była niesamowita i choć nigdy nie

miała tej skali głosu co Maddy, publiczność szalała. Wyścigi przyciągnęły do miasta kierowców, mechaników, trenerów i panienki. Zawsze mieliśmy komplet.

Patrzył, jak porusza się po kuchni z uśmiechem na twarzy, jakby bawiły ją te wspomnienia.

- Co wieczór tata musiał przepędzać facetów, którzy chcieli... no, odprowadzić Chantel do domu. I nagle któregoś wieczoru zjawił się Chuck z Bradem Billingerem.

- Billinger jest już na emeryturze.

- Zrezygnował z wyścigów po śmierci Chucka.

Byli bardzo blisko. Nie widziałam go od kilku lat, ale zawsze przysyła coś chłopcom na urodziny i na Gwiazdkę. Kiedy tylko usiedli przy stole, zaczęło się zamieszanie, w samym środku występu. Przyzwyczajasz się do takich rzeczy i umiesz sobie z nimi radzić. Z hałasem, z pijakami, z takimi, co przeszkadzają.

- Jestem w stanie to sobie wyobrazić.

- Tata wysyłał mnie, żebym to jakoś załatwiła, bo Chantel zawsze zaczynała się wściekać, a Maddy po prostu schodziła ze sceny i czekała, aż wszystko się uspokoi. Nachyliłam się więc do mikrofonu i powiedziałam jakiś dowcip, coś w tym sensie, że nasz następny numer jest tak niebezpieczny, że potrzebujemy całkowitej ciszy.

Nikt nie zwrócił na to szczególnej uwagi, ale mimo to kontynuowałyśmy występ. W pewnej chwili zaczęłyśmy śpiewać piosenkę „Gdzieś” z West Side Story. Znasz ją?

- Słyszałem. - Dylan oparł się wygodnie i zapalił papierosa. Osiemnastoletnia dziewczyna, a musiała sobie radzić z pijakami i rozrabiaczami. Nie może być tak delikatna, na jaką wygląda.

- Spojrzałam w stronę, z której dobiegał największy hałas, i zobaczyłam Chucka patrzącego prosto na mnie. Poczułam się dziwnie. Kiedy jesteś na scenie, ludzie patrzą, ale właściwie cię nie widzą. W przerwie Chantel powiedziała, że gapił się na mnie superkierowca. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam o zawodzie Chucka. Chantel zawsze czytała w gazetach ploteczki z wyższych sfer.

- A teraz sama stała się ich tematem. - I jest tym zachwycona.

Abby znalazła w jednej z szuflad pokrywkę od jakiegoś słoika i podała mu zamiast popielniczki.

- Przepraszam, ale nie mam nic innego.

- Znam już od Chrisa twoją opinię na temat papierosów. A więc była to miłość od pierwszego wejrzenia?

- To... - Jak mu to wytłumaczyć? Miała wtedy osiemnaście lat i była tak naiwna, że mężczyzna siedzący teraz w jej kuchni nawet nie potrafiłby sobie tego wyobrazić. - Można tak powiedzieć. Chuck został do końca występu, a potem przyszedł za kulisy i się przedstawił. Może pociągało go to, że naprawdę nie miałam pojęcia, kim jest. Był bardzo uprzejmy i zaprosił mnie na kolację. Było po północy, a on zaprosił mnie na kolację!

Znów się uśmiechnęła. Była wtedy taka młoda i, podobnie jak Chris, łatwowierna.

- Oczywiście, tata nawet nie chciał o tym słyszeć. Następnego popołudnia, do motelu, w którym się zatrzymaliśmy, dostarczono dwa tuziny róż. Różowych. Coś tak romantycznego spotkało mnie po raz pierwszy. A wieczorem zjawił się znów. Przychodził tak długo, aż oczarował moją mamę, przekonał tatę, a mnie uwiódł. Kiedy wyjeżdżał z Miami na następny wyścig, pojechałam z nim. A na palcu miałam jego obrączkę.

Abby spojrzała na swoją rękę. Nie było na niej żadnych ozdób.

- Prawda, jakie zabawne jest życie? - mruknęła. - Nigdy nie wiesz, jaki numer ci wywinie.

- A co twoja rodzina na to małżeństwo?

Daj mu tyle, ile trzeba, przypomniała sobie Abby. Tyle ile trzeba, i nic więcej.

- Musisz wiedzieć, że moja rodzina nigdy nie ma jednej opinii na żaden temat. Mama płakała, a potem przerobiła dla mnie swoją ślubną suknię, choć pobieraliśmy się tylko w urzędzie. Tata też płakał. Przecież oddawał mnie obcemu, a przy okazji tracił aktorkę. Maddy stwierdziła, że zwariowałam, ale że każdy od czasu do czasu ma prawo zrobić coś głupiego.

A Chantel...

- Co Chantel? Ostrożnie. Uważaj.

- Chantel jest z nas wszystkich najstarsza, dwie i pół minuty starsza ode mnie, ale jednak. Chuck, a zresztą w ogóle nikt, nie wydawał się jej dla mnie dość dobry. Zamierzała mieć mnóstwo romansów i uznała, że tracę szansę na to samo. Jeśli wierzyć wszystkiemu, co piszą, miała ich dotąd tyle, że aż dziw, że nie wyzionęła ducha. Trace dowiedział się o ślubie jakieś trzy, cztery miesiące później. Przesłał mi z Austrii kryształowego ptaszka.

- Trace... to twój brat. Starszy. Nie mam o nim wielu informacji.

- A kto ma? Zresztą dla naszej sprawy to bez znaczenia. Trace nigdy nie poznał Chucka.

Dylan mimo to zapisał coś w notatniku.

- I od razu wylądowałaś na torze. Dziwny rodzaj miodowego miesiąca - zauważył.

Z jednej strony cały pierwszy rok był miesiącem miodowym. A z drugiej - nie było go w ogóle, ani chwili samotności, okazji, by się poznać.

- Podróże nie były dla mnie niczym nowym. - Abby wzruszyła ramionami. - Nawet urodziłam się w podróży. Dosłownie. Tata wyprowadził mamę z pociągu w Duluth i dowiózł do szpitala dwadzieścia minut przed porodem. Dziesięć dni później jechaliśmy już dalej. Nigdzie nie mieszkałam dłużej niż sześć miesięcy, dopiero tutaj. Trasa to trasa.

- Ale Grand Prix jest bardziej ekscytujące.

- Do pewnego stopnia. Ale i występy na scenie, i wyścigi oznaczają mnóstwo ciężkiej pracy dla kilku minut w świetle reflektorów.

- Dlaczego za niego wyszłaś?

Kiedy na niego spojrzała, jej oczy były spokojne, ale uśmiech smutny...

- Był jak rycerz na białym koniu. A ja zawsze wierzyłam w bajki.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie była z nim szczerą. Nie potrzebował wykrywacza kłamstw, żeby to zauważyć. W każdej rozmowie unikała prawdy, patrząc mu równocześnie prosto w oczy. Widział to jednak w drobnej zmianie tonu czy ledwo wyczuwalnym wahaniu. Właściwie nie miał nic przeciwko kłamstwom. W swej pracy nawet się ich spodziewał. Przyczyny ich bywały różne - instynkt samozachowawczy, zakłopotanie, chęć ubarwienia własnego wizerunku. Ludzie starali się przedstawiać siebie w jak najlepszym świetle, a jego zadaniem pozostawało wykrywanie cieni. Kłamstwo, czy dokładniej jego przyczyna, często mówiły mu więcej niż prawda. Lata dziennikarstwa nauczyły go przedstawiania faktów, oczywiście potwierdzonych, a interpretację pozostawiał czytelnikowi. Czasami przenikała przez nie jego własna opinia, ale rzadko uczucia.

Główny problem z Abby polegał na tym, że wciąż nie był pewien motywów jej postępowania. Po co kłamać, skoro prawda bez wątplenia przyczyni się do większego sukcesu książki? Sensacja sprzedaje się lepiej niż rozkosze domowego ogniska. Nie posunęła się jeszcze tak daleko, by przedstawiać swe małżeństwo jako idyllę, ale cały czas sprytnie omijała wszelkie kłopotliwe tematy.

A tych było wiele.

Dylan wyjął z szuflady biurka kilka taśm. Minęła północ. Reszta domowników dawno leżała już w łóżkach, ale on zawsze był nocnym markiem. I nie lubił ograniczeń. Czasowych ani żadnych innych. Jeśli chciał, pracował cały dzień albo całą noc, bo liczyły się tylko efekty.

Wszędzie panowała cisza. Mogłoby się zdawać, że jest zupełnie sam. W domu były jednak jeszcze trzy osoby, a on czuł ich obecność. Fascynującą obecność.

Chris i Ben poszli do łóżek po paru napomnieniach ze strony matki i kilku łzach.

Karmienie psa z najlepszej porcelany nie było najrozsądniejszym posunięciem. Abby nie podniosła na nich ręki ani nawet głosu, lecz nie było to potrzebne. I bez tego obaj chłopcy wiedzieli, że jest na nich zła. Wystarczyło kilka słów i spojrzenie. Choć wciąż bawiło go wspomnienie ich min, Dylan postanowił o tym nie myśleć. Robota przede wszystkim. I kobieta, którą musi rozgryźć.

Przed przyjazdem tutaj rozmawiał już o Chucku z paroma osobami. Poznał różne opinie i uczucia i stwierdził, że nikt nie był wobec Chucka obojętny. Ludzie albo go uwielbiali, albo nienawidzili.

Wziął taśmę z napisem „Stanholz” i w zamyśleniu obracał ją w rękę. Grover P.

Stanholz był pierwszym sponsorem Chucka, bogatym chicagowskim prawnikiem, miłośnikiem wyścigów samochodowych, blisko powiązany z Rockwellami. Przez dziesięć lat pełnił rolę ojca, mentora i bankowca Chucka. Był świadkiem awansu młodego, niedoświadczonego kierowcy na pozycję czołowego zawodnika. Rok przed jego śmiercią zakręcił finansowe kurki przed swym ulubionym protegowanym.

W zamyśleniu Dylan wsunął taśmę do dyktafonu i przewinął ją prawie do końca. Już po chwili zabrzmiał fragment, którego szukał.

- Rockwell był urodzonym zwycięzcą, żyłą złota i przyjacielem. - Dobrywający się z głośnika głos Dylana był niski i wyraźny. Ściszył go machinalnie, tak że docierał teraz nie dalej niż jego biurko. - Dlaczego więc, kiedy typowano go na zwycięzcę Grand Prix we Francji, pan się wycofał?

N a taśmie zapanowała cisza, potem słyhać było jakiś szelest. Dylan przypomniał sobie, jak Stanholz wyjął cygaro i nie spiesząc się, zaczął je rozwijać.

- Jak już mówiłem, interesowałem się Chuckiem nie tylko z powodów finansowych. Byłem bliskim przyjacielem jego ojca, przyjacielem jego matki. Kiedy Chuck zaczynał, już był zwycięzcą. Widać to było w jego oczach. Najpiękniejsze było to, że naprawdę kochał i szanował ten sport. Był... wyjątkowy.

- To znaczy?

- Zmierzał na sam szczyt. Czy bym go wspierał, czy też sam musiałby walczyć o pieniądze, i tak by tam dotarł.

- Nie mógł skorzystać z pieniędzy Rockwellów?

- Na wyścigi? Pieniądze Chucka były w funduszu powierniczym. Janice uwielbiała chłopaka. Nigdy by nie podjęła tych pieniędzy, żeby mógł jeździć trzysta na godzinę. Niech mi pan wierzy, była na mnie wściekła, ale Chuckowi trudno się było oprzeć. Tacy ludzie jak on nie rodzą się na kamieniu. Wyścigi wymagają pewnego rodzaju bezczelności i pewnego rodzaju pokory. Zdrowego rozsądku i pogardy dla życia. Równowagi. Był oddany swojemu zawodowi, chciał być sławny. Zastanawiałem się, czy problem nie polegał na tym, że osiągnął zbyt wiele w zbyt krótkim czasie. Uwierzył, że jest niezniszczalny. I że wszystko może.

- To znaczy?

- Cokolwiek robił, jakkolwiek to robił, było w porządku, bo był tym, kim był. Zapominał, jeśli wie pan, co mam na myśli, że jest tylko człowiekiem. Chuck Rockwell wszedł w kolizję z samym sobą. Gdyby nie rozbił się na torze w Detroit, stałoby się to gdzie indziej. Myślałem, że przestając go wspierać, dam mu trochę do myślenia.

- Co pan ma na myśli, mówiąc o kolizji z samym sobą?

- Przegrzewał swój własny silnik. Prędzej czy później musiał go przepalić.

- Narkotyki?

- Na ten temat nie będę się wypowiadał. - Głos adwokata był chłodny i zdecydowany.

- Panie Stanholz, krążyły plotki, że Rockwell od pewnego czasu zażywał narkotyki, głównie kokainę.

- Jeśli szuka pan potwierdzenia tych plotek, musi się pan udać gdzie indziej. W chwili śmierci Chuck nie był już tamtym godnym podziwu człowiekiem, ale takim chcę go pamiętać.

Dylan nie był usatysfakcjonowany, lecz wyłączył dyktafon. Prawnik nie potwierdził jego podejrzeń, ale też im nie zaprzeczył. Potwierdzili to w pewien sposób inni, którzy też otwarcie nie chcieli przyznać, że Chuck był uzależniony od narkotyków. W swym ostatnim wyścigu był jednak czysty. Tak wykazała sekcja zwłok.

Ale to nie był jedyny jego problem.

Następna taśma oznaczona była nazwiskiem „Brewer”. Lori Brewer była siostrą człowieka, który finansował Rockwella przez ostatni rok. Ta rozwiedziona była modelka sama przyznała, że lubi ryzykantów. Żony Rockwella nie było na trybunie podczas jego ostatniego wyścigu, ale jego kochanka tam siedziała.

Dylan włożył kasetę do dyktafonu i nacisnął guzik.

- ... najbardziej ekscytującym, dynamicznym mężczyzną, jakiego znałam. Chuck Rockwell był gwiazdą, szybką i gorącą. Znał swoją wartość. To właśnie w mężczyźnie podziwiam.

- Pani Brewer, przez prawie rok była pani stałą towarzyszką Rockwella.

- Kochanką. Nie wstydę się tego. Chuck był tak samo niesamowitym kochankiem jak kierowcą. Niczego nie robił na pół gwizdka. Ja też nie.

- Nie przeszkadzało pani, że jest żonaty?

- Nie. Ja byłam przy nim, nie ona. Niech pan sam powie, co to za małżeństwo, kiedy ludzie widują się tylko trzy czy cztery razy w roku?

- Zgodne z prawem.

Pamiętał, że przyjęła to tylko wzruszeniem ramion.

- Zresztą Chuck i tak zamierzał się z nią rozwieść.

Problem polegał tylko na tym, że trzymała rękę na jego pieniądzech. Prawnicy negocjowali ugodę.

Dylan stłumił przekleństwo i wyłączył dyktafon. Ani razu podczas ich rozmów Abby nie wspomniała o rozwodzie. Oczywiście Chuck mógł okłamywać Lori Brewer. Tyle tylko, że

nie wyglądała ona na taką, która dałaby się zwodzić. Jeśli sprawa rozwodowa była w toku, to Abby starannie to ukrywała.

Dylan nie poruszał dotąd tej sprawy, nie wspominał też o Lori Brewer. Zdawał sobie sprawę, że wtedy Abby z miejsca uzna go za swego wroga. I niewiele by potem już od niej uzyskał. Musiał więc czekać. Cierpliwość przede wszystkim.

Odsunął taśmy z wypowiedziami innych kierowców, mechaników oraz kobiet, i wybrał tę oznaczoną napisem „Abby”. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że tylko ona jedna nie była oznaczona nazwiskiem.

Już nie myślał o niej jako o pani Rockwell. Nagranie pochodziło z tego ranka, kiedy to przygwoździł Abby w salonie. Składała właśnie pranie, a on pomyślał, że od stu chyba lat nie widział nikogo przy tym zwyczajnym, czasochłonnym zajęciu.

Z magnetofonu płynęły stare przeboje z lat pięćdziesiątych.

Pamiętał, jak wyglądała. Włosy związała w koński ogon uwydatniający kości policzkowe. Spod obszernej bluzy, kryjącej tajemniczo wszelkie kobiece krągłości, wystawał kołnierz flanelowej koszuli. Była bez butów, jedynie w grubych skarpetach. Za jej plecami w kominku płonął ogień. Wyglądała na tak zadowoloną i spokojną, że przez chwilę wahał się, czy w ogóle jej przeszkadzać. Robota nie może jednak czekać. Teraz też. Dylan znów wcisnął guzik.

- Czy wyścigi utrudniały wasze małżeństwo?

- Nie zapominaj, że kiedy go poznałam, Chuck już był kierowcą. - Jej głos, spokojny, pewny siebie, był zupełnie niepodobny do słodkiego jak miód głosu Lori Brewer. - Wyścigi były nieodłączną częścią naszego związku.

- A więc lubiłaś patrzeć, jak jeździ? Odpowiedziała mu dopiero po chwili, jakby szukała słów.

- Uważałam, że Chuck najlepiej sprawdza się za kierownicą, na torze. Był niesamowicie kompetentny, pewny siebie, swoich umiejętności. Nigdy nie myślałam, że mógłby przegrać wyścig czy stracić panowanie.

- Ale po jakichś ośmiu czy dziewięciu miesiącach przestałaś z nim podróżować.

- Byłam w ciąży z Benem. - Wyjmując z koszyka mały, znoszony sweterek, uśmiechnęła się. - Trudno mi było przenosić się z miasta do miasta, z wyścigu na wyścig. Chuck był... - O, znów, zauważył Dylan. Ta ledwo wyczuwalna zmiana tonu. - Był bardzo wyrozumiały. Wkrótce potem kupiliśmy tę posiadłość. Taką bazę. Dom. Chuck i ja zgodziliśmy się, że Ben, a potem i Chris, potrzebują pewnego rodzaju stabilizacji.

- Trudno mi sobie wyobrazić kogoś takiego jak Chuck Rockwell w takim miejscu. Zresztą wcale tu nie osiadł, prawda?

Abby bardzo uważnie składała jaskrawoczerwoną bluzę.

- Chuck, jak wszyscy, potrzebował macierzystego portu. Potrzebne mu były także wyścigi. Połączyliśmy jakoś te dwie rzeczy.

Uniki, pomyślał Dylan, zatrzymując taśmę. Półprawdy i otwarte kłamstwa. W co ona gra? I dlaczego? Znał ją już na tyle, by się zorientować, że nie jest głupia. Na pewno wiedziała o niewierności męża, a przede wszystkim o jego romansie z Lori Brewer.

Chroni go? Trudno uwierzyć, by mogła chronić mężczyznę, który ją okłamywał, i to otwarcie, publicznie, bez cienia dyskrecji.

Czy satysfakcjonowało ją trzymanie się w cieniu i podtrzymywanie domowego ogniska? A może liczyły się dla niej tylko pieniądze? A jakim człowiekiem był Rockwell? Egoistycznym kierowcą, hojnym kochankiem czy wyrozumiałym mężem i ojcem? Niemożliwe, by był wszystkim naraz. Tylko Abby może mu na to pytanie odpowiedzieć.

Zmierzył palcami włosy i wstał od biurka. Wiedział, że musi to wszystko zapisać. Może wtedy spojrzy na te informacje z pewnej perspektywy. Popatrzył na maszynę do pisania i taśmę. Kawa. To będzie długa noc.

W holu paliło się słabe światło. Machinalnie spojrzał w głąb korytarza, gdzie spała Abby. Drzwi do jej pokoju były lekko uchylone, ale w środku było ciemno. Zapragnął podejść, uchylić je jeszcze szerzej i popatrzeć na nią w tym mrocznym świetle.

A co go obchodzi jej prywatność? Narusza ją przecież każdym swoim pytaniem. Zainkasowała czek, który dawał mu do tego prawo.

Nie, nic go nie obchodzi jej prywatność, ale co innego jego własne dobro. Jeśli na nią spojrzy, zechce jej dotknąć. Jeśli dotknie, pewnie nie będzie w stanie się wycofać. Odwrócił się więc i ruszył schodami w dół.

Kominek w salonie płonął słabym, ale stałym ogniem. Któregoś wieczoru patrzył, jak Abby w nim rozpala, i musiał przyznać, że sam by tego lepiej nie zrobił. Popatrzył chwilę na spokojne płomienie, po czym ruszył do kuchni.

Abby siedziała przy barku w ciemności, rozświetlanej tylko słabym ogniem z paleniska kuchennego i wpadającym przez okno światłem księżyca. Podparta na łokciach, opierała brodę o rękę. Wyglądała na tak samotną, że było to nie do zniesienia.

- Abby?

Podskoczyła jak oparzona i pewnie by go to rozbawiło, gdyby nie zauważył, jak bardzo jest blada.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

- Nie słyszałam, jak schodziłeś. Co się stało?

- Chciałem się napić kawy. - Zamiast jednak podejść do pieca, podszedł do niej. - Myślałem, że jesteś w łóżku.

- Nie mogłam zasnąć. - Uśmiechnęła się, ale wbrew temu, czego się spodziewał, nie poprawiła włosów ani szlafroka. - Woda jest pewnie jeszcze gorąca. Robiłam sobie herbatę.

- Jakież problemy? - spytał, siadając obok niej.

- Poczucie winy.

Choć przede wszystkim marzył, by wziąć ją w ramiona i pocieszyć, instynkt reportera zwyciężył.

- Z powodu?

- Cały czas mam przed oczami łzy w oczach Chrisa, kiedy nie pozwoliłam mu oglądać telewizji i kazałam iść do łóżka.

Dylan nie wiedział, czy ma się śmiać z niej, czy z siebie.

- Przejdzie mu.

- Ten talerz był nieważny. W ogóle ich nie używam. Są brzydkie.

- Yhm. Może twoje konie by je polubiły.

Abby roześmiała się i wypiła łyk herbaty. W gardle jej zaschło, z trudem przełykała.

- Tak daleko bym się nie posunęła. Chuck dostał je od Janice. Chuck i ja - poprawiła się, odrobinę zbyt skwapliwie. - To porcelana Wedgwooda.

- I powinna być traktowana z należyтым szacunkiem. No to o co chodzi?

- Nie lubię, kiedy tracę nad sobą panowanie.

- A straciłaś? Przecież nawet nie podniosłaś głosu.

- W gniewie niekoniecznie trzeba krzyżeć. - Abby z żalem spojrzała przez okno. Wiosną mogłaby wyjść na dwór, usiąść na ganku i popatrzeć na niebo.

- To był przecież tylko talerz.

- I tylko program w telewizji.

- Pewnie uważasz mnie za idiotkę.

- Po prostu jesteś matką. Nie mam w tej materii wielkiego doświadczenia.

- Bardzo trudno być jedyną osobą, która ustala zasady, podejmuje decyzje i... popełnia błędy. - Machinalnie przeczesła palcami włosy. - Czasami, o tak późnej porze jak teraz, zastanawiam się, czy nie jestem dla nich za surowa. Czy za dużo nie wymagam. To tylko mali chłopcy. A ja posłałam ich do łóżek, Chris płakał, Ben był nadąsany i...

- A może jesteś zbyt surowa dla ich matki - przerwał jej Dylan.

- To ja tu jestem odpowiedzialna.

Tak, co do tego nie miał wątpliwości. Chciał zmienić temat, zostawić ją samą z jej nieszczęściem. Ale niezależnie od tego, co o niej myślał, wiedział, jak bardzo oddana jest swym synom.

- Nie znam się na dzieciach, ale widzę, że ci dwaj są zupełnie normalni. Może powinnaś sobie raczej pogratulować zamiast wciągać pokutny worek.

- Wcale tego nie robię.

- Ależ robisz, robisz.

O dziwo, wcale jej tym nie zdenerwował. Wprost przeciwnie - poczucie winy zaczęło słabnąć.

- Dzięki. - Zdecydowanie spokojniejsza objęła dłońmi kubek. - Odrobina moralnego wsparcia od czasu do czasu bardzo dobrze robi.

- Nie ma sprawy. Nie lubię, jak kobieta płacze do herbaty.

Kiedy się roześmiała, nie był pewien, czy śmieje się z siebie, czy z niego.

- Nigdy nie płaczę, ale w poczuwaniu się do winy jestem mistrzem. Kiedy Ben miał dwa lata i przechodził przez naprawdę trudny okres, co chwila dzwoniłam do mamy, żeby usłyszeć zapewnienie, że nie wyrośnie na maniakałnego mordercę.

- O czymś takim powinno się raczej rozmawiać z mężem.

- To by nic nie... - Urwała. Zrobiło się późno, była zmęczona i dużo, dużo za słaba, by się bronić. - Zrobię ci tę kawę - zaczęła i chciała wstać.

- Nie chcę, żebyś mi usługiwała. - Położył jej rękę na ramieniu, nakazując, by nie wstawiała.

Zaprzęgnęła mocno, niesamowicie mocno, znaleźć się w jego ramionach. Chciała, by ją objął i nie zadawał żadnych pytań. Wiedziała jednak, że pytań nigdy nie zabraknie, a ona nie zawsze będzie mogła dać mu na nie odpowiedź.

- A ja nie chcę, żebyś mnie teraz wypytywał.

- Nigdy nie wspomniałaś o Chucku jako o ojcu. Dlaczego?

- Może dlatego, że mnie nie pytałeś.

- No to pytam teraz.

- Powiedziałam ci, że nie jestem w nastroju do wywiadu. Jest późno, jestem zmęczona.

- I kłamiesz. - Jego palce na jej ramieniu zacisnęły się tylko odrobinę mocniej, ale serce Abby zaczęło bić szybciej.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Miał już dość uników, dość patrzenia jej w twarz ze świadomością, że nie znajdzie na niej prawdy.

- Za każdym razem, kiedy dotykam pewnych tematów, dajesz mi te gładkie odpowiedzi. Układne i dobrze wyćwiczone. Zastanawiam się, czemu to ma służyć. Dlaczego chcesz wybielać Chucka?

Sprawiał jej ból. Nie fizyczny - prawie nie czuła jego ręki. Ranił ją głęboko w miejscach, które złudnie uważała za bezpieczne.

- Był moim mężem. Czy to ci nie wystarczy?

- Nie. - Czuł, jak drży jej głos, jak drży ona sama. Postanowił jednak drażnić temat. - Podejrzewam, że to miało być tak: im lepiej wyglądał on, tym lepiej i ty. A dopóki twoje małżeństwo wyglądało na udane, Janice Rockwell była szczęśliwa. Chuck był jej jedynym synem i ktoś musiał odziedziczyć te wszystkie pieniądze. Zbladła po raz drugi, ale teraz nie ze strachu, lecz ze złości. Tego właśnie chciał. Chciał przedrzeć się przez ten jej pancerz i dotrzeć do prawdy. I do niej.

- Puść mnie. - Jej głos odbił się echem od ścian kuchni. W piecu z trzaskiem pękło jakieś polano, ale żadne z nich nie zwróciło na to uwagi.

- Najpierw mi odpowiedz.

- Przecież uważasz, że wszystko wiesz.

- Jeśli chcesz, żebym zmienił zdanie, to mi po wiedzy.

- Nic mnie nie obchodzi, co myślisz.

A to było największe z jej kłamstw. Nie było jej to obojętne i tym bardziej bolały ją jego zarzuty. Znała ten ból z przeszłości i wiedziała, że uzalanie się nad sobą przynosi tylko upokorzenie.

- Dam ci, co chcesz usłyszeć, i skończmy z tym. Zdecydowałam się wykorzystać moje małżeństwo, zarobić na sławie mojego zmarłego męża i jego opinii. Ponieważ jestem pewna, że Janice Rockwell przeczyta tę książkę, chcę, żeby była zadowolona z rezultatów. Oczywiście chcę, aby zobaczyła, że mój związek z Chuckiem był silny i czysty. Brudy, do jakich być może uda ci się dokopać, na pewno nie będą pochodziły ode mnie. Zadowolony?

Dylan puścił jej ramię. W ciągu kilku sekund potwierdził/a wszystko, co o niej myślał, i zaprzeczyła wszystkiemu, co zaczynał czuć.

- Taaa, zadowolony.

- W porządku. Jeśli masz jeszcze jakieś pytania, zadaj je jutro, z dyktafonem.

Patrząc, jak odchodzi, zastanawiał się, ile czasu mu zajmie oddzielenie jej kłamstw od prawdy.

Zazwyczaj budziła się szybko i po połowie pierwszej filiżanki kawy była całkowicie przytomna i gotowa do działania. Dziś nie miała ochoty wstawać z łóżka. Mięśnie ją bolały, w głowie pulsowało. Winiąc za to niespokojną noc, na zwolnionych obrotach zaczęła codzienne zajęcia.

Chłopcy, którzy wesoło zbiegli na śniadanie, najwyraźniej zapomnieli o przykrym zdarzeniu poprzedniego wieczoru. Kiedy wyprawiła ich do szkoły, wypila jeszcze jedną kawę, włożyła kurtkę i powlokła się na dwór.

Słońce świeciło jasno i w powietrzu czuć było zbliżającą się wiosnę. Abby jednak drżała z zimna i żałowała, że nie włożyła jeszcze jednego swetra. Pewnie się przeziębiam, pomyślała, masując bolący kark.

Tak czy owak, nie ma na to czasu. Jakby sterował nią automatyczny pilot, zebrała jajka i poszła do stajni.

Trzeba wysprzątać boksy, nakarmić i oporządzić konie. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów z niechęcią myślała o czekającej ją robocie. Ciagle tylko sprząta po innych, rozwiązuje problemy i wykonuje czynności, które wykonać trzeba. Kiedy wreszcie będzie miała trochę czasu dla siebie? Choćby chwilę, aby zwinąć się z książką na kanapie i przeleniuchować popołudnie.

Książka, dobre sobie, zaśmiała się w duchu, zbierając uździenice. Nie czas na myślenie o książkach szczególnie o jednej. Już zapomniała, co znaczy ból.

To było tak dawno temu, kiedy związała się z kimś, kto potrafił...

Mocno przycisnęła palcami oczy. Przecież nie mogła nazwać swej znajomości z Dylanem związkiem. To biznes i tylko biznes. Nieważne, że uważają za oportunistkę. Jeśli padnie ofiarą swych zranionych uczuć i wyrzuci go, niczego tym nie osiągnie. Zresztą podpisała tamte papiery, a to zobowiązuje.

Czy jej zobowiązania w ogóle kiedyś się skończą? Abby wyprowadziła pierwsze dwa konie na padok i wróciła do stajni. Najpierw miała zobowiązania wobec Chucka, potem wobec dzieci. Teraz znów wobec Chucka, bo tak się wszystko ułożyło. Niech więc sobie Dylan Crosby myśli, co chce, jeśli tylko napisze tę książkę.

Zmęczona, oparła głowę o koński bok. Chłodny i przyjazny. O Boże, jak bardzo brakowało jej przyjaznej duszy. W głowie tak jej pulsowało, że z trudem mogła myśleć. A mimo to musiała. Wczorajszy wybuch złości mógł ją drogo kosztować. Jeśli Dylan będzie miał o niej złą opinię, na pewno znajdzie to swój wyraz w jego książce. Do jasnej cholery, co go obchodzi, dlaczego zdecydowała się na autoryzację? Bierze za tę książkę pieniądze. Jej

motywy nie mają nic wspólnego z opowieścią o życiu Chucka. No, niezupełnie. Jedno z drugim wiąże się nierozdzielnie.

Jeszcze raz wyszła na dwór i wróciła po resztę koni. Może lepiej jej się będzie myślało, gdy już skończy z tą stajnią. Musi koniecznie znaleźć sposób, jak poradzić sobie z Dylanem.

Przywołała na myśl tamten poranek, kiedy słońce padało na twarz, a on trzymał ją w ramionach. Pragnął jej. Wciąż widziała jego oczy, czuła jego usta. Przez chwilę, przez jedną krótką chwilę zapragnęła, by to on był tym człowiekiem, na którym mogłaby polegać, któremu mogłaby zaufać. Nie, to idiotyczne.

Jeszcze zanim się poznali, wiedziała, że oboje mają do wykonania pewną pracę.

Kiedy sprzątnęła pierwszy boks, była cała spocona. Widły sprawiały wrażenie wyjątkowo ciężkich.

- Wydaje mi się, że powinnaś nająć kogoś do pomocy.

Dylan stał w progu, za jego plecami świeciło słońce, twarz była w cieniu. Abby tylko zerknęła na niego przelotnie.

- Tak uważasz? Wezmę to pod uwagę.

- Abby, może już skończysz z tą maskaradą, no wiesz, z udawaniem ledwo wiążącej koniec z końcem matki, harującej od świtu do nocy. - Dylan wziął drugie widły, ale tylko się o nie oparł.

- Chcę zrobić na tobie wrażenie - rzekła, nie przerywając pracy.

- Nie wysilaj się. Książka jest o Chucku, nie o tobie.

- W porządku. Kiedy tylko wyrzucę ten gnój, natychmiast przestanę grać.

A więc ma pazurki. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, jak mocno zacisnął palce na trzonku wideł. Musi do niej dotrzeć, ale tylko spokojem. Nie da się wyprowadzić z równowagi.

- Posłuchaj, w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Chyba oboje chcemy, żeby ta książka wyszła, przestańmy więc grać.

- Dobra. - Musiała chwilę odpocząć, więc też oparła się o widły. - Czego chcesz?

- Prawdy. Byłaś żoną Rockwella przez cztery lata, są więc aspekty jego życia, które znasz lepiej niż inni. O tym właśnie chcę od ciebie usłyszeć. Za to ci zapłacono.

- Powiedziałam, że porozmawiam z tobą przy włączonym dyktafonie, i tak zrobię.

A teraz mam robotę - zakończyła, odwracając się w stronę boksu.

- Odłóż to. - Chwycił ją za kłapy kurtki i obrócił ku sobie. Widły wypadły jej z ręki. - Zawołaj tego, kto zazwyczaj robi tę robotę, i siadajmy do pracy. Szkoda czasu.

- Kogoś ze służby? - Chętnie by się mu wyrwała, ale nie miała siły. - Przykro mi, ale dałam im miesiąc urlopu. Jeśli chcesz pracować, przynieś dyktafon i notatnik tutaj. Konie nie mogą czekać.

- Kim ty, do cholery, jesteś? - krzyknął i lekko nią potrząsnął. Kiedy kolana się pod nią ugięły, był nie mniej zdziwiony od niej. Podtrzymał ją i oparł o ścianę boksu. - Co się z tobą dzieje?

- Nic. - Na próżno próbowała odepchnąć jego ręce. - Nie przywykłam, żeby mnie ktoś szarpał.

- W metrze bywa gorzej - mruknął, ale ją puścił.

- Nie jeżdżę metrem. - Wściekła na siebie, schyliła się po widły. Zakręciło jej się w głowie i musiała podtrzymać się ściany.

W jednej chwili Dylan chwycił ją za ramiona.

- Ej, jeśli jesteś chora...

- Nie jestem. Nigdy nie choruję, trochę się tylko zmęczyłam.

I zbladła, dokończył za nią w duchu. Zdjął rękawiczkę i przyłożył jej rękę do policzka.

- Jesteś rozpalona.

- Tylko trochę zgrzana. - Przeżona jego dotykiem, mówiła coraz głośniejsze i bardziej piskliwie, mimo że potrzebowała w tej chwili choćby odrobiny ciepła. - Zostaw mnie w spokoju, zaraz tu skończę.

- Nie znoszę męczenników - mruknął, biorąc ją pod rękę.

Irlandzka krew płynąca w jej żyłach bardzo rzadko dawała o sobie znać. W odróżnieniu od reszty rodziny, Abby zazwyczaj traktowała życie ze spokojem i dystansem. Tym razem jednak nie wytrzymała - wyszarpnęła rękę i pchnęła Dylana na boksy. Siła, z jaką to zrobiła, zaskoczyła ich oboje.

- Nie obchodzi mnie, czego nie znosisz. Nie obchodzi mnie, co myślisz.. Papiery, które podpisałam, nie dają ci prawa do mieszania się w moje życie. Dam ci znać, kiedy będę miała czas na twoje pytania i twoje zarzuty. Myśl sobie, że to gra czy maskarada, ale muszę tu skończyć. A ty możesz iść do diabła.

Odwróciła się na pięcie i chwyciła taczki. Podniosła je, zrobiła dwa kroki i... siły ją opuściły.

- Super sobie radzisz. - Miał dość jej i siebie, ale tym postanowił zająć się później. Teraz przede wszystkim powinna jak najszybciej znaleźć się w łóżku. Tym razem, gdy wziął ją pod ramię, nie była już w stanie go odepchnąć.

- Nie dotykaj mnie.

- Cały tydzień się od tego powstrzymuję. - Kiedy się zachwiała, zaklął i po prostu wziął ją na ręce. - Ale teraz nie mamy wyjścia.

- Nie musisz mnie nieść. - Nagle dopadły ją dreszcze. Z ulgą, choć wbrew sobie, oparła mu głowę na ramieniu. - Jeszcze tu nie skończyłam.

- Owszem, skończyłaś.

- I jajka...

- Przyjdę po nie później. Kiedy już położę cię do łóżka.

- Do łóżka? - Jak przez mgłę dostrzegła, że są już na ganku. - Nie mogę iść do łóżka. Konie jeszcze nie oporzędzone, a o pierwszej do kłaczy przychodzi weterynarz. Pan Jorgensen będzie razem z nim. Muszę sprzedać to źrebię.

- Jestem pewien, że pan Jorgensen nie kupi od ciebie niczego, jeśli go zarazisz grypą.

- Nie mam grypy, tylko lekkie przeziębienie.

- Masz grypę. - Dylan położył ją na łóżku i zaczął zdejmować buty. - Ale za parę dni będzie po wszystkim, to ci gwarantuję.

- Nie wygłupiaj się. - Wsparła się na łokciu, choć kosztowało ją to mnóstwo wysiłku. - Wystarczą mi dwie aspiryny.

- Rozbierzesz się sama, czy ja mam to zrobić?

- Nie mam zamiaru się rozbierać - odparła spokojnie, choć gdyby w tej chwili miała wypowiedzieć jedno życzenie, dotyczyłoby ono snu.

- Sama zdecydowałaś. - Usiadł na brzegu łóżka i zaczął rozpinać jej kurtkę.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. - Abby próbowała zachować resztki godności i usiąść. - Posłuchaj, może i mam lekką grypę, ale mam też dwoje dzieci, które wejdą w te drzwi o trzeciej dwadzieścia pięć. Wcześniej muszę oporzędzić konie, szczególnie Eve. Bardzo mi zależy na dobiec targu z panem Jorgensenem.

Dylan patrzył na nią uważnie. Była blada, oczy błyszczały jej gorączkowo. Zrozumiał, że jeśli chce z nią wygrać, musi się z nią zgodzić.

- Dobra, ale on przychodzi dopiero za godzinę. Do tej pory możesz spokojnie odpocząć. - Gdy próbowała protestować, potrząsnął głową. - Abby, chyba nie chcesz zemdleć przy panu Jorgensenie.

Miała dreszcze, było jej słabo. Nawet nie uniosłaby zgrzebla. Zawsze była rozsądna i tym razem rozsądek mówił jej, że rzeczywiście powinna trochę odpocząć. Tu może się z nim zgodzić, duma nie ucierpi.

- Odpocznę godzinę.

- Brawo, a więc się kładź. Przyniosę ci aspirynę. - Dzięki. - Abby z trudem zdjęła kurtkę.

- Nie ma za co.

Kiedy wyszedł, zwlokła się z łóżka i przytrzymując się mebli, poczłapała do komody po szlafrok. Zdjęła dzinsy i sweter. Potem nawet nie pamiętała, kiedy włożyła szlafrok i wsunęła się pod kołdrę.

Tam właśnie znalazł ją Dylan. Leżała na brzuchu i spała tak mocno, że nawet nie drgnęła, kiedy poprawił jej przykrycie. Nie drgnęła też, kiedy nachylił się bardziej i odsunął jej włosy z twarzy.

Nie poruszyła się przez całą godzinę, kiedy siedział w fotelu obok łóżka i w zamyśleniu na nią patrzył.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Obudziła się spocona, obolała i zdezorientowana. Nie miała pojęcia, jak długo spała. Przycisnęła ręce do oczu i próbowała zebrać siły. Czuła się lepka, a gardło ją piekło. Cokolwiek to było, grypa czy tylko przeziębienie, trafiło ją z całej mocy. Ponieważ była sama, pozwoliła sobie na cichy jęk. Kiedy spojrzała na zegar, jęknęła jeszcze raz. Dużo głośniej.

Druga piętnaście. Spała prawie cztery godziny. Jorgensen! Zrozpaczona wyskoczyła z łóżka i pulsowanie w głowie natychmiast wróciło, wraz z bólem wszystkich mięśni. Była mokra od potu. Chwyliła dzinsy i oparła się o łóżko.

Może jeszcze nie odjechali. Może przyjechali później i właśnie są w stajni i oglądają klacz. Eve nie została wyszczotkowana, ale Jorgensen widział już ją przecież w pełnej krasie. A weterynarz... weterynarz na pewno stwierdzi, że jest silna i zdrowa. Musi się tylko ubrać, wyjść do nich i przeprosić.

- Wybierasz się gdzieś? - Do pokoju różnym krokiem wszedł Dylan z tacą.

- Już po drugiej. - Zabrzmiało to jak wyrzut.

- Owszem.

Postawił tacę na toaletce i patrzył na nią uważnie. Nocna koszula zsunęła jej się z ramienia - z bardzo gładkiego, kształtnego ramienia. Reszta była równie szczupła i kształtna - od długich nóg tancerki po delikatnie zaokrąglone piersi.

Mężczyzna ma prawo poczuć tęsknotę i pragnienie, gdy patrzy na półnagą kobietę i wymięte łóżko. Nie powinien tylko brać tego za bardzo do siebie.

- Ciekawe - mruknął. - Pierwszy raz widzę cię w czymś cieńszym niż bluza czy sweter.

- Na pewno wyglądam zabójczo.

- Cholernie. Może jednak wrócisz do łóżka, zanim się przewrócisz?

- Pan Jorgensen...

- To bardzo miły człowiek - dokończył Dylan. Podszedł bliżej, wyjął jej z ręki dzinsy i rzucił na krzesło. - Mówił o koniach z większą miłością niż o żonie - dodał, delikatnie kładąc ją na łóżku.

- Jest jeszcze? Muszę z nim porozmawiać. - Już pojechał.

- Pojechał?

- Owszem. Otwórz buzię. Znalazłem to wśród butelek z wodą utlenioną i kolorowymi plastrami.

Abby machnięciem ręki odsunęła termometr. Chyba w ogóle go nie słuchała.

- Zadzwoń do niego i umówię się na później. Wyjaśniłeś mu, czemu mnie nie było?
A weterynarz..., czy wete...

Dylan włożył jej do buzi termometr i przytrzymał obie ręce.

- Zamknij się. - Kiedy mimo to próbowała coś wykrztusić, przytrzymał też jej brodę. -
Posłuchaj, jeśli chcesz coś wiedzieć o Jorgensenie, to nie otwieraj ust. Rozumiesz?

Choć traktował ją jak dziecko, nie miała wyjścia. Posłusznie kiwnęła głową.

- W porządku. - Puścił jej ręce i podszedł po tacę. Abby natychmiast wyjęła termometr.

- Czy weterynarz zbadał Eve? Muszę...

- Włóż to z powrotem, albo wyjdę i nic ci nie powiem. - Postawił tacę na jej kolanach i czekał. Z satysfakcją stwierdził, że go posłuchała. - Otóż weterynarz stwierdził, że Eve jest w znakomitej formie, że nie przewiduje żadnych komplikacji i że spodziewa się porodu w ciągu tygodnia.

Kiedy znów sięgnęła do termometru, wystarczyło, że uniósł brew, by zrezygnowała.

- Chodzi ci o drugą klacz, Gladys? - Gdy przytaknęła, potrząsnął głową. - Co za imię dla konia! Ale i ona jest w porządku. Jorgensen kazał ci powiedzieć, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, zadzwoni po narodzinach źrebaka, żeby omówić warunki. Powiedział też, że ma dla ciebie nazwiska paru osób, które mogą być zainteresowane drugim źrebakiem. Czuję, że on sam byłby jedną z nich, gdyby żona mu pozwoliła. Jeśli się lepiej poczujesz, możesz do niego zadzwonić. Zadowolona? Abby zamknęła oczy i przytaknęła. Nareszcie. Pieniądze ze sprzedaży źrebiąt pozwolą jej spłacić dużą część długu, jaki musiała zaciągnąć po śmierci Chucka. Już niedługo... za rok czy dwa stanie wreszcie na nogi. Chciała schować się pod kołdrę i płakać tak długo, aż łzy ulgi wszystko zmyją.

Dziwna kobieta, pomyślał Dylan. Dlaczego tak ją wzrusza sprzedaż dwóch koni?

Owszem, cena pewno będzie niezła, ale to kropla w morzu w porównaniu z majątkiem, jaki musiała odziedziczyć po śmierci Chucka Rockwella. Pieniądze wyraźnie są dla niej ważne, ciekawe tylko, na co je wydaje?

Może na meble. Jej łóżko pochodziło z osiemnastego wieku, trudno by je było kupić gdzieś przypadkowo. I na konie, oczywiście. Tego ogiera na pewno nie kupiła za bezcen. Spojrzał na stojącą w rogu szafę. Reszta pewnie wisi tam. Kiedy w końcu otworzyła oczy, wyjął jej z ust termometr.

- Dylan, nie wiem, co powiedzieć.

- No, no. Trzydzieści osiem i siedem. Nieźle.

- Trzydzieści osiem i siedem? - W jednej chwili zapomniała o wdzięczności. - To niemożliwe. Pokaż. - Zawsze taka z siebie marudna pacjentka?

- Ja nigdy nie choruję. Musiałeś źle odczytać.

Podał jej w końcu termometr, a po chwili zabrał, strząsnął i schował do futerału.

- No to jak? Zjesz sama czy mam cię nakarmić?

- Dam sobie radę. - Popatrzyła bez apetytu na dymiącą na tacy zupę. - Zazwyczaj nie jadam lunchu.

- Dzisiaj zjesz. Wypij najpierw sok.

Z westchnieniem wzięła podaną jej szklankę. Nic dziwnego, że traktuje ją jak dziecko. Tak się przecież zachowuje.

- Dzięki. Przepraszam, że tak marudzę, ale mam tyle rzeczy do zrobienia... Nie mogę leżeć.

- Niezastąpiona, tak?

Znów skierowała na niego wzrok. W jej spojrzeniu było coś, czego nie potrafił nazwać - wzruszenie, nadzieja, pytanie?

- Po prostu potrzebna.

Powiedziała to z taką rezygnacją, że bez zastanowienia wyciągnął rękę i pogładził ją po policzku.

- No to musisz dbać o siebie.

- Tak. - Abby podniosła łyżkę. - Rzeczywiście kiepska ze mnie pacjentka. Przepraszam.

- Nie ma sprawy. Ze mną też tak jest.

By sprawić mu przyjemność, zaczęła jeść.

- Wyglądasz na takiego, co nigdy nie choruje.

- Jeśli to poprawi ci nastrój, to wiedz, że kilka lat temu też miałem gripę.

- Od razu mi lepiej. - Uśmiechnęła się słabo. - Bliższa jest mi rola lekarza. We wrześniu chłopcy leżeli z wietrzną ospą. Dom był jak szpital. Dylan... - Już od dłuższej chwili o tym myślała. Teraz, grzebiąc łyżką w zupie, uznała, że starczy jej odwagi. - Przepraszam za wczoraj i za dziś rano.

- Przepraszasz za co?

Popatrzyła na niego uważnie. Był taki swobodny, obojętny. Najwyraźniej tamte ostre słowa i kłótnia nie wywołały w nim poczucia winy. Ale nie kłamał i oboje o tym wiedzieli. I oboje wiedzieli, że kłamie też ona. I zamierza robić to dalej.

- Powiedziałam rzeczy, których nie chciałam. Zawsze tak robię, kiedy jestem zła.

- Może w złości jesteś bardziej szczerą, niż myślisz. - Pojawiło się w nim napięcie. Abby zaskakiwała go i zdumiewała. - Posłuchaj, dalej mam zamiar na ciebie naciskać, i to mocno. Mam jednak pewne skrupuły. Nie będę z tobą walczyć, dopóki nie wrócisz do formy. Nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Dopóki jestem chora, nic mi nie grozi.

- Coś w tym sensie. Dlaczego nie jesz?

- Przepraszam. - Odłożyła łyżkę. - Nie mogę. Dylan zabrał tacę i odstawił ją na bok.

- Czy ktoś ci kiedyś mówił, że za często przepraszasz?

- Tak. - Znów się uśmiechnęła. - Przepraszam.

- Jesteś interesującą kobietą, Abby.

- Tak? - Jak miło znów wsunąć się pod kołdrę. Niesamowite, znów jest zmęczona.

- Wydawało mi się raczej, że nudną.

- Nudną? - Spojrzał na jej wypiełgnowane dłonie i przypomniał sobie, jak znakomicie sobie radzą nawet z ciężką pracą. Przypomniał sobie kobietę w norkach, brylanty błyszczące w jej uszach, a potem jak składała pranie. Nudna? Nie, nigdy. - Mam w archiwum twoje zdjęcie zrobione w Monte Carlo. W białych norkach.

- W białych norkach... - Abby uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Czułam się w nich jak księżniczka. Piękne były, prawda?

- Były?

- Yhm. Jak księżniczka.

- Co się z nimi stało?

- Dach - odparła i zasnęła.

Dach? Futra na dachu? Chyba jest w malignie. Kiedy układał ją wygodniej, tylko zamruczała.

Bardzo interesująca kobieta.

Kiedy usłyszał pierwszy głośny hałas, przepisywał właśnie notatki o pierwszym roku Rockwella na torze wyścigowym. Zaklął i wyłączył maszynę do pisania. Zostawił w niej do połowy zapisaną stronę i zszedł na dół, by powitać chłopców.

- To nie była moja wina. - Ben, obejmując za szyję psa, z furią patrzył na brata.

- A właśnie, że była, ty... idioto. - W dość jeszcze ograniczonym słowniku Chrisa słowo to stanowiło najgorszą obelgę.

- Sam jesteś idiotą. To przecież...

- Jakiś problem? - spytał Dylan.

Twarze chłopców poczerwieniały ze złości, a Chris na dodatek od stóp do głów był w błocie. Broda mu drżała i brudnym palcem wskazywał brata.

- Przewrócił mnie.

- Wcale nie.

- Idę powiedzieć mamie.

- Spokojnie, spokojnie. - Dylan przytrzymał drzwi nogą i świeża plama błota pojawiła się na jego dzinsach. - Ben, nie uważasz, że jesteś za duży, żeby przewracać Chrisa?

- Wcale go nie przewróciłem. On zawsze mówi, że coś zrobiłem, kiedy to nieprawda. To ja powiem mamie.

W oczach Chrisa, stojącego jak kupka nieszczęścia na ganku, pojawiły się wielkie łzy. Dylan ledwo się powstrzymał, by nie przyklęknąć i nie wziąć go w ramiona.

- Nie przejmuj się, wszystko da się wyprać. - Ograniczył się tylko do lekkiego pociągnięcia malucha za nos. - No to mówcie, co się stało.

- On mnie popchnął. - Po twarzy Chrisa łzy płynęły już strumieniem. Był za mały, by się ich wstydzić. - Tylko dlatego, że jest większy.

- Wcale nie. - Ben, też już bliski łez, patrzył w ziemię. - W każdym razie nie specjalnie. Tylko się bawiliśmy.

- Czyli to był przypadek?

- Tak.

- Nic nie zaszkodzi przeprosić, nawet za przypadek. - Dylan położył Benowi rękę na ramieniu. Zwłaszcza że jesteś większy.

- Przepraszam - rzucił Ben, spoglądając spod oka na brata. - Mama będzie zła, bo jest taki zabłocony. Mam kłopot, bo jest piątek.

- Yhm. - Dylan przez chwilę się zastanawiał. - No to może tym razem jej nie powiemy.

- Naprawdę? - W oczach Bena pojawiła się nadzieja, szybko jednak zastąpiona nieufnością. - I tak zobaczy.

- Nie zobaczy. No, chodź. - Dylan schylił się i podniósł Chrisa z ziemi. - Wrzucimy cię do pralki.

Mały parsknął śmiechem i zarzucił Dylanowi na szyję zabłoconą rękę...

- Człowieka nie można wrzucić do pralki. Nie zmieści się. Gdzie mama?

- Na górze. Ma grypę.

- Jak pan Petrie?

- Właśnie.

- Mama nigdy nie choruje - stwierdził z przekonaniem Ben, kiedy weszli do kuchni.

- A jednak. Teraz śpi, więc postarajmy się być cicho, dobra?

- Chcę ją zobaczyć.

Prawdziwy obrońca matki, pomyślał z podziwem Dylan.

- Ale jej nie obudź. No, tygrysie, rozbieraj się - rzucił, wchodząc z Chrisem do pralni.

Chris posłusznie zaczął zdejmować kurtkę.

- Moja pani miała grypę w zeszłym tygodniu, więc mieliśmy zastępstwo. Miała rude włosy i nie mogła zapamiętać naszych imion. Czy mama jutro też będzie chora?

- Ale nie tak bardzo jak dziś. - Dylan znalazł proszek i studiował właśnie instrukcję używania pralki.

- Pożyczę jej moje kredki. - Chris usiadł na podłodze i zaczął ściągać buty. - I będziemy mogli czytać jej książki. Mama zawsze mi czyta, kiedy jestem chory.

- Na pewno ją to ucieszy.

- A jak będzie się czuła bardzo źle, dam jej Mary.

- Kto to jest Mary?

- Mary to mój piesek. Dostałem go od ciotki Maddy, jak byłem mały. Dalej z nią śpię, ale nie mów Benowi. Będzie się śmiał.

Dylan uśmiechnął się. To miłe, gdy ktoś ci ufa.

- Nic nie powiem.

- A jeżeli jutro będzie się czuła lepiej, to będziemy mogli pójść do kina? Obiecała, że zabierze nas do kina w sobotę.

- Nie wiem. - Dylan spojrzał na chłopca, który stał przed nim nagusieńki, pokryty błotem i gęsią skórką. Wziął z suszarki ręcznik i owinał nim drobne ciało. - No, chodź. Teraz kąpiel.

- Nie znoszę kąpieli. Naprawdę.

- Nie ma wyjścia. Miałeś rację, do pralki się nie zmieścisz.

Chris wybuchnął śmiechem i wzniósł ręce do góry. Dylan nie mógł nie zareagować. Po prostu wziął go na ręce. Jezus Maria, pomyślał. Przez trzydzieści parę lat jakoś się trzymałem, a teraz zakochałem się w sześciolatku z zabłoconą buzią.

- A co do kąpieli...

- Nienawidzę kąpieli.

- Wezmiesz sobie jakąś łódkę albo coś. Zrezygnowany Chris pozwolił się nieść do wanny.

- Wolę ciężarówkę.

- Więc weź ciężarówkę.

- Mogę trzy?

- Jeśli starczy miejsca dla ciebie. - Dylan postawił Chrisa przy drzwiach do łazienki. - Pamiętaj, żeby być cicho, tak?

- Jasne - odparł również szeptem chłopczyk. - Pomożesz mi umyć włosy? Jeszcze do końca sam nie umiem.

- Ja... - Dylan pomyślał o robocie czekającej na niego na biurku. - Oczywiście. Zaraz do ciebie przyjdę.

Umowa, jaką zawarł, nie przewidywała niańczenia dzieci. Wiedział jednak, że Abby tak samo jak on nie jest zachwycona sytuacją.

Drzwi do pokoju Bena były zamknięte. Z początku chciał zostawić go w spokoju i zająć się mniej skomplikowanym zajęciem, czyli myciem włosów Chrisa. Przeklinając się w duchu, zapukał jednak do drzwi.

- Możesz wejść.

Chłopak siedział na łóżku, przed sobą rozstawił całą armię miniaturowych żołnierzyków.

- Widziałeś mamę?

- Tak. Nie obudziłem jej. - Ben ustawił dwie figurki do walki. - Wygląda na bardzo chorą.

- Musi po prostu odpocząć przez kilka dni. - Dylan przysiadł na łóżku i wziął do ręki żołnierzyka. - Później pewnie zechce mieć towarzystwo.

- Raz, kiedy wróciłem ze szkoły, leżała na kanapie, bo powiedziała, że boli ją głowa. Ale ja wiedziałem, że płakała.

- Mamy też czasami muszą popłakać. Jak każdy.

- Mężczyźni nie.

- Też. Czasami.

Ben przez chwilę rozważał jego słowa, lecz chyba mu nie uwierzył.

- Czy mama znów płakała?

- Tym razem jest po prostu chora. Na pewno czuje się lepiej, jeśli nie będziemy sprawiać jej kłopotów.

- Ja wcale nie chciałem sprawiać kłopotu. - Głos Bena brzmiał bardzo dziecinnie i bardzo niepewnie.

- Wierzę ci. - Dylan przypomniał sobie, jak on sam na nią naciskał, męczył, wypytywał. Wiedział, że na tym polega jego praca, ale poczucia winy to nie zmniejszyło.

- Naprawdę nie chciałem Chrisa popchnąć w błoto.

- Wcale cię o to nie podejrzewałem. - Mama by mnie ukarała.

- Rozumiem. - Odwaga chłopca była godna podziwu, ale Dylan zupełnie nie wiedział, jak zareagować. - No to teraz sami musimy coś wymyślić. Chcesz, żebym wepchnął cię w błoto?

Ben spojrzał na niego spod oka. Potem wybuchnął śmiechem.

- Wtedy mama byłaby zła na ciebie.

- Rzeczywiście. No to może przejmiesz dziś wieczór obowiązki Chrisa?

- Dobra.

Żaden problem. Lubił zajmować się końmi, a Chris i tak tylko plątał mu się pod nogami.

- Dotyczy to także zmywania. Dziś kolej Chrisa. - Dylan ze zdziwieniem, ale i przyjemnością stwierdził, że udało mu się odczytać myśli chłopca.

- Ale...

- Życie jest ciężkie, stary. - Dylan pociągnął go lekko za ucho i poszedł zająć się jego bratem.

Obudziły ją odgłosy kłótni, która prowadzona była szeptem. Otworzyła odrobinę oczy i ujrzała swych synów stojących w nogach jej łóżka.

- Powinniśmy już ją obudzić - nalegał Ben.

- Powinniśmy zaczekać, aż przyjdzie Dylan.

- Teraz.

- A jeśli wciąż ma gorączkę?

- Zmierzymy i zobaczymy.

- Wiesz jak?

- Trzeba wziąć to coś cienkiego. Włożymy jej do buzi i potem wyjmujemy.

- Kiedy śpi?

- Nie, kretyнку. Musimy ją obudzić.

- Już nie śpię. - Abby uniosła się i oparła o poduszki.

- Cześć. - Ben nie bardzo wiedział, co robić z chorą mamą, więc w zakłopotaniu miętosił rożek prześcieradła.

- Cześć.

- Dalej jesteś chora?

Gardło miała tak wysuszone, że z trudem mówiła. Mięśnie nadal ją bolały.

- Może trochę.

- Chcesz moje kredki? - Chris bez zbytnich ceregieli wgramolił się na łóżko.

- Może później - odparła, pieszczotliwie mierzwiąc mu włosy. - Dopiero wróciliście ze szkoły?

- Co ty! Od stu lat jesteśmy w domu. Prawda, Ben?

- Zjedliśmy kolację - potwierdził Ben. - I obowiązki też wykonane.

- Kolację? - Dopiero teraz dostrzegła, że za oknem jest już prawie ciemno. Kiedy spojrzała na zegar, aż jęknęła. Spała kolejne trzy godziny. - Co jedliście?

- Naleśniki. Dylan zrobił. Super. - Chris przyłożył jej rękę do czoła. - Gorąca jesteś.

Czy musisz brać lekarstwo tak jak ja i Ben? Potem mogę ci poczytać.

- Nie umiesz czytać - zauważył Ben.

- Umiem. Pani Schaeffer mówi, że naprawdę dobrze czytam.

- Książeczki dla dzieci, a nie dla dorosłych.

- Znow się kłóćcie? - Do pokoju wszedł Dylan z tacą. - Miło widzieć, że wszystko idzie normalnie. Posuń się, Chris. Wasza mama musi coś zjeść.

- Razem to zrobiliśmy - poinformował ją Chris, robiąc miejsce dla tacy. - Dylan zrobił jajka, a Ben podgrzał zupę. Ja zrobiłem grzanki.

- Wygląda nieźle. - Abby miała ochotę wyrzucić całą tacę za okno. Kiedy Dylan poprawiał jej poduszki, zauważyła, że się uśmiecha. Najwyraźniej pisarze umieją czytać w myślach. Pewnie wie też, że nie ma wyboru i musi jeść.

- Dylan mówił, że musisz odzyskać siły - wtrącił Ben.

- Naprawdę?

- I Dylan mówił, że musimy być cicho, żebyś mogła spać. Naprawdę byliśmy cicho. - Chris czekał, aż matka spróbuje grzankę, którą aż nadto szczerze posmarował masłem.

- Byliście bardzo cicho - zapewniła go Abby, popijając kęs grzanki sokiem.

- Dylan powiedział, że jak będziemy grzeczni, to z nami w coś zagra. Byliśmy grzeczni, prawda?

- Prawda.

Niezadowolony, że to Chris skupia na sobie całą uwagę, Ben przysunął się bliżej.

- Dylan powiedział, że pewnie będziesz za bardzo chora, żeby pójść jutro do kina.

- Strasznie ten Dylan rozmowny - mruknęła pod nosem i pogładziła Bena po policzku.
- Jeszcze zobaczymy. Jak było w szkole?

- W porządku. Jakiś ptak wleciał do klasy na matematyce i pani Lieter go goniła.

Ciągle uderzał w szyby.

- Ciekawe.

- No, ale potem otworzyła okno i wzięła szczotkę.

- Tricia upadła na boisku i nabiła sobie wielkiego guza. - Chris bawił się cienkim złotym łańcuszkiem na szyi matki, który zawsze niezmiernie go fascynował. - Bardzo płakała. Ja też upadłem, ale nie płakałem. No, w każdym razie mało - poprawił się skrupulatnie. - Dylan chciał mnie wrzucić do pralki.

- Słucham? - Ręka Abby znieruchomiała.

- N o, wiesz, byłem cały w błocie i...

Dylan przerwał mu, zanim mały zdążył posunąć się w swej opowieści w niebezpieczne rejony.

- Mały wypadek. Na dworze jest bardzo ślisko.

Ben posłał Dylanowi znaczące spojrzenie, będące mieszaniną poczucia winy i wdzięczności.

- Rozumiem. - W każdym razie tak jej się wydawało. Zresztą wołała się nie dopytywać. - To naprawdę wspaniała kolacja, chłopcy, ale więcej już nie zjem.

- Zanieście to na dół, dobrze? - zwrócił się do dzieci Dylan, zabierając od niej tacę. - Zaraz do was przyjdę.

Gdy zostali sami, wziął do ręki termometr.

- Dylan, jestem ci bardzo wdzięczna. Nie wiem, co powiedzieć.

- To dobrze. - Włożył jej do ust termometr. - Teraz już na pewno nie będziesz nic mówić.

Nie chcąc kolejnej przegranej bitwy, Abby posłusznie odczekała dziesięć minut.

- Spadła, prawda?

- Dwie kreski w górę - oznajmił, zbyt radośnie jak na gust Abby, i podał jej aspirynę.

- Chłopcy bardzo liczyli na to jutrzejsze kino.

- Jakoś to przeżyją. - Kiedy chciał odejść, chwyciła go za rękę.

- Dylan, nie chcę być trudną pacjentką, ale przysięgam, że zwariuję, jeżeli spędzę w tym łóżku sama choć jedną chwilę dłużej.

- To zaproszenie?

- Co? Nie, tak mi się jakoś powiedziało. Chciałam tylko...

- Zrozumiałem. - Dylan nachylił się i wziął ją na ręce razem z przykryciem.

- Co ty robisz?

- Wyjmuję cię z łóżka. Zaniosę cię na dół i położę przed telewizorem. Jestem pewien, że i tak za godzinę zaśniesz.

- Spałam już przecież cały dzień.

W jego ramionach poczuła się tak dobrze, jak nigdy dotąd. Choć przez ten jeden wieczór chciała udawać, że Dylan jest tu dla niej, że się nią opiekuje i wspiera. Nie, dość tych bajeczek. W ostatniej chwili powstrzymała się, by nie oprzeć głowy na jego ramieniu.

- Bardzo ci dziękuję za opiekę nad dziećmi. Ale nie chcę cię wykorzystywać. Mogę poprosić sąsiadkę.

- Daj spokój. - Nie zamierzał się przyznawać, że było to bardzo miłe popołudnie.

- Dam sobie radę. W szkole byłem bramkarzem.

- No tak, takie doświadczenie może ci się z nimi przydać. Dylan, czy Chris sobie coś zrobił, kiedy Ben go popchnął?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Owszem, wiesz.

- Czy Chris wyglądał na kogoś, komu coś się stało?

- Nie, ale...

- No więc chyba nie chcesz, żebym był kapusiem, prawda?

- Mężczyźni zawsze trzymają sztamę, co? Uśmiechnęła się, kiedy kładł ją na kanapie.

Nie odpowiedział, lecz po prostu włączył telewizor. Chciał jak najszybciej ją położyć, nie czuć dłużej jej bliskości. Była taka drobna, taka słodka, taka delikatna.

A w takich sytuacjach mężczyźni popełniają największe błędy.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, będziemy w kuchni. Męskie sprawy, rozumiesz?

- Dylan...

- Posłuchaj, jeśli jeszcze raz mi podziękujesz, uduszę cię. - Zamiast tego pochylił się, wziął jej twarz w dłonie i mocno ją pocałował. - Nie dziękuj mi i nie przepraszaaj.

- Gdzieżbym śmiała... - Zanim zdążyła się zastanowić, tym razem to ona go pocałowała.

Po raz pierwszy od wielu lat poczuła smak mężczyzny. I po raz pierwszy od wielu lat go zapragnęła.

Jego smak, jego dotyk nie przypominał w ogóle Chucka, jedyne go mężczyzny, jakiego do tej pory знаła. Był świeży i nowy, tak jak powinno być na początku.

Kiedy opadła na poduszki i zamknęła oczy, wiedziała, że Dylan na nią patrzy. Nie była jednak w stanie przywdziać żadnej maski, nie chciała niczego grać ani udawać.

- To jeszcze jedna rzecz, którą będziemy musieli się zająć, kiedy znów będziesz na nogach, Abby.

- Tak, wiem.

- A teraz lepiej odpocznij.

Musiał wsunąć ręce do kieszeni, bo znów zapragnął jej dotknąć. I zapomnieć o wszystkim.

- Dobrze.

Musiała zamknąć oczy, bo znów zapragnęła go dotknąć. I zapomnieć o wszystkim. W sąsiednim pokoju są dzieci. Jej dzieci i jej odpowiedzialność. Jej życie.

Kiedy znów otworzyła oczy, Dylan zniknął.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie pamiętała, by szła na górę, ale rano obudziła się we własnym łóżku, i to późno. Poczowała przy policzku coś ciepłego i puchatego. Pluszowy sfatygowany piesek, ukochana zabawka Chrisa. W oczach Abby pojawiły się łzy wzruszenia. Musiał go przynieść, kiedy spała. Dopiero teraz zauważyła dużą różową kartkę z napisem „Wracaj do zdrowia, mamoo”, niezdarnie przyklejoną taśmą w nogach łóżka.

Poznała koślawe pismo Bena i łzy popłynęły jej strumieniem. Może i są potworami, ale to jej potwory i może na nich polegać.

A oni na niej? W zamyśleniu potarła policzek sfatygowaną Mary. Jest prawie dziesiąta, a ona nie zrobiła jeszcze dzieciom śniadania. Skrzywiona zwlokła się z łóżka. Udając, że trzyma się na nogach pewnie, wyjęła z szafy szlafrok i ruszyła do łazienki. Robota czeka, a leżąc w łóżku, na pewno się z nią nie upora.

Najpierw usunęła z wanny konwój ciężarówek Chrisa, potem przez dłuższą chwilę stała pod natryskiem. W końcu zrobiło jej się ciepłej i mózg zaczął pracować.

Dylan. Czy to źle, że jej pierwsze myśli powędrowały do niego? Może nie tak źle, ale na pewno niebezpiecznie. W jej życiu nie ma dla niego miejsca. A że ją pociąga? Najlepiej byłoby to zignorować. Ale czy potrafi?

Już raz czuła coś takiego. Pożegnała się z rozumem i uległa uczuciom. Na taki błąd drugi raz nie może sobie pozwolić. Ból, który sprawił jej Chuck, trwał za długo, by mogła o nim zapomnieć. Nie, tym razem na pewno już by po czymś takim nie stanęła na nogi, decyzja jest więc oczywista. Teraz ma dzieci, o których musi myśleć, dom i życie, które im stworzyła.

Oprócz wątpliwości dotyczących jej samej były jeszcze wątpliwości co do projektu, który sprowadził do niej Dylana. Jeśli pozwoli sobie na uczucia, dużo trudniej jej będzie stosować uniki, ukrywać i kłamać. Choć chciałyby czuć, dawać i brać, ryzyko było zbyt duże.

Z westchnieniem zakręciła kran. Musi trzymać się swego planu, bo to oznacza przetrwanie. A Dylan... no cóż, to tylko biograf ojca jej dzieci.

Wytała się i wyszła na korytarz. Chłopcy już wstali, bo ich pokoje były puste.

Zejdzie na dół, zaparzy kawę, zrobi im śniadanie i może oderwie od kreskówek, by nakarmili zwierzęta.

Zastała ich tam, gdzie się spodziewała - na kanapie przed ryczącym telewizorem.

Nie spodziewała się tylko, że dołączy do nich Dylan.

- Ty to nazywasz kreskówką? - Chris siedział wtulony w niego, a Ben leżał na podłodze u jego stóp. Cała trójka wyglądała tak normalnie, jakby właśnie w ten sposób spędzała każdy sobotni poranek.

- To bardzo dobry film - odparł Ben.

- Królik Bugs to jest kreskówka. Tam naprawdę się coś dzieje, nie tylko głupie nawalanki.

Ben tylko prychnął pogardliwie, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Ja lubię królika Bugsa. - Chris pociągnął Dylana za rękaw, a ten, rozbawiony jego przejętą miną, objął go ramieniem.

- Chris sam wygląda jak królik Bugs - stwierdził.

Ben z szerokim uśmiechem i czekał na reakcję brata. Zanim mały zdążył rzucić się na Bena, Dylan wciągnął go na kolana.

- Nie - powiedział, przyjrzawszy się uważnie twarzy Chrisa. - Uszy ma za krótkie. Ale Ben... Dylan nachylił się i niespodziewanie pociągnął za nie pilnowane ucho chłopca.. - Tak, te są podobne.

Chichocząc, Ben zasłonił oboje uszu, ale Dylan już łaskotał go pod pachami. Po chwili cała trójka kłębiła się na podłodze. Chris pierwszy zauważył stojącą w progu Abby.

- Cześć, mamó.

- Dzień dobry. - Abby popatrzyła na zarumienionych od zabawy synów, potem na Dylana. Był nie ogolony i wyglądał jak każdy inny mężczyzna w sobotni rano.

- Mamy zakaz przewalania się po meblach - szepnął Ben do ucha Dylanowi.

- Jasne. - Dylan wyswobodził się z plątaniny rąk i nóg i spojrzał uważnie na Abby. - Powinnaś leżeć.

- Czuję się zupełnie dobrze, dzięki. - Czemu kiedy traktował ją ostro, wydawał jej się jeszcze bardziej pociągający? Czy zawsze będą jej się podobać mężczyźni, którzy tak niewiele mają w sobie czułości?

- Idę zrobić kawę.

- Jest gotowa.

- O... - Abby zawahała się. Nie miała serca odrywać chłopców od zabawy. - Ben, Chris, jak tylko się skończy film, przyjdźcie na śniadanie, a potem pomożecie mi nakarmić zwierzęta.

- Już to zrobiliśmy - oznajmił Ben, szczęśliwy, że ominął ich wykład na temat braku szacunku dla mebli.

- Nakarmiliście już inwentarz?

- I zjedliśmy śniadanie. Omlety - wyjaśnił Chris.

- Dylan robi pyszne omlety.

- Och. - Abby wsunęła ręce do kieszeni. Czuła się głupio i, co gorsza, bezużytecznie. -

No to podgrzeję kawę.

- Opowiecie mi potem, co było dalej - rzucił do chłopców Dylan i poszedł za nią do kuchni. - Coś nie tak?

- Nie. - Wszystko nie tak, odpowiedziała w myślach i odwróciła się, by zapalić gaz. Jak ma dotrzymać danych sobie obietnic, kiedy patrzy, jak Dylan bawi się z jej dziećmi? Czym ma zająć myśli, skoro wszystkie obowiązki już wykonano, zanim nawet zdążyła zacząć? Nie, nie ma w nim ani trochę czułości, serdeczności. Musi to sobie powtarzać, musi w to wierzyć, żeby nie...

Kiedy wziął ją za ramiona, zeszywniała. Zignorował to i obrócił ją ku sobie. Patrząc jej prosto w oczy, przyłożył jej rękę do czoła.

- Nadal masz gorączkę. - Czuję się dużo lepiej.

- Czujesz się strasznie - zawyrokował. Wziął ją za ramię i podprowadził do stołka. - Usiądź.

- Dylan, ja panuję nad swoim życiem.

- W porządku. Zaczynasz znowu od poniedziałku.

- A co niby mam robić do tego czasu? - Abby opadła na stołek. - Męczy mnie leżenie w łóżku i jedzenie zupy. Mam dość termometru wpychanego mi do ust i aspiryny wlewanej do gardła.

- Jednym z pierwszych symptomów zdrowienia jest marudność. - Dylan postawił przed nią szklankę soku. - Wypij.

- Dobry jesteś w wydawaniu rozkazów.

- A ty kiepska w ich słuchaniu.

Abby skrzywiła się, wzięła jednak sok i wypila.

- Proszę. Zadowolony?

Nie był pewien, czy rozbawiło go to, czy rozzłościło. Okrążył stół i podszedł do niej.

- Co cię gryzie?

- Już ci mówiłam. Ja... - Zamilkła, gdy ujął ją pod brodę.

- Nie powiedziałaś mi nawet połowy. Ale zrobisz to. - Nie mogąc się oprzeć, gładził kciukiem jej policzek.

- Przestań. - Uniosła rękę, by odepchnąć jego dłoń, ale nie mogła się na to zdobyć.

- Ludzie to moja specjalność - szepnął. - Do tej pory jeszcze nie odkryłem, co jest motorem twojego działania. Lubisz wyzwania, Abby?

- Nie - odrzekła z jakąś głuchą rozpaczą. - Nie lubię.

- A ja tak. - Drugą rękę zanurzył w jej włosy, wciąż jeszcze wilgotne po kąpieli. - Są bardzo intrygujące, a w niektórych przypadkach podniecające. Myślał o niej całą noc. Myślał o niej i o tym, czego chce on sam. Im dłużej myślał, tym bardziej był przekonany, że te dwie rzeczy to jedno i to samo. Dotknął wargami jej ust. - Podniecasz mnie, Abby. Co my, do cholery, z tym zrobimy?

- Przestań. - Próbowwała jeszcze z nim walczyć.

- Dzieci...

- Jeśli do tej nie pory nie widziały swojej mamy całującej się z mężczyzną, to najwyższy czas.

Tym razem nie było to już muśnięcie, lecz prawdziwy pocałunek. Długi i zaborczy.

Czy tak mężczyzna całuje kobietę, której pragnie, na której mu zależy? Czy to tego brakowało w jej życiu, czy tego pragnęła, nawet o tym nie wiedząc? Jeśli tak, to nie będzie w stanie długo się opierać. Delikatność rozbroiła ją dużo szybciej niż jakiegokolwiek żądania. Wolno, ostrożnie poddała się jego ustom. W głowie jej się kręciło, ale to na pewno z powodu gorączki. Jeszcze potrzebowała tej wymówki.

A on? Nie obchodziło go w tej chwili, jaką Abby prowadzi grę, jakie mówi mu kłamstwa. Istniała tylko ona. Na pytania i odpowiedzi przyjdzie czas później.

- Chciałbym wziąć cię do łóżka - szepnął. - Nie długo, Abby, bardzo niedługo.

- Dylan, ja...

- Mierzysz mamie gorączkę?

Abby odskoczyła i oniemiała wpatrywała się w Chrisa. Stał i patrzył na nią i Dylana ze swą nieodłączną, przyjazną ciekawością.

- Jeżeli ja mam gorączkę, to mama też czasem całuje mi czoło. Mogę się czegoś napić?

- Tak. - Abby szukała odpowiednich słów, a Dylan szklanki. - Dylan tylko...

- Mówił twojej mamie, że powinna wrócić do łóżka - dokończył za nią Dylan. - A ty i Ben wólcie kurtki. Jedziemy do miasta.

- Do miasta? - Kiedy na niego spojrzała, dostrzegła w jego oczach chłodne rozbawienie. Wiedziała, że tego właśnie powinna się spodziewać.

- Skończyło się nam parę rzeczy - wyjaśnił. A ja muszę pobyć daleko od ciebie, żeby wrócić do równowagi, dodał w duchu.

- Dostanę gumę? Bez cukru - dodał Chris.

- Być może...

Chris zostawił na stole nie dopity sok i pobiegł po brata.

- Nie musisz ich zabierać - zaczęła Abby.

- Lubię towarzystwo.

- O, tego będziesz miał aż nadto - zaśmiała się z ulgą. - Byłeś kiedyś w sklepie z dwoma małymi chłopcami?

- Mówiłem ci już, że lubię trudne sytuacje. - Dylan już się nie uśmiechał.

- Owszem, mówiłeś. - Z trudem zachowując spokój, wstała ze stołka. - Namówią cię, żebyś kupił dwa razy więcej, niż potrzebujesz.

- Jestem jak skała.

- Tylko potem nie mów, że cię nie ostrzegałam. Na szczęście - dla niej, dla niego?

- do kuchni wpadli Chris z Benem, gotowi na kolejną przygodę.

Abby zawarła kompromis z samą sobą. Rzeczywiście miała mnóstwo roboty i bardzo niewiele sił. Na początek postanowiła zająć się rachunkami. To można zrobić na leżąco.

Ponieważ w domu było cicho, włączyła stojące obok łóżka radio. Choć już dawno pogodziła się z faktem, że będzie to nie kończący się cykl, zawsze z satysfakcją płaciła kolejne raty, zmniejszając tym samym dług.

Najważniejszy był i zawsze będzie dom. To zabezpieczenie dla jej rodziny i dla niej samej. Jeszcze czternaście lat i dwa miesiące, pomyślała, zaklejając kopertę. Czternaście lat. Chłopcy będą już dorośli. Chciała, by dom, w którym się wychowali, był dla nich ważny, pełen dobrych wspomnień, miłości, śmiechu i nawet poczucia odpowiedzialności. Tego nie mogła im dać samym wypisaniem czeku. Chciała, by to zrozumieli. Ważne kim się jest, a nie co się ma. Niestety, nie wszyscy o tym wiedzą.

Z wdzięcznością, ale i z żalem wypisała comiesięczny czek dla Grovera Stanholza - z wdzięcznością dla niego za pożyczkę, z żalem, że w ogóle ta pożyczka była konieczna. Żal nic tu nie pomoże. Pomoże wywiązanie się ze zobowiązań.

Żrebaki. Jeśli uzyska za nie dobrą cenę, będzie bliżej uwolnienia się przynajmniej od jednego z tych zobowiązań. Westchnęła i napisała list, który zawsze dołączała do czeku.

Drogi Groverze, Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Dzieci czują się znakomicie i, tak jak ja, wyglądają końca zimy. Pogoda nareszcie zaczęła się poprawiać, choć gdzieś tam leżą jeszcze płyty śniegu i lodu.

Chcę jeszcze raz podziękować Ci za zaproszenie na Florydę. Wiem, że chłopcy byliby zachwyceni, ale nie mogłam zostawić farmy ani zwolnić ich ze szkoły, nawet na parę dni.

Dwie z moich klaczy wkrótce się ożrebią. Wiosna zapowiada się interesująco. Gdybyś miał ochotę na wycieczkę na Północ, serdecznie zapraszam. Chciałabym, żebyś zobaczył, co dzięki Tobie udało mi się osiągnąć.

Pozdrowienia

Abby

Podziękowań nigdy dość. Abby złożyła list i westchnęła. Tak niewiele mogła powiedzieć. Mogłaby napisać o Dylanie. Rozmawiała z Groverem o ich wspólnym wkładzie w jego książkę i wiedziała, że Dylan już się z Groverem kontaktował. Uznała jednak, że dla obojga lepiej będzie na razie nie poruszać tego tematu. Może potem, gdy książka już się ukáže. Stanholz kochał Chucka jak ojciec i jak ojciec go opłakiwał. Mogła mu tylko parę razy w roku posyłać zdjęcia dzieci i uprzejmy list z każdym kolejnym czekiem.

By otrząsnąć się z ponurego nastroju, pokręciła głową i zajęła się rachunkami. Część zapłaci, część musi poczekać. A na jej koncie zostanie dwadzieścia siedem dolarów i czterdzieści centów. Wtedy skorzysta z funduszu nadzwyczajnego. Po to przecież takie fundusze są. Za miesiąc chłopcom będą potrzebne nowe buty, a dwadzieścia siedem dolarów na to nie wystarczy. To najlepszy dowód, że godząc się na tę książkę, postąpiła słusznie. Kiedy urodzą się żrebaki...

Dość. Zdecydowanym ruchem zamknęła zeszyt i poskładała papiery. Nie da się wciągnąć w pułapkę. Nie będzie więcej rozmyślać o pieniądzach. Wie, że na razie wystarczy.

Westchnęła ciężko, oparła się o poduszki i zapatrzyła w sufit. Choćby nie wiem jak chciała, nie miała sił, by wziąć się za szorowanie podłogi czy za cokolwiek innego z długiej listy codziennych zajęć. Nie zamierzała jednak wegetować. Kiedy ostatnio miała wolną sobotę? Na samą tę myśl zachciało jej się śmiać. A ile razy o niej marzyła? Tak, spełniło się wreszcie jedno z jej marzeń, a ona wcale nie była zachwycona.

Położyła się na boku i jej wzrok padł na leżący na stoliku termometr. Zlekceważyła go. Ale obok stał telefon. Wzięła go po chwili wahania. Przecież zapłaciła właśnie większość rachunków, prawda? Czy to nie najlepsza chwila na odrobinę ekstrawagancji?

Głos w słuchawce odezwał się dopiero po trzecim sygnale.

- Cześć.

Już samo jego brzmienie sprawiło jej przyjemność.

- Maddy!

- Abby! Super. Właśnie myślałam o tobie! - Maddy terkotała jak katarynka. - To telepatia. Podobno zdarza się to u trojaczków. Co słyhać?

- Mam grypę i czuję się bardzo biedna.

- Maleńka... Leżysz grzecznie w łóżku? Pamiętasz, żeby pić? Założę się, że nie wzięłaś ani jednej z tych witamin, które ci przysłałam.

- Owszem, wzięłam. - Zażyła w sumie pięć, po czym fiołka wylądowała na dnie szuflady. - Dziś czuję się już nawet trochę lepiej.

Maddy ominęła leżący na środku pokoju but i usiadła na kupce gazet.

- A jak potwory?

- Cudownie. Nienawidzą szkoły, często nienawidzą siebie nawzajem, rozrzucają ubrania i zabawki po całym domu i rozśmieszają mnie co najmniej sześć razy dziennie.

- Szczęściara z ciebie.

- Wiem. Opowiedz mi o Nowym Jorku, Maddy. Chcę się na moment od wszystkiego oderwać.

- W zeszłym tygodniu mieliśmy trochę śniegu. Było przepięknie. - Maddy rzadko zauważała, jak szybko przemieniał się on w szarą breję. - Miałam wolny dzień i poszłam na spacer do Central Parku. Było jak w bajce. Nawet złodziejaszki wpadły w zachwyty.

Nie ma sensu jej przypominać, że takie samotne spacerowanie nie są zbyt rozsądne.

- Jak idzie sztuka?

- Chyba mogliśmy ją grać bez końca. Wiesz, że mama z tatą wpadli tu w zeszłym miesiącu? Mieli parę koncertów w Catskills i namówiłam ich na objazd Manhattanu. Tata strasznie pokłócił się z choreografem.

- Wyobrażam sobie. Jak się mają?

- Im są starsi, tym wydają się młodszy. Nie mam pojęcia, jak oni to robią. Abby, a jak sprawa z książką? - Tylko siostra wyczuła, że powiedziała to po chwili wahania.

- Dobrze. - Abby starała się mówić spokojnie i obojętnie. - Nawet przyjechał już pan pisarz.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

- Szkoda, że nie zaczekałaś, aż któreś z nas mogłoby do ciebie przyjechać.

- To bez sensu. Ale tęsknię za wami, za tobą i Chantel, i mamą, i tatą. I Trace'em.

- Dostałam telegram.

- Od Trace'a? Gdzie tym razem jest?

- W Maroku. Chciał mnie poinformować, że pokazał moje zdjęcie jakiemuś szejkowi i facet ofiarował mu za mnie dwanaście wielbłądów. Dobrze, co?

- Przyjął?

- Wcale by mnie to nie zdziwiło. Wiesz co? Zastanawiam się, czy nie wycofać się już z tego przedstawienia.

- Dlaczego? Mówiłaś, że moglibyście je grać bez końca.

- Tak, i o to chodzi. To dla mnie za łatwe. Od roku nic nowego. - Nurkując pod stojący obok stolik, Maddy wydobyła klips, który dawno uznała za zgubiony na zawsze. Machinalnie przypięła go sobie do ucha. - Chyba już pora wziąć się za coś innego. Gdybym się zdecydowała, mogłabym wpaść do ciebie na parę dni?

- O, Maddy, marzę o tym.

- No to bądź gotowa, mała. Muszę już kończyć. Za godzinę mam popołudniówkę. Ucałuj chłopaków.

- Dzięki. Pa.

Abby zamknęła oczy i wyobraziła sobie siostrę, jak chwyta torbę, szuka kluczy i z rozwianymi włosami wybiega z domu, dziesięć minut spóźniona na charakteryzację. Cała Maddy. Jest gwiazdą słynnego musicalu, chwalonego przez krytyków i uwielbianego przez publiczność, a myśli tylko o tym, co czekają za rogiem. Oj, Maddy, Maddy.

A na mnie czeka pranie, westchnęła i zwlokła się z łóżka.

Godzinę później z satysfakcją mogła stwierdzić, że panuje już przynajmniej nad częścią swego życia. Ubrana w dres niosła właśnie na piętro pierwszą partię czystego, porządnie poskładanego prania, kiedy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i do środka wpadł Chris z Benem. Oraz pies.

- Sigmund! - Z dzikim okrzykiem odskoczyła w ostatniej chwili, unikając zderzenia z futrzaną kulą.

- Mamo, mam, mam nową ciężarówkę. - Rozpromieniony Chris z buzią pełną gumy pokazywał jej błyszczącego, nowego pikapa.

- No, no, niezła. - Abby odstawiła koszyk i dokładnie, tak jak zapewne oczekiwał synek, obejrzała nowy nabytek.

- A ja mam samolot! - Ben podskakiwał, by zwrócić jej uwagę na siebie. - Odrzutowy.

- Ojej, pokaż. Wygląda na szybki. A gdzie jest...

Nie skończyła, bo w holu pojawił się Dylan z dwiema ogromnymi torbami zakupów w rękach.

- Chłopaki, przynieście resztę.

- Jasne! - I już ich nie było. Psa też.

- Jak skała, tak? - uśmiechnęła się Abby.

- Czy nie powinnaś przypadkiem być w łóżku?

- Byłam. Ale wstałam - dodała, idąc za nim do kuchni. - Dylan, to bardzo miło z twojej strony, że kupiłeś chłopcom prezenty, ale nie powinieneś ulegać ich namowom.

- Łatwo ci mówić - mruknął pod nosem. Nie potrafił jeszcze przyznać, jaką przyjemność sprawiło mu kupno tych paru plastikowych zabawek. - Zresztą i tak nieźle sobie poradziłem. Ben zażądał bomby atomowej.

- Była na liście jego gwiazdkowych prezentów. - Abby zajrzała do jednej z toreb i wyciągnęła pudełko małych, czekoladowych ciasteczek. - Murzynki?

- Lubię murzynki.

- Yhm. I magnum.

- I magnum - potwierdził, wyjmując lody z jej ręki.

- I masz jeszcze wszystkie zęby?

- Mam ci pokazać?

- I wiesz co jeszcze? - Do kuchni wtoczył się zgięty pod ciężarem ogromnej torby Chris. Abby uwolniła go od niej, postawiła ją na stole, a jego wzięła na ręce.

- No co?

- Mamy niespodziankę. - Mały objął ją nogami w biodrach i wybuchnął śmiechem.

- Miałeś nie mówić. - Udając, że wcale go to nie męczy, Ben wniósł do kuchni ostatnią torbę.

- Rozumiem. Po takiej ciężkiej pracy należy wam się dobry lunch.

- Już jedliśmy. - Ben z zainteresowaniem patrzył na pudełko z murzynkami. -
Hamburgery.

- I frytki.

- Fajny dzień, co?

- Niezły. Idę przykleić naklejki na mój samolot. Chodź, Chris.

Na ten wydany niemal królewskim tonem rozkaz mały posłusznie wybiegł za bratem.

- Czy oni nigdy normalnie nie chodzą? - spytał ze śmiechem Dylan.

- A jak było w sklepie? - Abby zaczęła rozpakowywać zakupy, ale bardziej od nich interesował ją Dylan. - Jestem trochę zdziwiona - zaczęła. - Nie wyglądasz na kogoś, komu dobrze by zrobiły proszek od bólu głowy i drzemka.

- A powinienem tak wyglądać?

- Nie wiem. Prawdę mówiąc, wyglądasz, jakbyś się dobrze bawił.

- Bo tak było. Dziwi cię to?

- Tak. - Chuck nigdy się z nimi nie bawił. Irytowali go, męczyli i denerwowali. - Większość mężczyzn, szczególnie kawalerów, nie uważa zakupów z dziećmi za beczkę śmiechu.

- Generalizujesz.

- Właściwie to nawet nie wiem, czy masz dzieci. - Nie mam. Moja eks-żona była modelką. Nie miała ochoty przerywać kariery.

- Przykro mi.

- Z jakiego powodu? - Dylan spojrzał na nią z lekkim uśmiechem.

- Rozvodu. To raczej niemiłe doświadczenie.

- W moim przypadku to małżeństwo było niemiłym doświadczeniem. Trwało tylko półtora roku.

Tak krótko, pomyślała. A jednak Dylan wyglądał jej na człowieka, który szybko przyznałby się do błędu i poradził sobie z nim.

- Mimo to rozwód nigdy nie jest przyjemny.

- A małżeństwo rzadko.

Już otworzyła usta, by zaprzeczyć, ale odkryła, że brak jej amunicji.

- Ale rozwód to przyznanie się do porażki, prawda?

Nie mówiła o nim. Dylan wziął butlę mleka i schował ją do lodówki. Zastanawiał się, czy Abby zdaje sobie sprawę, jak jest przezroczyista.

- To małżeństwo było porażką. Nie ja.

- Pewnie łatwiej, jak nie ma dzieci.

- Nie wiem. Powiedziałbym, że jeśli małżeństwo jest złe, to po prostu jest złe. Nie ma co udawać, że jest inaczej.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że na nią patrzy. Szybko docierał do sedna.

- No to zrobione - oznajmiła, odkładając ostatnie zakupy na miejsce.

- Jeszcze nie, ale prawie. - Podeszedł do niej i przyłożył jej rękę do czoła. - Gorączka spadła.

- Mówiłam, że czuję się lepiej.

- To dobrze. Chcę, żebyś całkowicie odzyskała siły, zanim znów zaczniemy. Lubię grać fair, kiedy to możliwe.

- A jeśli nie?

- To nie. Wierzysz w zasady, Abby?

- Oczywiście.

- Nie ma żadnego oczywiście. Ludzie ustalają zasady, a potem albo ich przestrzegają, albo je ignorują. Mądrzy się z nimi nie boksują. Muszę jeszcze coś zabrać z samochodu.

Niezadowolona z niego i z siebie, Abby wzięła koszyk z praniem i poszła do swojego pokoju. Po drodze słyszała, jak chłopcy kręcą się po pokoju Bena.

Do jakiego stopnia Dylan domyślał się prawdy o jej małżeństwie? Nie zamierzała przedstawiać mu go przecież jako ideału? Miało być po prostu nonnalne. Tak postanowiła. Nie zamierzała wspominać o łzach i złamanych obietnicach, o kłamstwach i rozczarowaniu. Nie da się ukryć niewierności opisanej ze szczegółami w brukowcach, ale można ją pomniejszyć, zlekceważyć. I nigdy, nigdy nie wpadło jej do głowy, że Dylan może odkryć, iż wiele tygodni przed ostatnim wyścigiem Chucka złożony został pozew rozwodowy.

Abby podeszła do okna i spoglądała na swoją ziemię. Nie, Dylan o tym nie wie. Nie było powodu, by rozmawiał z jej adwokatem. A jeśli nawet, to przecież istnieje coś takiego jak tajemnica zawodowa. Przed czterema laty z przerażeniem myślała, że będzie musiała wyznać dzieciom, iż zamierza rozwieść się z ich ojcem. Zamiast tego musiała im powiedzieć, że ich ojciec nie żyje.

Chris tego nie zrozumiał. Ledwo do niego docierało, kto jest jego ojcem, a śmierci w ogóle nie pojmował. Ale Ben był już wielu rzeczy świadomy. Płakali razem i tej nocy leżeli razem w łóżku, w tym samym, w którym spędziła tyle innych nocy. Sama.

Teraz mówiła im tylko to, co jej zdaniem wiedzieć powinni. Musiała ich chronić. Problem polegał na tym, że nie była pewna, czy potrafi.

- Mamo. - Ben bez pukania otworzył drzwi. Masz zejść na dół. Niespodzianka gotowa. Był zarumieniony z wrażeń i rozczulająco potargany.

- Ben. - Podeszła do niego i mocno przytuliła. - Kocham cię.

Zakłopotany, ale i szczęśliwy, chłopczyk zaśmiał się cichutko. A ponieważ byli sami, uścisnął ją z całych sił.

- Kocham cię, mamo.

- No to co to za niespodzianka?

- Nie powiem.

- Powiesz mi, i to zaraz. Mam swoje sposoby. Abby już szykowałą się, by go połaskotać.

- Mamo! - krzyknął z dołu zniecierpliwiony Chris. - Chodź na dół. Dylan mówi, że bez ciebie nie zaczniemy.

Dylan mówi... Ben skorzystał z okazji, wyrwał się matce i ruszył ku schodom.

- Pospiesz się.

- No dobrze, idę. A gdzie reszta?

Zastała ich w salonie, pochylonych nad wideo.

- A co to, takiego?

- Dylan wypożyczył. - Rozpromieniony Chris wskoczył na kanapę. - Można na tym wyświetlać filmy.

- Wiem. - Abby patrzyła na Dylana, który zręcznie łączył liczne kable i wtyczki.

- Powiedział, że skoro nie możemy iść do kina, to zrobimy kino w domu. Wzięliśmy „Gwiezdne wojny”.

- „Gwiezdne wojny”? Nie zniosę tego!

- Zostałem przegłosowany - wyjaśnił Dylan. - Na zapleczu mieli dużo ciekawsze filmy.

- Nie wątpię.

- Wziąłem też to. - Podał jej drugą kasetę.

- „Bezprawie”. Wielka rola Chantel. W tym filmie była naprawdę wspaniała.

- Zawsze miałem do niego słabość.

- Do dziś pamiętam, jak siedziałam na widowni i patrzyłam na nią na ekranie. To niesamowite uczucie. - Trzymała w ręku tylko kasetę, a czuła, jakby trzymała samą Chantel. Wiedziała, że nie jest sama. - To zabawne. Parę godzin temu rozmawiałam z Maddy, a teraz...

- My też możemy obejrzeć Chantel? - Ben aż drżał na samą myśl o takim szczęściu. - Lubię patrzeć, jak strzela do tego faceta w kapeluszu.

Abby wahała się. Chłopcy patrzyli na nią wyczekująco. Dylan tylko uniósł brwi. Podała się. Nie tylko dla ich dobra.

- Chyba przyda nam się prażona kukurydza.

- Masz siłę zrobić?

- Jakoś dam sobie radę.

Dwadzieścia minut później leżeli rozciągnięci na kanapie i oglądali pierwszą z serii laserowych wojen. Ben, jak zwykle, był po stronie tych złych. Chris mocno zacisnął paluszki na ramieniu Abby, a ona uspokajająco szeptała mu coś do ucha.

Jest tak normalnie. Ta jedna myśl cały czas krążyła jej po głowie. Film i domowa prażona kukurydza w chłodne sobotnie popołudnie to przecież nic wielkiego, a jednak nigdy nie chciała niczego więcej. Odprężyła się i położyła dłoń na oparciu kanapy, muskając przy tym rękę Dylana. Chciała ją cofnąć, potem spojrzała na niego.

Patrzył na nią ponad głowami jej synów. Pytania, które zawsze widziała w jego oczach, nadal tam były, ale zaczynała się już do nich przyzwyczajać. I do niego.

Zrobił to dla niej, dla jej dzieci. I może, ale tylko może, także dla siebie. Może właśnie tylko to się liczy. Uśmiechnęła się i wtuliła rękę w jego dłoń.

Nie był przyzwyczajony do takiej bezpośredniości ze strony kobiety. Po prostu się uśmiechnęła i wzięła go za rękę. Nie było w tym geście ani cienia flirtu, żadnej ukrytej obietnicy. Gdyby chciał przyjąć go za dobrą monetę, powiedziałaby, że było to zwyczajne „dziękuję” .

A więc na tym polega rodzina. Na hałaśliwych weekendach z zakupami, filmem, kukurydzą i buziami lepкими od lodów. Na ciepłym uśmiechu kobiety, szczęśliwej, że jesteś przy niej. Na setkach pytań kłębiących się w małych głowach, na które natychmiast trzeba odpowiedzieć.

Zawsze chciał mieć rodzinę. Kiedyś wmawiał sobie, że bardziej pragnie Shannon z jej szczupłym, niesamowitym ciałem. Bawili się i na tym polegało ich życie. A potem ona chciała coraz więcej - więcej pieniędzy, więcej zabawy, więcej sławy. A on? Sam nie wiedział, czego chce najbardziej.

Ale gdyby mógł uwierzyć, że kobieta siedząca obok tej dwójki dzieci jest prawdziwa, to może właśnie jej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dzięki zaległościom w domowych zajęciach Abby przez cały ranek mogła unikać Dylana. Kiedy budziła chłopców do szkoły, słyszała stukot jego maszyny. Stały i równomierny, bez chwili przerwy dla twórczego namysłu. Może dla niego grzebanie w życiu innych ludzi to rutyna.

Odgłos ten z całą mocą przypomniał jej, że weekend był tylko odroczeniem. Teraz nadszedł poniedziałek, ona wyzdrowiała i wkrótce znów zaczną się pytania. Miała nadzieję, że odzyska pewność siebie i odpowie tylko na te, na które zechce, i to po swojemu.

Na szczęście codzienna rutyna działała na nią uspokajająco - brzęk śniadaniowych naczyń, zapach kawy, pospieszne wyprawianie dzieci na szkolny autobus. Każdego ranka odprowadzała ich wzrokiem, gdy szli wąską dróżką. Są jej synami. Ci dwaj przyszli mężczyźni w wełnianych czapeczkach ruszający na spotkanie kolejnego dnia są ciałem z jej ciała. Fascynujące, cudowne i odrobinę przerażające.

Choć dawno już zniknęli, jeszcze przez chwilę wpatrywała się w dal. Cokolwiek się zdarzy, cokolwiek przyniesie jej życie, tego nikt nigdy jej nie odbierze. Dzień nie wydawał się już taki straszny. Idąc kilka minut później w stronę stajni, usłyszała nadjeżdżający samochód. Poszła w tamtą stronę i przed domem zobaczyła wyskakującego z kabiny ciężarówki pana Petriego. Aż chciała go ucałować.

- Dzień dobry pani. - Uśmiechnął się i splunął tytoniem.

- Dzień dobry. Jak to dobrze, że pan przyjechał - dodała, poprawiając trzymany w rękę kosz z jajkami. - Jest pan pewien, że grypa minęła i może pan wracać do pracy?

- Absolutnie.

Wyglądał zdrowo. Pod kilkudniowym zarostem jego twarz była czerstwa i rumiana. Był tylko niewiele od niej wyższy, ale mocno zbudowany i dobrze odżywiony.

- Skoro żona wypuściła pana z domu, to chyba rzeczywiście może pan trochę poprzerzucać to moje Siano.

- Straszna z niej niańka. - Mężczyzna uśmiechnął się czule. - Przez cały tydzień nade mną skakała. Ale pani wygląda nie najlepiej.

- E, czuję się zupełnie normalnie. Właśnie zabierałam się za stajnię.

- Jak nasze damy?

- Wspaniale. - Ramię w ramię szli powoli po schnącej ziemi. - W piątek był weterynarz i obie zbadał. W ciągu tygodnia i Eve, i Gladys zostaną matkami.

- Jorgensen też się pojawił? - Petrie znów splunął na ziemię.

- Tak, jest zainteresowany kupnem.

- Niech mu się pani nie da oszwabić. To spryciarz.

- Nie ma obawy - uspokoiła go Abby.

Znali się pięć lat, od prawie dwóch dla niej pracował, więc jej wierzył. Może i wygląda jak te panny z magazynów kupowanych przez jego żonę, ale jest twarda. Samotna kobieta musi być twarda.

- Wie pani co? Niech pani wyprowadzi konie i wyszczotkuje je, a ja posprzątam boksy.

- Ale...

- W zeszłym tygodniu sama pani walczyła z tymi widłami. Trochę słońca dobrze pani zrobi. Zresztą muszę zrzucić trochę tych frykasów, które wpychała we mnie moja stara. Byłem za słaby, żeby się bronić. Co, słonko? - Petrie pogłaskał Eve po szyi. Jego pokryte odciskami palce były zdumiewająco delikatne. - Stary Petrie wrócił - dodał, podając jej marchewkę.

- Tęskniła za panem.

- Jasne. - Przeszedł do następnego boks i równie ciepło powitał drugą klacz. - Wie pani co? Gdybym miał pieniądze, też kupiłbym sobie taką klacz.

Abby знаła jego sytuację finansową, wiedziała, że żyje głównie z zasiłku. Smutno jej było, że nie może płacić mu więcej.

- Ja bez pana pomocy nie miałabym żadnej z nich.

- No, bez przesady... Ale może zapłaciłaby pani za dużo. Wtedy była pani jeszcze zielona, ale to już przeszłość.

W jego ustach był to wyjątkowy komplement. Abby z dumą wyprowadziła konie na dwór i zabrała się za ich szczotkowanie.

Dylan obserwował ją z okna swego pokoju. Abby śpiewa. Nie słyszał tego, ale domyślił się z ruchów jej warg. Patrzył, jak czyści podkowy, czesze grzywy, szczotkuje boki koni. Była w niej jakaś nieznana mu dotąd lekkość. No tak, przecież myśli, że nikt jej nie widzi.

Zdjęła rękawiczki, ale jej drobne ręce, jakby stworzone do podawania herbaty, znakomicie radziły sobie z tą ciężką, mało kobiecą pracą. A gdyby dotknęły jego skóry? Gdyby pieściły jego ciało, poznawały je, badały? Czy wtedy też miałyby takie rozmarzone oczy? Nie, lepiej trzymać się od niej z daleka.

Jej twarz pewnie nie jest już blada. Poranne powietrze na pewno wywołało na niej rumieńce, a ruch rozgrzał jej mięśnie. Gdyby się z nią kochał, pewnie też nie byłaby blada. Zarumieniłoby ją podniecenie. Prawie czuł smak jej skóry w tych tajemniczych miejscach, ukrytych teraz pod grubą warstwą ubrania. Jego serce zaczęło szybciej bić.

Nie pierwszy raz pragnął kobiety. Czasem jego pragnienie było zaspokojone, czasem nie. Namietność przychodziła i odchodziła. Wybuchwała i znikwała. Wiedział już coś o tym. To, że pożąda jej teraz, patrząc na nią przez okno, nie znaczy wcale, że będzie jej pragnął jutro. Żądza nie może rządzić ludzkim życiem - ani żądza pieniądza, ani władzy, a już na pewno nie ta dotycząca kobiety.

Mimo to nadal na nią patrzył, a za jego plecami czekała włączona maszyna do pisania.

Patrzył, jak Abby wprowadza konie z powrotem do stajni, najpierw dwa, potem trzy. Nagle, najwyraźniej pod wpływem impulsu, wskoczyła na wielkiego geldinga, którego nazywała Judd. Tylko z uzdą wyprowadziła go z padoku i ruszyła wąską, kamienistą ścieżką wiodącą ku wzgórzom.

Chciał otworzyć okno i krzyknąć, by się nie wygłupiała. Widział jej kolana mocno przyciśnięte do boków zwierzęcia i rękę trzymającą uzdę. Ale przede wszystkim, kiedy słońce padło na jej twarz, dostrzegł na niej wyraz absolutnego szczęścia. Prowadziła konia w tę i z powrotem po drodze - dziesięć, piętnaście minut. Jej włosy falowały z każdym ruchem, lecz ani razu ich nie poprawiła. A kiedy zeskoczyła na ziemię, wiedział, że się śmieje. Poklepała Judda po szyi i szepnęła mu coś do ucha.

Facet, który jest zazdrosny okonia, chyba traci głowę. Wiedział o tym, ale nadal stał w oknie, czekając, aż się opanuje. A może czekał na coś innego? Coś nieuniknionego? Kiedy zniknęła w stajni, powinien wrócić do pracy, a on wciąż stał i na coś czekał.

Po chwili wróciła ze wspaniałym ogierem. Nie był już tak posłuszny jak gelding, prychał, próbował się wyrwać, a raz nawet kopnąć. Ale i z nim sobie poradziła. Jemu też coś szeptała. Do jasnej cholery, kim jesteś? - pytał ją w myślach. Przycisnął rękę do szyby, jakby chciał ją zmusić, by na niego spojrzała, usłyszała i odpowiedziała na to pytanie. Jeśli jest prawdziwa, to czemu kłamie? Jeśli ma takie zasady i wartości, jak to z pozoru wygląda, to jak może kłamać?

I będzie to robić tak długo, aż ją na tym przyłapie. Dzisiaj. Dzisiaj, Abby. Westchnął i z powrotem zasiadł przy maszynie.

Było po jedenastej, kiedy usłyszał, że wraca do domu. Miał już gotowy zarys zawodowych początków Rockwella. Opisał jego pierwsze spotkanie z Abby z jej perspektywy, wykorzystując cytaty z jej opowieści i parę informacji o jej rodzinie. Ludzi na

pewno zainteresuje siostra jednej ze wschodzących gwiazd Hollywoodu i sławnej aktorki Broadwayu. Wspomniał oczywiście, że są trojaczkami, napomknął o ich wspólnych występach. Trzy siostry, trzy aktorki. Rolę Abby zamierzał jednak napisać na nowo.

Usłyszała, jak Dylan wchodzi, lecz nie przerwała mycia jajek.

- Dzień dobry - rzuciła przez ramię. - Kawa gotowa.

- Dzięki.

Spojrzała na niego dopiero wtedy, gdy podszedł do kuchenki. Był nie ogolony. Poczula jakiś dziwny dreszcz - może na myśl o tej szorstkiej, mało cywilizowanej twarzy drapiącej jej policzek.

- Petrie wrócił. Myślałam, że zechce jeszcze dzień czy dwa odpocząć, ale stęsknił się za końmi.

- Skończyłaś już w stajni?

- N a razie. Do kłaczy muszę jednak co jakiś czas zaglądać.

- W porządku. - Dylan przyniósł sobie kawę na stół, zapalił papierosa i włączył dyktafon. - Kiedy postanowiliście się rozwieść?

Jajko, które trzymała właśnie w ręku, upadło na podłogę. Abby z niemym zdziwieniem popatrzyła na galaretowato żółtą plamę. Bez słowa zaczęła sprzątać.

- Czy mam powtórzyć pytanie?

- Nie. - Jej głos brzmiał słabo i niepewnie, powtórzyła więc to słowo: - Nie, ale bardzo jestem ciekawa, skąd ci to przyszło do głowy.

- Lori Brewer.

- Rozumiem. - Sprzątnęła jajko i zaczęła myć ręce.

- Sypiała z twoim mężem.

- Wiem o tym. - Wycierając ręce, z ulgą stwierdziła, że nie drżą. Dobrze. Bardzo dobrze.

- Nie ona pierwsza.

- O tym też wiem. - Abby nalewała teraz kawę.

- Kobieto, czy ty masz serce z kamienia? Twój mąż sypiał z każdą kobietą, którą udało mu się zaciągnąć do łóżka. Zdradzał cię i oszukiwał. Lori Brewer była ostatnią w bardzo długiej kolejce.

Czy chce ją zranić? Czy myśli, że ją to zaboli? Kiedyś owszem, bardzo cierpiała z tego powodu, ale było, minęło. Teraz interesował ją raczej gniew, jaki dostrzegła w oczach Dylana.

- Skoro oboje o tym wiemy, to o czym tu rozmawiać?

- Czy chciał cię dla niej rzucić?

Wypiła łyk kawy dla uspokojenia nerwów. Na to akurat pytanie może mu odpowiedzieć zupełnie szczerze.

- Chuck nigdy nie poprosił mnie o rozwód, choć być może Lori Brewer powiedział coś innego.

Instynkt podszeptał mu, że tym razem mówi prawdę. Tym gorzej.

- To nie jest głupia kobieta. Twierdzi, że w ciągu roku mieli się pobrać.

- Nie mogę komentować jej stwierdzeń.

- A co możesz? - Ogarniał go coraz większy gniew, a do tej pory właśnie gniew był dla niego całkiem dobrym doradcą. Może dzięki niemu jakoś do niej dotrze, przebije się przez tę niewidzialną tarczę, którą się przed nim osłania. - Może mi powiesz, jak to jest, kiedy wiesz, że mąż cię zdradza?

Wiedziała, że w końcu padnie to pytanie. Mimo to odpowiedź wcale nie była łatwiejsza.

- Chuck i ja... dobrze się rozumieliśmy. Ja... wiedziałam, że jest w ciągłym stresie, że całe miesiące spędza w trasie...

- I to jest usprawiedliwienie?

Nie była tak spokojna, jak by chciała, ale wciąż jeszcze nad sobą panowała.

- Nie mówię o usprawiedliwieniach, Dylan. Ale to jest jakiś powód.

- Uważasz, że skoro był z dala od ciebie, ogarnięty żądzą wygranej, to mógł sobie pozwolić na kobiety, na wódkę, na narkotyki?

- Narkotyki? - Jej twarz zbiałała. Jeśli zaskoczenie w jej oczach było udawane, to chyba powinna być tą siostrą z Hollywood. - Nie wiem, o czym mówisz.

- O kokainie. - Jego głos był ostry, natarczywy. Głos dziennikarza. Nie podobało mu się to, ale nie miał wyjścia.

- Nie, nie wierzę. - Jej zaciśnięte palce aż zbiały.

- Abby, wiem to z czterech różnych źródeł - rzekł trochę łagodniej. Nie chciał jej sprawiać bólu. Może i wcześniej kłamała, ale ból był prawdziwy. - Ty nie miałaś o tym pojęcia.

- Nie możesz o tym napisać. Nie możesz. Dzieci. - Abby zasłoniła rękami oczy. - O Boże, co ja zrobiłam?

Nawet nie słyszała, że wstał.

- Usiądź. - Ujął ją za ramię. - Usiądź, Abby.

- Nie możesz tego napisać - powtórzyła drżącym głosem. - Przecież nie wiesz, czy to prawda. Jeśli umieścisz to w książce, wycofam autoryzację. Podam cię do sądu.

- Lepiej spróbuj się uspokoić.

- Uspokoić? Właśnie powiedziałeś mi, że Chuck... - Z trudem przełknęła ślinę i opanowała się. - Wyłącz to - rzekła cicho i czekała, aż jej posłucha. - Teraz rozmawiamy prywatnie, rozumiesz? Nie do druku.

Jej oczy były już suche, głos pewny i wyraźny. Przed oczami mignął mu jej obraz niosącej na górę jego walizkę. Jest silniejsza, niż wygląda.

- Dobrze, Abby. Nie do druku.

- Jeśli Chuck rzeczywiście zażywał narkotyki, ja o tym nie wiedziałam.

- A musiałabyś wiedzieć? Abby zamknęła oczy.

- Nie.

- Przepraszam. - Dotknął jej dłoni i zaklął, kiedy go odepchnęła. - Naprawdę nie chciałem. Jego matka wiedziała. Chyba nawet próbowała namówić go na leczenie. Nagle wpadła jej do głowy przerażająca myśl.

- Ten ostatni wyścig. Wypadek.

- Był czysty. - Choć nie wydała z siebie żadnego dźwięku, poczuł, że sprawiło jej to ulgę. - Po prostu za szybko wszedł w zakręt.

Abby kiwnęła głową i wyprostowała ramiona. W ciągu minionych ośmiu lat nauczyła się posuwać do przodu stopniowo, krok po kroku.

- Nie proszę cię o grzeczność, ale chcę, żebyś pamiętał, że w tę sprawę jest wplątanych dwoje niewinnych ludzi. Dzieci zasługują na dobre wspomnienia o ich ojcu. Jeśli spróbujesz cokolwiek z tego opublikować, znajdę sposób, żeby cię powstrzymać. Nawet jeśli będę musiała pójść do Janice.

- Ile próbujesz ukryć, Abby? Spojrzała mu prosto w oczy.

- Lepiej mnie spytaj, ile gotowa jestem zrobić, żeby bronić moich dzieci.

- Karuzela już się kręci. Nie zdołasz jej zatrzymać. Trzeba się było w ogóle nie zgadzać na tę książkę.

- A seks ci nie wystarcza? - wybuchnęła. - Musisz wyciągać jeszcze i te brudy? Nie możesz dzieciom niczego oszczędzić?

- Mam pisać bajkę? - Zanim zdążyła go odepchnąć, chwycił ją za nadgarstki. - Abby, już za późno, żeby tę książkę zatrzymać. To wydawca poda cię do sądu, a nie odwrotnie. Porozmawiaj ze mną, powiedz mi prawdę. Zaufaj mi.

- Mam ci zaufać? Zaufałam sobie i popatrz, co z tego wyszło! - Pogodziła się z nieuniknionym i już go nie odpychała. - Nie mam wyboru, prawda?

- Prawda.

- Włącz dyktafon - rzekła po chwili i odsunęła się od niego. Nie o kilka centymetrów, lecz o całe mile. Zaczęła mówić, lecz ani razu na niego nie spojrzała.

- Chuck nigdy nie zażywał narkotyków w mojej obecności. Byliśmy małżeństwem przez cztery lata i nigdy nie widziałam go z żadnymi narkotykami. Był sportowcem i bardzo dbał o swoje ciało.

- Przez większą część małżeństwa mieszkaliście razem tylko przez kilka krótkich okresów.

- To prawda. Każde z nas miało swoje zobowiązania i tak się to ułożyło.

- Powiedziałbym raczej, że akurat twoje zobowiązania powinny trzymać was razem. Postanowiła to zignorować, żeby się nie rozpłakać.

- Wracając do twojego wcześniejszego pytania... Chuck często był samotny. Był przystojny, a kobiety były nieodłączną częścią życia W trasie.

- O czym ty mówisz?

Musiała zapomnieć o dumie. Wiedziała zresztą, że rzadko bywa ona przydatna.

- Kiedy się pobieraliśmy, miałam osiemnaście lat. Mimo że występowaliśmy i cały czas byliśmy w drodze, żyłam jak pod kloszem. Byłam dziewicą, kiedy wychodziłam za Chucka, a on często powtarzał, że pozostałam nią na zawsze. Zawiodłam go w łóżku, więc szukał spełnienia gdzie indziej. Może to było złe, ale także naturalne.

- Przestań się tak upokarzać - rzekł ze złością. - Chciałeś odpowiedzi, to je masz. Chuck sypiał z innymi kobietami, bo jego żona go nie zaspokajała.

- Wystarczy. - Dylan obrócił ją ku sobie. - Jesteś głupia, jeśli w to wierzysz.

- Dylan, ja wiem, co działo się w mojej własnej sypialni. Ty nie masz o tym pojęcia.

- Ale wiem, co dzieje się w tobie.

- Pytałeś, czy w moich żyłach płynie prawdziwa krew. Właśnie ci odpowiadam.

- Wcale nie. Odpowiesz dopiero teraz.

Zmusił ją, by wstała, i przyciągnął ją do siebie.

Jego usta zagarnęły jej wargi tak szybko i gwałtownie, że nawet nie zdążyła zaprotestować. A po chwili już oddała mu się całą sobą.

- Chodź na górę, Abby - szepnął. - Chodź ze mną na górę.

Owszem, pogodziła się już z faktem, że Dylan ją pociąga, ale pójście z nim do łóżka to zupełnie inna sprawa.

- Dylan, ja. . .

- Pragnę cię. - Jego wargi muskały jej brodę. Wiesz o tym.

- Chyba tak. Proszę. . . - Głos jej drżał. Nogi miała jak z waty. - Dylan, proszę. Po prostu nie mogę. Jeszcze me.

- Ty też mnie chcesz. - Jego ręce wędrowały po jej ciele. - Czuję to w każdym twoim oddechu.

- Tak. - Miała dość zaprzeczania. - Ale to za mało. - Wzięła jego rękę i przyłożyła sobie do policzka. - Potrzebuję trochę czasu.

Gdyby nie jej spojrzenie, pełne niemego błagania, pewnie zignorowałby jej protesty i po prostu ją wziął.

- Ależ ten facet nakręcił ci w głowie.

- Nie. To nie ma nic wspólnego z tym, co było między mną i Chuckiem.

- Sama w to nie wierzysz. Ja też nie. On służy ci za miarkę, punkt odniesienia. Prędzej czy później zrozumiesz, że mnie nie możesz nią mierzyć.

- Kiedy cię całuję, nie myślę o Chucku. W ogóle przestaję myśleć. Mocno zacisnął palce na jej ramieniu.

- Jeśli chcesz czasu, Abby, lepiej uważaj.

- Nie umiem grać, Dylan. Dlatego raz już wszystko popsułam.

- Gry mnie nie interesują. I nie chcę słuchać, jak się obwiniasz. Zawrzyjmy umowę.

- Jaką?

- Powiesz mi prawdę. Prawdę - powtórzył. - Ja ją obiektywnie zapiszę. A wina niech spadnie tam, gdzie jej miejsce.

W jego ustach brzmiało to tak prosto i jasno, ale przecież nie miał nic do stracenia.

- Nie wiem, czy powinnam. Muszę myśleć o dzieciach. Prawda czasami bywa bolesna.

- A czasami oczyszczająca. Tak czy owak, dowiem się wszystkiego, co powinienem wiedzieć. Zabrzmiało to jak groźba. Zdawał sobie z tego sprawę, a jej spojrzenie powiedziało mu, że ona także. - Powinnaś o tym pomyśleć. Czy nie lepiej, gdyby pochodziła ona od ciebie? Nie chcę skrzywdzić twoich dzieci.

Złapana w pułapkę przyglądała mu się uważnie.

- Nie podejrzewam cię o to, ale może nie zdajesz sobie sprawy, co będzie dla nich najlepsze.

Po raz pierwszy w życiu poczuł się zmuszony do kompromisu. Książka? Nie, nie ona jest najważniejsza. Prawda jest mu potrzebna dla niego samego. I dla niej. Dla nich obojga.

- W porządku, opowiesz mi, jak było naprawdę, bez żadnych uników i przemilczeń. Ja to napiszę, a potem, zanim oddam wydawcy, dam ci do przeczytania. Jeśli wyniknie jakiś problem, razem nad nim pomyślimy. Dopiero kiedy oboje będziemy zadowoleni z rękopisu, pošlemy go dalej.

- Mówisz poważnie?

A więc jeszcze nie jest gotowa mu zaufać. No tak, już kiedyś ją okłamano, i to bardzo.

- Nagraliśmy to przecież. - Wskazał jej włączony dyktafon.

- Dobrze.

Kiedy wyciągnął do niej rękę, przyjęła ją.

- Chuck cię zranił. - Powiedział to cicho, więc i cicho mu odpowiedziała. Ale już bez wahania.

- Tak.

- Może jednak usiądziemy?

Skinęła głową i posłusznie usiadła, z rękami grzecznie złożonymi na kolanach, ze spokojną twarzą.

- Abby, ty i Chuck mieliście poważne kłopoty.

- Tak. - Jak łatwo jej było to teraz mówić. Wyznanie prawdy ma naprawdę oczyszczającą moc.

- Z powodu innych kobiet?

- Nie tylko. Chuck potrzebował dużo więcej, niż mogłam mu dać. W wielu sprawach. Ja chyba też potrzebowałam więcej, niż mógł mi dać on. To nie był zły człowiek. Chcę, żebyś to zrozumiał. Może nie był dobrym mężem, ale nie był złym człowiekiem.

W tej kwestii Dylan pozwolił sobie mieć odmienne zdanie, lecz nie wypowiedział go na głos.

- Dlaczego przestałaś z nim podróżować?

- Byłam w ciąży z Benem. Nie potrafię powiedzieć, czy to był rzeczywisty powód, czy tylko wygodny pretekst, ale ciąża była już mocno zaawansowana i podróżowanie stawało się coraz trudniejsze. Mieszkaliśmy z jego matką w Chicago.

Z początku... z początku udawało mu się przylatywać do nas całkiem często. Myślę, że był szczęśliwy, może nawet dumny, że będzie ojcem. W każdym razie, kiedy przyjeżdżał do domu, był bardzo opiekuńczy i namawiał mnie, żebym została w Chicago i nie przemęczała się. Próbował ułożyć jakoś moje stosunki ze swą matką.

Ale bywało, że długo się nie widzieliśmy.

Dobrze pamiętała te tygodnie i miesiące w luksusowym domu w Chicago, długie beczynne poranki, ciche popołudnia.

- Byłam spokojna i chyba zadowolona. Urządzałam pokój dziecienny, zaczęłam robić na drutach. Wydawało mi się, że nad wszystkim panuję. I nagle któregoś dnia znalazłam na łóżku jedną z tych gazet. Do dziś się zastanawiam, czy to nie Janice ją tam położyła. - Abby potrząsnęła głową. Właściwie powinno jej być wszystko jedno. - Było tam zdjęcie Chucka z jakąś piękną aktorką i krótki, złośliwy artykuł. Siedziałam na tym łóżku, wielka i niezgrabna, w ósmym miesiącu ciąży. Byłam załamana i myślałam, że to koniec świata. Pod koniec tygodnia wrócił do domu Chuck. Rzuciłam mu w twarz tę gazetę i zażądałam wyjaśnień.

- I wyjaśnił.

- Był zły, że uwierzyłam w coś takiego. Nazwał to bzdurą i wrzucił do ognia. Nie bronił się, więc natychmiast zaczęłam go przeproszać. Rozumiesz mnie?

Wyobrażał sobie aż za dobrze. Aż zbieleły mu zaciśnięte ze złości palce.

- Owszem.

- Za miesiąc miałam urodzić dziecko i byłam śmiertelnie przerażona. Postanowiłam mu uwierzyć, choć oczywiście wiedziałam, że kłamie. Widziałam to w jego twarzy. Pogodziłam się z tym kłamstwem. Rozumiesz? - Czemu wciąż o to pyta? Dlaczego to takie ważne? Przysięgła sobie, że więcej tego nie zrobi. I myślę, że godząc się, wyrządziłam mu krzywdę.

- Myślisz, że gdybyś zrobiła scenę, to by coś zmieniło?

- Nigdy nie wiadomo.

- Były następne kobiety.

- Tak. Nie zapominaj, że Chuck i ja nie mieszkaliśmy razem w normalnych warunkach i że nasze fizyczne stosunki były coraz gorsze. Był mężczyzną potrzebującym zwycięstw, ale kiedy tylko je osiągnął, szukał następnych. Wiedz, że już jako dziecko był pod strasznym naciskiem: musiał wygrywać, musiał być najlepszy, musiał być mistrzem.

Z tego powodu potrzebował nieustannego potwierdzenia swojej wielkości. Z czasem przestałam chyba mu to dawać. W każdym razie miałam nadzieję, że kiedy urodzi się Ben, osiadziemy gdzieś na stałe. Ale wiedziałam, że to nie w jego stylu. Był nawet skandal z jedną z jego wielbicielk. Pisała do mnie listy, groziła, że się zabije, jeśli Chuck się z nią nie ożeni. To wtedy kupiliśmy ten dom. Chuck był zły, bo sprawy wymknęły się spod kontroli. To była próba, żeby mi to wynagrodzić.

Także Benowi, może i jemu samemu. A potem był kolejny wyścig.

- Nie pojechałaś z nim.

- Nie. Przez pewien czas koncentrowałam się na tworzeniu domu. Czułam, że go potrzebuje. A właściwie to ja potrzebowałam tego domu. W tym czasie, po urodzeniu Bena i przed ciążą z Chrisem, zaczęłam sobie uświadamiać, że nasze małżeństwo nie istnieje, że ja i Chuck tylko udajemy, że kiedykolwiek istniało. Przyjechał do domu po wygranej we Włoszech. Chciał sprzedać farmę. Wybuchła straszna awantura. W jej trakcie wszedł do pokoju Ben. Chuck wpadł w szał. Wrzeszczał na niego, Ben płakał.

Miał wtedy zaledwie rok. Straciłam cierpliwość i kazałam Chuckowi się wynosić.

W siadł do samochodu i odjechał. Uspokoiliam Bena i udało mi się go uśpić. Było późno i położyłam się do łóżka. Nie spodziewałam się, że Chuck wróci, było mi wszystko jedno.

Teraz mówiła już prawie szeptem, i to nie do niego, lecz do samej siebie. Walczyła z własnymi duchami.

- Był pijany. Nigdy dużo nie pił, bo mu to nie służyło, ale tym razem przesadził. Przyszedł na górę i znów się kłóciliśmy. Próbowałam położyć go w gościnnym pokoju, żeby nie zbudził Bena. Był zbyt wściekły i zbyt pijany, żeby posłuchać. Powiedział, że nigdy nie byłam dobrą żoną, a kochanką beznadziejną. Że zależy mi tylko na farmie i na Benie. Miał rację, ale nie umiałam się jeszcze do tego przyznać. Potem powiedział, że pora, żeby się nauczyła, czego mężczyzna chce od swojej żony. Czego się spodziewa i do czego ma prawo. Popchnął mnie na łóżko... i zgwałcił. Potem płakał jak dziecko. Wyjechał przed świtem. Kilka tygodni później stwierdziłam, że jestem w ciąży.

Drżącą ręką poprawiła włosy.

- Taka jest prawda, Dylan. Czy mam powiedzieć Chrisowi, że został poczęty w wyniku gwałtu? Czy taką prawdę jestem winna mojemu synowi?

Nie czekając na odpowiedź, wstała i opuściła kuchnię.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie był w stanie pracować. Patrzył tępo w maszynę, w głowie kłębiły mu się słowa, a w sercu uczucia. Pamiętał dokładnie, minuta po minucie, wszystko, co zdarzyło się po południu i wieczorem.

Kiedy Abby wyszła z kuchni, został tam jeszcze wpatrzony w obracającą się taśmę. Zaszokowany? Jak to możliwe? Już wiele lat wcześniej przestał patrzeć na świat przez różowe okulary. Wiedział, jak wstrętne może być życie, jak brutalne. Wielokrotnie zagłębiał się w życiorysy innych i odkrywał rany, siniaki i tajemnice. Nie szokowały go i już dawno temu przestał się przejmować.

A teraz? Cierpiał. Cierpiał, bo pamiętał, jak blada była twarz Abby, jak cichy i niepewny jej głos.

Zostawił ją w spokoju, bo wiedział, że w takiej chwili potrzebuje samotności. Pojechał do miasta. Wmawiał sobie, że dystans pomoże. Dziennikarz potrzebuje dystansu tak samo jak bliskości. Połączenie tych dwóch rzeczy pomaga w pisaniu.

A przecież najważniejszy jest rezultat, artykuł, reportaż, książka pełna prawdy i siły.

Ociepliło się, śnieg powoli stawał się wspomnieniem. W powietrzu czuć było nadchodzącą wiosnę. A więc wkrótce książka powinna być skończona. Tylko jak to zrobić?

Kiedy wrócił, chłopcy byli już w domu. Bawili się na podwórku i szaleli z psem.

Dylan przez chwilę obserwował ich z auta, lecz po chwili podbiegł do niego Chris i zaprosił do zabawy.

Nawet teraz, wiele godzin później, pamiętał jego rozpromienioną twarz i szczere, niewinne oczy. Kiedy zaaferowany opowiadał o wydarzeniach ze szkoły jego malutka rączka trzymała jego wielką dłoń z absolutnym zaufaniem. Ktoś o imieniu Sean wymiotował w czasie przerwy. Wielka sprawa. Nawet Ben dorzucił jakiś komentarz.

Potem, ścigając się, całą trójką wbiegli do kuchni. Abby, zajęta przygotowaniami do kolacji, zachowała się jak co dzień. Obowiązkowa matka i właścicielka farmy. Tylko na moment ich oczy się spotkały.

Nie była spięta, może tylko trochę zamyślona. Jak zwykle żartowała z synami przy stole, potem grała z nimi w chińczyka. Później położyła dzieci spać i zniknęła w swoim pokoju. I jest tam do tej pory.

Dylan siedział u siebie i nie mógł się skupić. Co powinien zrobić? Jak postąpić? Ma w ręku fascynującą historię. Romans, zdrada, seks, gwałt. I nie jest to żadna fikcja, lecz samo życie. Powinien to opisać dokładnie, szczerze, uczciwie.

Przypomniał sobie, z jaką ufnością ścisnęła go mała rączka Chrisa. Zaklął pod nosem i wstał od biurka. Nie może tak postąpić. Nie może zapisać czarno na białym tego, co wyznała mu Abby. Choćby nie wiem, jak się starał, prawda i tak pozostanie brzydka i okrutna. A mały jest taki niewinny i ufny.

Wiedział, że nie powinien się tym przejmować. Wszystkie jego artykuły, reportaże i książki były dlatego takie dobre, że zawierały prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Znowu stanął mu przed oczami Chris, z radością tulący się do niego, wesóły i roześmiany. I Ben, samotny i smutny na łóżku w otoczeniu plastikowych żołnierzyków. I Abby, kiedy wzięła go za rękę.

Polubił ich. Obudzili w nim dawno uśpione uczucia. Nie ma sensu udawać, że jest inaczej. Przy nich zapominał o kardynalnej zasadzie obowiązującej dobrego dziennikarza: nie angażuj się. Zaangażował się i nie wiedział, jak się wycofać. Wycofać?

Niczym automat wyszedł z pokoju i zapukał do drzwi Abby.

- Proszę.

Siedziała przy sekretarzyku, kończyła pisać list. Spojrzała na niego, jakby się go spodziewała.

- Musimy porozmawiać.

- Dobrze. Zamknij drzwi.

Zamknął, ale nie od razu zaczął mówić. Nie było między nimi teraz żadnej bariery, żadnego dyktafonu. To, co zostanie powiedziane, pozostanie między nimi dwojgiem. Wolno, krokiem niemal lunatyka, Dylan przeszedł przez pokój i usiadł na łóżku.

- Abby, wiesz, że nie mogę tego napisać. Ogarnęło ją poczucie cudownej, długo oczekiwanej ulgi.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj. - Dziwne, ale jakoś lepiej radził sobie z jej niechęcią. - Napiszę wiele rzeczy, które ci się nie spodobają.

- Zaczynam myśleć, że nie są one już tak ważne, jak mi się kiedyś wydawało. - Patrzyła na kwiecisty szlak na tapecie nad jego głową. - Wiesz... myślałam zawsze, że dzieci muszą mieć jakiś wzór do naśladowania, kogoś, o kim z dumą mogą powiedzieć: to jest mój ojciec. Im więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej wierzę, że najważniejsze, żeby mogły być dumne z siebie.

- Dlaczego mi o tamtym powiedziałaś?

Jak mu to wytłumaczyć? Znalazła w nim czułość, której się nie spodziewała.

Pracował z nią ramię w ramię, choć wcale nie musiał. Był ciepły i szczodry wobec jej dzieci. Opiekował się nią, kiedy chorowała. Pod maską twardziela kryła się czułość i delikatność i w niej się zakochała. Westchnęła, wzięła do ręki pióro i machinalnie przekładała je z ręki do ręki.

- Nie potrafię nazwać wszystkich powodów. Jak już zaczęłam mówić, to poszło.

Może musiałam w końcu powiedzieć to na głos. Dopiero teraz, po tylu latach.

Obok niej stał na biurku przycisk do papieru: bladnoróżowe kwiatki zamknięte w szkle. Z pozoru kruchy, w rzeczywistości nie do roztrzaskania. Jak ona?

- Nie mówiłaś o tym rodzinie?

- Nie. A może trzeba było? Przechodziłam przez tyle różnych etapów: wstyd, wyrzuty sumienia, złość. Musiałam się sama z tym wszystkim uporać.

- Dlaczego, na Boga, z nim zostałam? - Znow pomyślał o pieniądzach, o kobiecie w białych norkach i brylantach. Już nie chciał, by to właśnie było przyczyną.

Spojrzała na swoje dłonie. Już od dawna nie było na nich obrączki, a gorycz zniknęła jeszcze wcześniej.

- Potem... Chuck był zdruzgotany. Naprawdę było mi go żal. Myślałam, że może uratujemy jeszcze coś po tej strasznej nocy. Przez moment prawie nam się to udało. Potem urodził się Chris. Patrząc na niego, Chuck za każdym razem przypominał sobie, co się wydarzyło. Patrzył na to maleństwo, pamiętał, w jaki sposób został poczęty, i czuł do niego złość, bo przypominał mu o jego własnej słabości, może nawet o śmiertelności.

- A ty? Co czułaś, kiedy patrzyłaś na Chrisa? Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Był taki śliczny. Nadal jest śliczny.

- Jesteś niezwykłą kobietą, Abby. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nie wydaje mi się. Jestem dobrą matką, ale w tym nie ma niczego niezwykłego. Nie byłam dobrą żoną. Chuck potrzebował kogoś, kto dotrzymywałby mu kroku, kto by się z nim ścigał. Ja byłam za wolna.

- A ty czego potrzebowałaś?

Teraz na niego spojrzała. Tylko rodzina do tej pory ją o to pytała. I też niełatwo jej było dać odpowiedź.

- Nie bardzo wiem, czego chciałam, ale teraz jestem szczęśliwa z tym, co mam.

- Wystarcza ci to? Twoje dzieci, ten dom i farma? - Dylan przeszedł przez pokój i stanął obok niej. - Myślałem, że postanowiłaś mówić prawdę.

Nie powinien stać blisko. Trudno jej było myśleć.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

- Nie wiesz? - Wziął ją za rękę i pomógł wstać. Czuł, jak drżą jej palce, ścisnął więc mocniej. - Nie chcę, żebyś się mnie bała.

- Nie boję się.

- Nie chcę, żebyś się bała tego, co jest między nami.

- Nic nie mogę na to poradzić. Nie rób tak. - Abby położyła mu drugą rękę na ramieniu. - Nie zniosłabym, gdyby znowu się nie udało. Mam nadzieję, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Dużo więcej niż przyjaciółmi. - Uniósł jej dłoń do ust i obserwował, jak w jej oczach pojawia się zdziwienie. - Czy ktoś się kiedykolwiek z tobą kochał? Teraz w jej oczach widoczny był strach.

- Mam dwoje dzieci.

- To nie jest odpowiedź. Czy był ktoś oprócz Chucka?

- Nie.

- Nikogo?

- Nie. Nie jestem szczególnie atrakcyjna.

Co za drań z tego Rockwella! Jak mógł ją tak upokarzać! Nie angażować się? Za późno. Był więcej niż zaangażowany. Chciał pokazać jej, że może być inaczej. Może nawet, po raz pierwszy w życiu, sam też chciał w to uwierzyć.

- Dlaczego nie pozwolisz mi samemu się o tym przekonać?

- Dylan... - Zamilkła, kiedy musnął wargami jej skroń.

- Nie chcesz mnie, Abby?

- Chcę. Ale nie wiem, co mogłabym ci dać.

- Pozwól, żebym ja się o to martwił. - Nadrabiając miną, ujął w dłonie jej twarz. - Na razie tylko bierz.

Nigdy jeszcze nie było aż tak dobrze. Nikt dotąd nie sprawił, że czuła się taka ważna, tak pożądana, tak uwielbiana. Miała wrażenie, że Dylan otworzył wreszcie długo zamknięte drzwi, pootwierał wszystkie okna i wpuścił do środka świeże, cudowne powietrze.

Chciała mu to powiedzieć, ale bała się, że będzie się z niej śmiał, więc tylko położyła mu rękę na sercu. Biło równiej niż jej, ale bardzo szybko.

Nigdy jeszcze nie było aż tak wspaniale. Nikt dotąd nie sprawił, że czuł się taki silny, taki otwarty. Zapaliła w jego głowie światło, które płonęło jasnym, wyraźnym płomieniem. Chciał jej to powiedzieć, ale bał się, że posądzi go, iż zmyśla. Więc tylko mocniej ją przytulił.

- Nie jesteś atrakcyjna, tak?

- Co takiego?

- Mówiłaś, że nie jesteś szczególnie atrakcyjna. Podejrzewam, że nie chciałaś się przechwalać.

Abby wtuliła twarz w jego ramię i poczuła swój własny zapach. Co za niesamowite, cudowne uczucie. . .

- Nigdy nie byłam specjalnie dobra... no, wiesz, w sprawach technicznych.

- Technicznych? - Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. - Nie rozumiem.

- No... w seksie - dokończyła, bo była przecież dorosłą kobietą.

- To nie był seks, Abby - stwierdził z przekonaniem, przetaczając się na nią. - Myśmy się kochali.

- To kwestia semantyki.

- Akurat. Nie, nie zamykaj się przede mną. Chwycił ją mocno za ramiona.

- Nie jestem Chuckiem. Popatrz na mnie, naprawdę popatrz.

Uspokoiła się i zrobiła, o co prosił.

- Patrzę. Wiem.

- Czego chcesz, Abby? Ocen?

- Nie. - Choć dorosła, zarumieniła się jak dziecko. - Oczywiście, że nie. Tylko...

- Zastanawiasz się, jak mi było. Czy robiłaś to, co należy i jak należy. - Dylan usiadł i zmusił ją, by także usiadła. Nie pozwolił jej nawet zakryć się prześcieradłem. - Czy nie wpadło ci nigdy do głowy, że Chuck Rockwell wcale nie był takim super kochankiem, jak pisano w gazetach? Ze to, co było lub czego nie było między wami w łóżku, to była jego wina?

Nie. Dylan się myli.

- Te wszystkie kobiety. .. - zaczęła i umilkła.

- Coś ci powiem, Abby. To nic trudnego baraszkować pod kołdrą co noc z inną kobietą. - Wiedziało tym, bo on także miał za sobą te doświadczenia. - Nie musisz myśleć, nie musisz czuć. Nie musisz się starać, żeby przed tą drugą osobą rozstąpiło się niebo. Myślisz tylko o własnym zaspokojeniu. Jest zupełnie inaczej, kiedy masz partnerkę, kogoś, komu składałaś obietnice, kogoś, kogo powinieneś czynić szczęśliwym. To wymaga czasu i uwagi. Dopiero wtedy może być dobrze. Patrzyła na niego z rozchyłonymi ustami i szeroko otwartymi oczami.

- Nie chcę słuchać teraz o Chucku Rockwellu. Nie chcę, żebyś myślała o nim czy o kimkolwiek innym. Skup się tylko na mnie.

- Skupiam się. - Niepewnym gestem pogładziła go po policzku. - Jesteś najcudowniejszą rzeczą, jaka mi się zdarzyła od niepamiętnych czasów. - Zauważyła zmianę w jego spojrzeniu, poczuła, że mocniej zaciska rękę na jej ramieniu, i szybko mówiła dalej: - Zmusiłeś mnie, żebym zmierzyła się ze sprawami, które moim zdaniem powinnam trzymać w zamknięciu. Jestem ci za to wdzięczna.

- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś mi nie dziękowała? - Jego ręka delikatnie gładziła jej ramię.

- To już naprawdę ostatni raz. - Objęła go mocno i przytuliła. - Nie śmiej się.

- Nie mam nastroju do żartów.

- Czuję się, jakbym zdobyła jakąś ważną i trudną umiejętność.

- Coś w rodzaju kraula?

- Mówiłam ci, żebyś się nie śmiał.

- Przepraszam. - Zaśmiał się jednak i przetoczył ją pod siebie. - Ale każdą umiejętność trzeba ćwiczyć. Trening jest najważniejszy.

- Chyba masz rację. Dylan?

- Tak?

- Niebo naprawdę się przede mną rozstało. Wtulona w niego poczuła, że się uśmiecha.

- Przede mną też.

Nagle zza ściany dobiegł ich rozpaczliwy płacz.

- Co się ...

- To Chris.

Abby wyskoczyła z łóżka. Wyciągnęła z szafy szlafrok i była już za drzwiami, zanim Dylan zdążył znaleźć dzinsy.

- Och, maleńki, co się stało? - Abby wbiegła do pokoju Chrisa, trzęsącego się pod kołdrą ze strachu.

- Były zielone i wstrętne. - Mały z ulgą wtulił się w bezpieczne schronienie matczynych ramion. Uspokoił go znajomy zapach. - Były podobne do węży i syczały „ssss”, i goniły mnie, i wpadłem do dziury.

- Paskudny sen. - Abby kołysała małego w ramionach. - Ale już dobrze, prawda? Jestem przy tobie. Chris pociągał jeszcze nosem, lecz nie płakał.

- Chciały mnie pociąć na kawałki.

- Jakiś zły sen? - Dylan niepewnie stanął w drzwiach. Nie wiedział, czy ma wejść, czy raczej zostawić ich samych.

- Wstrętne, zielone węże - wyjaśniła mu Abby. - O rany! Straszne, co, tygrysie?

Chris pociągnął nosem, kiwnął głową i potarł oczy. Powinien czy nie, Dylan wszedł jednak do pokoju i uklęknął obok łóżka chłopczyka.

- Następnym razem musisz wyśnić sobie mangustę. Węże nie mają szans z mangustą.

- Mangustę - powtórzył nie znane mu słowo Chris. - Zmyśliłeś to?

- Nie. Jutro znajdziemy gdzieś zdjęcie. Mieszkają w Indiach.

- Trace pojechał do Indii - przypomniał sobie Chris. - Dostaliśmy kartkę. - Mały ziewnął i przytulił się mocniej do matki. - Nie idź jeszcze.

- Dobrze. Zaczekam, aż zaśniesz.

- Dylan też?

Dylan uszczypnął go lekko w policzek.

- Jasne.

I zostali. Abby tuliła synka i śpiewała coś, co brzmiało, jak irlandzka kołysanka. Dylan czuł się zadziwiająco dobrze. Nie tak, jak przed chwilą w starym łóżku z Abby, ale podobnie. Miał wrażenie, że odnalazł wreszcie swoje miejsce, miejsce, ku któremu zmierzał całe życie. Myślał, że to chwilowe uczucie, że zaraz minie. Ono jednak trwało. Światło z holu padało na kolumnę ciężarówek i mocno sfatygowaną piłkę.

W końcu Abby przykryła małego i ułożyła obok niego ukochaną Mary.

- Śliczny, prawda?

- Yhm. - Dylan pogładził delikatnie Chrisa po główce, po czym szybko schował rękę do kieszeni.

Będzie miał ciężkie życie, kiedy sobie to uświadomi.

- Jest bardzo podobny do Trace'a. Sam urok. Tata mówi, że Trace nauczył się to wykorzystywać, zanim zaczął raczkować. - Naturalnym gestem wzięła Dylana za rękę i razem wyszli z pokoju. - Zajrzę jeszcze do Bena.

Otworzyła drzwi i aż westchnęła. Ubrania, książki i zabawki wały się po całym pokoju. Już wiedziała, jakie zajęcie wymyśli dla niego na weekend.

Podeszła do łóżka, poprawiła mu kołdrę, wyjęła spod poduszki tenisówkę i odstawiła na półkę szwadron żołnierzyków.

- Śpi jak kamień - zauważyła.

- Widzę.

- I straszny z niego bałaganiarz.

- Nie mogę się nie zgodzić.

Zaśmiała się cicho i pocałowała synka w czoło.

- Kocham cię, draniu.

W półmroku, zręcznie wymijając przeszkody, do tarła do drzwi.

- Lubię twoje dzieci, Abby. - Dylan pogładził ją po ręce. Wzruszona uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

- Dobry z ciebie człowiek, Dylan.

- Niewielu ludzi by się z tobą zgodziło.

- Bo nie widzą cię takim jak ja.

To akurat była prawda, ale nie mógł jej powiedzieć dlaczego. Sam jeszcze nie był pewny.

- Wracaj do łóżka.

Abby posłusznie skinęła głową i objęła go w pasie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jak wiele może się zdarzyć w ciągu dwudziestu czterech godzin! Abby powitała poranek z niedowierzaniem. Odkryła namiętność. Odkryła uczucie. I może nawet zrobiła pierwszy krok ku zerwaniu więzów z przeszłością. Było to zasługą Dylana, ale pewnie by nie zniósł jej kolejnych podziękowań. Nie mogła wyrazić mu swej wdzięczności, nie denerwując go. Nie mogła mu powiedzieć, że go kocha, bo mogłaby utracić to, co dopiero się zaczęło. Nic więc nie powie, może samo bycie z nim wystarczy.

Wyprawiła dzieci do szkoły, oporządziła gospodarstwo, zostawiła Dylanowi kartkę i wskoczyła do auta. Energia wprost ją rozpierała.

Jechała do pani Cutterman, by sprzątaniem i szorowaniem jej domu zarobić na całkiem spore zakupy. Całe szczęście, że grypa już minęła i może wrócić do tej pracy. Dzięki niej przetrwają jakoś do narodzin źrebaków. Nazajutrz przypadał jej dzień sprzątania u Smithów. A pod koniec tygodnia wreszcie będzie się mogła wybrać po nowe buty.

Wolała myśleć o zwyczajnych rzeczach, zamiast rozpamiętywać to, co wydarzyło się poprzedniej nocy. Ta noc znaczyła dla Dylana i dla niej dwie zupełnie inne rzeczy. Powinna to zrozumieć. Dał jej jednak coś, czego nie dał żaden inny mężczyzna - szacunek, uczucie, namiętność. Wciąż się tym rozkoszowała. Włączyła radio i wyjechała na główną drogę.

Dylan zszedł na dół i skierował się prosto do kuchni. Marzył o kawie. Zazwyczaj nie budził się rano oszołomiony, nawet po nie przespanej nocy, ale praca długo w noc i potem bezsenne leżenie w łóżku najwyraźniej mu *nie* służyły. Nie miał jednak pojęcia, dlaczego czuł niepokój. Abby spała obok niego tak spokojnie, jak jej dzieci w sąsiednich pokojach.

Jego ciało było odprężone, lecz umysł spięty i aktywny. To, co wydarzyło się między nimi, nie było zwyczajne. Z jednej strony cieszył się z tego, z drugiej nie. A takich sprzeczności nigdy u siebie nie lubił.

Próbował analizować opinię, jaką miał o Abby, zanim się poznali, i porównywać z tym, co czuł do niej teraz. Nic mu nie odpowiadało. Co tamta kobieta w norkach ma wspólnego z *ta*, która drżała w jego ramionach? Czy obie są prawdziwe - czy też obie udają?

Na samo wspomnienie jej opowieści krew zmroziła mu się w żyłach. Po raz pierwszy w życiu zapragnął kogoś chronić. Wiedział, że uczucia nie powinny mieć mu prawdziwego obrazu, i starał się być obiektywny.

Jeśli została fizycznie i psychicznie skrzywdzona, to czemu z nim została? Chuck nie krył się ze swą niewiernością, łatwo więc dostałaby rozwód.

A jednak się na to nie zdecydowała. Nie miał pojęcia dlaczego. Nie był w stanie także zrozumieć, co dzieje się z nim samym.

Pragnął jej tak samo jak wcześniej. - albo nawet bardziej. Wystarczyło, że zamknął oczy i znów słyszał, jak śmieje się z samej siebie - szczerze i prostodusznie. Widział, jak pracuje, jak zajmuje się dziećmi - silną ręką i z ogromną miłością.

Wyjątkowa kobieta. Tylko idiota mógłby uwierzyć, że istnieje coś tak dziwnego jak kobieta wyjątkowa. Może więc zaczyna być idiotą.

Wyjrzał przez okno i zastanawiał się, czy jest w tej chwili w stajni i karmi konie. Mógłby zaczekać, aż wróci, a potem włączyć dyktafon. No tak, ale skoro Abby jest w stajni, to może dźwiga akurat worek owsa i przerzuca kolejną kopę siana. Ze złością potrząsnął głową i sięgnął po kurtkę. Wtedy zobaczył wiadomość.

Dylan, Przez cały ranek będę u pani Cutterman. W razie czego numer jest w notesie. Potem skoczę jeszcze na chwilę do miasta. Do zobaczenia koło pierwszej.

Abby

Ta krótka, zwyczajna notatka o dziwo zmartwiła go. A więc nie ma tu Abby i jeszcze przez wiele godzin nie będzie. Chciał ją zobaczyć, zobaczyć zaraz rano po ich wspólnej nocy. Chciał z nią porozmawiać, spokojnie i logicznie, aż to, co wie i to, co czuje, jakoś się przybliży. Chciał kochać się z nią w świetle dnia w tym wielkim, pustym domu.

Chciał z nią być.

Smutny i zrezygnowany nalał sobie kawy i wrócił na górę. Roboty czeka.

Kiedy Abby wróciła, niebo było ciemne i ponure. Choć w radio zapowiadano pogodę, najwyraźniej zanosilo się na deszcz. A chłopcy nie wzięli odpowiednich butów. Trudno, i tak trzeba im kupić nowe. W drodze do kuchni podniosła z podłogi dwie ciężarówki, dwa plastikowe żołnierzyki i skarpetkę. Szybko zrzuciła kurtkę, włączyła radio i zajęła się mielonym mięsem, które rano wyjęła do rozmrożenia.

- Cześć.

Trzymając patelnię w ręku aż podskoczyła. Dylan był zaledwie pół metra od niej.

- Jezu, ale się skradasz. Nie słyszałam, jak wchodzisz.

- Zawsze nastawiasz za głośno radio.

- Aha. - Machinalnie je przyciszyła. Była zmieszana, ale przecież się tego spodziewała. - Musiałam kupić trochę mleka. Chłopcy tak je żłopią, że chyba nabędę krowę. - Kiedy zajęła się znów kuchnią, poczuła się swobodniej. - Pracowałeś?

- Tak. - Był zmieszany. Tego się nie spodziewał. Jej miękkie, długie włosy związane były bandanką. Chciał je rozpuścić i pieścić, tak jak to robił w nocy. - Miło się bawiłaś?

- Co takiego?

- Czy się dobrze bawiłaś? Ze swoją przyjaciółką.

- Z moją... a tak, z panią Cutterman. Jest bardzo miła. - Abby pomyślała sobie o tych wszystkich meblach, które odkurzyła i wypolerowała. - Będzie padać. Chłopcy pewnie nie zdążą przed deszczem.

- Był do ciebie telefon.

- Tak?

- Jakaś Betty z komitetu rodzicielskiego.

- Ciasto na szkolny festyn. - Abby z westchnieniem otworzyła puszkę koncentratu pomidorowego. Warkot elektrycznego otwieracza niósł się po całym domu. Jak długo jeszcze będzie w stanie kryć się za codzienną rutyną? - Pączki?

- Trzy tuziny. Powiedziała, że wie, że może na ciebie liczyć.

- Stara, niezawodna Abby - mruknęła bez ironii, ale z lekką kpina. - Na kiedy ich potrzebuje?

- Na następną środę.

- W porządku. - W milczeniu rozrobiła koncentrat i dodała przyprawy. Spaghetti to ulubiona potrawa Bena. Pochłania makaron jak smok. A czy ona kiedykolwiek jeszcze będzie w stanie jeść? - Domyślam się, że chciałbyś mi zadać kilka pytań.

- Owszem.

- Za chwilę skończę gotowanie. Gdybyśmy mogli to zrobić, kiedy będę szykować pranie, to...

Zamilkła, gdy dotknął jej ramienia. Nie wiedząc, czego może się spodziewać, powoli odwróciła się ku niemu. Znow patrzył jej w oczy, prosto i głęboko. Bardzo chciała zrozumieć, czego w nich szuka.

Potem ją pocałował, lekko i delikatnie.

- Och, Dylan! - westchnęła z ulgą i objęła go za szyję. - Bałam się, że żałujesz.

- Czego? - Jezu, jak dobrze czuć ją znów w ramionach. Myślał, że to nic takiego, a jednak...

- Zeszłej nocy.

- Nie, nie żałuję. Jestem oszołomiony.

- Naprawdę? - Abby odsunęła się z niedowierzaniem.

- O tak, naprawdę. - Uśmiechnął się z błogością i znów ją pocałował. - Tęskniłem za tobą.

- To bardzo miło. - Teraz ona przyciągnęła go do siebie. - To bardzo miło.

- Chcesz pobawić się w berka?

- W berka?

- Właśnie. Wyglądasz mi na taką, która nigdy nie bawiła się w berka.

- Nigdy nie byłam w żadnej szkole na tyle długo, żeby mieć czas na berka. Zresztą zaraz zacznie padać. Co to za berek w deszczu?

- Chodź na górę, to zobaczysz.

Znów się roześmiała, ale odkryła, że mówi poważnie.

- Za dwie godziny wracają dzieci.

- Nawet nie masz pojęcia, ile można zrobić w ciągu dwóch godzin.

- Nikt nie będzie miał czystych skarpetek - protestowała, kiedy wziął ją na rękę i ruszył w stronę schodów.

- I tylko ty i ja będziemy wiedzieli dlaczego.

Kochali się szybko, gwałtownie, rozpaczliwie. Ich ubrania leżały rozrzucone po całym pokoju. Pokazał jej to, czego istnienia nawet nie podejrzewała. Czowała się jak dziecko będące po raz pierwszy w życiu na diabelskim młynie. Traciła oddech, a po chwili chciała jeszcze. Jej ciało było gorące i otwarte na wszystko, czego chciał ją nauczyć. Była uległa, była silna. I należała do niego.

Nawet nie zauważyli, kiedy zaczął padać deszcz.

Schodziła na dół rozpromieniona i szczęśliwa, kiedy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem.

- Wytrzyjcie nogi - rzuciła odruchowo, potem roześmiała się i błyskawicznie pokonała resztę schodów, by przytulić swe dwie zmokłe kury.

- Pada - poinformował ją Chris.

- Naprawdę?

- Wszystkie zeszyty mi zmokły. - Ben zdjął mokrą czapkę i rzucił ją na podłogę.

- Nic by im się nie stało, gdybyś używał tornistra.

- Tornistry są dla dziewczyn. - Chłopczyk podniósł czapkę, bo matka na nią patrzyła, a potem wręczył jej zmiętą, mokrą kartkę.

- Szóstka! - Abby w udawanym szoku aż przyłożyła rękę do serca. - Popatrz, Benjamin, ktoś podpisał ją twoim imieniem.

Lekko zawstydzony, Ben parsknął śmiechem.

- Wcale nie. To moja.

- To dyktando bez ani jednego błędu należy do Benjaminu Prancisa Rockwella? Mojego Benjaminu Rockwella?

Ben zmarszczył nos, jak zwykle, kiedy ktoś przypominał mu jego drugie imię.

- Tak.

- Wiesz, co to oznacza? - spytała poważnie, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Co?

- Gorącą czekoladę dla wszystkich.

- A dostanę pianki?

- Oczywiście.

- Gorąca czekolada? - zainteresował się Dylan, schodząc ze schodów.

- Świątujemy szóstkowe dyktando. Całe dwadzieścia słów bez jednego błędu. - Abby w triumfalnym geście podniosła do góry przemoczoną kartkę.

- Niesamowite. - Dylan najpierw pogładził po głowie Chrisa, a potem wyciągnął rękę do Bena. - Gratulacje.

- Eee, to nic takiego - mruknął chłopiec, ale męski uścisk dłoni wyraźnie sprawił mu przyjemność. A mogę dostać trzy pianki?

- Ten chłopak naprawdę umie korzystać z okazji - zaśmiała się Abby. - A teraz szybciotko powieście kurtki - dodała, kiedy wchodzili do kuchni.

Przez następne dwadzieścia minut Ben i Chris opowiadali o szkole, jedzenie jednak zniknęło z talerzy. Porem chłopcy, rozgrzani czekoladą, znów włożyli buty i kurtki i wyszli do stajni.

- Czegoś takiego nie piłem chyba od dwudziestu lat - oznajmił z zadumą Dylan, wpatrując się w swój pusty kubek.

- Wspomnienia?

- Mama mi takie robiła. - Kiedy Abby oparła się o blat naprzeciwko niego i uśmiechnęła, mówił dalej: - Znakomicie gotuje. Do dziś uważam, że piecze najlepszy sernik w całym New Jersey.

- Często ich widzisz? Znaczą rodziców?

- Kilka razy w roku. Jakoś nigdy nie mam czasu - dodał z żalem.

- Rozumiem.

Abby przez ramię spojrzała w okno. Przyjdzie czas, kiedy jej chłopcy również odejdą, kiedy będzie musiała pozwolić im odejść. Taka jest cena rodzicielstwa.

- Ja moich też nieczęsto widuję. Rzadko siedzą dłużej w jednym miejscu.

- Wciąż występują w klubach?

- Zawsze będą występować w klubach. - W jej głosie brzmiała czułość i prawdziwa, głęboka miłość. - Wystarczą dwie osoby na widowni, a oni już są gotowi. Według taty, to się

ma we krwi. Jest niesamowicie dumny z Chantel i Maddy, które kontynuują tę tradycję w takim wielkim stylu. Wciąż za to boczny się na Trace'a, że tego nie chce.

- Co robi twój brat?

- Podróżuje. - Lekko wzruszyła ramionami. - Nikt z nas właściwie nie wie, czym tak naprawdę się zajmuje. Tata uważa, że Trace sam nie wie.

- A jak z tobą? Mają żal, że nie zarabiasz śpiewem?

- E, nie. Dałam im Bena i Chrisa, to lepsze niż najbardziej udany występ. Twoi rodzice muszą być z ciebie dumni.

- Ojciec wolałby, żebym został na farmie i doił krowy. - Dylan zaciągnął się papierosem. - Ale mama mówi, że czyta wszystko, co napiszę.

- Czy to nie zabawne, jak...

- Mamo! - Mokry i zablocony Chris z wrzaskiem wpadł do kuchni.

- Co się stało? - Abby chwyciła go na ręce, szukając ran czy siniaków.

- Mamo, Eve zachorowała. Leży na ziemi i się poci.

Abby włożyła kurtkę i w tenisówkach wybiegła na dwór.

W stajni Ben siedział przy kłaczki i głaskał ją po szyi. Z trudem powstrzymywał płacz.

- Czy ona umrze?

Abby przykucnęła obok niego i położyła rękę na ogromnym brzuchu Eve. Drugą ręką objęła synka.

- Nie, oczywiście, że nie. Po prostu będzie miała dziecko. Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym.

- Ale tak strasznie wygląda... Jakby była chora.

- Kiedy rodzą się dzieci, to trochę boli. Ale nic jej nie będzie. - Przerazona Abby modliła się, aby Bóg spełnił obietnicę, którą złożyła synowi. - Ma skurcze. Jej ciało pomaga maleństwu wyjść na świat.

Ben widział tylko dreszcze wstrząsające ciałem kłaczki.

- Czemu to musi boleć?

- Bo życie zawsze trochę boli, Ben. Ale jest tego warte. A teraz idź do domu i zadzwoń po weterynarza. Najpierw się przedstaw, dobrze?

- Dobrze - rzekł mały i pociągnął nosem.

- Powiedz mu, że Eve rodzi. No, biegnij. I zaraz wróć. Chcę, żebyś coś zobaczył. Szczęśliwy, że powierzono mu tak odpowiedzialne zadanie, Ben wybiegł ze stajni. Abby położyła sobie na kolanach łeb Eve.

- Możemy w czymś pomóc?

Przy wejściu do boksu stał Dylan z Chrisem.

- Już kiedyś pomagałam weterynarzowi w porodach i nauczyłam się, że właściwie można ją tylko pocieszać. To Eve gra tu główną rolę. - Klacz zarżała boleśnie i Abby nachyliła się ku niej. - Tak, wiem, że boli, maleńka.

Chris głośno przełknął ślinę. Nigdy nie widział czegoś takiego. Raz jedna z kotek miała małe, ale kiedy przyszedł do stajni, leżały już wylizane i wtulone w matkę.

- A jak ja się rodziłem, to też bolało?

- Strasznie byłeś spóźnialski. Już myślałam, że zmieniłeś zdanie i postanowiłeś wcale się nie urodzić.

Lekarz włączył muzykę. „Let it Be” Beatlesów.

- Może Eve też chciałyby posłuchać?

- Na pewno.

Szcześnieśliwy, że może jakoś pomóc, Chris natychmiast włączył radio. Stajnię wypełniły ciche dźwięki ballady.

- Weterynarz powiedział, że zaraz przyjedzie, ale kazał się nie martwić, bo Eve jest bardzo silna oznajmił Ben i zajął miejsce obok brata.

- Nie wątpię.

Kiedy jednak upływały kolejne minuty, Abby zaczęła się niepokoić. Wiedziała, że nawet bez weterynarza poradzi sobie z prostym porodem. Kiedy kobieta mieszka sama i sama wychowuje dzieci, nabiera pewności siebie. Ale jeśli pojawią się jakieś komplikacje... Nie, cokolwiek się będzie działo, na pewno pomoże Eve. Ta klacz to dużo więcej niż pieniądze. To żywa istota, którą od ponad roku codziennie się opiekuje. Jej ból jest także bólem Abby.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją Dylan, kucając obok. - Żrebiąt co prawda nigdy nie odbierałem, ale cielaka niejednego.

Abby na moment oparła głowę na jego ramieniu, co oczywiście nie umknęło uwagi Bena.

- Dzięki.

Kiedy jednak się zaczęło, to ona była szybsza. Cały czas szeptała coś uspokajająco, jej pot mieszał się z potem klaczy. Krew, która pojawiła się wraz z nowym życiem, spryskała jej rękę. Nadzieja, która pojawiła się wraz z nowym życiem, rozpromieniła jej oczy. Dylan uważał, że wygląda zachwycająco. Spojrzał na chłopców, którzy z otwartymi buziami śledzili cud narodzin.

- Niesamowite, co?

- Eee, raczej straszne - skrzywił się Ben. W tej samej chwili pojawiły się patykowate nogi, mała główka i reszta drobnego ciała. - To koń. Prawdziwy koń. - Obaj z Chrisem nachylili się bliżej.

- Ale duży! Jak on się tam zmieścił?

- Ona - poprawiła go Abby, ani trochę nie wstydząc się swych łez. - Czy nie jest piękna?

- Trochę brudna - stwierdził Ben, a Abby natychmiast dokładnie wytarła maleństwo.

- Dobra robota. - Dylan pogłodził Abby po głowie, a potem pocałował. - Naprawdę dobra robota.

- Możemy się z nią bawić? - Chris nieśmiało wyciągnął rękę.

- Jeszcze nie, ale możecie jej dotknąć. Prawda, jaka miękka? Klaczka przyklęła i wypróbowała swoje nogi.

- Wstała! Naprawdę wstała. Siostra Cathy Jackson wstała dopiero po wielu miesiącach. - Mały był wyraźnie dumny ze swej klaczy. - Jak ją nazwiemy?

- Nie możemy jej nazwać, synku. Pan Jorgensen ją kupi, więc pewnie sam będzie chciał nadać jej imię.

- Nie możemy jej zatrzymać?

- Chris... - Abby spojrzała na niego, potem na Bena. - Przecież wiecie, że nie. Rozmawialiśmy o tym.

- Ale mnie i Bena nie sprzedałaś.

- Konie rosną szybciej - wtrącił Dylan. - Pewnego dnia będziecie mieli własny dom. A ta klaczka już za kilka miesięcy będzie dorosła.

- Będziemy ją odwiedzać. - Ben najwyraźniej pogodził się z losem.

- Oczywiście - uśmiechnęła się Abby, dumna z takiego dojrzałego syna. - Pan Jorgensen jest bardzo miły.

- Będziemy mogli patrzeć, jak Gladys rodzi?

- Jeśli nie będziecie akurat w szkole. - Abby usłyszała warkot silnika i spojrzała na swe ręce. Dopiero teraz zauważyła, że są we krwi. - To na pewno weterynarz. Muszę się umyć.

Chłopcy byli tak przejęci, że długo nie chcieli iść spać. Abby pozwoliła im jeszcze pożegnać się ze źrebaczkiem, a potem, przyjemnie zmęczona, usiadła przy kominku w salonie.

- Co za dzień! - westchnął Dylan, siadając obok niej. - Jeszcze jaki. Tak się cieszę, że chłopcy przy tym byli. Nigdy tego nie zapomną.

Ogarnęło ją dziwne, dawno zapomniane uczucie. Pamiętała, jak to jest, kiedy rodzi się w tobie nowe życie, jak sprowadzasz je na ten niezbyt idealny świat. Czy jeszcze kiedyś będzie znów nosić w sobie dziecko?

- Zmęczona?

- Trochę.

Abby zapatrzyła się w ogień.

- O czym myślisz?

- Jutro znów zaczniesz mnie pytać, a ja będę musiała ci odpowiedzieć.

- Po to tutaj jestem. Abby. - Nie był już jednak pewien czy na pewno.

- Wiem. Obiecałam i spróbuję tej obietnicy dotrzymać.

- Ale teraz nie będzie żadnych pytań. - Dylan pogładził ją po włosach.

Abby zamknęła oczy. Może jednak zostało jeszcze trochę miejsca na marzenia i tęsknoty...

- Dziś wieczorem chciałabym udawać, że nie ma żadnej książki, żadnych pytań. Wiedział, że mógłby wyrzucić na nią presję. Czuł, że akurat w tym momencie, w tym nastroju wyznałaby mu wszystko. Gdyby tylko nacisnął właściwy guzik, odpowiedzi popłynęłyby same. Powinien tak zrobić. Otoczył ją ramieniem i razem patrzyli w ogień.

- W domu mieliśmy wielki, kamienny kominek. Mama mawiała, że można by na nim upiec wołu.

- Byłeś szczęśliwy? - W jego objęciach czuła się zadziwiająco dobrze. Spokojnie i tak... zwyczajnie.

- Tak. Nie zachwyciło mnie, że o świcie muszę dość krowy, ale byłem szczęśliwy. Mieliśmy strumień i ogromny dąb. Siadywałem pod nim, wsłuchiwałem się w szum wody i czytałem książki. Dzięki nim podróżowałem po całym świecie.

- I postanowiłeś zostać pisarzem.

- Postanowiłem samotnie szerzyć prawdę. Pewnie dlatego na początku wybrałem dziennikarstwo. Wszedłem w nie z Pierwszą Poprawką do Konstytucji w głowie. - Zaśmiał się sam z siebie, nie wiedząc jeszcze, że nauczył się tego od niej. - Odkryłem, że aby coś osiągnąć, często trzeba unurzać się w błocie.

- Prawda... Chyba jest dla ciebie bardzo ważna. - Bez niej reszta to tylko dekoracja, wykręty. Tak, w tym jestem dobra, pomyślała Abby.

- Dlaczego więc zająłeś się biografiami?

- Bo badanie czyjegoś życia jest fascynujące. Masz jakąś z początku zupełnie ci obcą osobę, stopniowo poznajesz ją bliżej, analizujesz spotkania i błędy.

- Czasami błędy bywają prywatne.

- Właśnie dlatego nigdy nie opublikowałem żadnej biografii bez autoryzacji.

- A jeśli któregoś dnia ktoś napisze twoją? Chyba go to rozbawiło. Usłyszała koło ucha jego ciche parsknięcie. Nie miał pojęcia, że mówiła poważnie.

- Może sam bym to zrobił, ale tak bez owijanie w bawełnę.

- Zrobiłeś kiedyś w życiu coś, czego się wstydzisz?

Nie musiał się długo zastanawiać. Każdy mężczyzna po trzydziestce ma coś na sumieniu.

- Zdarzyło się.

- I napisałbyś o tym? Nie przejmowałbyś się, co inni o tobie pomyślą?

- Z prawdą nie można się targować, Abby. - Przypomniał sobie, co opowiedziała mu o poczęciu Chrisa, i dodał: - Czasami, kiedy jest dla kogoś bardzo ważna, możesz udawać, że nic nie słyszałeś.

Patrząc w ogień, Abby długo się nad tym zastanawiała.

Dylan chciał wcześniej zacząć pracę, więc zszedł na dół, zanim chłopcy skończyli śniadanie. Głównym tematem ich rozmowy, jak można się domyślić, było nowo narodzone źrebie. Ben z Chrisem zastanawiali się, czy przypadkiem Gladys nie spleta im figła i nie urodzi, kiedy będą w szkole. Uważali się już za doświadczonych i gotowi byli odegrać rolę akuszerów. Aby udowodnić swe osiągnięcia, każdy z nich zabierał do szkoły polaroidowe zdjęcie nowej obywatelki.

- Dziś w szkole na lunch będą hamburgery - przypomniał sobie Ben, spoglądając z nadzieją na matkę.

- Podaj mi torebkę. - Abby odstawiała do szafki słoik z masłem orzechowym.

- Ja też? - spytał Chris.

- Dobrze. - Otworzyła torebkę i wyrzuciła jej zawartość na stół. Oprócz portfela wypadła też plastikowa torebka z gumowymi rękawiczkami. - Macie, ale nie zgubcie.

- Nie ma obawy. - Chris natychmiast schował pieniądze do kieszeni dzinsów. - Mamo, ja wiem, skąd wychodzą dzieci.

- Yhm. - Abby spokojnie nalewała kawę.

- Ale skąd się tam biorą?

- Hm... - Abby rozlała kawę na blat. Kątem oka zauważyła uśmiech na twarzy Dylana. Spojrzała na okrągłą, rumianą twarzyczkę synka. Jak mu to powiedzieć? Przecież ma zaledwie sześć lat. A w dodatku do odjazdu szkolnego autobusu zostały tylko dwie minuty.

- Z miłości - wyjaśniła i pocałowała go w oba policzki. - Z bardzo szczególnego rodzaju miłości.

- O! - Chyba usatysfakcjonowany odpowiedzią mały objął ją za szyję i ruszył ku drzwiom. - Chodź, Ben. - Będę pierwszy - dodał, widząc, że brat dopiero wkłada kurtkę.

- Pa, Ben - szepnęła Abby. Potrząsnęła głową i zaczęła wycierać rozlaną kawę.

- Podoba mi się twój styl - rzekł Dylan rozbawiony.

- Tak? - Abby ze śmiechem poprawiła rozciągniętą bluzę. - Ostatni krzyk mody, co?

- Miałem na myśli sposób, w jaki odpowiedziałaś na bardzo ważne i bardzo drażliwe pytanie sześciolatka. Niektórzy wygłosiliby cały wykład z biologii, a inni zbyli go byle czym. Ty dałaś mu dokładnie taką odpowiedź, jakiej potrzebował. Ale mimo wszystko szkoda, że nie miałem aparatu, kiedy zadał to pytanie. Zobaczyłabyś swoją minę. Jest warta każde pieniądze.

- Nie wątpię.

- Podobasz mi się rano.

- Taka rozczochrana?

- Taka świeża. - Uśmiech na jej twarzy zbladł. - Miękką. Chciałbym móc leżeć rano z tobą w łóżku, patrzeć, jak się budzisz, potem znów zasypiasz i wiedzieć, że kiedy znów się obudzisz, będę się z tobą kochał.

Serce biło jej tak mocno, że Dylan je słyszał.

- Ja też bym chciała. Ale dzieci...

- Rozumiem. Ale na samą myśl robi mi się gorąco. Jej też. Mimo to włożyła buty. Obowiązki...

- Niestety w tym domu nigdy nie ma czasu na wylegiwanie się w łóżku - westchnęła. - Zawsze powtarzam, że dopiero kiedy chłopcy zaczną spać dłużej niż do siódmej, uznam, że dorośli. - Na miękkich nogach podeszła do stołu, żeby posprzątać.

- Ja to zrobię. - Dylan chwycił ją za rękę.

- Nie trzeba.

- Abby... Czy nigdy nie słyszałaś o równouprawnieniu? Owszem, od urodzenia o tym słyszy.

- Jasne. Właśnie dlatego chłopcy na zmianę zmywają, odkładają na miejsce swoje rzeczy, jeśli mają dobry humor, i umieją posługiwać się odkurzaczem. Ich żony mi podziękują. Na razie ktoś musi wiosłować.

- Zazwyczaj wiosła są dwa.

- W porządku. - Abby uśmiechnęła się. - Ty posprzątasz kuchnię, ja nakarmię zwierzęta. Będzie szybciej.

- Dobra. Jak wrócisz, siądziemy do pracy.

- Nie mogę. - Abby zbierała ze stołu zawartość swojej torebki. - Muszę jechać do Smithów. Wrócę koło południa.

Chciał zaprotestować, ale zmienił zdanie.

- Zawsze nosisz ze sobą gumowe rękawiczki?

- Co? A... - Ze śmiechem wrzuciła je do torby.

- Tylko jak jadę do Smithów. Ona ma fioła na punkcie amoniaku.

- Czego?!

- Amoniaku. - Abby zamknęła torbę i zastanawiała się, czy nie powinna kupić spaghetti. - Nie rozcieńczonego. Domaga się, żeby czyścić podłogi amoniakiem.

- Ty je czyścisz?

- Dwa razy w miesiącu. - Abby była już przy drzwiach.

- Co to takiego? Robisz to na ochotnika? Pomagasz starszym?

- Nigdy w życiu - roześmiała się. - Zarabiam sześć dolarów za godzinę. Tylko nie włączaj zmywarki. Chyba...

- Pracujesz jako pokojówka?

- Sprzątaczką. Pokojówka to dla mnie ktoś w małej czarnej sukience i...

Przerwała, kiedy wstał i ruszył w jej stronę. Patrzył na nią z taką furją, że serce jej zamarło.

- Po jaką cholere szorujesz na czworakach czyjeś podłogi?

- To uczciwa praca. - Abby dumnie uniosła głowę.

- Dlaczego?

- Bo jedyną rzeczą, jaką oprócz tego umiem robić jest śpiewanie w trio. Nie ma na to dużego zapotrzebowania i mało płacą. Dylan nie miał ochoty na żarty.

- Dlaczego wdowa po Chucku Rockwellu musi myć podłogi za sześć dolarów za godzinę?

- Nie mam czasu ani ochoty rozmawiać z tobą na temat mojej sytuacji finansowej, Dylan. - Chciała otworzyć drzwi, ale zatrzasnął je przed nią.

- Zadałem ci pytanie.

- A ja ci odpowiedziałam. Nie zamierzam tolerować takiego zachowania. Nie jestem nikim gorszym tylko dlatego, że myję czyjeś podłogi i odkurzam meble za pieniądze. Gdybym robiła to na ochotnika, byłabym bohaterką, ale robię to dla zarobku.

- Chcę wiedzieć, dlaczego w ogóle to robisz.

- Robię dokładnie to, co muszę. I to moja sprawa. Tym razem jej nie zatrzymał.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Napędzany tępą złością, Dylan zapisał dwadzieścia stron. Chuck Rockwell nie był już dla niego tylko nazwiskiem. Z upływem czasu poznawał go coraz lepiej. Widział w nim człowieka pozbawionego poczucia bezpieczeństwa, rozchwianego emocjonalnie, skupionego na sobie egoistę. Przyznawał mu talent i wysokiej klasy umiejętności oraz odwagę, którą niektórzy nazwaliby bohaterstwem. Nie tylko urodził się w czepku, ale w dodatku był zamożny z domu. Nie siedział jednak z założonymi rękami i nie cieszył się bogactwem, ani też nie wszedł do rodzinnej firmy, by pomnażać jej zasoby. Postanowił sam zapracować na swe nazwisko, i za to można go pochwalić.

Chuck Rockwell odniósł sukces i zdobył szacunek, a nawet podziw. Współpracownicy uważali go za mistrza, choć niezbyt lubili. Prasa wychwalała go pod niebiosa za działalność na torze i poza nim. Już po pierwszym roku miał zagorzałych wielbicieli. Sam zdobył to wszystko, plus oddaną żonę i dwóch synów.

A potem - zdaniem Dylana metodycznie, krok po kroku - zaczął to niszczyć.

Stracił sponsora, wyalienował się z grupy zawodników i zmarnował małżeństwo.

A jednak Abby kiedyś nazwała go rycerzem na białym koniu. I wytrwała przy nim cztery lata.

Dlaczego?

Chuck znęcał się nad nią fizycznie i psychicznie, nie interesował się dziećmi. Jego życiem były wyścigi i inne kobiety. A jednak Abby stworzyła mu dom.

Dlaczego?

Dopóki nie przyprze jej do muru i nie wyciągnie z niej odpowiedzi, jego relacja pozostanie tylko pustymi słowami.

Dopóki Abby mu nie zaufa, nie będzie mógł przyznać się do tego, co do niej czuje.

Jak długo jeszcze będzie się tego wypierał? Gwałtownym ruchem zdusił w popielniczce papierosa. Jak długo jeszcze będzie mieszkał z nią pod jednym dachem, patrzył na nią, pragnął jej, zaprzeczał, że stracił dla niej głowę? Zaśmiał się i przeczesał palcami włosy. Łatwiej przyznać się, że zwariował, niż że stracił głowę i serce. A przecież to prawda. Jest zakochany.

Zawsze wydawało mu się, że zakochanie to coś takiego jak wędrówka po oblodzonej drodze, kiedy nie zauważasz kamieni czy przepaści. No i tak właśnie się teraz czuł. Śliska

droga, kamień pod nogami i upadek w przepaść. I w rezultacie straci szansę na napisanie znakomitej książki, przestanie być obiektywny i skomplikuje sobie życie.

Jezu, kiedy ona wreszcie wróci do domu?

I tu był kolejny problem. Jest na tej farmie niecałe trzy tygodnie, a już stała się dla niego domem. Jest z Abby niecałe trzy tygodnie, a już myśli o niej „moja”. No i chłopcy... Dylan wstał z biurka i zaczął spacerować po pokoju. No dobra, zwariował na ich punkcie. Przecież nie jest z kamienia, prawda?

Czemu tak go to wzięło? Ciężko pracował, by jego życie było takie właśnie, jak chciał. Jediną osobą, wobec której jest odpowiedzialny, jest on sam. Jediną osobą, na której opinii mu zależy, jest Dylan Crosby.

Może nie opływał w pieniądze, ale niewątpliwie zarabiał nieźle. Gdyby jutro zapragnął wyjechać na trzy tygodnie na Południowy Pacyfik, z nikim by nie musiał tego wcześniej uzgadniać. Czy jest samolubny? A jeśli nawet, to ma do tego prawo. Przez całe dzieciństwo, aż do czasu college'u, doił krowy. Potem studiował, ciężko pracował i ustabilizował się - miał zawód i życie prywatne. Lata pracy w charakterze dziennikarza śledczego były trudne, ale dawał sobie radę. Małżeństwo może nie było cudowne, ale dopóki trwało, starał się jak mógł. Teraz jest wolny, bez jakichkolwiek zobowiązań. Sam ustala sobie harmonogram pracy, sam wyznacza cele. To, że spodobała mu się ta farma i polubił dwóch chłopaczków, nie oznacza jeszcze, że ma wyrzucić do góry nogami cały swój świat. Ma już za sobą jedno małżeństwo, Abby też. Byliby nierozsądni, ryzykując drugi raz to samo.

Kiedy ona wreszcie wróci do domu?

Ledwo usłyszał warkot silnika, już był przy oknie.

Ale to nie poobijany wóz Abby zobaczył na podjeździe, lecz ogromną, srebrną, błyszczącą limuzynę.

- O, świeże powietrze. Świeże, wiejskie powietrze. - Frank O'Hurley wyskoczył z auta, jakby otwierał pierwszą scenę pierwszego aktu. - Oczyszcza umysł. Oczyszcza duszę. Każdy powinien je wdychać. - Odetchnął głęboko... i skrzywił się z obrzydzeniem. - Rany boskie, co to za zapach?

- Podejrzewam, że koński nawóz. - Maddy stanęła obok niego i rozejrzała się wokół z zaciekawieniem. Wszędzie czuła się jak u siebie w domu. - Mamo, jest tam moja torebka?

- Bardzo proszę. - Molly, drobna i śliczna, z pomocą kierowcy wysiadła z auta. Stanęła wyprostowana i zasłoniła oczy. Nie była próżna, ale wiedziała, że od słońca robią się zmarszczki, a ona przecież pracuje twarzą. - No, no. - Trochę z zachwytem, trochę ze zdumieniem przyjrzała się domowi. - Nie wyobrażam sobie naszej Abby w czymś takim.

- Gdzie popełniliśmy błąd? - zwrócił się do żony Frank...

- Przestań, tato! - Najmłodsza córka klepnęła go w ramię. - Abby kocha ten dom. Kiedy Dylan dotarł do drzwi, z limuzyny wysiadała akurat Chantel O'Hurley. Od razu zauważył, że ma takie same cudowne nogi jak Abby. Z gracją stanęła na wysypanym żwirem podjeździe, okręciła się dokoła i podała rękę kierowcy.

- Dziękuję, Donald. - Jej głos był niski i zmysłowy, uśmiech oszałamiający. - Bądź tak łaskaw i postaw nasze bagaże na ganku. Potem jesteś wolny.

- Tak jest, proszę pani.

- Dobra w tym jesteś - szepnęła jej do ucha Maddy.

- Kochanie, przecież wiesz, że to u mnie wrodzone. - Chantel ujęła siostrę pod ramię i dopiero wtedy zauważyła pytana. - No, no, kogo my tu mamy?

- To pewnie ten pisarz. - Maddy obejrzała go uważnie. - Bądź miła.

- Zapomniałaś, że to nie w moim stylu? - Chantel zsunęła na nos ogromne przeciwsłoneczne okulary i nadal wpatrywała się w Dylana.

On też patrzył na nich. Jedna z sióstr miała na sobie workowate spodnie i obszerny żakiet? wszystko w tak ostrej zieleni i błękitach. że normalnie oczy by bolały. Na niej jednak wyglądało to po prostu wesoło i w dodatku znakomicie harmonizowało z płową czupryną. Druga była elegancka, z grzywą popielatych włosów, w znakomicie skrojonym kostiumie i pantoflach ze skóry aligatora. Towarzyszyli im rodzice - drobna, śliczna mama około pięćdziesiątki i żyłasty, niski tata, teatralnymi gestami machający w stronę stajni.

- Dzień dobry. Jesteśmy rodziną Abby - odezwała się Maddy.

Weszła po schodach szybkim, sprężystym krokiem urodzonej optymistki. Siostra podążyła za nią wolno i majestatycznie.

- Pan jest Dylan Crosby. - Chantel wyciągnęła do niego czubki palców. - My się już znamy.

- Witam panią. - Jeśli kiedykolwiek czuł, że jakaś kobieta z przyjemnością ugodziłaby go nożem i w dodatku wiedziała, gdzie celować, byłaby to ona. Z ulgą odwrócił się do Maddy.

- To pan jest tym pisarzem. Abby mówiła mi, że pan tu jest. To nasi rodzice.

- Frank i Molly O'Hurley. - Frank mocno i serdecznie uściśnął mu rękę.

- Molly i Frank - poprawiła z uśmiechem jego żona. To po niej Abby odziedziczyła urodę.

- To nie teatr, kochanie. - Frank cmoknął żonę w policzek. - Gdzie moja dziewczynka?
- zwrócił się do Dylana.

- Pojechała załatwić parę spraw. - Dylan od razu polubił tego niewielkiego, żylastego mężczyznę o mocnym uścisku i silnym głosie.

- Parę spraw... Cała Abby.

- I zupełnie niepodobna do nas. Cześć. - Molly nie podała mu ręki, ale uśmiechnęła się. - A pan pewnie jest tym pisarzem. Abby mówiła nam, że zdecydowała się autoryzować pańską książkę.

- Owszem. - Od razu wyczuł jej dezaprobatę. Podejrzewał jednak, że nie jest wymierzona ona w niego osobiście, lecz w sam pomysł jako taki. - Nie wiem dokładnie, kiedy wróci, ale...

- Nie ma sprawy. - Frank przyjaźnie poklepał go po ramieniu, po czym minął go i wszedł do domu. Zrobił to W. sposób tak naturalny, że Dylan dopiero po chwili uświadomił sobie, że Frank zignorował górę walizek.

- Cwany, co? - Maddy chwyciła dwie z nich i mrugnęła do Dylana. - No chodź, Chantel.

Chantel przez moment przyglądała się bagażom potem wzięła jeden mały neseserek.

- Jaki ojciec, taka córka - skomentowała Molly chwytając rączkę kolejnej walizki.

- Ja się tym zajmę - zaczął Dylan, ale Molly wybuchnęła śmiechem i sama dźwignęła walizę - Targam takie kufry od dziecka. Niech się pan o mnie nie martwi, i dla pana coś zostanie. Może mi pan wierzyć, że żadne z nich po nie wróci po bagaże. Nastaw kawę Frank! - zawołała i ruszyła na górę.

Dylan posłusznie wziął pozostałe torby i ruszył za nią. Zapowiada się interesujące popołudnie.

Abby uznała, że nie ma co dłużej się złościć. Złością niczego nie osiągnie. Dylan jej nie ufa. Owszem nie powiedziała mu całej prawdy, ale i nie kłamała. A Dylan jest człowiekiem, który wymaga prawdy i to całej. Nie koloryzowanej.

Sprawił jej przykrość. Zabolały ją jego wątpliwości i drwiny. A już zaczynała wierzyć, że osiągnęli porozumienie, że Dylan akceptuje ją taką, jaka jest.

Za dużo chciała i w tym był problem. Pragnęła zdobyć jego zaufanie, choć swego dać nie mogła. Pragnęła jego pomocy i wsparcia, choć bała się zaoferować własne. Przede wszystkim zaś pragnęła jego miłości, a do swych uczuć do niego nie potrafiła się przyznać.

Złość tylko na moment dała jej satysfakcję. Potem czuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa. Może powinna odłożyć na bok swe uczucia i dać Dylanowi to, co chyba jest dla niego najważniejsze? Pełną szczerość. Jeśli otworzy się przed nim, a on mimo to odejdzie, nie będzie żałować.

Kiedy podjeżdżała przed dom, wiedziała już, że powie mu wszystko - o błędach, o żalach, o kompromisach. Miłość bez zaufania to tylko puste słowo. Złoży swe życie w jego ręce i uwierzy w niego.

Otwierając drzwi wejściowe, czuła, że jej determinacja słabnie. Musi porozmawiać z nim natychmiast, dopóki starczy jej odwagi. Gdy zobaczyła, jak zmierza przez hol w jej stronę, znieruchomiała.

- Dylan... - Nerwowo przekładała torebkę z ręki do ręki. - Musimy porozmawiać.

- Tak. - On też podjął pewne decyzje. - Ale chyba będziemy musieli z tym trochę poczekać.

- Nie mogę. Ja... - Usłyszała jakiś ruch na górze i odwróciła się w tamtą stronę.

Na schodach stała Maddy, bez butów, z rękami w kieszeniach wypchanych spodni i szerokim uśmiechem na ustach.

- Maddy! - Abby pędem ruszyła na górę. Po chwili tuliły się z siostrą, śmiały i mówiły jednocześnie. Mimo to każda z nich w tej krótkiej chwili zdołała zadać kilkanaście pytań i na tyle samo odpowiedzieć.

- Jak zwykle wpadacie sobie w kwestię. - Na szczycie schodów pojawiła się Chantel. Wyglądała tak samo chłodno i elegancko jak wtedy, gdy wysiadała z limuzyny. Nagle z dzikim okrzykiem rzuciła się w dół i wpadła w ramiona siostr.

- O rany, jesteście obie. - Abby nie wierzyła własnym oczom. - Jak wam się to udało?

- Ja wycofałam się ze sztuki - zaśmiała się Maddy. - Moja zastępczyni pewnie wystawi mi pomnik.

- My w zeszłym tygodniu skończyliśmy zdjęcia. - Chantel lekko wzruszyła ramionami. - Mój partner jest niepokieszony - dodała i ujęła w dłonie twarz Abby. Przyglądała jej się, uważnie ze wszystkich stron. - Niesamowite - mruknęła pod nosem. - Ani śladu makijażu. Zabiję cię.

- Nawet nie wiecie, jak się cieszę. - Abby przytuliła je mocno.

W jej głosie zabrzmiała leciutka, prawie niewyczuwalna nutka rozpacz, Chantel jednak ją wychwyciła. Miała przecież ucho aktorki. Nad głową siostry spojrzała na Dylana - zimno i groźnie. Miała błękitne, bardzo ciemne i pełne wyrazu oczy i umiała ich używać.

Wrażliwa na zmiany nastroju Maddy wyczuła, że coś się dzieje. I wiedziała, jak sobie z tym poradzić.

- Nie ciesz się za bardzo, maleńka - zwróciła się do Abby. - Chodź lepiej do kuchni. Napijesz się kawy, Dylan?

Jej ciemne oczy także były pełne wyrazu i patrzyły ostrzegawczo. Dylan oczywiście podjął to wyzwanie. Jest przecież mężczyzną.

- Mama. Tata. - Abby od progu patrzyła na spokojnie siedzących przy kuchennym stole rodziców.

- No, dobrze, że wreszcie jesteś. - Frank wyciągnął do niej ramiona. - Daj buzi.

- Co tu robicie? - Abby objęła rodziców za szyję i wdychała znajome zapachy: mięty i Chanel. Ojciec zawsze ssał miętowe cukierki, a mama wolałaby chodzić bosą, niż odmówić sobie ulubionych perfum. - Przecież tu w okolicy nie ma żadnego teatru.

- Wakacje. Mogliśmy przyjechać tu albo wybrać Paryż. Molly tylko leciutko prychnęła.

- Gdzie chłopcy?

- W szkole. Będą po trzeciej.

- Cały dzień nad książkami. - Frank potrząsnął głową. - To tragedia.

- Ale zachowaj tę opinię dla siebie - ostrzegła go Abby. - Założę się, że chętnie się z tobą zgodzą.

- A to co? - Frank otarł łzę z rzęs córki.

- Abby ma prawo czasem się trochę wzruszyć.

- Maddy pospieszyła siostrze z odsieczą. - Pewnie zastanawia się, czym nakarmić dodatkowe cztery osoby. I to przez trzy dni. Abby, jak się zapala tę kuchenkę?

- Najpierw naciśnij kurek, potem przekręć. Naprawdę zostaniecie? - Spojrzała na matkę, bo wiedziała, że to ona wszystkim rządzi.

- Mamy przerwę między kontraktami. Jeśli z nami wytrzymasz, zostaniemy do końca tygodnia.

- Oczywiście, że wytrzymam. - Abby mocno przytuliła mamę. Nie mogła uwierzyć, że ma ich tu wszystkich naraz. - Szkoda, że nie ma z nami Trace'a.

- Ach, ten chłopak! - syknął Frank. - Żadnego poczucia odpowiedzialności, żadnych ambicji. Jak nie mój syn.

- Prawda? - wtrąciła ironicznie Chantel, ale Frank nawet tego nie zauważył.

- Ma przecież talent. Nauczyłem go wszystkiego, co sam umiem. A on od dziesięciu lat nie postawił nogi na scenie.

- Mówiłam wam, że Chris grał w szkolnych jasełkach? - Abby umiała łagodzić konflikty. - Baranka. - Od czegoś trzeba zacząć.

- Brawo, Abby - szepnęła Maddy.

- Lata praktyki - odparła. Zobaczyła, że Dylan stoi nieco z boku i obserwuje. Tak, w tym jest dobry. Chciałaby tylko wiedzieć, czy uśmiech na jego twarzy jest wyrazem rozbawienia, czy pogardy. - Kawy?

Tylko kiwnął głową.

- Dylan, mój drogi. - Frank nie lubił występować bez publiczności. - Chodź, usiądź z nami. Opowiem ci, jak występowaliśmy w Radio City.

Chantel jęknęła, więc spojrzał na nią z oburzeniem.

- Trochę szacunku dla rodziców, dziecko.

- Frank, może Dylana nie interesuje biznes rozrywkowy? Teraz tak samo spojrzał na żonę.

- Wszystkich interesuje biznes rozrywkowy.

Frank wsypał sobie do kawy dwie łyżeczki cukru, a po chwili wahania jeszcze trzecią.

- Zresztą jest pisarzem, a to znaczy, że lubi słuchać innych. No, siadaj, Dylan. Nie przejmuj się nimi. Nauczyłem je stepować, ale manier się nie udało.

I Frank opowiedział mu swoją historię. Pomagały mu od czasu do czasu córki, wtórowały parsknięcia żony. Dylan nie był pewien, czy to, co słyszy, to prawda czy fikcja, ale nie wątpił, że Frank O'Hurley wierzy w każde swe słowo.

Abby odprężyła się. Towarzystwo rodziny wyraźnie sprawiało jej przyjemność.

Choć była do nich zupełnie niepodobna, pasowała do całości jak element układanki. Dylan też dobrze się z nimi czuł. Byli głośni, weseli i rozbawieni. Ich opowieści były teatralne i koloryzowane, lecz nie pozbawione głębszego sensu. Mógłby napisać o nich książkę. Na pewno stałaby się bestsellerem.

I choć powtarzał sobie, że nie jest to w jego stylu, słuchał dalej. I obserwował.

Prawdziwy chaos zaczął się dopiero po trzeciej, kiedy do domu wrócili chłopcy. Przypadkowy obserwator pomyślałby, że O'Hurleyowie konkurują ze sobą o uwagę nowych widzów, ale Dylan dostrzegł w tym coś głębszego - wrodzoną miłość do zamętu i zamieszania oraz do siebie nawzajem. Bena i Chrisa powitały radosne okrzyki, przytulanie i prezenty. Niektóre dzieci pewnie czułyby się przytłoczone tą całą uwagą, ale Dylan zauważył, że Ben i Chris traktowali to jako coś zupełnie oczywistego. Wiedział, że nieczęsto widują dziadków i ciotce, ale zachowywali się swobodnie, bez skrępowania. W pewnej chwili Chris wspiął się na kolana Dylana, jakby to było dla niego najnormalniejsze miejsce na świecie, i z tej pozycji raczył rodzinę szkolnymi opowieściami.

Siedzieli tak prawie godzinę, na piecu trzaskał ogień, w powietrzu unosił się zapach kawy i radosne głosy.

Kiedy Abby wzięła się za gotowanie i szykowanie kolacji, Frank natychmiast wstał. Wziął wnuków za ręce i zażądał, by zaprowadzili go na górę i pokazali ulubione zabawki.

- Jak zawsze - skomentowała Maddy.

- Wiecie, co mi się w waszym ojcu podoba? To, że nie uważa gotowania za babską robotę, tak samo jak zmiana koła nie jest dla niego robotą męską. - Molly uśmiechnęła się czule. - Obu tych rzeczy unika zresztą jak ognia. W czym mogę pomóc, kotku?

- W niczym, mamó. Dziś nie będzie nic szczególnego. Zwykły klops.

- Pewnie chciałabyś, żebym obrała kartofle albo coś? - Chantel przysiadła na wolnym stołku.

Abby spojrzała na wypielegnowane dłonie siostry. Na jednym z palców lśniły brylanty i szafiry, na przegubie błyszczał delikatny złoty zegarek z bursztynową tarczą. Uśmiechnęła się i postawiła na blacie torbę z kartoflami.

- Dwanaście powinno wystarczyć.

Chantel z westchnieniem wzięła obieraczkę.

- Trzeba się było nie odzywać. Ty zawsze tak wszystko bierzesz dosłownie.

- Ja nakarmię zwierzęta. - Dylan zrezygnował z okazji, by zobaczyć jedną z najślawniejszych gwiazd Hollywoodu przy obieraniu kartofli.

- Ale przecież chłopcy... - zaczęła Abby.

- Dziś mają szczególny dzień.

- Pomogę ci. - Maddy ruszyła w stronę drzwi. - Wolę konie niż kartofle. Zaczęła mówić, ledwo zamknęły się za nimi drzwi.

- Sama nie wiem, co o tobie myśleć, Dylan. Już prawie byłam pewna, że cię nie lubię, i nagle zobaczyłam cię z chłopcami. Dzieci to znakomici sędziowie. One się nie mylą, a moi siostrzeńcy wyraźnie za tobą przepadają. - Milczał, więc stanęła przed nim i spojrzała mu prosto w oczy. - Przyjechałam do Abby głównie z twojego powodu. Dylan uznał, że zwierzęta mogą poczekać, i zapalił papierosa.

- Nie bardzo rozumiem.

- Kiedy dzwoniłam do niej jakiś tydzień temu, odniosłam wrażenie, że jest wytrącona z równowagi. A ją niełatwo zdenerwować. Dużo w życiu przeszła. Nie zawsze byłam przy niej, Chantel też nie, nie mogłyśmy jej wspierać, kiedy było jej to najbardziej potrzebne. Dlatego jesteśmy tu teraz.

- Wydaje mi się, że Abby sama potrafi o sobie dbać.

- Niewątpliwie. Popatrz na ten dom. Abby go kocha i nie wiem, czy wiesz, ale wszystko wokół to jej dzieło. Nie wiem, co ci mówiła lub dopiero powie o Rockwellu, ale to należy do niej.

- Nie lubiłaś go...

- Jak na aktorkę, trochę za słabo się kamufluję. Owszem, nie lubiłam go, a o niewielu ludziach mogę to powiedzieć. Ale moje uczucia to jedno, a uczucia Abby to drugie. Nie chcę jednak, żeby znów dostała w kość. - Uśmiechnęła się lekko, lecz jej głos pozostał twardy i zdecydowany. - Kiedy tu jechałam, byłam gotowa stanąć między nią a tobą z pięściami gotowymi do walki. Teraz widzę, że chyba nie będzie to konieczne.

- Nie znasz mnie.

- Ale ona chyba tak. Jeśli jej na tobie zależy, to pewnie ma powód. Chodźmy do koni.

- Maddy swobodnym, naturalnym gestem wzięła go pod ramię.

Podczas kolacji panował radosny rozgardiasz. Jedzenie może i było proste, ale powitano je z entuzjazmem i nie zostawiono po nim śladu. Kiedy trzeba było pozmywać, Frank wymknął się ze swym banjo. Ponieważ zabawiał dzieci, Abby sama wzięła się za tę robotę, a poprzez brzęk naczyń i sztućców słuchała śpiewu ojca.

- Daj, ja to zrobię.

- Ależ mam, przecież masz wakacje.

- Czy ty wiesz, kiedy ja ostatnio zmywałam? - Molly, była kelnerka, wprawnie ustawiała talerze. Bo ja nie. Kiedyś myślałam, że to odpręża.

Maddy zmarszczyła nos i chwyciła kilka szklanek.

- Idź do mojego pokoju i odpocznij. Chantel, weź ten półmisek.

- Ja obierałam kartofle. Bez rękawiczek nawet nie włożę tego do zmywarki.

- Jesteś próżna. Po prostu próżna.

- Chyba raczej pomogę tacie.

- Jak na jeden dzień chyba się dość narobiłaś. - Dylan zaczął wkładać naczynia do maszyny. - Może posiedzisz z ojcem?

Już samo jego spojrzenie przypomniało jej ostre słowa, jakie wypowiedział tego ranka. Chcąc uniknąć podobnej sceny przy rodzinie, Abby wycofała się.

- Może i masz rację.

- Idźcie, idźcie - poparła go Molly. - Frank będzie w siódmym niebie. Znów ma swoje trzy córki razem. Chyba jestem sentymentalna - dodała, kiedy zostali sami.

- Ma pani wspaniałą rodzinę.

- O Jezusie, nie mów do mnie pani. Nie jestem jeszcze taka stara. Molly, zwyczajnie Molly.

Dylan zamknął zmywarę i spojrzął na matkę Abby. Była śliczna, delikatna i pełna życia.

- Że zwyczajna, to bym nie powiedział.

- Oj, ty, ty. Komplementarz. No tak, przecież jesteś pisarzem. Czytałam twoją ostatnią książkę, o tej aktorce.

- I?

- Twardy z ciebie człowiek. Widzisz rzeczy, które czasem powinny raczej pozostać w ukryciu. Ale jesteś uczciwy. - Teraz to ona na niego spojrzała. - Bądź uczciwy wobec mojej córki, Dylan. Tylko tego pragnę. Abby jest silna. Czasami przeraża mnie, jak bardzo. Kiedy ktoś ją zrani, nie prosi o pomoc, ale sarna opatruje rany. Nie chcę, żeby znów miała co leczyć.

- Nie przyjechałem tu po to, żeby ją zranić.

- Ale możesz to zrobić nieświadomie. Umiesz śpiewać? - spytała nagle.

- Nie - odparł zaskoczony, po czym się roześmiał.

- To pora, żebyś się nauczył. - Wzięła go pod ramię i poprowadziła do salonu.

Dopiero po północy w domu zapadła cisza. Abby domyślała się, że Maddy i Chantel pewnie jeszcze gadają i śmieją się w swoim pokoju. Rodzice na pewno od razu zasnęli, bo nowe miejsce i nowe łóżko to przecież dla nich chleb powszedni. Ona jednak była zbyt niespokojna, by zasnąć, i zbyt niespokojna, by dołączyć do sióstr. Narzuciła więc płaszcz na szlafrok i poszła do stajni.

Żrebaczek, który tak spodobał się Maddy, spał zwinięty w kłębek na sianie obok matki. Gladys nie spała, być może czuła zbliżające się rozwiązanie. Abby pogładziła ją po szyi. Miała nadzieję, że tym gestem uspokoi także siebie.

- Powinnaś się położyć.

Palce Abby znieruchomiały na grzywie klaczy.

- Nie słyszałam, jak wchodziłeś. - Odwróciła głowę w stronę Dylana. - Myślałam, że wszyscy już śpią.

- Ty też powinnaś spać. Wyglądasz na zmęczoną. - Podeszedł bliżej bardzo ostrożnie, jakby bał się jej dotknąć. - Widziałem, jak wychodziłaś. Stałem w oknie.

- Chciałam tylko zajrzeć do Gladys. - Abby oparła policzek o łeb konia. Poranna kłótnia zdawała się tak odległa. Miała wrażenie, że od chwili, kiedy leżała obok niego, minęły całe wieki. Zatęskniła za tym.

- Obawiam się, że podczas wizyty mojej rodziny nie uda nam się popracować.

- Mam na razie dość materiału, żeby samemu trochę popisać. Abby... - Pragnął jej, chciał wziąć ją w ramiona i udawać, że wszystko jest tak proste, jak rodzinne siedzenie w salonie i wspólny śpiew. Chciał dać jej takie samo bezwarunkowe wsparcie, jakie dawała jej rodzina, lecz czuł, że wyrósł między nimi jakiś mur. - Chciałbym porozmawiać o tym, co było rano.

- Dobrze - odparła po chwili. Tego się przecież spodziewała. - Wejdziemy do domu?

- Nie. - Chwycił ją za rękę, zanim przypomniał sobie, że przecież lepiej będzie jej nie dotykać. - Chcę być z tobą sam. Posłuchaj, Abby... Chciałbym, żebyś mi odpowiedziała na tamte pytania. Muszę to wiedzieć. Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

- Chciałabym ci odpowiedzieć... - Abby położyła mu ręce na ramionach. Wracając tu dzisiaj, postanowiłam, że wszystko ci powiem, że będę z tobą szczerą. Może nie dam ci tych odpowiedzi, których pragniesz, ale zaufam ci i powiem prawdę.

O to właśnie mu tylko chodziło, a przynajmniej tak sobie mówił.

- Dlaczego?

Mogła się jakoś wykręcić i może nawet powinna to zrobić, ale skoro postanowiła być szczerą, to kiedyś trzeba zacząć.

- Bo się w tobie zakochałam.

Nie cofnął się, ale jego ręce zsunęły się z jej ramion i już jej nie dotykał.

- Mówiłam, że możesz uzyskać nie tę odpowiedź, której się spodziewałeś.

- Chwileczkę. Chwileczkę - powtórzył, kiedy chciała się odwrócić. Mimo że sam był zaszokowany, zauważył ból w jej oczach. - Przecież to normalne, że twoje słowa mnie zaskoczyły. Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić. Sama odpowiadam za swoje uczucia. Już dawno się tego nauczyłam. Dałam ci szczerą odpowiedź, bo uznałam, że unikanie jej tylko pogorszy sytuację. A jeśli chodzi o to, co było rano...

- Nieważne, co było rano. - Dylan ujął jej twarz w dłonie i patrzył, jakby widział ją po raz pierwszy. - Co ja mam z tobą zrobić? I co mam zrobić dla ciebie...

Jakie to by było proste tak wtulić się w jego ramiona. Poprosić, by ją objął. Wiedziała, że by nie odmówił. A jednak ani drgnęła.

- Z tym problemem musisz sobie sam poradzić. - Nie chcę się wiązać. Jedno małżeństwo dosyć dało mi w kość. Moja praca wymaga egoizmu.

- Nie proszę cię o żaden związek, Dylan. W ogóle o nic cię nie proszę.

- I w tym problem. Gdybyś poprosiła, mógłbym ci powiedzieć, żebyś dała sobie spokój. - Przynajmniej taką miał nadzieję. - Gdybyś poprosiła, podałbym ci kilkadziesiąt

przyczyn, dla których nic z tego nie wyjdzie. - Patrzyła na niego ciepło i spokojnie. Przeklął ją, przeklął siebie i wziął ją w ramiona. - Pragnę cię. I chyba nic na to nie poradzę.

- Nie musisz.

- Nic nie mów - szepnął i zaczął ją całować.

I znów było tak jak minionej nocy, jakby od tamtej pory nic się nie wydarzyło.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy Gladys zaczęła rodzić, wszystko się skomplikowało. Abby zajęta była zwyczajną codzienną krzątaniem, ojciec chodził za nią. Zawsze chętnie słuchała jego opowieści o życiu w trasie. Mimo że sama wiodła takie życie przez prawie dwadzieścia lat, umiała zapomnieć o trudach i znoju i pamiętać tylko radość i podniecenie.

- Powiem ci jedno, Abby, to wspaniałe życie. Jeździsz z miasta do miasta, poznajesz cały świat.

Ani razu nie wspomniał o ciemnych zaułkach, o tylnych wejściach, o salach szarych od dymu, śmierdzących alkoholem, o obojętnej publiczności. W świecie Franka O'Hurleya nie było miejsca na takie rzeczy.

- Vegas, to dopiero jest coś. Błyszczące neony, brzęczące automaty do gry. Ludzie tańczący w wieczorowych strojach o ósmej rano. Wiele bym dał, żeby znów tam wystąpić.

- I wystąpisz, tato.

Może nie w najlepszych salach, może jego nazwisko nie pojawi się na plakatach wielkich na siedem metrów, ale na pewno znów zagra w Vegas. Tak jak w dziesiątkach innych miast. Człowiek pokroju Franka O' Hurleya nie może żyć bez występów, tak jak nie można żyć bez oddychania. To ma się po prostu we krwi, jak często mawiał, i miał rację. I właśnie dlatego, że w żyłach O'Hurleyów płynie krew, nie woda, o ósmej rano był już na nogach i towarzyszył córce w inspekcji farmy, choć zazwyczaj uważał, że człowiek cywilizowany wstaje dopiero po południu. Abby wiedziała o tym i doceniła jego poświęcenie.

- To wszystko wokół... - Frank przystanął, ale starał się nie oddychać za głęboko - chyba naprawdę do ciebie pasuje. Pewnie masz to po babci. Nigdy nie chciała opuścić naszej farmy w Irlandii. Jesteś szczęśliwa, Abby?

Wyczuła, że to ważne pytanie. Farma dawała jej zadowolenie i satysfakcję. Dzieci... Z uśmiechem przypomniała sobie, jak chłopcy protestowali, że muszą iść do szkoły, podczas gdy w domu tyle się tego dnia dzieje. To dzięki dzieciom miała korzenie, dumę i miłość, jakiej nie potrafiłaby opisać. I Dylana. Przyniósł jej namiętność i spokój równocześnie. Sprawił, że jej życie stało się pełne.

I choć wiedziała, że to wszystko nie będzie długo trwać, na razie jej to wystarczało.

- Od dawna nie byłam taka szczęśliwa. Cieszę się z tego, czego tu dokonałam. To dla mnie bardzo ważne.

Frankowi nie mieściło się w głowie, że można być szczęśliwym, siedząc w jednym miejscu. Zawsze jednak chciał, by jego dzieci miały to, czego pragną. Cokolwiek by to było.

- A ten pisarz... - Zawahał się, bo w tych sprawach nie czuł się pewnie. - Tylko ślepy by nie zauważył, jak na niego patrzysz.

- Jestem w nim zakochana. - Dziwne, jak łatwo powiedziała te słowa, bez cienia żalu czy obawy.

- Rozumiem. Powinienem z nim porozmawiać? Abby dopiero po chwili wybuchnęła śmiechem.

- Nie, tato, nie. Nie musisz z nim rozmawiać. Kocham cię - dodała i pocałowała go w świeżo ogolony policzek.

- I całe szczęście. Teraz mogę ci powiedzieć, że razem z mamą martwiliśmy się, że mieszkasz tu samotnie i sama musisz sobie ze wszystkim radzić. No... właściwie to mama mówiła, że nie ma najmniejszego powodu, żeby się o ciebie niepokoić, ale ja i tak się martwiłem.

- Nie musisz. I ja, i chłopcy mamy naprawdę fajne życie. Takie, jakiego chcieliśmy.

- Łatwo mówić, ale dla ojca dobro jego córek to poważna sprawa. Chantel, na przykład, w młodości dała mi aż nadto powodów do niepokoju, ale to już chyba mamy za sobą. A Maddy zawsze ze wszystkim da sobie radę.

- Jak jej tata.

- Jak jej tata - uśmiechnął się Frank. - Ale ty to co innego. W dzieciństwie nie sprawiałaś żadnego kle potu, a potem...

Wolał jej nie mówić o tych nieskończonych godzinach, kiedy z bólem i strachem myślał o tym, co cizie je się w jej życiu. Choć był wrażliwy i sentymentalnie opłakiwał swego zięcia. Modlił się tylko o spokój dla swej córki.

- Ale teraz, kiedy wiem, że zwiążesz się z dobrym, odpowiedzialnym człowiekiem, mogę odetchnąć z ulgą.

- Nie wiąże się z Dylanem, tato. To nie tak.

- Ale przecież powiedziałaś...

- Tak, ale... - Abby kopnęła niewielki kamyk leżący na jej drodze. Gdyby to inne przeszkody dało się tak łatwo usunąć! - On tu nie zostanie, tato. To nie jest życie dla niego. A ja nie mogę stąd odejść, bo to jest życie dla mnie.

- Nigdy nie słyszałem takich bzdur.

Abby otworzyła drzwi do stajni i ojciec, choć wcale nie zamierzał tam wchodzić, musiał podążyć za nią. Prowadził swą rodzinę przez cały kraj, w tę i z powrotem, wzdłuż i wszerz. Czyż nie potrafi zaprowadzi swej córki tam, dokąd pójść powinna?

- Zakochani muszą próbować się przystosować jedno do drugiego, a nie poświęcać. Tylko kompromisy mają sens, Abby. Nie miałaś tego z twoim... - imię Chucka nie przeszło mu przez gardło. - Bo do kompromisu trzeba dwojga. Jeśli tylko jedno się przystosowuje, to taki układ pęknie. Prędzej czy później.

Przyglądała mu się uważnie. Nie był przystojny, ale bardzo ujmujący, o drobnej, żywej, pełnej wyrazu twarzy. Często grywał klauna, bo uważał, że jest stworzony do rozśmieszania. Ale nie był głupi.

- Jesteś bardzo mądry, tato. - Znów go pocałowała i przypomniała sobie te wszystkie sytuacje, kiedy się myliła, a on miał rację. - Dylan jest zupełnie inny. A ja zaczynam sobie uświadamiać, że też jestem zupełnie inną kobietą niż ta, która poślubiła tamtego wyjątkowo nieodpowiedzialnego człowieka.

- A co Dylan czuje do ciebie?

- Nie wiem. I chyba nie chcę wiedzieć, bo wtedy mogłoby być jeszcze trudniej. Ale nie martw się. Mówiłam ci, że jestem szczęśliwa, tak jak jest. Nie szukam mężczyzny, który by się mną zaopiekował, tato. Już raz to zrobiłam.

- Ale on się nie sprawdził.

Znów musiała się roześmiać i pocałować go.

- Nie był do tego stworzony, a ja nie byłam stworzona, żeby opiekować się nim. Dobrze wiesz, że małżeństwo nie na tym polega. To drużyna, tak jak ty i mama. Zespół.

- Twoi chłopcy potrzebują mężczyzny.

- Wiem, ale nie mogę im dać wszystkiego... Zreflektował się, bo usłyszał w jej głosie żal i poczucie winy. Wziął ją za rękę i mocno uściśnął.

- Znakomicie sobie z nimi radzisz. Kto się z tym nie zgodzi, będzie miał ze mną do czynienia.

Mały, ale zadziorny, zawsze taki był.

- Może raczej pomożesz mi nakarmić konie? Frank aż się cofnął.

- No nie, Abby. Zupełnie się na tym nie znam. Jestem typowym mieszcuchem.

- Chodź, pokażę ci żrebaka.

Szła w stronę pierwszego boksu, kiedy instynkt kazał jej zajrzeć do Gladys. I całe szczęście. Szybko otworzyła wrota i przyklękła obok rodzącej klaczy.

- Co się dzieje? - Frank stanął tuż za jej plecami. - Jest chora? To zakaźne?

Mimo że sytuacja była poważna, nie mogła się nie roześmiać.

- Poród nie jest chorobą zakaźną, tato. Idź do kuchni, znajdź mój notes i zadzwoń do weterynarza.

Frank zaklął pod nosem po amerykańsku i po irlandzku.

- Potrzebujesz wody? Wrzątku?

- Zadzwoń tylko do weterynarza i nie martw się. Mam w tym doświadczenie. Wybiegł co sił w nogach i już nie wrócił. Wcale się tego nie spodziewała. Przysłał Dylana, za którym przybiegła Chantel.

- Czy otwierać już szampana?

- Niedługo. Czy tata dzwonił po weterynarza?

- Ja zadzwoniłem. Frank wbiegł do kuchni, domagając się gorącej wody. Zdaje się, że twoja mama go uspokaja. Jak Gladys?

- Nieźle. - Abby spojrzała na siostrę, chłodną i elegancką jak zawsze, w szarych spodniach i jedwabnej bluzce. - Wcześniej wstałaś.

Chantel wzruszyła ramionami, nie wspominając, że kiedy człowiek całe życie musi być na planie przed szóstą, ranne wstawanie staje się dla niego rutyną.

- Nie mogłam pozwolić, żeby mnie coś takiego ominęło. Mogę w czymś pomóc?

- Już prawie koniec - oznajmiła Abby.

Razem z Dylaniem przyjęli swe drugie źrebię. Pracowali tak zgodnie i szybko, że Chantel pomyślała, że może źle tego mężczyznę oceniła, a to jej się nie zdarzało.

- Co się dzieje?

Potargana, ubrana w obszerny dres, do stajni wpadła Maddy.

- Mam wrócić do kuchni z wiadomościami. Weterynarz pojechał do jakiegoś pacjenta. Jego pomocnik go szuka, ale to może trochę potrwać. - Ziewnęła szeroko.

- Tata gotuje wodę na wszystkich palnikach. Jeśli weterynarz zaraz nie przyjedzie, ostrzega, że wezwie pogotowie. Nawet kawy sobie nie można tam zrobić.

- Trzeba będzie wydziergać na szydełku cztery maleńkie buciki - oznajmiła Chantel.

- O, patrzcie! - Maddy jak urzeczona wpatrywała się w źrebaczka. - Nie ruszajcie się. Zaraz przyniosę aparat - rzuciła i wybiegła ze stajni.

- Jeśli już koniec, to wróć do kuchni i może mówię tate, żeby dał mi trochę tego swojego wrzątku - Marzę o kawie. - I po Chantel pozostał już tylko zapach perfum.

- Wyjątkowa jest ta twoja rodzina - zauważył z rozbawieniem Dylan.

- Tak - odrzekła, ocierając spoconą twarz rękawem - Świetnie o tym wiem.

Kiedy Maddy zaproponowała konną przejażdżkę, Abby osiodłała Judda. Dylan pracował, rodzice mieli inne plany, więc wybrały się w drogę tylko we trzy jak za starych, dobrych czasów.

Abby dopilnowała, żeby Maddy dobrze wyregulowała strzemień, a potem spojrzała na Chantel.

- Pomóc ci?

- Nie, dam sobie radę.

- Nie wiedziałam, że już jeździłaś. - Abby dokładnie sprawdziła siodło. - Ale nasza Matyllda jest łagodna.

- Tylko sobie trochę pospacerujemy. - Chantel poprawiła kołnierzyk bluzki.

Na dworze Maddy zgrabnie wskoczyła na siodło. Chantel wahała się, zwlekała, ale w końcu zebrała się na odwagę i dosiadła konia. Abby postanowiła trzymać się razem z Juddem blisko niej.

- Pojedziemy sobie tą drogą. Prowadzi wzdłuż wschodniej granicy farmy, gdzie wiosną będziemy siać trawę na siano.

- Siąc trawę... - Chantel rozejrzała się dokoła.

- Jakie to sielskie.

- Dobra, dobra, panno Hollywood - parsknęła Maddy. - Ruszamy. Chantel poprawiła się w siodle.

- Nie, panno Nowy Jork. Ścigamy się.

Abby z szeroko otwartą buzią patrzyła, jak siostra ściska obcasami boki klaczy i rusza do przodu. Maddy chciała krzyknąć coś ostrzegawczo, ale zdała sobie sprawę, że niepotrzebnie. Chantel śmiała się i jechała przepięknie.

- Ona mnie zawsze czymś zaskoczy - zauważyła czule Maddy.

- Na co czekasz? - Abby spięła Judda.

Przez ponad pół godziny jechała swobodnie, bez trudu dostosowując się do tempa Maddy. Chantel była liderką już w dzieciństwie. Mimo że rodzina prowadziła koczowniczy tryb życia, udawało im się bawić jak innym dzieciom. Jeszcze zanim się urodziły, już siebie miały, i od tej pory nic się nie zmieniło.

Zdyszane i roześmiane zatrzymały się na szczycie wzgórza, gdzie czekała na nie Chantel.

- Gdzie się nauczyłaś tak jeździć?

Chantel niedbałym ruchem poprawiła włosy.

- Moja droga, nie wątpię, że łykasz witaminy i codziennie biegasz pięć kilometrów, ale nie znaczy to jeszcze, że jako jedyna z panien O'Hurley masz sportowe umiejętności.

Kiedy Maddy prychnęła z udawaną obrazą, Chantel uśmiechnęła się. Zniknęła hollywoodzka gwiazda, a została zwyczajna kobieta, ciesząca się z udanego żartu.

- Właśnie skończyłam kręcić western. Akcja dzieje się w Wyoming, w roku mniej więcej 1870. Założę się, że spędziłam w siodle więcej czasu niż niejeden kowboj. Straciłam półtora centymetra w biodrach.

- A więc czas mija ci nie tylko na premierach i kolacjach w eleganckich knajpach, co?

- Nie. Ale każdy robi to, w czym jest najlepszy, jeśli ma dosyć oleju w głowie. Tak jak ty, prawda?

Abby spojrzała na ziemię, o którą z takim móżołem walczyła.

- Wychowywanie dzieci i sianie trawy. Tak, chyba w tym właśnie jestem najlepsza.

- Nie powiem, że ej zazdroszczę, ale cię podziwiam.

Szły teraz wolno - Chantel pośrodku, Abby po prawej, Maddy po lewej. Zupełnie jak kiedyś na scenie, na niezliczonych scenach całego kraju.

- Pamiętacie to małe miasteczko pod Memphis?

- Tam, gdzie wszyscy goście pili czystą whisky i wyglądali, jakby żuli surowe mięso?

- Abby odrzuciła włosy do tyłu i spojrzała w niebo. - Jezu, aż trudno uwierzyć, że przeszliśmy przez coś takiego.

- Przeszliśmy? - powtórzyła Chan tel. - Zrobiłyśmy furorę.

- Jasne. O ile pamiętam, rozbito co najmniej sześć butelek.

- Co najmniej - parsknęła Maddy.

- Co będziesz robić po powrocie? - spytała ją Abby. - Przystajesz grać w tym musicalu? Wydawało mi się, że jeszcze nieprędko zejdziesz z afisza.

- Ponad rok powtarzam te same słowa, wykonuję te same gesty. Chciałam czegoś nowego i jak się okazało, jest w planach ciekawa sztuka. Jeśli znajdziemy sponsora, za dwa miesiące zaczniemy próby. Zagram striptizerkę.

- Kogo? - spytały jednocześnie Chantel i Abby.

- Striptizerkę. No wiecie, taką, co się rozbiera. Postać jest wspaniała, panienska swobodnego ducha i obyczajów poznaje faceta swoich marzeń i udaje bibliotekarkę. Nie bójcie się, nie ukazuję całego mojego talentu. Chcemy, żeby na tę sztukę przychodziły też rodziny.

- A ty, Chantel? Masz przerwę?

- Mowy nie ma. Za jakieś dziesięć dni zaczynam zdjęcia do serialu. Czytałyście „Nieznajomych”?

- O Boże, pewnie. Super. Myślałam... - Maddy zamilkła i szeroko otworzyła oczy.

- Zagrasz Hailey. Och, Chantel, co za wspaniała rola. Czytałaś to, Abby?

- Nie, teraz już wcale nie mam czasu na czytanie - przyznała Abby bez żalu.

- To jest o...

- Maddy - przerwała jej Chantel. - Nie opowiadaj, bo zepsujesz jej przyjemność.

Za kilka miesięcy obejrzysz to sobie we własnym domu, Abby.

Już jej nie dziwiło, że może tak po prostu siedzieć na kanapie w salonie i oglądać siostrę w telewizji.

- Nie przypuszczałam, że znów zrobisz coś dla telewizji.

- Ja też nie, ale scenariusz był tak dobry, że nie mogłam go odrzucić. Zresztą miło będzie tam wrócić. - Chantel rzadko przyznawała, że lubi wyzwania.

Były już dość daleko od domu i Abby wyraźnie się odprężyła. Nie trwało to jednak długo. W pewnej chwili zauważyła, jak siostry wymieniają spojrzenia.

- A ty, Abby? - zaczęła Chan tel. - Co to za historia między tobą i Crosbym?

- Historia między mną i Crosbym jest taka, że przyjechał tu pisać książkę. Mam mu ją opowiedzieć, przynajmniej częściowo.

- Czy to, co do niego czujesz, ułatwia sprawę?

Abby rozważała pytanie Maddy. Nie musiała mówić żadnej z nich, że jest zakochana. Wszystkiego się domyśliły.

- W pewien sposób. Zamierzałam... no, jak by to powiedzieć... trochę pokoloryzować. Dylan nie dał się na to nabrać. Wystarczy, że na mnie spojrzy i już wie, czy jestem szczerą, czy nie. Muszę mu więc powiedzieć prawdę. Chantel poczuła, że ogarnia ją złość.

- Powiedziałas mu, jaką suką jest Janice Rockwell? Jak traktowała ciebie i chłopców po śmierci Chucka ?

- To nieistotne, nie uważasz?

- No cóż, ja na przykład chętnie bym o tym przeczytała czarno na białym - mruknęła Maddy. - To, co zrobiła, kwalifikuje się do sądu.

- Nie naruszyła prawa - zaprotestowała Abby. To, że jej zachowanie było nie w porządku, nie znaczy, że popełniła przestępstwo. Zresztą myślę, że w sumie mi to wyszło na dobre. Ukształtowało mnie.

- Uważam jednak, że powinien o tym wiedzieć - nie ustawała Chantel. - I to ze szczegółami. Bogata matka kierowcy rajdowego zostawia w biedzie wdowę po nim i jego dzieci.

- Oj, Chantel, nie było aż tak źle. Nie zostaliśmy bez grosza.

- Owszem, było bardzo źle. Abby, jeśli zamierzasz zaufać mu w pewnych sprawach, musisz zaufać we wszystkim.

- Chantel ma rację. Myślałam, że ten cały pomysł to błąd, ale skoro już się zdecydowałaś, zrób to, jak należy. Wielu rzeczy nam nie mówiłaś. Nie musiałaś.

Nie uważasz, że poczujesz się lepiej, jeśli się od tego wszystkiego uwolnisz, jeśli powiesz to na głos?

- Nie myślę o sobie. Jakoś sobie z tym radzę. Myślę o chłopcach.

- Myślisz, że nie wiedzą?

- Nie, nie myślę. Wiedzą. Nie znali szczegółów, ale coś wyczuwali. A jeśli czegoś nie wiedzą do tej pory, to wkrótce się dowiedzą. Chcę tylko, żeby Dylan opisał to ze współczuciem, żeby gdy dorosną, mogli się z tym pogodzić.

- A on współczuje?

- Co takiego?

- Pytam, czy on umie współczuć?

- Tak. Aż dziw, jak bardzo.

To akurat Chantel zamierzała sprawdzić osobiście.

- A co czuje do ciebie?

- Zależy mu na mnie. - Wszystkie trzy, wcale się nie umawiając, równocześnie zawróciły w stronę domu. - Nie tylko na mnie, ale i na chłopcach. Ale kiedy skończy pisać, wyjedzie.

- Więc musisz zrobić coś, żeby został.

Abby uśmiechnęła się do Maddy.

- Ty masz optymizm, a Chantel spryt.

- Bardzo dziękuję.

- Wystarczy, że Maddy w coś wierzy, i to się dzieje. Ty działasz. Ja jestem pośrodku. Ciągłe się waham. Nie mogę zmusić Dylana, żeby został, a gdyby mnie poprosił, żebym wyjechała z nim, nie mogłabym tego zrobić. Nie mam już osiemnastu lat i nie działam pod wpływem impulsu. Mam dwoje dzieci.

- Przede wszystkim nie rozumiem, czemu w ogóle miałabyś go zmuszać, żeby został. Niektóre kobiety uważają, że bez mężczyzny ich życie nie jest pełne. Przede wszystkim same powinny być spełnione, a wtedy mężczyzna może być nawet miłym dodatkiem.

- Mówisz, jakbyś specjalizowała się w łamaniu serc - zauważyła Maddy.

- Ja nie łamię serc - uśmiechnęła się Chantel tylko troszeczkę je siniaczę.

- Ej, bo nie wytrzymam - zaśmiała się Maddy. - Ale mówiąc poważnie, to, że ty i ja nie mamy ochoty się ustatkować, nie znaczy, że Abby nie ma prawa do brudnych naczyń w zlewie i kogoś, kto wynosiłby śmieci.

- To bardzo ciekawy opis poważnego związku mruknęła Abby. - Jako jedyna z naszej trójki z pewnym małżeńskim doświadczeniem, zapewniam was, że chodzi o coś więcej. I to wiele więcej.

- Spokojnie, Abby. Kto mówi o małżeństwie? Nie twierdzę, że nie możesz dobrze się z nim bawić, ale chyba nie myślisz poważnie, żeby znów dać się zamknąć.

- Kolejne interesujące określenie - skomentowała Maddy, a Abby parsknęła śmiechem.

- Gdybym uważała, że mamy szansę i gdybym umiała znaleźć jakieś pole do kompromisu, sama bym go poprosiła.

- To zrób to. Jeśli go kochasz, jeśli jest dla ciebie dobry, to po co przewidywać problemy?

- N o tak, ty to masz doświadczenie z mężczyznami, co? Masz na myśli te tłumy tancerzy, którzy tylko stoją przed lustrem i sami siebie podziwiają?

- Dylan nie jest tancerzem - zauważyła Maddy, wcale nie urażona. - A aktorzy, których znasz, grają tyle różnych ról, że sami już nie wiedzą, kim są.

- Chyba będzie lepiej, jeśli wszystkie trzy pozostaniemy samotne.

- Amen.

- Zresztą, kto ma czas na romanse? Po lekcjach tańca, próbach i występach jestem zbyt zmęczona, żeby myśleć o różach i kolacji przy świecach. Komu potrzebni są mężczyźni?

- Kochanie, to zależy, czy mówisz o stałym dodatku, czy tylko okazjonalnym towarzysz.

- Chyba uwierzyłaś w to, co o tobie piszą...

- A czemu nie? - Chantel uniosła brwi. - Jeśli inni wierzą, to czemu ja mam nie wierzyć?

Ze śmiechem spięła klacz obcasami i ruszyła do przodu.

- Mowy nie ma! Tym razem nie wygrasz! - Maddy dotrzymywała jej kroku. Abby dopiero po chwili podążyła za nimi.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Padające na łóżko światło księżycy było delikatne i kojące. W domu, teraz cichym, wciąż pobrzmiwało echo głosów, śmiechu i muzyki, którą rodzina Abby wszędzie ze sobą wносиła. Podczas dnia matka grała na banjo, a ojciec tańczył. Potem ojciec grał, a oni śpiewali. Jutro wszyscy już wyjadą, ale wspomnienia tych kilku cudownych dni pozostaną.

Szczęśliwa i wcale nie zmęczona, Abby położyła głowę na ramieniu Dylana i wsłuchiwała się w hałasy domu. Dylan przyszedł do niej późno w nocy, kiedy wszyscy już zasnęli.

Nie rozmawiali o tym. Chyba zrozumiał, że czuje się niezręcznie. Jest dorosłą kobietą, wdową, matką dwojga dzieci, ale pod jednym dachem z rodzicami wciąż czuje się jak córka. Później może będą się z tego śmiać, ale teraz ta rozbrzmiewająca echem cisza jest cudowna.

Dylan wsłuchiwał się w swoje własne echa. Kilka telefonów, jakie wykonał, gdy Abby zajmowała się rodziną, pomogło mu zrozumieć parę rzeczy. Nie ze wszystkiego był zadowolony. Kiedy jej siostra i rodzice wyjadą, wróćą do pytań, tyle że teraz miał już dużo więcej odpowiedzi.

Bardzo chciał, by powiedziała mu o tym, o czym już wie, by podzieliła się z nim tymi tajemnicami. Może wtedy będą w stanie zapomnieć o przeszłości i myśleć tylko o jutrze.

- Śpisz?

- Nie. - Musnął wargami jej włosy. - Myślę o twoich rodzicach. Nigdy dotąd takich ludzi nie spotkałem.

- Bo wątpię, czy są gdzieś na świecie podobni do nich - odrzekła z przyjemnością, po czym zamknęła oczy i oddała się wspomnieniom.

- Jedno mnie tylko przeraziło kiedy twój tata bardzo chciał mnie nauczyć stepowania.

- Tata jest w stanie nauczyć stepowania każdego. Ja jestem żywym tego dowodem.

- Pojadą limuzyną na dworzec autobusowy, a potem do Chicago, tak?

- Na trzy dni występów. - Abby uśmiechnęła się, wyobrażając ich sobie stłoczonych w motelowym pokoju. - Chantel chciała wysłać ich samolotem, pierwszą klasą, ale nawet nie chcieli o tym słyszeć. Mama powiedziała, że przez pięćdziesiąt lat docierała wszędzie, gdzie chciała, nie odrywając się od ziemi, więc nie widzi powodu, żeby robić to teraz.

- Twoja matka to rozsądna kobieta.

- Wiem, choć brzmi to niewiarygodnie. Ona i rozsądna. W domku na przedmieściu, z wypielegnowanym trawnikiem i klombami, chyba by zwariowała.

W ojcu znalazła idealnego partnera.

- Jak długo są razem?

- Hm, jakieś trzydzieści pięć lat.

- To w pewien sposób przekonuje mnie do tej instytucji - rzekł po chwili milczenia.

- Pewnie i ja dlatego tak szybko wyszłam za mąż, że dzięki nim wydawało mi się to takie proste. I dla nich jest proste. Będzie mi ich naprawdę brakowało. Wyczuł tęsknotę w jej głosie i mocniej ją przytulił.

- Z nimi nie można się nudzić. Bałem się, że stracisz parę lamp, kiedy Frank postanowił nauczyć chłopców zonglować.

- Dopóki Benowi to nie przejdzie, poobija nam wszystkie jabłka - zaśmiała się cicho Abby.

- Lepsze to, niż gdyby miał rzucać nimi w Chrisa.

- To prawda. - Uniosła głowę i spojrzała na niego. Nadal się uśmiechała, ale jej oczy były poważne.

- Cieszę się, że mogłeś ich poznać. Może któregoś dnia znajdziesz się w jakimś małym, zapomnianym miasteczku i zobaczysz ich nazwiska na plakacie. Przypomnisz sobie wtedy o mnie.

- Myślisz, że potrzebny mi będzie do tego plakat?

- Na pewno nie zaszkodzi. - Leciutko musnęła jego usta. - I może zapamiętasz też to. I to - dodała, całując jego skroń.

- Mam bardzo dobrą pamięć, Abby. - Ujął ją za nadgarstki i wyczuł, jak coraz szybciej bije jej puls. - Bardzo dobrą.

Potem położył się na niej i zamknął ją w swych ramionach. Nie spieszył się. Mieli przed sobą całą noc, całe lata. A może nawet wieczność.

W sobotni poranek w całym domu panował chaos. Trwało pakowanie bagaży, telewizor ryczał, bo chłopcy oglądali kreskówki, zewsząd dobiegał śmiech i okrzyki.

Chantel wyraźnie czekała na okazję. Kiedy Dylan wyszedł pomóc chłopcom karmić zwierzęta, ruszyła po chwili za nim. Otuliła się szczelnie szalem, choć jak na marzec na wschodnim wybrzeżu było całkiem ciepło. Cieszyła się, że wraca do południowej Kalifornii. Przedtem jednak musi coś załatwić.

Większość koni była na padoku. Oparła się o płot i czekała. Dylan tu przyjdzie, prędzej czy później.

Kiedy zjawił się w drzwiach stajni, prowadząc dwa wałachy, od razu ją zobaczył. Już od paru dni czuł, że chce mu coś powiedzieć. Puścił konie wolno i dokładnie zamknął za nimi

bramę. W milczeniu podszedł do płotu i stanął obok Chantel. Zaproponował jej papierosa. Przyjęła. Palila rzadko, zależnie od nastroju. Wdychała dym głęboko do płuc i nie odrywając wzroku od koni, odezwała się:

- Jeszcze nie wiem, czy cię lubię, ale to nieistotne. Ważne jest, co czuje Abby.

Nie wiedziała, jak bardzo jej słowa podobne są do słów Maddy. Dylan uznał, że to dowód łączących ich bliskich więzów. Przez chwilę w milczeniu patrzyli, jak źrebiątko Eve próbuje ssać.

- Nie spodobałeś mi się, kiedy rozmawiałeś ze mną, pisząc książkę o Millicent Driscoll. Uznałam cię za irytującego i cynicznego, więc nie byłam z tobą tak szczerą, jak bym mogła. Może wtedy twoja opowieść byłaby cieplejsza. Ale Abby to moja siostra.

Odwróciła się i po raz pierwszy na niego spojrzała. Nawet w ostrym świetle słońca jej twarz była zachwycająca. Klasyczny owal, wysokie kości policzkowe, nieskazitelna cera. Ale najważniejsze były jej oczy. Na pewno niejednen mężczyzna dał się im zwieść.

- Podejrzewam, że zależy ci na niej. Chcę więc powiedzieć ci o Chucku Rockwellu to, czego Abby pewnie nie potrafi z siebie wydusić. - Chantel zaciągnęła się papierosem. - Ale to nie jest do druku, pamiętaj. Chyba że Abby się zgodzi. Jeśli nie, twoja strata. Zgoda?

- Zgoda. Mów.

- Kiedy Chuck tamtego wieczoru zjawił się w klubie, był całkowicie nią zauroczony. Może przez jakiś krótki czas nawet był w niej zakochany. Nie wiem, z jakimi kobietami wcześniej miał do czynienia, ale mogę się domyślać. Abby, nawet w tym tandetnym kostiumie i z tapetą na twarzy, wyglądała niewinnie. Łatwowierna to ostre słowo, ale Abby taka była i nadal taka jest.

- Chantel uśmiechnęła się, ale wcale nie chłodno i ironicznie jak zazwyczaj, lecz czule i serdecznie. - Wierzyła w miłość i oddanie do śmierci. Weszła w to małżeństwo z rozświetlonymi oczami.

Łatwo mógł sobie taką Abby wyobrazić - otwartą, niewinną, ufną.

- A Rockwell?

- Kochał ją, jak przypuszczam, na tyle, na ile w ogóle potrafił kochać. I tylko tak długo, jak potrafił. Niektórzy twierdzą, że człowiek słaby niekoniecznie jest zły.

Nie zgadzam się z tym. Chuck był emocjonalnie słaby. Mogłabym próbować go usprawiedliwiać, wiem, że wychowała go niesamowicie dominująca matka i ojciec pracoholik. Ale mnie nie interesują takie usprawiedliwienia.

Spojrzała na niego, czekając na komentarz.

- Mów dalej. - Dylan znał już dzieciństwo Rockwella.

- Prawie od samego początku mieli problemy. Ukrywała je, ale żadna z trojaczek nie ukryje przed pozostałymi wszystkiego. Jeździła z nim do Paryża, Londynu, nosiła piękne ubrania i wiodła życie, o jakim wiele kobiet może tylko marzyć. Abby jednak była inna. Nie mówię, że nigdy jej się to nie podobało, ale zawsze chciała zapuścić gdzieś korzenie. W rodzinie O'Hurleyów było to niemożliwe.

- To dlatego chciała kupić farmę.

Chantel rzuciła niedopałek na ziemię, ale go nie przydeptała. Żarzył się jeszcze przez chwilę, w końcu zgasł.

- Chuck kupił ją po pewnym szczególnie paskudnym romansie z jakąś młodą, naiwną panną. I prawie natychmiast się nią znudził. Dał Abby jasno do zrozumienia, że jeśli chce ją zatrzymać, musi zająć się nią sama.

- Wiesz o tym od niej?

- Nie, od Chucka. Wpadł do Los Angeles i uznał, że miło by było zabawić się z siostrą żony. Fajne, co? Daj mi jeszcze papierosa. Nie był w moim typie i choć moja moralność często jest kwestionowana, mam pewne zasady. Chuck upił się i opowiedział mi o wszystkich problemach z żoną. Twierdził, że jest nudna. Zwyczajna, mieszczańska. Uparła się na tę farmę, a on na pewno umie lepiej wykorzystać pieniądze. Jeśli chce zreperować ten cholerny dach, to niech sama się tym zajmie. Jeśli chce dostosować hydraulikę do dwudziestowiecznych standardów, to sama musi to jakoś wykombinować. Jego to nie interesuje. Mówił o jej kretyńskich pomysłach z hodowlą koni. Śmiał się z niej.

Chantel mocno zacisnęła zęby. Kiedy uświadomiła sobie, że mówi za szybko, zwolniła.

- Nie wyrzuciłam go za drzwi tylko dlatego, że chciałam usłyszeć wszystko.

Kiedy moja siostra przechodziła przez ten koszmar, ja zajęta byłam swoją karierą. Rozumiesz? Zbyt zajęta, żeby to zauważyć. Mimo że instynktownie czułam, że coś jest nie tak.

A on? Czy przez te kilka tygodni zwracał na nią uwagę? Zaboląła go ta myśl.

Żądał od niej ufności i szczerości, a sam co jej dał? Tylko pytania, pytania, pytania. Patrzył na Abby, słuchał jej, obserwował i w głębi duszy czuł, że wszystko, co o niej myślał przed przyjazdem, jest niesprawiedliwe i kłamliwe. Wciąż jednak nie rozumiał, czemu została z Chuckiem. I dlaczego jest tak zły na siebie, że musi to wiedzieć?

- Jak myślisz, dlaczego ci teraz o tym wszystkim mówił?

W twarzy Chantel nie drgnął żaden mięsień, zmieniły się tylko oczy. Nie były już chłodne, lecz wręcz lodowate.

- Najwyraźniej Chuck spodziewał się, że rozbawi mnie to tak samo jak jego. No, w każdym razie w końcu się go pozbyłam, zadzwoniłam do Maddy i przyjechałyśmy tutaj. To, w czym Abby wtedy mieszkała, było ruiną. Chuck nie dawał jej ani grosza, więc pracowała dorywczo, oczywiście tylko tam, gdzie mogła brać ze sobą Bena. Ucieszyła się z naszego przyjazdu, ale nie chciała słyszeć o rozwodzie.

- Dlaczego? - Dylan po raz pierwszy jej dotknął. Właściwie tylko lekko położył rękę na jej ramieniu, ale wyczuła, jak bardzo przejęty jest tym, co słyszy. - Dlaczego z nim została?

No, to dotarliśmy do sedna, pomyślała Chantel. Temu człowiekowi naprawdę na Abby zależy.

- Myślę, że tej odpowiedzi musisz szukać u niej, ale powiem ci jedno. Abby ma w sobie mnóstwo nadziei i cały czas wierzyła, że Chuck się zmieni. Tymczasem przede wszystkim trzeba było zrobić coś z tym domem. Nie mogła w czymś takim mieszkać, i to z dzieckiem. Pojechałyśmy do Richmond i sprzedałyśmy jej biżuterię. Przez pierwsze sześć czy osiem miesięcy ich małżeństwa Chuck był bardzo hojny, więc zebrała się z tego niezła sumka. Ja kupiłam od niej norki. - Nie wspomniała, że wtedy z trudem mogła sobie na nie pozwolić. - Żartowała później, że widziała gdzieś moje zdjęcie, na którym ubrałam się w jej dach.

- Sprzedała norki, żeby naprawić dach?

- Wiele rzeczy było do naprawienia. To niesamowite, jaka ona była uparta, jeśli chodzi o ten dom. Ale kiedy widzę ją na tej farmie teraz, rozumiem, że to jest właśnie jej miejsce na ziemi. Jej i dzieci. Potem wszystko się jakoś ułożyło. Była w ciąży z Chrisem. Mam swoją teorię na ten temat, ale lepiej to zostawmy.

Popatrzył na nią i stwierdził, że rozumie dużo więcej, niż Abby mogłaby przypuszczać.

- Zostawmy.

- Może jednak cię lubię - dodała trochę już pogodniej. - Po urodzeniu Chrisa było jeszcze gorzej, o ile w ogóle to możliwe. Chuck nie ukrywał swoich romansów. Nie chcę go usprawiedliwiać, ale podejrzewam, że chciał zmusić Abby do rozwodu dla jej własnego dobra. Kiedy się w końcu na to zdecydowała, chyba dopiero wtedy uświadomił sobie, jak wiele traci.

- Chcesz powiedzieć, że Abby złożyła pozew o rozwód?

- Tak. Mogłaby oskubać go do gołego - ja na jej miejscu na pewno bym tak zrobiła - ale nie zarzuciła mu niewierności i nie żądała alimentów. Chciała tylko farmy i jakiegoś skromnego wsparcia dla dzieci. Miał wtedy romans z Lori Brewer i niezłe się zabawiali. W

którymś momencie jednak to do niego dotarło. Że wyścigi już go tak nie podniecają i rekompensuje to sobie innymi rzeczami. Że ma żonę, która mimo wszystko przy nim trwa, i dwóch cudownych synów, których zostawił, bo wybrał życie mogące przynieść tylko smutek i nieszczęście. Wiem, co czuł, bo dzwonił do mnie kilka dni przed ostatnim wyścigiem. Bóg wie po co. Bynajmniej mu nie współczułam. Mówił, że dzwonił do Abby i prosił ją, żeby się jeszcze zastanowiła, ale odmówiła. Chciał, żebym się za nim wstawiła. Poradziłam mu, żeby wydorosłał. Kilka dni później zginął.

- A ona została z wyrzutami sumienia, bo zamierzała się z nim rozwieść.

- Widzę, że rozumiesz. - Chantel nerwowo bębniła palcami o płot. - Nie można jej było tego wyperswadować, przekonać, że nie powinna się karać za jego śmierć.

Dylan miał dość problemów z własnym poczuciem winy, ale uczeplił się ostatnich słów Chantel.

- Co masz na myśli, mówiąc: karać?

- Czy zastanawiałaś się kiedyś, jak trudno musi być utrzymywać tę farmę, wychowywać dwoje dzieci? Nie mówię o stronie emocjonalnej czy fizycznej, ale finansowej.

- Rockwell miał mnóstwo pieniędzy.

- Rockwell miał i Janice Rockwell miała. I ma. Abby nie dostała ani grosza. - Chciał jej przerwać, ale potrząsnęła głową. - Janice tego dopilnowała.

Dylan znieruchomiał. Przypomniał sobie teraz to wszystko, co powiedział Abby tamtego ponurego, deszczowego dnia, kiedy zobaczył, że wrzuca do torebki gumowe rękawiczki. Czy kiedykolwiek o tym zapomni?

- Jak więc daje sobie radę?

- Wzięła pożyczkę.

Dlaczego mu o tym nie mówiła? Dlaczego nie zaufała mu na tyle, by wyznać to, o czym w tej chwili dowiedział się od Chantel? Niech diabli wezmą jej dumę! Czyż nie miał prawa wiedzieć?

Lecz czy naprawdę jej dumę? A może jego? Tak, to jego duma została urażona, duma dziennikarza i mężczyzny. Abby wiedziała, co on o niej myśli, i mimo wszystko go przyjęła.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?

- Bo ktoś musi ją przekonać, że to nie była jej wina, że nie mogła zapobiec temu, co się stało. Myślę, że ty możesz to zrobić. Myślę, że możesz uczynić ją szczęśliwą. Spojrzała mu w oczy. Dumnie, groźnie, wyzywająco.

- Niesamowita z ciebie kobieta. Że też od razu tego nie zauważyłem - rzekł z uśmiechem.

Ona też się uśmiechnęła.

- Tak. Ja też parę rzeczy u ciebie zauważyłam dopiero teraz.

- Chantel, limuzyna przyjechała! - zawołała Maddy.

- Już idę - odrzyknęła Chantel: - I jeszcze jedno, Dylan. Jeśli skrzywdzisz Abby, będziesz miał ze mną do czynienia.

- Rozumiem.

Wyciągnął do niej rękę, a ona ją przyjęła.

- Życzę ci powodzenia.

- Dzięki.

Pożegnania były długie i pełne łez. Maddy podeszła do Dylana i uściskała go mocno i serdecznie.

- Masz szczęście! Uważam, że jesteś dla niej odpowiednim człowiekiem - szepnęła mu do ucha, cofnęła się o krok i uśmiechnęła. - Witaj w rodzinie, Dylan.

Ben i Chris mieli coś ciekawszego do roboty niż całowanie dziadków i ciotek. Zainteresowani byli tylko i wyłącznie limuzyną, naciskali wszelkie możliwe guziki i klamki, trąbili, włączali i wyłączali radio oraz wycieraczki. Żeby rodzina mogła w końcu odjechać, Abby musiała synów wyciągać siłą.

- Zostanę kierowcą limuzyny - oznajmił od razu Chris. - Będę nosił taką super czapkę jak pan Donald i jeździł na przednim siedzeniu.

- A ja z tyłu, tam, gdzie jest telewizor.

Abby ze śmiechem zmierzwiła włosy Bena.

- Ma coś z O'Hurleyów, prawda? - zwróciła się do Dylana. - Nie wiem jak ty, ale ja, zanim zabiorę się za sprzątanie, marzę o wypiciu czegoś zimnego.

- Możemy pobawić się ze żrebackami? - spytał Ben, zeskakując z ganku.

- Ale uważajcie! - zawołała za nimi Abby, po czym westchnęła i weszła do domu.

- Już zaczynam za nimi tęsknić.

- Są wspaniali.

- To za mało powiedziane. Chcesz wody?

- Nie.

Dylan w zamyśleniu krążył po kuchni. Wciąż dźwięczały mu w uszach słowa Chantel, napływały na myśl wszystkie inne rzeczy, których dowiedział się w ciągu ostatnich kilku dni. Jak mógł tak niesprawiedliwie ocenić Abby?

- Abby... - zaczął niepewnie - ten dom, ta farma... są dla ciebie bardzo ważne...

- Po chłopcach najważniejsze na świecie. - Abby wrzuciła do szklanki kilka kostek lodu.

- Nie jesteś popychadłem. - Było to tak ostre słowo, że spojrzała na niego uważnie.

- Mam nadzieję, że nie.

- To dlaczego pozwoliłaś Rockwellowi pomiatać sobą? Dlaczego pozwoliłaś jego matce pozbawić cię wszystkich należnych ci pieniędzy?

- Chwileczkę. - Spodziewała się choć jednego dnia wolnego od jego pytań, choćby paru godzin... - Janice nie ma nic wspólnego z biografią Chucka.

- Nie obchodzi mnie biografia!

Chwycił ją za ramiona i właśnie w tej chwili uświadomił sobie, że to prawda. Obchodzi go Abby, tylko Abby, i to już od pewnego czasu. Rozumiał, przez co przeszła, jak bardzo ją skrzywdzono. Jeśli ona nie jest w stanie nienawidzić, gotów był nienawidzić za nią.

- Dopilnowała, żebyś nie dostała ani grosza z pieniędzy Chucka. Gdybyś miała te pieniądze, bez problemu poradziłabyś sobie z farmą. Miałaś do nich prawo, ty i twoje dzieci. Dlaczego się z tym pogodziłaś?

- Nie wiem, skąd masz takie informacje. - Z trudem zachowywała spokój. - Janice miała kontrolę nad jego funduszem powierniczym. Chuck odziedziczyłby go w wieku trzydziestu pięciu lat, ale umarł wcześniej. Z punktu widzenia prawa pieniądze należały do niej.

- Myślisz, że sąd byłby tego zdania?

- Nie interesowało mnie chodzenie po sądach. Chuck zostawił nam trochę pieniędzy.

- To, czego nie zdążył zmarnotrawić, tak?

- Dość, żebyśmy była spokojna, że dzieci pójdą do college'u.

- A tymczasem musiałaś wziąć pożyczkę, żebyście mieli za co żyć.

Pomyślała, że on nie ma pojęcia, jak trudno prosić o pieniądze. Jakie to upokarzające!

- Dylan, to naprawdę nie twoje zmartwienie.

- Mylisz się. Od tej chwili jesteś moim zmartwieniem. Czy wiesz, jak się czuję, kiedy wiem, że szorujesz podłogi w jakimś obcym domu?

- A co to za różnica, czyje podłogi szoruję?

- Dla mnie ogromna, bo nie chcę, żebyś... nie mogę znieść, że... - Zaklął pod nosem i spróbował jeszcze raz. - Mogłaś być ze mną szczerą, może nie od razu, ale później, jak zaczęliśmy coś dla siebie znaczyć.

Coś dla siebie znaczyć? Co konkretnie? Ona przynajmniej przyznała się do swoich uczuć. Wzięła ze stołu dzbanek i spokojnie wstawiła go do zlewu.

- Byłam tak szczerą, jak to tylko możliwe. Gdyby chodziło tylko o mnie, powiedziałabym ci wszystko, ale musiałam myśleć o dzieciach.

- Nie zraniłbym ich przecież. Nie mógłbym tego zrobić.

- Dylan, po co w ogóle o tym rozmawiamy?

Wydawało jej się, że jest spokojna, a tymczasem czuła wzbierający w niej gniew.

- To tylko pieniądze. Czy nie możesz sobie tego odpuścić?

- To nie tylko pieniądze, i nie mogę odpuścić. Ty też nie odpuściłaś, bo inaczej byś mi o tym powiedziała.

Coraz bardziej podnosił głos. Nagle przed oczami stanęło mu jej zdjęcie, to w białych norkach.

- Sprzedałaś to cholerne futro, żeby naprawić dach!

Abby pokręciła głową.

- A co to za różnica? Do karmienia zwierząt nie muszę chodzić w futrze.

- Wiedziałaś, co o tobie myślę. Nie wyprowadziłaś mnie z błędu. Nawet kiedy się w tobie zakochałem, nie powiedziałaś mi wszystkiego, nie zaufałaś mi. Nie przyznałaś się, że chciałaś się z nim rozwieść, że harowałaś jak wół, żeby zarobić na chleb. Czy wiesz, jak się czuję, kiedy muszę sam się tego domyślać i dowiadywać od innych?

- A czy ty wiesz, jak ja się czuję? - Teraz i ona podniosła głos. - Jak się czuję, przypominając sobie wciąż, jaką byłam nieudacznicą, jak do niczego się nie nadawałam?

- Sama wiesz, że to nieprawda. Abby... - Mówił nadal ostrym głosem, ale ręce, które spoczęły na jej ramionach, były zaskakująco delikatne. - Chuck cię zawiódł, zawiódł także swoje dzieci i samego siebie.

Chciał, by zrozumiała, jak wiele osiągnęła i jak bardzo ją za to ceni i szanuje.

- To dzięki tobie wszystko się udało. To ty stworzyłaś chłopcom dom i życie.

- Przestań krzyczeć na moją mamę!

W progu stał Ben, blady i wyprostowany.

- Ben... - Abby nie była w stanie do niego podejść. .

- Zostaw moją mamę. - Wargi mu drżały, ale zachowywał się jak prawdziwy mężczyzna. - Zostaw ją i idź sobie. Nie chcemy cię tutaj.

Zły na siebie, Dylan puścił ją i odwrócił się do chłopca.

- Nigdy bym nie skrzywdził twojej mamy, Ben.

- Robiłeś to, widziałem.

Abby szybko stanęła między nimi.

- Posłuchaj, Ben. Myśmy się tylko trochę na siebie gniewali. Ludzie czasem na siebie krzyczą, jeśli są źli.

- Nie chcę, żeby na ciebie krzyczał. Nie pozwolę, żeby coś ci zrobił.

- Słonko, ja też na niego krzyczałam. - Abby głaskała syna delikatnie po głowie. - I wcale nie robił mi nic złego.

- Może jego lubisz bardziej ode mnie.

- Nie, słonko...

- Nie mów do mnie słonko! Jestem duży. Jeszcze zobaczysz! - wrzasnął na koniec i wybiegł z pokoju.

- O Jezu, chyba sobie z tym nie poradziłam - rzekła Abby z przestachem.

- To moja wina. Pozwól, żebym z nim porozmawiała.

- Sama nie wiem. Może powinnam... Jezus Maria! Ben, Ben, zatrzymaj się!

Zanim Dylan zdążył się ruszyć, była już na dworze. Ben siedział na Piorunie! A potężny ogier bardzo brzydtko parskął!

Głos uwiązał jej w gardle. Nie była w stanie nawet jeszcze raz go zawołać. Przez moment myślała, że chłopcu uda się opanować konia i zsunąć bezpiecznie na ziemię, ale w tej samej chwili ogier uniósł do góry przednie kopyta i Ben wyleciał w powietrze jak pocisk.

W jednej chwili znalazła się przy nim. Ukłękła i płacząc, tuliła nieruchome ciało.

- Ben, Ben...

- Nic mu nie jest, ale stracił przytomność - rzekł Dylan, pojawiając się przy nich. Gdyby był szybszy... odrobinę... o ułamki sekund... - Abby, dasz radę wyprowadzić auto?

- Tak. - Podniosła głowę i ujrzała stojącego obok, bladego jak ściana Chrisa. - Chodź tu, Chris. Musimy zawieźć Bena do szpitala.

- Co mu jest? Co, mamó?

- Chyba nic. Mam nadzieję, że tylko zemdlał mówiła, biegnąc w stronę samochodu.

- Jesteś w stanie prowadzić? - spytał Dylan, kiedy podjechała przed dom. - Ja nie znam drogi.

Kiwnęła tylko głową i pomogła mu wsiąść razem z synkiem na przednie siedzenie. Kiedy wyjechała na szosę, zacisnęła zęby i przestała myśleć.

- Już dobrze... - Dylan uspokajał dziecko, które powoli otwierało oczy. Wkrótce Ben zaczął popłakiwać, lecz chyba głównie ze strachu.

- Boli.

- Tak, wiem.

Nie pamiętała, jak dotarli do szpitala. Poruszając się jak automat, pomogła Dylanowi wnieść Bena do izby przyjęć. Tak samo automatycznie podała pielęgniarce jego dane, a potem usiadła na korytarzu i czekała. Tylko to mogła w tej chwili zrobić. Jej mały synek chciał pokazać, że jest mężczyzną, i teraz cierpi. Biedaczek.

Wiedziała, że musi się trzymać, że Ben będzie jej potrzebował, ale łzy spływały jej po policzkach całymi strumieniami.

- Był wściekły. Gdyby nie to, nigdy by mu nie przyszło do głowy wsiadać na tego konia.

- Abby, chłopcy zawsze sobie coś łamią - próbował ją uspokoić Dylan, ale sam miał ściśnięte gardło.

- Co będzie z Benem? - Widząc smutną twarz matki, Chris także zaczął popłakiwać.

- Wyzdrowieje, zobaczysz. Lekarze mu pomogą. - Chyba założą mu gips - wyjaśnił Dylan i pogładził Chrisa po głowie. - Kiedy wyschnie, będziesz mógł napisać na nim swoje imię.

Chłopiec pociągnął nosem i przez chwilę zastanawiał się nad tą propozycją.

- Ale ja umiem tylko drukowanymi.

- Może być. A teraz usiądź.

Abby z trudem powstrzymała się, żeby nie zacząć chodzić tam i z powrotem po korytarzu. Kiedy Chris wspiał jej się na kolana, ścisnęła go tak mocno, że aż się przestraszyła.

Gdy z izby przyjęć wyszedł lekarz, zerwała się gwałtownie i omal nie upadła.

- Ładne, czyste złamanie - oznajmił lekarz, a widząc jej niepokój, poklepał ją po ramieniu. - Z tym gipsem zrobi w szkole furorę.

- Czy... Czy coś jeszcze mu się stało? - Wstrząs mózgu, obrażenia wewnętrzne...

Jej wyobraźnia pracowała jak szalona.

- To silny, zdrowy chłopak. Ma teraz lekkie nudności i parę siniaków, które jutro będą granatowe. Chcę, żeby poleżał tu kilka godzin na obserwacji, ale chyba nie ma powodu do niepokoju. Dam pani później receptę i wyjaśnię, jak z nim postępować.

Na razie kazałem mu przez jakiś czas trzymać się z daleka od koni.

- Dziękuję. - Abby odetchnęła z ulgą. Tylko złamana kość. Kości się przecież zrastają.
- Mogę go zobaczyć?

- Oczywiście.

Na białym stole Ben wydawał się taki malutki. Z trudem powstrzymując łzy, wzięła go za rękę.

- Och, Ben, ale mnie wystraszyłeś.

- Złamałem rękę. - Już zaczynał się chwalić swoim śnieżnobiałym gipsem.

- Super.

A więc wybaczył jej. Widziała to w jego oczach, czuła w uścisku jego palców. .

- Boli, co?

- Teraz już mniej.

- Dylan mówi, że będę mógł napisać na nim swoje imię - rzekł Chris, z uwagą przyglądając się gipsowemu opatrunkowi.

- Chyba tak. - Ben po raz pierwszy spojrział na Dylana. - Może wszyscy się podpiszecie. Czy Piorun uciekł?

- Nie martw się o niego. Taki stary koń zawsze trafi do stajni. Mały, wyraźnie zawstydzony, przyglądał się swoim palcom.

- Przepraszam.

- Nie masz za co. - Abby ujęła go pod brodę. - To ja przepraszam. Broniłeś mnie. Dziękuję.

Kiedy go całowała, poczuł znajomy zapach. Już nie czuł się taki odważny, tylko trochę zmęczony.

- W porządku.

- Chcą cię tu jeszcze chwilę zatrzymać. Pójdę po twoje lekarstwo.

- A może pójdziecie razem z Chrisem? - Dylan podszedł bliżej do stołu. - Ja chciałbym porozmawiać z Benem.

Ponieważ w oczach Bena nie było gniewu, lecz raczej zakłopotanie, Abby zgodziła się.

- Dobra. Zaraz wracamy.

- Czy mogę się czegoś napić? - spytał Ben.

- Zapytam lekarza. - Abby pocałowała go w oba policzki. - Kocham cię - rzuciła już od drzwi. Mały uśmiechnął się i popatrzył na swój gips.

- Pewnie byłeś na mnie strasznie zły - zaczął Dylan.

- No.

- Takie krzyki na kogoś, na kim ci zależy, to głupota. Dorośli czasami są głupi.

Ben też tak uważał, ale bał się do tego przyznać.

- Może.

Jak dotrzeć do tego chłopca? Czym? Prawdą. Sam przecież domagał się szczerości i prawdy, pora więc, by sam się na nią zdobył.

- Mam pewien problem, Ben - zaczął. - Pomyślałem sobie, że może zechcesz mi pomóc.

Już zmierzchało, kiedy w końcu wszyscy wrócili do domu. Ben od razu wylądował w łóżku, obłożony książeczkami i zabawkami. Był jednak tak zmęczony, że zasnął, zanim skończył kolację. Dylan zaniósł śpiącego Chrisa do jego pokoju.

- Dam sobie radę - powiedział, kiedy Abby chciała mu pomóc. - A ty raczej zejdz na dół i zrób nam coś do picia.

Zostało jeszcze kilka butelek wina, prezent od Chantel. Abby naląła dwa kieliszki i rzuciła się na pizzę. Uświadomiła sobie, że od wczesnego rana nic nie jadła. Ledwo nadgryzła kawałek, kiedy znów zaczęły jej płynąć łzy. Zamknęła pudełko, oparła głowę o blat i po prostu płakała.

Taką ją zastał Dylan. Nie wahał się ani chwili. Wziął ją w ramiona, przytulił i pozwolił płakać.

- Wiem, że teraz to bez sensu - wyjąkała przez łzy. - Nic mu się nie stało. Ale wciąż widzę go, jak wylatuje w powietrze i zawisa tam przez tę jedną niesamowitą sekundę.

- Wiem. Ale już wszystko dobrze. - Odsunął ją trochę i zaczął ocierać jej łzy. - Nie licząc złamanej ręki jest cały i zdrowy.

Abby pogładziła go po policzku, a potem pocałowała.

- Byłeś super. Nie wiem, co bym wtedy bez ciebie zrobiła.

- Zupełnie dobrze dałabyś sobie radę. - Ponieważ i on był trochę roztrzęsiony, wyciągnął papierosa. I to jest w tobie najbardziej irytujące.

- Irytujące? - Jeszcze przed chwilą była pewna, że nigdy już nie będzie się śmiać, ale przyszło jej to zadziwiająco łatwo. - We mnie?

- Nie jest łatwo mężczyźnie wiązać się z kobietą, która zawsze i ze wszystkim sama sobie radzi. Z prowadzeniem domu, wychowaniem dzieci, z farmą. Mężczyźnie nie jest łatwo uwierzyć, że istnieją kobiety, które nie tylko to wszystko robią, ale i sprawia im to przyjemność.

- Nie rozumiem cię, Dylan.

- Mogłem się tego spodziewać. - Dylan zdusił papierosa, bo właściwie wcale nie miał na niego ochoty. - Dla ciebie to wszystko jest takie oczywiste. To niesamowite.

Abby podała mu kieliszek.

- Gdybym cię nie znała, podejrzewałabym, że już masz w sobie trochę tego wina.

- Ja tylko zaczynam jaśniej myśleć.

- Ja też. - Abby pociągnęła łyk wina. - Wiem, że rano byłeś na mnie zły.

- Abby...

- Nie, zaczekaj. Ta ostatnia rzecz, którą powiedziałaś, zanim wszedł Ben, uświadomiła mi, że dłużej już tak nie może być. Muszę powiedzieć wszystko i zamknąć za sobą drzwi. Dopiero wtedy będę mogła zacząć żyć na nowo.

Mógł jej powiedzieć, że nie trzeba, że dla niego to już nieważne, ale czuł, że ważne jest dla niej.

- Dobra.

- Pytałaś, dlaczego zostałam z Chuckiem. To bardzo proste. Zostałam, bo ślubowałam. A potem, kiedy musiałam odejść, nie mogłam winić za to jego. Łatwiej mi było wierzyć, że to ja popełniłam błąd, że to ja zawiodłam.

Gardło miała tak ściśnięte, że znów musiała napić się wina.

- Ale nie popełniłam błędu, Dylan, i mam na dowód tego dwoje cudownych dzieci. Powiedziałaś, że to Chuck sam siebie zawiodł, i miałaś rację. Mógł tyle osiągnąć, a ciągle dokonywał niewłaściwych wyborów. Przyszła pora, bym przyznała, że ja dokonałam właściwych. Muszę ci za to podziękować.

- Podziękowania przyjmuję, ale nie o to mi przecież chodziło.

Tak jak w szpitalnej poczekalni, poczuła, że jej żołądek wyczynia jakieś dziwne salta.

- Nigdy nie zapomnę tego, co zrobiłaś. Co zrobiłaś samą swoją obecnością.

- Przykro mi, że umieszczasz to wszystko w przeszłości. Nie chcesz wiedzieć, o czym rozmawiałem z Benem, kiedy poszłaś po lekarstwo?

- Uznałam, że sam mi powiesz, jeśli będziesz chciał. Zresztą i tak wyciągnęłabym to od Bena - dodała z uśmiechem.

- To właśnie w tobie lubię. Między innymi.

- Dylan... rano... kiedy tak krzyczałaś, powiedziałaś, że...

- Że się w tobie zakochałem. Przeszkadza ci to? Abby ujęła kieliszek w obie dłonie, ale patrzyła mu prosto w oczy.

- Sama bym chciała wiedzieć.

- To spróbuję ci to wytłumaczyć tak, jak tłumaczyłem Benowi. - Dylan odstawił na blat swój kieliszek, potem także jej. - Powiedziałem mu, że kocham jego mamę.

I że to dla mnie Coś nowego i niezupełnie umiem sobie z tym radzić. Ze pewnie będę popełniał błędy i mam nadzieję, że on mi pomoże.

Pogładził ją delikatnie po włosach, a potem po policzku.

- Powiedziałem, że znam się trochę na prowadzeniu farmy, ale w byciu mężem moje doświadczenie jest niewielkie, a w byciu ojcem żadne. Ale że mimo wszystko chcę spróbować.

Oczy Abby były tak szeroko otwarte, że chciał wziąć ją w ramiona i obiecać, że będzie ją chronił. Zawsze. Przed wszystkim i przed wszystkimi. Ale jej nie można dawać pospiesznych obietnic. Już raz je słyszała. Teraz wszystko musi być oparte na zaufaniu i prawdzie.

- Czy dasz mi szansę?

- A co ci powiedział Ben? - spytała przez ściśnięte gardło.

- Że jego zdaniem to znakomity pomysł.

- Moim też. - Abby rzuciła mu się w ramiona. - Och, Dylan, ja też...

- Ale żeby ci nie wpadło do głowy kupować krowy.

- Nie, nie, żadnych krów. Obiecuję. - Teraz śmiali się już oboje. A potem ją pocałował. Z miłością, zaufaniem, nadzieją.

- Abby...

- Yhm?

- Myślisz, że uda nam się namówić twego tatę, żeby zatańczył na naszym weselu?

- Spróbowałbyś mu tylko zabronić!

NORA ROBERTS
ROZTAŃCZONE ŻYCIE
(ZA KULISAMI)

PROLOG

W przerwie między lunchem a porą koktajli klub świecił pustkami. Podłogi były zniszczone, choć dosyć czyste, farba na ścianach nieco wyblakła pod wpływem dymu tytoniowego. W powietrzu unosił się typowy dla takich miejsc zapach - skwaśniałego alkoholu, zwietrzałych perfum i kiepskiej kawy. Niektórzy czuli się tam jak w domu. Na przykład O'Hurleyowie, którym do szczęścia wystarczała publiczność.

Kiedy wieczorem do lokalu zaczęły napływać goście, światła zostaną trochę przyciemnione i klub nie będzie wyglądał tak ponuro. Teraz przez dwa niewielkie okienka wpadało do środka ostre słońce i bez litości wydobywało na powierzchnię kurz i zaniedbanie. Lustro za barem rzucało trochę dodatkowego światła, ale głównie na niewielką estradę pośrodku sali.

- Brawo, Abby. Jeszcze tylko uśmiech.

Frank O'Hurley ćwiczył ze swymi pięcioletnimi trojaczkami krótki taniec, który zamierzał włączyć do wieczornego programu. Sam demonstrował córkom figury. Mieli wystąpić w rodzinnym hotelu w przyjemnym, niedrogim kurorcie. Frank był pewien, że publiczność życzliwie przyjmie fezy małe dziewczynki.

- Frank, na miłość boską, ja już naprawdę mam dość tych twoich pomysłów. - Jego żona siedziała w rogu i pospiesznie przyszywała kokardy do białych sukienek, które za kilka godzin miały włożyć córki. - Nie jestem szwaczką.

- Jesteś artystką, Molly najdroższa, i najlepszą rzeczą na świecie, jaka trafiła się Frankowi O'Hurleyowi.

- Co prawda, to prawda - mruknęła pod nosem Molly, ale uśmiechnęła się do siebie.

- No dobrze, dziewczynki, próbujemy jeszcze raz. - Frank z uśmiechem patrzył na trzy aniołki, jakimi obdarzył go Bóg, i to za jednym zamachem. Skoro Stwórca uznał za stosowne sprezentować mu taką trójeczkę w cenie jednego dziecka, to znaczy, że ma poczucie humoru.

Chantel już teraz była piękną - miała okrągłą twarz cherubinka i ciemnoniebieskie oczy. Frank mrugnął do niej wesoło, wiedząc, że bardziej interesują ją kokardy przy sukience niż ćwiczenia.

Abby z kolei to była sama słodycz. Tańczyła, bo tak chciał jej tata, i dobrze się bawiła na scenie razem z siostrami. Frank znów zmusił ją do uśmiechu i ukłonu.

Maady o twarzy elfa i lekko rudawych włosach me spuszczała z niego oczu i idealnie naśladowała każdy ruch.

Bardzo kochał te trzy małe kobietki.

- Zagraj nam teraz wstęp - zwrócił się do syna. - Jakiś szybki.

Trace posłusznie przebiegł palcami po klawiaturze. Frank bardzo żałował, że nie stać go na prawdziwe lekcje dla syna. Wszystkiego, co umiał, chłopak nauczył się ze słuchu i obserwacji.

Sala wypełniła się skoczną, szybką muzyką.

- Dobrze, tato?

- Jesteś mistrzem. - Frank pogładził syna po głowie. - No, dziewczynki, od początku.

Trenował je cierpliwie przez kolejny kwadrans, wybacząc im błędy. Pięciominutowy numer będzie może daleki od doskonałości, ale pełen wdzięku. Z czasem go udoskonalą i może nawet trochę wydłużą. W kurorcie jest już po sezonie, ale jeśli się spodobają, mogą liczyć na następny angaż.

Całe życie Franka składało się z występów i angaży. Nie widział powodu, by z jego rodziną było inaczej.

Kiedy tylko zauważył, że Chantel traci zainteresowanie ćwiczeniem, natychmiast zareagował. Wiedział, że za chwilę siostry pójdą za jej przykładem.

- Cudownie. - Uśmiechnął się i pocałował każdą po kolei. Uczuć nigdy im nie żałował. Szkoda tylko, że tak samo hojnie nie mógł obdarzać ich pieniędzmi. - Powalimy ich na kolana.

- Czy nasze nazwisko będzie na afiszu? - spytała Chantel, wzbudzając śmiech Franka.

- Chciałabyś, gołąbeczko? Słyszałaś ją, Molly?

- No i co w tym dziwnego? - Molly na moment odłożyła szycie, by rozprostować palce.

- Wiesz co, Chantel? Chcesz być na afiszu, to najpierw naucz się tego. - Wolnym, pozornie prostym krokiem stepowym ruszył do przodu i wyciągnął rękę do żony. Dołączyła do niego bez wahania. Po dwunastu latach wspólnych występów rozumieli się bez słów.

Abby usiadła przy pianinie obok Trace'a i patrzyła na rodziców zafascynowana. Gdy ojciec zaimprovizował coś prostego, uśmiechnęła się.

- Chantel będzie ćwiczyć tak długo, aż się tego nauczy - powiedział ojciec.

- I wtedy wszyscy będziemy na afiszu.

- To nie jest takie trudne. Mogę ci pokazać, jak się to robi - szepnął Trace, wsłuchując się w stukot stóp rodziców.

- Pokażesz nam wszystkim?

- Ostatecznie... - zgodził się Trace, zdziwiony solidarnością młodszych sióstr. Przy nich on, dziesięcioletek, czuł się jak dorosły.

Uspokojona Abby oparła mu głowę na ramieniu. Patrzyła na tańczących, rozbawionych rodziców. Miała wrażenie, że właściwie zawsze się śmieją. Nawet kiedy mama zaczyna marszczyć brwi, tata zawsze potrafi ją rozbawić.

Chantel też uważnie ich obserwowała, nawet trochę próbowała naśladować, ale bez powodzenia. Abby wiedziała, że za chwilę wpadnie w furję. A w furii zawsze osiąga to, czego chce.

- Ja też tak chcę - odezwała się z kąta sceny Maddy.

Frank parsknął śmiechem. Nie wypuszczając Molly z objęć, wirował z nią po całej estradzie.

- Naprawdę, słonko?

- Popatrz, że potrafię - oznajmiła mała i z zaciętą minką, zdecydowanym krokiem - pięta, palce, pięta, palce - ruszyła na środek sceny.

Zaskoczony Frank aż przystanął i w ostatniej chwili podtrzymał nieprzygotowaną na to żonę.

- Popatrz, Molly. Tylko popatrz.

Molly odgarnęła włosy z twarzy i z dumą, ale i żalem, jaki tylko matka może zrozumieć, patrzyła, jak jej najmłodsza córka próbuje uchwycić podstawowe zasady stepowania. I całkiem niezłe jej to wychodzi.

- Chyba będziemy musieli kupić jeszcze jedną parę butów do stepowania, Frank.

- Na to wygląda. - Frank poczuł głęboką satysfakcję. - A teraz spróbuj to. - Pokazywał jej wolno i dokładnie. - Podskok, jedna noga, druga noga, przytup. Musnąć podłogę, krok, musnąć, krok i krok w bok.

Wziął Maddy za rękę i uważnie, dostosowując się do jej małych kroczków, ruszył w tan. Ona razem z nim.

- A teraz to. - Był coraz bardziej przejęty. - Synku, podaj mi rytm. Słuchaj, jak liczę, Maddy. Raz i dwa, i trzy, i cztery. Przytup. Lekko. Najpierw pięta, potem palce.

Mała naśladowała go płynnie i bez wahania.

- Molly, patrz, przecież to prawdziwa tancerka.

Frank chwycił córkę w ramiona i podrzucił do góry. Aż zapiszczała, ale nie ze strachu. Wiedziała, że jej nie upuści, Lot w powietrzu, choć krótki, był tak samo podniecający jak taniec. Czowała, że ani jednego, ani drugiego nigdy nie będzie miała dość.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Pięć, sześć, siedem, osiem!

Dwadzieścia cztery stopy równocześnie uderzyły o podłogę. Jak cudowne było towarzyszące temu echo! Dwanaście ciał skręciło się, podskoczyło i opadło, jakby były jednym. Lustra odbijały ich postacie. Ramiona na sygnał biegly w górę, nogi unosiły się, głowy pochylały i skręcały.

Pot sływał strumieniami. A jego zapach oznaczał teatr.

Pianino bębniło i stara sala prób rozbrzmiewała muzyką. Tak jak wczoraj i przedwczoraj bolały mięśnie, a serca waliły jak młotem. I tak miało być jutro i pojutrze, i za rok. Tak długo, jak wytrzyma stary budynek.

Ogromna sala widziała już niejedną gwiazdę. One też ćwiczyły na tej wyświeconej przez stopy podłodze. Oprócz nich robiły to setki nieznanych i zapomnianych. Tu był prawdziwy Broadway, jakiego publiczność nigdy nie miała okazji oglądać.

Asystent choreografa, w zaparowanych od potu okularach, klaskaniem wyznaczał rytm i wykrzykiwał polecenia. Stojący obok niego sam choreograf, ten, który opracował układ, obserwował wszystko oczami czujnymi jak u ptaka.

- Stop!

Muzyka ucichła. Tancerki przystały i odetchnęły. Ze zmęczenia, z poczuciem ulgi.

- Za wolno, moje panie, za wolno.

Za wolno? Dziewczyny jak jeden mąż wzniosły oczy do nieba, ignorując bolące mięśnie. Choreograf przez chwilę przyglądał im się uważnie, po czym zarządził pięciominutową przerwę. Dwanaście ciał oparto się o ścianę. Jedna z tancerek masowała stopy, inna kark. Rozmawiała mało która. Oddech, właściwy oddech, to ważna rzecz. Trzeba go ćwiczyć i oszczędzać. Najważniejszy jest przecież show.

- Chcesz ugryźć?

Maddy spojrzała na wyciągnięty w jej stronę batonik. Przez chwilę przyglądała mu się uważnie, potem jednak pokręciła głową. Wiedziała, że nie będzie w stanie ograniczyć się tylko do jednego kęsa.

- Nie, dzięki. Cukier wytrąca mnie z równowagi.

- A ja potrzebuję wzmocnienia. - Stojąca obok dziewczyna o czekoladowej skórze zaczęła jeść. - Szczególnie w takiej sytuacji. Temu facetowi brakuje tylko łańcucha i bata.

Maddy spojrzała na pochylonego nad akompaniatorem choreografa.

- Jest niezły. Mamy szczęście, że na niego trafiłyśmy.
- Zgadza się, ale w tej chwili chętnie bym go...
- Udusiła struną od pianina? - podsunęła żartem Maddy.
- Na przykład - parsknęła śmiechem dziewczyna.

Maddy powoli odzyskiwała siły, pot też już prawie wysechł. Większość tancerek walczyła z nim za pomocą kwiatowych dezodorantów i to ten właśnie zapach głównie unosił się w sali.

- Widziałam cię na castingu - powiedziała. - Byłaś naprawdę dobra.
- Dzięki. - Dziewczyna owinęła resztę batonika w papierek i wrzuciła do worka na kostium. - Wanda Starre, przez dwa „r” i „e” na końcu.
- Maddy O’Hurley.
- Tak, wiem.

Nazwisko Maddy było już dość znane w teatralnym światku. Cyganki, jak zwano tancerki wędrujące od przedstawienia do przedstawienia lub od kontraktu do kontraktu, uważały ją za jedną z nich, której akurat się poszczęściło. Wanda widać uznała, że Maddy nie zapomniała o swych korzeniach.

- To mój pierwszy biały kontrakt - wyszeptała, lekko zażenowana.
- Poważnie?

Białe kontrakty dostawały aktorki grające główne role, różowe dostawały statystki. To był bardzo ważny podział. Zaskoczona Maddy przyjrzała się koleżance uważniej. Miała dużą twarz o wyraźnych rysach, długą szyję i silne ramiona tancerki. Była wyższa niż Maddy o dobre dwanaście centymetrów.

- Pierwszy raz nie jesteś statystką?
- Tak. - Wanda spojrzała na inne tancerki. - Strasznie się boję.
- Ja też. - Maddy otarła z potu twarz.
- Nie wygłupiaj się. Przecież ten, w którym grałaś poprzednio, to był prawdziwy hit.
- Ale w tym gram po raz pierwszy. I nigdy nie pracowałam z Mackiem. - Ponownie spojrzała na choreografa. Miał sześćdziesiąt lat, a nadal był szczupły i żyłasty. Właśnie wyszedł na środek. - Znów do roboty - mruknęła.

Przez następne dwie godziny ćwiczyły, uczyły się, szlifowały każdy ruch. Kiedy pozostałe zwolniono do domu, Maddy dostała dziesięć minut przerwy, a potem wróciła, by ćwiczyć swoje solo. Grając główną rolę, miała tańczyć ze statystkami, potem sama, z odtwórcą głównej roli męskiej, i wreszcie z resztą pierwszoplanowych tancerzy.

Przygotowywała się do tej roli tak jak biegacz do maratonu. Ćwiczenia, ćwiczenia i jeszcze raz ćwiczenia. W trwającym dwie godziny i dziesięć minut przedstawieniu będzie na scenie przez dwie trzecie czasu. Trzeba wszystko zapamiętać i wyćwiczyć co do sekundy.

- Spróbuj z rękami wyciągniętymi na wysokość ramion - instruował ją Macke.

Choć protestowały wszystkie jej mięśnie, a pot zalewał oczy, robiła, co jej kazał.

- Lepiej. - W ustach Macke'a to była prawdziwa pochwała. - Teraz trzymaj ręce luźno.

- Podeszedł i położył dłonie na jej ramionach. - Po obrocie stań bokiem do widowni. Ruchy mają być szybkie, ostre. Jesteś striptizerką, nie baletnicą.

Uśmiechnęła się, bo choć ją krytykował, cały czas masował obolałe mięśnie. Miał opinię twardego instruktora o duszy tancerza.

- Będę pamiętać.

Tym razem spełniła jego oczekiwania. Jej ruchy stały się szybkie, ostre, gwałtowne. Takich wymagała jej rola. Poza tym to właśnie ciałem musiała nadrabiać niezbyt silny głos.

Jej krótkie rude włosy podtrzymywała teraz opaska, którą w przedstawieniu zastąpi ciężka, długa do ramion peruka z lokami, ale teraz wołała o tym nie myśleć. Jej twarz błyszczała jak mokra porcelana, ale nie było na niej widać zmęczenia. Rysy miała delikatne, umiała jednak wyrazić każde uczucie. W teatrze przesada jest często niezbędna. Śmiała się głośno, gardłowo i robiła miny prawdziwej striptizerki.

Bez makijażu jej twarz była nawet ładna, a szczerze mówiąc po prostu sympatyczna - trójkątna, o szeroko rozstawionych bursztynowych oczach. Do roli Mary Howard, alias Wesołej Wdówki, odda się w ręce fachowców, którzy przekształcą ją w sprytną i wyrachowaną. Teraz musi radzić sobie sama, minami i odpowiednimi dla cwanej striptizerki ruchami.

Właściwie całe życie się do tej roli przygotowywała - w pociągach i autobusach, podróżując wraz z rodziną od miasta do miasta i od klubu do klubu, by zarobić na skromne utrzymanie. Już od piątego roku życia umiała oceniać publiczność. Czy jest wroga czy przyjazna, znudzona czy zainteresowana? To od nastroju widzów zależy sukces. Albo porażka.

Maddy od małego nauczyła się w razie potrzeby wprowadzać do występu subtelne zmiany. Odkąd zaczęła chodzić, jej prawdziwe życie toczyło się na scenie. I przez dwadzieścia sześć lat ani razu tego nie żałowała.

I nadal się uczyła. Lekcje, lekcje, niekończące się lekcje. Choć nazwiska i twarze nauczycieli zlały jej się w jedno, na zawsze zapamiętała każdy ruch, każdą pozycję i krok. Kiedy brakło czasu lub pieniędzy na prawdziwą lekcję, rolę nauczyciela przejmował ojciec.

Nawet w skromnym hotelowym pokoju potrafił umocować jakiś drażek i ćwiczył wraz z dziećmi.

Maddy była urodzoną cyganką - wraz z siostrami przysłała przecież na świat wtedy, kiedy rodzice byli w drodze na kolejny kontrakt. Jej dalszy los był tego nieuniknioną konsekwencją. Szła na przesłuchanie, odrzucano ją, i cierpiała. Szła na przesłuchanie, dostawała rolę, i przeżywała strach przed premierą. Ale nigdy nie straciła pewności siebie.

Od sześciu lat była samodzielna, bez stałego wsparcia rodziców, brata i sióstr. Tańczyła jako statystka i brała lekcje. Między próbami jako kelnerka zarabiała na nauczycieli i szybko niszczące się baletki. Nawet gdy zaczęła grywać większe role, z lekcji nie zrezygnowała. Przestała tylko podawać do stołu.

Jej największym do tej pory osiągnięciem była główna rola w „Parku Suzanny”. Cieszyła ją i napawała dumą, lecz było tak tylko do czasu, gdy nagle poczuła się wypalona. Wtedy zrezygnowała. Ryzykowała, ale taka już jest cygańska natura. Teraz miała grać Mary, rolę dużo trudniejszą, skomplikowaną i wymagającą. Oddała się jej całą duszą, bo to też było w jej naturze.

Kiedy muzyka umilkła, Maddy stanęła pośrodku sali i z rękami na biodrach próbowała uspokoić oddech. Jej całe ciało błagało o chwilę odpoczynku, ale gdyby Macke dał sygnał, zebrałaby się w sobie i ruszyła dalej.

- Nieźle, mała. - Macke rzucił jej ręcznik. Zaśmiała się i zanurzyła w nim twarz. Nie był już świeży, ale wciąż jeszcze wchłaniał pot.

- Nieźle? Dobrze wiesz, że było super.

- Było dobrze. - Macke lekko się skrzywił, ale wiedziała, że ten grymas oznacza uśmiech.

Patrzył na nią z zachwytem, doceniał promieniującą z niej siłę i energię. Była jego narzędziem, jego płótnem. Jego sukces zależy od niej. A jej sukces zależy od niego.

Zarzuciła ręcznik na szyję i podeszła do pianina, przy którym akompaniator składał już partyturę.

- Czy mogę ci zadać jedno pytanie, Macke?

- Wal. - Macke zaciągał się papierosem.

- Który to już musical przygotowujesz? No wiesz, jako tancerz i choreograf?

- Trudno zliczyć. Powiedzmy, że było ich dużo.

- Dobra. - Zaakceptowała tę odpowiedź, choć założyłaby się o swe najlepsze buty do tańca, że zna dokładną liczbę. - Jak oceniasz nasze szanse z tym konkretnym?

- Jesteś zdenerwowana?

- Nie. Przerazona.

Macke dwa razy zaciągnął się papierosem.

- To dobrze.

- Źle sypiam, kiedy jestem przerażona, a przecież muszę być wypoczęta.

- Masz wszystko co najlepsze. Oczywiście przede wszystkim mnie. Ale też dobrą muzykę, chwytliwe libretto i niezłą obsadę. Czego jeszcze chcesz?

- Tłumów. - Maddy przyjęła od asystenta szklanę wody i popijała ją powoli.

Macke ją szanował i uznał, że zasługuje na odpowiedź. Jego szacunek wzbudzał nie sukces w „Parku Suzanny”, lecz to, co ona i jej podobne robiły dzień po dniu. Maddy miała dwadzieścia sześć lat, a tańczyła od ponad dwudziestu.

- Wiesz, kto nas sponsoruje?

Woda, którą przez chwilę trzymała w ustach, nie była co prawda zimna, ale cudownie mokra.

- Valentine Records.

- A wiesz, czemu firmie płytowej może tak zależeć, żeby być jedynym sponsorem jakiegoś musicalu?

- Żeby mieć wyłączne prawa do płyty.

- Brawo. - Macke zdusił papierosa i od razu zatęsknił za następnym. Myślał o nich tylko wtedy, gdy nie grała muzyka - z pianina lub w jego głowie. Na szczęście dla jego płuc nie zdarzało się to często. - Reed Valentine jest naszym aniołem, drugim pokoleniem rekinów w tej branży i o ile wiem, jest jeszcze twardszy niż jego ojciec. To nie my go interesujemy, słonko, lecz zysk.

- Uczciwe postawienie sprawy - uznała po chwili zastanowienia Maddy. - Życzę mu tego z całego serca.

- I bardzo dobrze. A teraz zmykaj pod prysznic.

W rurach warczało, woda płynęła nierównym strumieniem, ale była chłodna i mokra. Maddy oparła się łokciami o ścianę i podstawiała głowę pod prysznic. Wczesnym rankiem miała lekcję baletu, stamtąd przysłała prosto do sali prób, by przećwiczyć z kompozytorem dwie piosenki. O śpiew była spokojna - miała czysty głos, o dobrej wysokości i skali, a przede wszystkim donośny. Teatr nie toleruje cichych głosików.

W młodości występowała w Trio Sióstr O'Hurley. Kiedy śpiewa się w barach i klubach o złej akustyce i kiepskiej aparaturze, nie można oszczędzać płuc.

Zupełnie nieźle jej te piosenki wychodziły. Nazajutrz miała mieć próbę z resztą aktorów - po lekcji jazzu, a przed próbą tańca. Martwiła ją tylko część aktorska. W rodzinie to

Chantel była prawdziwą aktorką, Abby zaś miała najlepszy głos. Maddy żywiła tylko nadzieję, że pomoże jej interesująca postać Mary, w którą ma się wcielić.

Ona całe serce, ciało i duszę oddała tańcowi - od chwili, kiedy w niewielkiej salce motelu w Pensylwanii ojciec po raz pierwszy pokazał jej stepowanie. Popatrz na mnie teraz, tato, pomyślała. Jestem na Broadwayu.

Szybko, by nie zmarznąć, wytarła się i ubrała w cywilne ciuchy, które zawsze nosiła w torbie.

W wielkiej sali panował gwar. Kompozytor i autor libretta szlifowali swe dzieło. Wprowadzone dziś zmiany trzeba będzie ćwiczyć na nowo, i to z resztą śpiewaków. Nic nowego. Macke jutro wniesie jakieś poprawki do świeżo przećwiczonych numerów. To też nic nowego.

Maddy zarzuciła torbę na ramię i ruszyła po schodach na ulicę. Myślała teraz tylko o jedzeniu, Musi dostarczyć sobie energii, jaką straciła w tym pełnym ćwiczeń dniu - ale też musi zrobić to mądrze. Już dawno temu nauczyła się patrzeć na jogurt i koktajl bananowy z takim samym entuzjazmem. Dziś zje jogurt ze świeżymi owocami, dużą miskę krupniku i sałatkę ze szpinaku.

W drzwiach przystanęła jeszcze na chwilę i nasłuchiwała. Wokalista ćwiczył gamy; w tle grało pianino. Czyjeś stopy wystukiwały rytm o podłogę.

Te dźwięki były jej tak znajome jak bicie własnego serca.

Bogu niech będą dzięki za Reeda Valentine, westchnęła w duchu i wyszła na ciemną ulicę.

Zrobiła zaledwie dwa kroki, kiedy ktoś mocno szarpnął jej wiszącą na ramieniu torbę. Tym kimś był kilkunastoletni chłopak o groźnym i zdesperowanym spojrzeniu. Znała je aż nadto dobrze. Często w życiu bywała zdesperowana.

- Powinieneś być w szkole - warknęła, usiłując nie oddać mu torby.

Wyglądała na łatwy cel. Był pewien, że to ważące na oko czterdzieści parę kilo chuchro łatwo da się odepchnąć, że uda mu się chwycić torbę i zwać. Jej siła go zaskoczyła, ale z tym większą determinacją walczył o pieniądze i karty kredytowe, które na ogół są w każdej damskiej torebce. W słabym świetle nad schodami starego budynku nikt nie zauważył ich walki. Chciała krzyknąć, ale uznała, że lepsza może być perswazja. Co prawda często słyszała, że nie każdego da się zreformować, lecz uważała, że zawsze warto spróbować.

- Wiesz, co w niej jest? - spytała, szarpiąc swój koniec torby. Z ulgą zauważyła, że od niego wymaga to większego wysiłku. - Przepocone legginsy i ręcznik, który pewnie już spleśniał. I jeszcze buty do tańca.

Kiedy sobie o nich przypomniała, od razu mocniej chwyciła torbę. Zawodowy złodziej na pewno by zrezygnował i poszukał łatwiejszej ofiary, ale ten chłopak był wściekły i obrzucał ją wyzwiskami. No cóż, jego prawo.

- Baletki są prawie nowe, ale na nic ci się nie przydadzą - próbowała mu tłumaczyć. - Mnie one są dużo bardziej potrzebne niż tobie. - W tej chwili uderzyła piętą o żelazny płotek i zaklęła pod nosem. Na utratę paru dolarów może sobie pozwolić, na kontuzję nie. Skoro chłopak nie chce dać się zreformować, to może pójść z nim na kompromis...

- Wiesz co? Jeśli ją puścisz, to dam ci połowę pieniędzy, jakie mam. Nie chcę sobie zawracać głowy blokadą kart kredytowych, co bez trudu mogę zrobić, dzwoniąc za moment do banku. Nie mam czasu na kupno nowych butów, a jutro ich potrzebuję. Dam ci wszystkie pieniądze - oznajmiła, słysząc, że szwy płóciennej torby zaczynają puszczać. - Mam jakieś trzydzieści dolarów.

Chłopak szarpnął mocniej, pociągając ją za sobą. Nagle ktoś krzyknął. Torba upadła na ziemię, a złodziej pomknął w dół ulicy i zniknął za najbliższym rogiem. Maddy przyklęknęła i zaczęła zbierać z chodnika rozsypane rzeczy.

- Nic się pani nie stało?

Sięgała akurat po getry, gdy tuż obok nich zobaczyła parę błyszczących włoskich butów. Jako tancerka zwracała szczególną uwagę na obuwie. Uważała, że buty są odbiciem osobowości i poczucia własnej wartości. Wypolerowane włoskie buty zawsze oznaczały dla niej zamożność i to, co dzięki niej można osiągnąć.

Nad znakomitą błyszczącą skórą ujrzała jasnoszare spodnie o zaprasowanych w kant nogawkach, opadające dokładnie na środek buta. Zorganizowany, rozsądny mężczyzna, oceniła.

Kiedy spojrzała wyżej, dostrzegła, że spodnie dobrze dopasowane są do szczupłych bioder i ozdobione w pasie wąskim paskiem z niewielką złotą klamrą, gustowną, lecz niezbyt teraz modną.

Pod rozpiętą marynarką widać było jasnoniebieską koszulę z ciemniejszym od niej krawatem. I koszula, i krawat były jedwabne. Maddy zawsze lubiła jedwab, był dla niej synonimem luksusu.

W jej stronę wyciągała się w pomocnym geście ręka. Opalona, o długich, ładnych palcach. Na nadgarstku widniał kosztowny złoty zegarek.

Kiedy podała mu dłoń, poczuła ciepło i siłę, a także pewną niecierpliwość.

- Dziękuję - powiedziała, przyglądając się jego twarzy.

Był gładko ogolony. Lekko zapadnięte policzki nadawały jego surowej twarzy poetycki wygląd, a ona zawsze miała słabość do poetów. Jego usta układały się w grymasie dezaprobaty czy irytacji, a tuż pod nimi widniał dołeczek w brodzie. Nos miał prosty, arystokratyczny i choć spoglądał na nią z góry, nie czuła się obrażona. Oczy miał szare i mówiły jej one aż nadto wyraźnie, że ratowanie z opresji pańienek to dla niego strata czasu. I to właśnie najbardziej jej się w nim spodobało. Szkoda mu było czasu, a jednak ją uratował.

Przezeszał palcami lśniące jasne włosy i też na nią patrzył. Czyżby była w szoku?

- Niech pani usiądzie - polecił zdecydowanym głosem człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów. I do tego, że wszyscy zawsze posłusznie je wykonują.

- Nic mi nie jest - odparła z lekkim uśmiechem. Dopiero wtedy zauważył, że w jej spojrzeniu nie ma cienia strachu. Nie wyglądała jak kobieta, która przed chwilą została napadnięta.

- Zjawił się pan w samą porę - wyjaśniła. - Ten dzieciak nie dawał się przekonać.

Pochyliła się i dalej zbierała swe rzeczy. Mężczyzna wiedział, że powinien odejść, ale zamiast tego westchnął, spojrział na zegarek i przykucnął, by jej pomóc.

- Zawsze próbuje pani dyskutować ze złodziejami?

- To był taki bardziej początkujący złodziej - odparła. - A ja próbowałam z nim negocjować.

Mężczyzna ostrożnie podniósł z chodnika najstarszą parę jej treningowych getrów.

- Naprawdę warto było o to walczyć?

- Jak najbardziej. - Wyjęła mu je z rąk, zwinęła i schowała do torby.

- Mógł pani zrobić krzywdę.

- Mógł zabrać mi buty. - Maddy pieszczotliwie pogładziła delikatną skórę. - On nic by z nich nie miał, a ja kupiłam je zaledwie trzy tygodnie temu. Niech mi pan poda tę opaskę, dobrze?

Wziął ją do ręki i skrzywił się.

- Brała pani w niej prysznic?

Parsknęła śmiechem i też wrzuciła ją do torby.

- Nie, jest tylko przeupocona. Przepraszam.

Jej spojrzenie nie było jednak przepraszające, lecz wyraźnie rozbawione. Sam nie wiedział, czemu jeszcze nie odszedł i nie zostawił jej samej. Był już pięć minut spóźniony, ale coś w jej spojrzeniu zatrzymywało go na miejscu.

- Nie zachowuje się pani jak ktoś, kto omal nie stracił pary rajstop, spłowiałego trykotu, przetartego ręcznika, dwóch par butów i dwóch kilogramów kluczy.

- Ręcznik wcale nie jest taki przetarty. - Zadowolona, że nic jej nie brakuje, Maddy zamknęła torbę. - No i na szczęście rzeczywiście niczego nie straciłam.

- Żadna ze znanych mi kobiet nie wdałaby się w dyskusję ze złodziejem.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem. Wyglądał na mężczyznę, który zna wiele kobiet - oczywiście tylko eleganckich i światowych.

- A co by zrobiła?

- Podejrzewam, że raczej by krzyczała.

- Wtedy zabrałby mi torbę, a mnie zabrakłoby tchu. - Na samą myśl o czymś tak niedorzecznym wzruszyła ramionami. - W każdym razie dzięki. - Znow wyciągnęła do niego rękę, delikatną, wąską, bez biżuterii. - Rycerz na białym koniu to coś wspaniałego.

Była drobna i sama, z każdą minutą robiło się ciemniej. Instykt, który nakazywał mu nie mieszać się w cudze sprawy, walczył w nim z sumieniem. Rezultatem tej walki okazała się irytacja.

- Nie powinna pani chodzić po tej okolicy po ciemku.

Znow się zaśmiała, wesoło i szczerze.

- To moje strony. Mieszkam zaledwie cztery przecznice stąd. Mówiłam panu, że to był amator. Żaden szanujący się złodziej nie zainteresowałby się zwyczajną tancerką. Wiedzą, że takie jak my zawsze są bez grosza. Ale pan... - Postąpiła krok o tyłu i znow uważnie mu się przyjrzała. - Pan to co innego. Tutaj ktoś tak ubrany powinien trzymać zegarek i portfel w majtkach.

- Zapamiętam.

- Powiedzieć panu, jak się stąd wydostać? Nie wygląda mi pan na stałego bywalca tych stron.

Dlaczego to on ma się o nią martwić? Za chwilę ten smarkacz może dać jej w łeb, a ona najwyraźniej w ogóle nie bierze tego pod uwagę.

- Nie, dzięki. Mam tutaj sprawę.

- Tutaj? - Maddy spojrzała przez ramię na obdrapany budynek, w którym mieściła się sala prób, a potem przyjrzała się mężczyźnie podejrzliwie. - Nie jest pan tancerzem - oznajmiła z przekonaniem. Nie dlatego, że nie poruszał się z wdziękiem, wprost przeciwnie. Po prostu to wiedziała. - I nie jest pan aktorem - dodała po krótkim zastanowieniu. - Ani muzykiem... choć ręce ma pan niezłe.

Za każdym razem, kiedy chciał już odchodzić, czymś go do siebie przyciągała.

- A czemu nie?

- Jest pan zbyt konserwatywny - wyjaśniła. - Zdecydowanie za normalny. No, wie pan... wygląda pan jak prawnik albo bankowiec albo... - To ostatnie dopiero teraz wpadło jej do głowy. Spojrzała na niego z zachwytem. - Anioł.

- Widzi pani aureolę?

- Nie, nie przypuszczam, żeby chciało się panu nosić taki ciężar. Anioł - powtórzyła. - Sponsor. Valentine Records?

I znów podała mu dłoń. Ujął ją i po prostu zatrzymał.

- Tak. Reed Valentine.

- A ja jestem Wesoła Wdówka.

- Słucham? - Zmarszczył brwi.

- Striptizerka - wyjaśniła. Zauważyła, jak mruży oczy. Rozbawiło ją jego zaskoczenie i nawet miała ochotę na razie nie wyprowadzać go z błędu, ale przecież wybawił ją z opresji. - Z musicalu, który pan sponsoruje. - Zachwycona tym spotkaniem, spontanicznie przykryła drugą ręką jego dłoń. - Maddy O'Hurley.

To jest Maddy O'Hurley? Ta filigranowa, pewna siebie istotka z rozczochną grzywą rudoblonde włosów i wyszorowaną do czysta twarzą to ta sama oszałamiająca gwiazda, którą widział w „Parku Suzanny”? Miała wtedy długą blond perukę, wygląd Alicji w Krainie Czarów i stroje z lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Jej głos był potężny, wypełniał cały teatr, a tańczyła jak primabalerina. Nawet on był pod wrażeniem, a to nieczęsto się zdarzało.

To właśnie Maddy O'Hurley była jednym z powodów, dla których zdecydował się sponsorować ten musical. A teraz stał z nią twarzą w twarz i ogarnęły go wątpliwości.

- Madeline O'Hurley?

- Tak zapisano w kontrakcie.

- Widziałem panią na scenie, ale teraz nie poznałem.

- To normalne. Wie pan, światła, kostium, makijaż...

Z dala od świateł rampy ceniła sobie swą anonimowość i całkiem zwyczajny wygląd. Urodziły się trzy naraz - Chantel dostała zapierającą dech w piersiach urodę, Abby była urocza, a ona... ona po prostu miła i sprytna. Rozbawiło ją podejrzliwe spojrzenie Reeda, chociaż go rozumiała.

- Widzę, że jest pan rozczarowany - stwierdziła z uśmiechem.

- Nie mówiłem...

- Oczywiście, nigdy w życiu. Jest pan na to zbyt dobrze wychowany, panie Valentine Records. Ale niech się pan nie martwi. O'Hurleyowie to dobra inwestycja. - Roześmiała się

znów, bo rozbawił ją jej własny żart. Gdzieś w dole ulicy zapaliły się latarnie, znak, że nieubłaganie zbliża się noc. - Zdaje się, że ma pan tam spotkanie.

- Miałem dziesięć minut temu.

- Czas liczy się tylko dla interesantów. Pan ma książeczkę czekową, kapitanie, pan tu rządzi. - Poklepała go przyjaźnie po ramieniu. - Gdyby któregoś dnia był pan w okolicy, proszę wpaść na próbę. - Zrobiła parę kroków, jakby chciała odejść, po czym zmieniła zdanie i wróciła. - Zobacz pan, jak skaczę i wywijam rękami. Jestem dobra, Valentine. Naprawdę dobra. - Odwróciła się od niego, robiąc zwinny piruet, i zniknęła w ciemnościach.

Mimo że był spóźniony, jeszcze przez chwilę za nią patrzył. Potem potrząsnął głową i ruszył w stronę schodów. Nagle na stopniu zauważył małą okrągłą szczotkę do włosów. Pokusa, by zostawić ją tam, gdzie leżała, była silna. Ciekawość jednak okazała się silniejsza. Podniósł ją i poczuł delikatny zapach szamponu - świeży, cytrynowy. Po namyśle schował szczotkę do kieszeni. Czy Maddy zauważy jej brak? Nieważne, przecież i tak ją jej zwróci.

Przecież i tak zobaczy ją jeszcze raz. Co szkodzi jeden więcej dobry uczynek?

ROZDZIAŁ DRUGI

Dopiero po kilku dniach Reed zdołał wybrać się na próbę. Z trudem przekonał samego siebie, że w ten sposób dba o swoje finanse. Nie zamierzał przecież jakoś bezpośrednio wiązać się z tą sztuką. Spotkania z producentem i narady z księgowymi zupełnie by wystarczyły. Dużo lepiej znał się na zestawieniach bilansowych, księgach i kolumnach cyfr niż na dźwiękach i zapachach panujących w tym odrapanym budynku. Uznał jednak, że nie zaszkodzi czasem rzucić na inwestycję gospodarskim okiem - nawet jeśli wiąże się to ze spotkaniem z pewną dziwną kobietą o wesołym uśmiechu.

Od biura dzieliło go zaledwie dwadzieścia minut jazdy taksówką, ale czuł się w tej sali prób równie nie na miejscu, jak na jakiejś dalekiej wyspie na Południowym Pacyfiku, gdzie tubylcy noszą w uszach kościane ozdoby.

Nigdy nie uważał, że wie dzie życie w wieży z kości słoniowej. Przez lata pracy często bywał w nieprzyjemnych miejscach i zadawał się z bardzo różnymi ludźmi. Mieszkał jednak w dobrej dzielnicy, gdzie restauracje są eleganckie i spokojne, a widok na park z okna mieszkania jest kojący.

Idąc po schodach, nadal wmawiał sobie, że przywiodła go tu zdrowa ciekawość oraz po prostu dbałość o własne interesy. Firma Valentine Records utopiła całkiem niezłą sumkę w musicalu „Zdejmij to”, a to on odpowiada za tę firmę. Włożył rękę do kieszeni i dotknął szczytki Maddy, kierując się ku miejscu, skąd dobiegała muzyka i gwar rozmów.

W sali ze wszystkich stron otoczonej lustrami znalazł tancerzy. Nie takich wspaniałych, świeżych i uśmiechniętych, jakich widuje się na scenach Broadwayu, lecz grupę zmordowanych, spoconych mężczyzn i kobiet w porzucianych trykotach. Wydali mu się przypadkowym zbiorowiskiem dziwaków, zupełnie pozbawionych profesjonalizmu. Stali właśnie z rękami na biodrach i patrzyli na drobnego, szczupłego mężczyznę, który, jak wiedział, był choreografem.

- Trochę więcej pary, moje dzieci - zachęcał Macke. - To ma być striptiz, a nie kotylion. Mamy sprzedawać seks i zabawę. Wanda, mocniej zaznacz biodra. Maddy, rozgrzej ich trochę w tym shimmy. Zegnij się w pasie.

Kiedy pokazał jej, co ma robić, Maddy roześmiała się.

- Widziałam projekt mojego kostiumu, Macke. Jeśli postąpię według twoich instrukcji, to chłopakom w pierwszym rzędzie dam pokazową lekcję anatomii.

Macke spojrział na nią uważnie.

- W twoim przypadku raczej niewielką.

Otoczający ją tancerze parsknęli śmiechem, ale ona wcale nie poczuła się obrażona. Wkrótce wrócili do ćwiczeń.

Reed patrzył na to wszystko z rosnącym zdumieniem. Na błyszczącej od potu podłodze tancerze ożyli jak za dotknięciem różdżki. Nogi przecinały powietrze, kołysały się biodra. Parami trenowano podrzuty i obroty. Nawet z tego miejsca widział ich spocone czoła, słyszał ciężkie oddechy.

A potem na środek wyszła Maddy.

Trykot podkreślał każdą wypukłość jej ciała. Nogi, nawet w tych rozciągniętych rajstopach, zdawały się sięgać aż po szyję. Powoli, z rękami na biodrach, przesuwała się do przodu, a potem w bok, zwiększając tempo. Reed nie słyszał odliczania Macke'a, lecz ona je słyszała. Precyzyjnie wykonywała zalecenia choreografa.

Kiedy stanowiący jej tło tancerze wpadli w trans, zgięła się w pół, a ramiona wyciągnęła ku wyimaginowanej publiczności. Zza jej pleców wybiegł jakiś chłopak i chwycił ją za rękę. Skierowała ku niemu głowę, zakołysała biodrami. A kiedy muzyka umilkła, ona w tej samej chwili wpadła w ramiona chłopca, a on mocno zacisnął dłoń na jej pośladku.

- No, teraz lepiej - uznał Macke.

Tancerze opadli na podłogę, jakby nie chcieli tracić energii na niepotrzebne stanie. Maddy i jej partner też się rozluźnili.

- Uważaj na rękę, Jack.

- Jasne. - Chłopak oparł się o ramię Maddy. - Patrzę na nią prawym okiem.

Choć z trudem oddychała, roześmiała się i odepchnęła go. Dopiero wtedy zauważyła stojącego w progu Reeda. Jak przy poprzednim spotkaniu, tak i teraz wyglądał na prawdziwego biznesmena. Posłała mu z daleka miły, zwyczajny uśmiech.

- Idźcie na lunch - rzekł Macke, zapalając papierosa. - Za godzinę chcę widzieć tutaj z powrotem Maddy, Wandę i Terry. Niech ktoś da znać Carterowi, że on też będzie mi potrzebny. Statyści proszeni są na pierwszą trzydziści w sali B...

Sala powoli pustoszała. Maddy wzięła ręcznik i ocierając nim twarz, podeszła do Reeda. Kilka tancerek minęło go z nie skrywanym zaproszeniem w oczach.

- Witam. - Maddy przerzuciła ręcznik przez ramię, a potem delikatnie usunęła Reeda z przejścia. - Widział pan wszystko?

- Wszystko?

- Pytam o taniec.

- A, tak - wyjąkał, bo jej zmysłowe ruchy były jedyną rzeczą, jaką zapamiętał.

Maddy zaśmiała się i oparła o ścianę.

- I co?

- Jest imponujący. - Teraz wyglądała po prostu jak kobieta po ciężkiej pracy, ładna, ale już nie tak podniecająca. - Ma pani... uhm... dużo energii.

- O tak, tego mi nie brakuje. Znów się pan umówił?

- Nie. - Czując się trochę głupio, wyjął z kieszeni jej szczotkę. - To chyba należy do pani.

- O, rzeczywiście. A już uznałam ją za straconą. To miłe z pana strony. - Znów otarła twarz ręcznikiem. - Proszę chwilę zaczekać.

Odeszła, by wrzucić do torby szczotkę i ręcznik. Reed z przyjemnością patrzył, jak się pochyla i trykot napina się na jej biodrach. Po chwili wróciła z torbą na ramieniu.

- Ma pan ochotę na lunch?

Powiedziała to tak zwyczajnie, a równocześnie kusząco, że mało brakowało, a by się zgodził.

- Jestem umówiony.

- A co z kolacją?

Reed uniósł brwi. Patrzyła na niego, na jej ustach błąkał się lekki uśmiech, oczy jej błyszczały. Wszystkie znane mu kobiety udawałyby raczej chłód i obojętność i zostawiły inicjatywę w jego rękach.

- Proponuje mi pani randkę?

Ostrożna uprzejmość jego pytania była tak wyraźna, że znów się roześmiała.

- Domyślny pan jest, Valentine Records. Jest pan mięsożerny?

- Słucham?

- Czy jada pan mięso? - wyjaśniła. - Znam wiele osób, które nie tkną mięsa za nic w świecie.

- A... tak. - Nie pojmował, dlaczego jest tak zakłopotany.

- W porządku. Zrobię panu stek. Ma pan coś do pisania?

Zaskoczony, posłusznie wyjął pióro.

- Pióro. Mogłam się tego spodziewać. - Maddy szybko wyrecytowała mu swój adres. - Czekał na pana o siódmej.

Krzyknęła do kogoś w głębi korytarza, by na nią zaczekał, i zanim Reed zdążył przyjąć lub odrzucić zaproszenie, już jej nie było. Wyszedł z budynku, nie zapisując adresu. Lecz bynajmniej go nie zapomniał.

Maddy zawsze działała pod wpływem impulsu. Tym właśnie wytłumaczyła sobie zaproszenie Reeda na kolację, mimo że słabo go znała, a w domu nie miała niczego ciekawszego do jedzenia niż jogurt. Tak więc po dziesięciu godzinach harówki wpadła do sklepu po szybkie zakupy.

Nie gotowała często. Nie dlatego, że nie umiała, bo jakoś sobie z tym radziła, ale zawsze prościej i szybciej było otworzyć jakąś puszkę. We wszystkich sprawach oprócz teatru wybierała najprostsze rozwiązania.

Kiedy weszła do budynku, w którym mieszkała, już na parterze usłyszała przekleństwa kłócących się po włosku, głośno i bez skrępowania Gianellich. Przypomniała sobie o korespondencji i maleńkim kluczykiem otworzyła skrzynkę. Wyjęła pocztówkę od rodziców, ofertę ubezpieczenia na życie i dwa rachunki, po czym pobiegła na górę. Na piętrze siedziała nad podręcznikiem młoda sąsiadka z mieszkania 242.

- Jak tam literatura angielska? - zagadnęła ją Maddy.

- Nie najgorzej. W sierpniu powinnam mieć już dyplom.

- Super. A jak Tony?

- Doszedł do finału w eliminacjach do jednej sztuki. - Jej młoda twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Jeśli dostanie rolę, będzie mógł zrezygnować z kelnerowania po nocach. Jego zdaniem sukces jest tuż za rogiem.

- To wspaniale, Angie. - Nie dodała, że dla takich cyganów sukces zawsze jest tuż za rogiem, tylko drogi wiodące do tego rogu są coraz dłuższe.

- Muszę lecieć. Mam gościa na kolacji.

Na drugim piętrze ogłuszył ją rock i tupot nóg. No tak, królowa disco ćwiczy. Maddy wrzuciła tylko ramionami i wbiegła na swoje piętro. Miała jeszcze godzinę.

Po drodze do kuchni włączyła stereo i od razu zabrała się do pracy. Obrala dwa kartofle i wstawiła do piekarnika, nie zapominając o jego włączeniu. Potem szybko umyła jarzyny.

Przypomniała sobie, że należałoby trochę posprzątać. Nie odkurzała chyba od... Na szczęście na wszystkich meblach jest tyle różnych rzeczy, że kurzu nie widać. Można ostatecznie jej mieszkanie nazwać nieporządnym, ale na pewno nie nudnym.

Większość umeblowania i ozdób pochodziła z teatrów. Kiedy sztuka schodziła z afisza - szczególnie kiedy okazywała się porażką - wyprzedawano za grosze dekoracje i stroje. Ze wszystkimi wiązały się jakieś wspomnienia, więc nawet kiedy Maddy zaczęła zarabiać regularnie, nie zastąpiła ich czymś lepszym. Czerwone, bogato zdobione zasłony pochodziły z

„Najlepszego burdelu w Teksasie”. Kanapa z wygiętym oparciem i twardymi poduszkami była odrzutem z jakiejś klapy, której tytułu nawet nie pamiętała, ale podobno wcześniej stała w salonie w „My Fair Lady”. Podobno.

Każdy ze stolików był z innej parafii, podobnie jak krzesła. Mieszanina stylów i kolorów, zaskakująca i dziwaczna, ale jej bardzo się podobała.

Na ścianach wisiały afisze. Afisze ze sztuk, w których grała, oraz tych, do których nie przeszła nawet przez pierwszy etap eliminacji. Była też jedna roślina, filodendron, który na parapecie każdego dnia dzielnie walczył o przetrwanie. Przed nim poległ już niejeden.

Jednak najcenniejszy był jaskraworóżowy neon z wypisanym ozdobnymi literami nazwiskiem. Przysłał go jej Trace, kiedy dostała pierwszą drugoplanową rolę na Broadwayu. Jej nazwisko na neonie. Maddy włączyła go i jak zwykle w takiej chwili, pomyślała o bracie. Jest gdzieś daleko, ale w ten sposób codziennie jej o sobie przypomina.

Uznając, że nie warto robić prawdziwych porządków, skoro za kilka dni i tak wszystko wróci do normy, uprzątnęła tylko rzeczy z dwóch krzeseł i pozbierała gazety oraz otwartą pocztę. Ważniejsze było upranie stroju do ćwiczeń.

Napełniła umywalkę ciepłą wodą, wsypała proszek i wrzuciła trykot i rajstopy, które przez cały dzień nosiła na próbie. Po chwili namysłu dodała też opaskę na włosy i getry. Z podwiniętymi do łokcia rękawami obszernej bluzy prała, płukała i wykręcała rzeczy, a potem rozwiesiła je na rozpiętej nad wanną suszarce.

Łazienka była niewiele większa od szafy. Kiedy się wyprostowała i odwróciła, w lustrze nad umywalką ujrzała swe odbicie. Lustra były nieodłączną częścią jej życia. Nieraz tańczyła przed nimi osiem godzin dziennie, obserwując, oceniając i zapamiętując każdy mięsień i każdy ruch swego ciała.

Teraz patrzyła na swoją twarz: niezła struktura kostna, niezłe rysy. To kombinacji lekko spiczastej brody, szeroko otwartych oczu i zaróżowionej cery zawdzięczała te straszne komplementy w rodzaju „przyjemna” i „naturalna”.

Szybkim ruchem otworzyła lustrzane drzwiczki i wyjęła z szafki dwie pełne garście kosmetyków. Kupowała je, trzymała i nawet chomikowała. To była niemal obsesja. I nie przeszkadzało jej wcale, że używa ich prawie wyłącznie w teatrze. Gdyby zapragnęła pobawić się własną twarzą, zawsze miała pod ręką niezbędne narzędzia.

Przez dziesięć minut eksperymentowała, nakładała, zmywała i znów nakładała kosmetyki, aż w końcu została jej na powiekach odrobina egzotycznego cienia i delikatne muśnięcie róży na policzkach. Wrzuciła wszystkie tubki i buteleczki z powrotem do szafki i szybko zamknęła drzwiczki, by nie wypadły.

Nagle przypomniała sobie o winie. Czy powinna je schłodzić? A może podać w temperaturze pokojowej, co w tym przypadku oznacza jakieś dwadzieścia stopni?

Widocznie podała mu zły adres. Reed miał dobrą pamięć. Już w dzieciństwie nauczono go, jak ważne jest pamiętanie nazwisk, twarzy, faktów i cyfr. Kiedy nauczycielem jest twój ojciec, a ty ojca uwielbiasz, szybko się uczysz. Bardziej dzięki praktyce niż wrodzonym zdolnościom, Reed potrafił zapamiętać trzy kolumny liczb i potem odtworzyć je z pamięci. Edwin Valentine nauczył syna, że mądry biznesmen zatrudnia najlepszych księgowych, a potem stara się umieć tyle samo co oni.

Nie zapomniał adresu ani go nie przekreślił, zaczynał jednak podejrzewać, że pomyliła się Maddy.

Okolica była nieciekawa i z każdym metrem coraz bardziej zapuszczona. Po drodze widział a to jakieś połamane krzesło na chodniku i kłócących się o nie ludzi, a to jakiegoś faceta w podkoszulce i gaciach, popijającego piwo pod latarnią.

Jak ona może tu mieszkać? I dlaczego? Maddy O'Hurley właśnie zakończyła roczną pracę w niezłym musicalu, za którą dostała nominację do nagrody Tony'ego. Przedtem przez rok grała główną rolę na zmianę z gwiazdą we wznowieniu „Pocałuj mnie, Kasiu”.

Wiedział o tym, bo tego wymagały jego interesy. I parkując przed domem, którego numer mu podała, wciąż tego nie pojmował. Kobieta, która wkrótce zagra trzecią ważną rolę na Broadwayu, na pewno stać na mieszkanie w lepszym miejscu.

Wysiadając z auta, zauważył stojącego pod latarnią młodego oberwańca, który przyglądał się kołpakom jego samochodu. Zaklął pod nosem i poszedł do niego. Ubrany był zwyczajnie, ale nawet bez krawata i marynarki wyglądał na zamożnego.

- Ile za popilnowanie? - spytał bez żenady. Chłopak zmienił pozycję i uśmiechnął się bezczelnie.

- Ładne ma pan kółka, nie ma co. Rzadko tu widzujemy takie bmw. Chyba zrobię mu zdjęcie.

- Rób sobie, ile chcesz, byleś niczego nie ruszał. - Reed wyjął z portfela dwadzieścia dolarów. - Powiedzmy, że wynająłem cię do pilnowania. Dostaniesz jeszcze dychę, jak auto będzie nietknięte. Za te kołpaki i tak byś więcej nie dostał, a tak pooddychasz sobie świeżym powietrzem.

Oberwaniec przez chwilę przyglądał się samochodowi i jego kierowcy. Wyraźnie oceniał swoje szanse. Gdyby dostrzegł strach w oczach Reeda, na pewno byłby bezczelniejszy. W końcu posłusznie przyjął dwudziestkę.

- Może być. Mam akurat trochę wolnego czasu. - Uśmiechnął się krzywo, ukazując złamany kiel, i schował pieniądze do kieszeni, zanim Reed wszedł do klatki.

Jej nazwisko widniało na skrzynce na listy w pomieszczeniu, które z wielkim trudem nazwać by można holem. Mieszkanie numer 405. A windy nie było. Kiedy wspinał się na górę, towarzyszyły mu głosy wrzeszczących dzieci, jazzu i kłócących się Gianellich. Zanim dotarł na drugie piętro, też zaczął kłać.

Gdy zapukał do drzwi, Maddy właśnie myła sałatę. Wiedziała, że Reed przyjdzie punktualnie, tak samo jak nie wątpiła, że w ogóle przyjdzie.

- Chwileczkę! - krzyknęła i rozejrzała się wokół w poszukiwaniu czegoś do wytarcia rąk.

Oczywiście niczego takiego nie znalazła, strzepnęła więc tylko wodę z dłoni i podeszła do drzwi, które otworzyła gwałtownym szarpnięciem.

- Cześć. Mam nadzieję, że nie jesteś głodny. Jeszcze nie jestem gotowa.

- Nie. Ja... - Reed spojrział przez ramię. - Na tej klatce... - zaczął.

Maddy wystawiła głowę przez drzwi i powąchała.

- Śmierdzi jak w stajni - dokończyła za niego. - Pewnie Guido znów coś pichci. No, wejdz.

Mógł się spodziewać, że jej mieszkanie tak właśnie będzie wyglądało, ale mimo to był zaskoczony. Spojrział na szokująco czerwone zasłony, na niebieski dywan, na krzesło jakby prosto ze średniowiecznego zamczyska. I nie mylił się - grało kiedyś w „Kamelocie”. Na białej ścianie palił się neon z jej nazwiskiem.

- Bardzo interesujące wewnątrz - mruknął.

- Mało tu bywam, ale całkiem mi się podoba. - Z góry dobiegły trzy głucho, silne uderzenia. - Studenci baletu Z góry - wyjaśniła. - Ćwiczą *tours jeté*. Napijesz się wina?

- Tak. - Reed znów niepewnie spojrział na sufit. - Chyba tak.

- Dobra. Ja też. - Maddy przeszła do kuchni, którą od salonu dzieliła tylko wyobraźnia.

- W którejś z szuflad powinien być korkociąg. Może otworzysz, a ja tu skończę?

Po chwili wahania Reed zaczął przeszukiwać szuflady. W pierwszej znalazł piłkę tenisową, kilka pojedynczych kluczy i zdjęć, ale nie korkociąg. Zastanawiając się, co tu w ogóle robi, przeglądał następną. Studenci na górze nadal trenowali.

- Jaki lubisz stek?

Z kłębka czarnego drutu Reed wyłuskał w końcu korkociąg.

- Co? A... średnio wysmażony.

- Dobra.

Gdy pochyliła się, by wyjąć z szafki patelnię, jej policzek prawie musnął jego kolano. Wyjął korek z butelki i odstawił wino na bok, żeby odetchnęło.

- Dlaczego zaprosiłaś mnie na kolację?

Nie prostując się, Maddy odwróciła głowę.

- Bez żadnego konkretnego powodu. W ogóle rzadko robię coś z jakiegoś powodu, ale jeśli tobie jest potrzebny, to powiedzmy, że z wdzięczności za szczotkę. - Trzymając patelnię w ręku, uśmiechała się do niego. - A poza tym jesteś bardzo przystojny.

- Dziękuję. - Wcale nie był tym rozbawiony.

- Nie ma za co. - Odgarnęła w twarzy kosmyk włosów, które już bardzo domagały się fryzjera. - A ty? Dlaczego przyszedłeś?

- Nie mam pojęcia.

- To brzmi interesująco. Nigdy dotąd nie sponsorowałeś żadnej sztuki, co?

- Nie.

- A ja nigdy nie gotowałam kolacji dla sponsora. Czyli remis. - Maddy odstawiła sałatę i zajęła się mięsem.

- Kieliszki?

- Kieliszki? - powtórzyła, potem spojrzała na wino. - A tak. W którejs z tych szafek.

Reed z rezygnacją podjął kolejne poszukiwania. Znalazł kilka filiżanek z odłamanymi uszkami, parę pojedynczych sztuk delikatnej porcelany i plastikowe talerze. A także osiem kieliszków, każdy z innego kompletu.

- Nie jesteś zwolenniczką jednorodności, co? - stwierdził nieco sarkastycznie.

- Nie za bardzo. - Maddy przyjęła od niego kieliszek i pociągnęła łyk.

Reed przyglądał jej się uważnie. Nadal miała na sobie za dużą bluzę i była boso. Pachniała czymś delikatnym i niewinnym.

- Jesteś zupełnie inna, niż się spodziewałem.

- A czego się spodziewałeś?

- Kogoś ostrzejszego. Trochę zblazowanego, trochę głodnego.

- Tancerze zawsze są głodni - odparła z lekkim uśmiechem i zaczęła trzeć ser do ziemniaków.

- Wpadły mi do głowy dwa powody, dla których mogłaś mnie tu zaprosić. Pierwszy, to żeby wysondować mnie w sprawie finansowania sztuki.

Maddy parsknęła śmiechem i włożyła do ust skrawek sera.

- Reed, ja mam na głowie osiem numerów tanecznych, może nawet dziesięć, jeśli Macke przeforsuje swój pomysł, a poza tym sześć piosenek i tekst, którego nawet dobrze nie przejrzałam. Sprawy pieniędzy zostawiam tobie i producentom. A drugi powód?

- Żeby mnie poderwać.

Zmarszczyła brwi, ale bardziej z ciekawości niż oburzenia. Reed wpatrywał się w nią chłodno i spokojnie, z lekkim tylko uśmiechem. Szkoda, że taki z niego cynik, pomyślała. Może ma powody. Szkoda tym bardziej.

- Kobiety często cię podrywają?

Spodziewał się, że będzie zakłopotana, zła albo przynajmniej się roześmieje. Ona jednak patrzyła na niego z zaciekawieniem.

- Wolałbym pominąć to milczeniem, dobrze?

- Oj, myślę, że próbują. - Szukała teraz widelca, żeby przewrócić stek na drugą stronę.

- I pewnie masz już tego dość. Ja nigdy z czymś takim nie miałam do czynienia. Mężczyźni zawsze uwodzili moją siostrę. - Maddy otworzyła piekarnik i wyjęła mięso.

- Tylko jeden?

- Co jeden?

- Jeden stek. Pieczesz tylko jeden.

- Wiem. Dla ciebie.

- Ty nie jesz?

- Owszem, ale w ogóle jadam mało czerwonego mięsa. - Maddy zatrasnęła drzwiczki piekarnika. - Źle wpływa na organizm. Pomyślałam, że wezmę parę kęsów od ciebie. Proszę. - Wręczyła mu miskę z sałatą. - Postaw to na tym małym stoliku przy oknie. Zaraz siadamy do kolacji.

Jedzenie było całkiem niezłe. Prawdę mówiąc, wyborne. Obserwując sposób, w jaki gotowała, nie spodziewał się niczego szczególnego. Surówka z kilku rodzajów sałat w pachnącym ziołami winegrecie. Ser i przyrumieniony bekon na gorących kartoflach i stek wysmażony tak jak lubił.

Maddy cały czas popijała pierwszy kieliszek. Zjadła odrobinę tego, co jemu wydawało się normalną porcją, i wyraźnie rozkoszowała się każdym kęsem.

- Weź jeszcze trochę mięsa - zaproponował, ale pokręciła głową. Nałożyła sobie jednak drugą miseczkę sałaty. - Wydawało mi się, że ktoś, kto tak ciężko pracuje, rekompensuje sobie straty energii.

- Tancerze powinni mieć lekką niedowagę. Chodzi głównie o to, żeby jeść odpowiednie rzeczy. I to jest właśnie najgorsze. - Uśmiechnęła się i wzięła do ust parę listków

sałaty. - To, co odpowiednie, też lubię, ale dlaczego miałabym jeść wyłącznie potrawy zalecane? Ja po prostu lubię jedzenie, kropka. Od czasu do czasu pozwalam sobie na parę tysięcy kalorii, ale zawsze wmawiam sobie wtedy, że jest jakieś święto.

- Święto?

- No, na przykład, że po trzech dniach deszczu wyszło słońce. To znakomita okazja, żeby ją uczcić ciasteczkami w czekoladzie. - Napęłniła swój kieliszek do połowy, jemu wlała cały. Dopiero wtedy zauważyła jego zdziwienie. - Nie lubisz ciasteczek w czekoladzie?

- Nigdy nie wydawały mi się czymś szczególnie wykwintnym.

- Bo nigdy nie wiodłeś nienormalnego życia.

- Uważasz swoje życie za nienormalne?

- Ja nie, ale wiele osób tak. - Maddy podparła się na łokciach. Jedzenie, częsty obiekt jej marzeń, przy ciekawej rozmowie zawsze schodziło na drugi plan. - A jakie jest twoje życie?

Za oknem szybko zapadał zmrok. Już tylko resztki dziennego światła rozświetlały jej włosy. W jej oczach, na ogół szczerych i otwartych, pojawiła się czujność kota.

- Nie wiem, co ci powiedzieć.

- No, trochę sama się domyślam. Masz duże mieszkanie, zapewne z widokiem na park. - Nie spuszczać z niego wzroku, grzebała widelcem w sałacie. - Chińskie wazy, figurki z dreźnieńskiej porcelany, coś w tym guście. Spędzasz więcej czasu w biurze niż w domu. Sumienny w pracy, oddany firmie, jak każdy rekin finansowy w drugim pokoleniu. Gdybyś mógł, chętnie zaglądałbyś częściej do muzeum, czasem obejrzał jakiś film. Lubisz też ciche, francuskie restauracyjki.

Nie wyśmiewała się z niego. Co do tego nie miał wątpliwości. Była tylko rozbawiona. A jego zezłościły nie jej słowa, lecz to, że trafiła w sedno.

- Co za inteligentna analiza.

- Przepraszam - powiedziała z taką szczerością, że nie potrafił się dłużej na nią gniewać. - Mam taki brzydki zwyczaj oceniania, szufladkowania ludzi. Sama byłabym wściekła, gdyby ktoś tak potraktował mnie. - Przerwała i przygryzła wargę. - Zgadłam?

- Mniej więcej.

Odrzuciła włosy do tyłu i roześmiała się. Siedziała teraz w pozycji kwiatu lotosu.

- Czy mogę spytać, czemu postanowiłeś sponsorować sztukę o striptizerce?

- Czy mogę spytać, czemu grasz w sztuce o striptizerce?

Popatrzyła na niego z dumą, jak nauczycielka, której uczeń udzielił szczególnie wnikliwej odpowiedzi.

- To znakomita sztuka. Żeby to zobaczyć, trzeba przeczytać samo libretto, bez piosenek i tańca. Muzyka podkreśla treść, ale nawet bez niej to bardzo interesująca opowieść. Podoba mi się, jak Mary się rozwija, nie zmieniając się wewnętrznie. Musi być twarda, żeby przetrwać, i bardzo się stara. Chce więcej i zdobywa to, bo na to zasługuje. Wszystko zaczyna się komplikować, bo naprawdę zakochuje się w tym facecie. On jest zamożny, ale nie to jest dla niej najważniejsze. Ona naprawdę traci dla niego głowę. Pieniądze już się nie liczą, pozycja się nie liczy, ale to wszystko i tak jej się dostaje. Lubię to libretto.

- I żyli długo i szczęśliwie.

- Nie wierzysz w szczęśliwe zakończenia?

- W sztukach, tak.

- Mogłabym ci opowiedzieć o mojej siostrze.

- O tej, za którą uganiają się faceci?

- Nie, o drugiej. Masz ochotę na eklera? Kupiłam tylko jednego, dla ciebie, więc jeśli będziesz jadł, zaproponujesz mi kawałek. A ja z grzeczności nie będę mogła odmówić.

Cholera, ta kobieta z każdą minutą staje się bardziej pociągająca. Nie jest w jego typie, a poza tym za szybka.

- Chętnie zjem eklera - rzekł z uśmiechem. Maddy na moment zniknęła w kuchni i wróciła z ogromnym, oblanym czekoladą ciastkiem.

- Moja siostra Abby - zaczęła - wyszła za Chucka Rockwella, tego kierowcę wyścigowego. Słyszałeś o nim?

- Tak. - Nigdy nie był wielbicieleм wyścigów samochodowych, ale nazwisko obilo mu się o uszy. - Zginął parę lat temu.

- Ich małżeństwo się nie układało. Abby miała bardzo ciężkie życie. Potem samotnie wychowywała dwoje dzieci na farmie w Wirginii. Finansowo cienko przedła, uczuciowo była wypalona. Parę miesięcy temu zgodziła się autoryzować biografię Rockwella. Jej autor przyjechał na farmę chyba po to, żeby Abby zniszczyć. Zaproponujesz mi kawałek?

Reed posłusznie odkroił widelcem kawałek ciastka i włożył jej prosto do ust. Przez długą chwilę trzymała go na języku, z wyrazem zachwyty w oczach.

- No więc co przydarzyło się twojej siostrze?

- Sześć tygodni temu wyszła za tego pisarza. - Jej twarz rozświetliła się tak samo jak różowy neon. - A więc sam widzisz, że szczęśliwe zakończenia zdarzają się nie tylko w sztukach.

- Skąd ta pewność, że drugie małżeństwo twojej siostry akurat się uda?

- Bo znalazła odpowiedniego mężczyznę. - Maddy pochyliła się ku niemu i spojrzała mu prosto w oczy. - Moje siostry i ja jesteśmy trojaczkami. Znamy siebie na wylot. Kiedy Abby wychodziła za Chucka, bardzo jej współczułam. W głębi serca wiedziałam, że robi błąd, że nic z tego nie będzie, bo znam ją tak dobrze jak samą siebie. Kiedy wychodziła za Dylana, moje uczucia były inne. Tak jakbym odetchnęła z ulgą.

- Mówisz o Dylanie Crosbym?

- Tak. Znasz go?

- Zrobił książkę o Richardzie Baileyu. Richard miał kontrakt z Valentine Records przez dwadzieścia lat. Poznałem Dylana całkiem dobrze, kiedy zbierał materiały.

- Jaki ten świat mały.

- Racja. - Na dworze zapadał zmrok, niebo zrobiło się purpurowe, lecz Maddy nie zapaliła świateł. Studenci baletu dawno przestali hałasować. Gdzieś za ścianą płakało dziecko. - Dlaczego mieszkasz akurat tutaj?

- Tutaj? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem. - A czemu nie?

- Podejrzane typy na ulicach, wrzeszczący sąsiedzi...

- No i?

- Mogłabyś mieszkać w lepszym miejscu.

- Po co? Znam tę dzielnicę jak własną kieszeń. Mieszkam tu od siedmiu lat. Jest blisko Broadwayu. Pewnie połowa mieszkańców tego domu to tacy sami cyganie jak ja.

- Wcale by mnie to nie zdziwiło.

- Nie dosłownie. - Nerwowo bawiła się liściem stojącego na oknie filodendrona. - Mam na myśli tryb życia. No wiesz, dzisiaj tu, jutro tam. Ciągłe z nadzieją na sukces. Mnie się poszczęściło, ale to nie znaczy, że przestałam być cyganką. - Sama nie wiedziała, czemu tak jej zależy, żeby ją zrozumiał. - Nie możesz zmienić tego, czym lub raczej kim jesteś, Reed. A w każdym razie nie powinienes.

W to akurat zawsze wierzył. Syn Edwina Valentine'a, jednego z rekinów rynku płytowego, był dzieckiem sukcesu. Jak sama powiedziała, cały oddał się firmie, bo zawsze stanowiła część jego życia. Był niecierpliwy, często bezwzględny. Czemu więc siedzi teraz w jakimś mrocznym mieszkaniu z kobietą o kocich oczach i szelmowskim uśmiechu? I dlaczego tak bardzo pragnie tam zostać do świtu?

- Co tak męczysz tę roślinę? - mruknął.

- Sama nie wiem. Zawsze tak robię. - Ze zdziwieniem stwierdziła, że musi przełknąć ślinę. To dlatego, że Reed tak na nią patrzy, że mówi takim tonem, i że siedzi tak jak siedzi.

Twarze często oceniała błędnie, ale ciało zawsze mówiło jej prawdę. Reed był spięty, ona też.

- Ciągłe kupuję nowe kwiaty i wszystkie niszczę.

- Za dużo słońca. - Wbrew sobie, musnął palcami wierzch jej dłoni. - I za dużo wody. Nadmiar miłości jest równie groźny jak niedobór.

- Nie wpadło mi to do głowy. - Myślała o dreszczu, jaki przeszył jej ciało od ręki po kręgosłup. - Twoje rośliny pewnie kwitną pod właściwą opieką. - Ciekawe, czy kobiety też? Ponieważ jej ciało nie reagowało tak, jak by chciała, szybko podniosła się z krzesła. - Kawy nie mam, ale mogę zrobić herbatę.

- Nie, dzięki, muszę już iść. - Skłaniał, nie miał żadnych spotkań ani pilnych spraw. Nie był jednak samobójcą i zawsze wiedział, kiedy należy się wycofać. - Dziękuję za kolację, Maddy. I za miłe towarzystwo.

- Było mi bardzo przyjemnie. - Maddy odetchnęła z wyraźną ulgą. - Musimy to kiedyś powtórzyć.

Zrobiła to pod wpływem impulsu. Jak zwykle. Po prostu przyjaznym gestem położyła mu rękę na ramionach i musnęła wargami jego usta. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, a wstrząsnęło nimi jak huragan. A potem wpatrywali się w siebie szeroko otwartymi oczami, równie zdziwieni.

- Cieszę się, że przyszedłeś - szepnęła Maddy, która oprzytomniała pierwsza.

- Ja też. - Wiedział, że musi iść, i to natychmiast. Mówił mu to jego instynkt samozachowawczy. - Dobranoc, Maddy.

- Dobranoc.

A kiedy zamknęły się za nim drzwi, długo jeszcze stała nieruchomo, wsłuchując się w szepty swojego ciała. Lepiej się zastanów. Długo i poważnie, zanim będzie za późno...

ROZDZIAŁ TRZECI

W sali baletowej odbywały się ćwiczenia przy drażku. *Plié, tendu, attitude...* Tancerze posłusznie stosowali się do zaleceń instruktora. Maddy czuła, jak jej mięśnie się rozgrzewają. Rozmarzonymi oczami patrzyła na kierującego próbą nauczyciela.

Poranna lekcja przypominała ciału, że jest zdolne do wykonania figur pozornie niemożliwych, w dodatku ciągle może je powtarzać.

Maddy nie musiała koncentrować się całkowicie. Jej ciało było tak zdyscyplinowane, że w czasie rozgrzewki reagowało wręcz instynktownie. Jej myśli błądziły na tyle daleko, by mogła marzyć, na tyle blisko, by słyszeć komendy.

Grand plié. Zastanawiała się, czy Reed już pracuje w swym gabinecie, choć jest zaledwie dziewiąta. Podejrzewała, że zjawia się w pracy jeszcze przed sekretarką. Czy choć przez chwilę pomyślał o wczorajszym wieczorze?

Battement fondu. Pewnie nie. Ma tyle różnych zajęć i spotkań, że nie ma czasu, by oglądać się za siebie.

Obrót. Stop. Wytrzymać. Nie musi myśleć o niej już teraz. Może później, w domu, przy drinku, jego myśli powędrują ku niej. Przyjemnie było coś takiego sobie wyobrażać.

Jej szary trykot był mokry od potu, kiedy przeszła na środek sali, by te same figury ćwiczyć bez drażka. Na sygnał przybrała pozycję numer pięć i pracowała dalej.

Raz, dwa, trzy, cztery. Dwa, dwa, trzy, cztery.

Na dworze padało. Kiedy rano szła na lekcję, powietrze było ciepłe, ciężkie i wilgotne. Miała nadzieję, że ten ciepły deszcz nie przestanie padać, zanim znów wyjdzie na ulicę.

W dzieciństwie rzadko miała okazję spacerować w deszczu. Nie, niczego nie żałowała, choć ona i jej rodzina więcej czasu spędzali w salach prób i na dworcach niż w parkach i na placach zabaw. Z rodzicami nigdy i nigdzie nie było nudno. Wymyślali różne gry, zabawy i zagadki. Dużo też opowiadali. Historie z życia, a brzmiały jak bajki. Kiedy Bóg obdarza człowieka irlandzkimi rodzicami o fantastycznej wyobraźni, wszystko jest możliwe.

Tak wiele się od nich nauczyła. Choć do prawdziwej szkoły chodziła mało i rzadko, geografię miała w małym palcu. Uczyła jej się w trasie, patrząc. Lepiej było samemu zobaczyć Missisipi, niż o niej przeczytać. Angielski, gramatykę i literaturę poznawała z ulubionych książek rodziców. Od praktycznej znajomości matematyki zależało być albo nie

być. Jej edukacja była równie niekonwencjonalna jak rozrywki, ale uważała się za całkiem dobrze wykształconą.

Dawniej nie tęskniła za parkami czy placami zabaw. Teraz jednak, jako dorosła kobieta, korzystała z każdej okazji, by pospacerować w ciepłym, letnim deszczu.

Reed pewnie nie widziałaby w takim spacerze niczego przyjemnego. Pewnie nawet nie wpadłoby mu to do głowy. Ich światy były bardzo od siebie odległe - decydowały o tym urodzenie, wybory, upodobania. Wysunąć stopę, cofnąć, wysunąć. Powtórzyć. On na pewno jest logiczny, rozsądny, czasem może trochę bezzwzględny. Bez tego sukces w interesach jest niemożliwy. Nikt nie uznałby za logiczną takiej forsownej gimnastyki. I to dzień w dzień. Nikt nie uznałby za rozsądne oddania się całą duszą i ciałem teatrowi, narażania się na kaprysy publiczności. A jeśli Maddy bywała bezzwzględna, to tylko wobec własnego ciała, żądając od niego dokonywania rzeczy niemożliwych.

Czemu więc nie może przestać myśleć o Reedzie? Ciągle przypominała sobie, jak zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie na jego włosy, jak patrzyły na nią jego oczy - cynicznie i z zaciekawieniem. Czy to nie ironia losu, że optymistkę tak ciągnie do cynika? Oczywiście że tak. Ale przecież robiła już w swym życiu głupsze rzeczy.

Raz się tylko pocałowali. Właściwie nawet trudno nazwać to pocałunkiem. Reed nawet jej nie objął, jego usta nie przywarły namiętnie do jej warg. A mimo to wciąż od nowa przeżywała tę krótką chwilę. Coś jej mówiło, że i na nim zrobiło to wrażenie. A jej... jej na samo wspomnienie tej chwili robiło się jeszcze goręcej, a serce biło jeszcze szybciej. A przecież przy tak wyczerpujących ćwiczeniach wydawałoby się to niemożliwe.

To niewiarygodne, co samo wspomnienie może zrobić z człowiekiem.

Maddy wciągnęła na siebie jasnożółty kombinezon i zaczęła wycierać mokre włosy. W łazience unosił się zapach wody kolońskiej i talku. W kącie siedziała naga do pasa kobieta i masowała łydkę.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za to, że powiedziałaś mi o tych lekcjach. - Wanda, w dżinsach i swetrze przylegających do jej ciała jak druga skóra, związała włosy w nieporządnym węzle. - Są intensywniejsze niż te, które brałam dotąd. I pięć dolarów tańsze.

- Madame ma miękkie serce. - Maddy pochyliła się i zaczęła suszyć włosy.

- Nie każdy o twojej pozycji podzieliłby się taką wiadomością.

- No wiesz, Wanda...

- W naszym świecie solidarność to rzadka cecha. Grasz główne role i nie mów, że nie czujesz na karku oddechu nowicjuszek.

- Po prostu coraz ciężiej pracuję. - Maddy, zniecierpliwiona, zrezygnowała z suszenia włosów. - Gdzie kupiłaś te kolczyki?

Wanda potrząsnęła głową i wielkie, czerwone koła zamigotały w słabym świetle łazienki.

- W takim jednym butik w Village. Za pięć siedemdziesiąt pięć.

Maddy wstała i przyjrzała im się dokładniej. Wyobraziła je sobie w swoich uszach.

- Były też niebieskie?

- Pewnie tak. Lubisz agresywne kolory, co?

- Uwielbiam.

- Mogę ci je oddać za tę twoją bluzę z wymalowanymi oczami.

- Chętnie. Przyniosę ją jutro na próbę.

- Wyglądasz na szczęśliwą.

Maddy uśmiechnęła się i wspięła na palce, przysuwając ucho do ucha Wandy.

- Bo jestem.

- Z powodu mężczyzny?

Maddy przyglądała się w lustrze swojej twarzy. Nie było na niej cienia makijażu, tryskała zdrowiem. Usta pełne, kształtne, naturalnie różowe. Szkoda tylko, że w odróżnieniu od Chantel, rzęsy ma jasne i krótkie.

- Z powodu mężczyzny. Tak, poznałam kogoś.

- To od razu widać. Przystojny?

- Cudownie przystojny. Ma niesamowite szare oczy. I tutaj dołeczek. - Maddy dotknęła brody.

- A ciało? Powiedz coś o ciele.

Maddy wybuchnęła dźwięcznym śmiechem i zarzuciła Wandzie rękę na ramiona. Jak łatwo czasem z kimś się zaprzyjaźnić, pomyślała.

- Silny, szczupły. Chyba nieźle umięśniony.

- Chyba?

- Nie widziałam go nagiego.

- Jak to?

- Zjedliśmy tylko razem kolację. - Maddy była przyzwyczajona do szczerych rozmów o sprawach seksu. - Miałam wrażenie, że go zainteresowałam, ale traktował mnie tak trochę z dystansem.

- No to musisz coś zrobić, żeby zainteresował się tobą bez dystansu. To tancerz, tak?

- Nie.

- To dobrze. - Wanda jeszcze raz potrząsnęła kolczykami, potem zaczęła je zdejmować. - Tancerze nie są dobrymi mężami. Wiem coś na ten temat.

- Wiesz, ja wcale nie zamierzam za niego wychodzić... - zaczęła i nagle otworzyła szeroko oczy. - Byłaś żoną tancerza?

- Pięć lat temu. Statystowaliśmy razem w "Pippin". W dniu premiery wzięliśmy ślub. - Podała Maddy pierwszy kolczyk. - Problem polegał na tym, że kiedy sztuka zesła z afisza, mój mąż zapomniał, że obrączka na moim palcu ma jakikolwiek związek z nim.

- Współczuję ci, Wando.

- Dostałam nauczkę. Nigdy nie wiąż się formalnie z gładko mówiącym przystojniakiem. Chyba że jest nadziany - dodała. - Ten twój jest?

- Mój? A, tak. Chyba tak.

- No to nie ma co czekać. Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, zostanie ci coś na otarcie łez.

- Nie wierzę, że jesteś aż tak cyniczna. - Maddy poklepała Wandę po ramieniu. - Cierpiałaś?

- Można tak to nazwać. - Wanda po raz pierwszy tak szczerze z kimś o tym rozmawiała. - Ale nauczyłam się, że aby małżeństwo się udało, obie strony muszą przestrzegać pewnych zasad. Masz ochotę na śniadanie?

- Nie, nie mogę jeść. - Maddy spojrzała na ławkę, na której stał jej biedny filodendron. - Muszę coś komuś dostarczyć.

- Mówisz o tym kwiatku? - Wanda uśmiechnęła się kpiąco. - No tak, zasługuje na ładny pogrzeb.

- Zasługuje na odpowiednią opiekę - poprawiła ją Maddy.

Nie przestawał o niej myśleć. Nie był przyzwyczajony do tego, by cokolwiek zakłócało mu ustalony porządek dnia, a już zwłaszcza jakaś ekscentryczna kobieta, która zawiesiła sobie w mieszkaniu neon. Nie mają ze sobą nic wspólnego. Powtarzał to sobie wielokrotnie poprzedniego wieczoru, gdy nie mógł zasnąć. Nie ma w niej niczego pociągającego - *jeśli* pominąć oczy o barwie bursztynu. Lub śmiech, który pojawiał się nie wiadomo skąd i potem przez całe godziny rozbrzmiewał echem w twojej głowie.

Wolał kobiety o klasycznych gustach i wytwornych manierach. Znajome, które wybierał, nie pojawiłyby się dzielnicy Maddy nawet z uzbrojoną strażą, nie mówiąc o kupieniu tam mieszkania. Na pewno nie podjadałyby mięsa z jego talerza. Kobiety, z którymi się spotykał, chodziły do teatru, a nie grały w nim. I na pewno nie dopuściłyby do tego, by mężczyzna oglądał ich spocone ciało.

Dlaczego więc po kilku krótkich spotkaniach z Maddy O'Hurley zaczynał myśleć, że kobiety, z którymi się umawiał, to straszne nudziary? Znów spojrzał na leżące przed nim kolumny cyfr. Nigdy nie spotykał się z żadną kobietą tylko z powodu jej urody. Zawsze szukał inteligentnej rozmowy, wspólnych zainteresowań, poczucia humoru, dobrego stylu. Chętnie rozmawiał przy kolacji o wystawie impresjonistów czy przy kieliszku koniaku o warunkach pogodowych w St. Moritz.

Unikał zawsze znajomości z kobietami ze świata rozrywki. Szanował je, podziwiał, ale trzymał się od nich z daleka. Jako szef Valentine Records nieustannie miał do czynienia z piosenkarzami, muzykami, agentami. Jego firma nigdy nie była tylko biznesem. Była to instytucja, która dostarczała najlepszy towar w dziedzinie muzyki od Bacha po rock, i dbała o artystów, z którymi podpisywała umowy.

Reed od dziecka spotykał się z muzykami. Wydawało mu się, że rozumie ich potrzeby, ich ambicje, zna ich słabe strony. W wolnym czasie wolał towarzystwo osób mniej skomplikowanych, mniej energicznych. Sam był wystarczająco ambitny. Wytwórnia Valentine Records była najlepsza i taka miała pozostać. Zamierzał tego dopilnować. Nie tylko z powodu ojca, ale także dla samego siebie. Jeśli, jak często się zdarzało, musiał dziesięć godzin dziennie pracować z ludźmi rozrywki, wieczorami potrzebował od nich odpoczynku.

Nie potrafił jednak przestać myśleć o Maddy.

Co nią kieruje? Reed odsunął papiery i wyjrzał przez okno. Deszcz przesłonił wszystko mglistą szarością. Maddy nie chowała się przed światem za obronną tarczą, tak typową dla ludzi jej zawodu. Jest w drodze na szczyt, ale nie czuje się tym onieśmielona. Czyżby naprawdę była taka normalna, zwyczajna i nieskomplikowana, jaką się wydaje?

I dlaczego tak go to interesuje?

Zjadł z nią kolację - jedną krótką, prostą kolację. Odbyli ciekawą, trochę prywatną rozmowę. Wymienili krótki, przyjacielski pocałunek - który oszołomił go.

No dobrze, spodobała mu się. Nie potrafi przejść obojętnie obok ładnej twarzy czy zgrabnego ciała. To normalne, że zainteresowała go jej dziwna filozofia i bezceremonialny sposób bycia. Chce się z nią znów zobaczyć i nie ma w tym niczego złego. W dodatku to bardzo proste. Wystarczy podnieść słuchawkę i zadzwonić. Zjedzą znów razem kolację. .. tym razem na jego warunkach. Po tym wieczorze na pewno będzie wiedział, co go w niej tak pociąga.

Słyszac dźwięk otwieranych drzwi, Reed poczuł irytację, ale kiedy w progu zobaczył ojca, uśmiechnął się serdecznie.

- Za mokro na golfa, co?

- W taką pogodę nasze pole przypomina jezioro.

- Edwin Valentine szybkim, sprężystym krokiem przeszedł przez pokój i opadł na fotel. - Zresztą od czasu do czasu tęsknię za tym miejscem. Chodzą słuchy, że podkupiłeś Libby Barlow od Galioway Records. Zgadza się? Ostrożny jak zwykle, Reed lekko skinął głową.

- Chyba tak.

Teraz z kolei Edwin kiwnął głową. Ten gabinet przez dwadzieścia lat należał do niego, jednak na widok zajmującego jego miejsce syna nie czuł ani odrobiny żalu czy zazdrości. Całe życie na to pracował.

- Jest naprawdę niezła. Cieszyłbym się, gdyby Dorsey wyprodukował dla nas jej pierwszy album.

Na wargach Reeda pojawił się lekki uśmiech. Instykt ojca był, jak zawsze, nieomylny.

- Bierzemy to pod uwagę. Nadal uważam, że powinieneś mieć tu swój gabinet. - Gestem uniesionej dłoni powstrzymał protest ojca. - Nie namawiam cię wcale do bywania tu codziennie w pełnym wymiarze godzin.

- Nigdy w życiu nie pracowałem w określonych godzinach. Dobrze o tym wiesz.

- Oj wiem, wiem. Ja tylko myślę, że Valentine Records przydałby się Edwin Valentine.

- Mają ciebie, - Edwin złożył ręce i popatrzył na syna. Spojrzenie to było dużo bardziej wymowne niż słowa. - Nie wątpię, że od czasu do czasu rada starego człowieka może ci się przydać, ale to ty jesteś tu teraz szefem. I nieźle sobie radzisz.

- Jakże mógłbym cię zawieść!

Czułość w tonie syna nie uszła uwagi Edwina.

- Wiem o tym, Reed. Nie muszę ci mówić, że ze wszystkich rzeczy, jakich w życiu dokonałem, najbardziej dumny jestem z ciebie.

- Tato... - W jego głosie zabrzmiała teraz czułość, wdzięczność i miłość.

Przerwało mu wejście sekretarki, która przyniosła kawę i słodkie bułeczki.

- Hanno, jak zawsze wyglądasz znakomicie.

- Pan też. Chyba nawet zrzucił pan ze dwa kilogramy.

Przyrządziła mu kawę tak jak lubił. Była w firmie od dwunastu lat i chyba tylko ona z całego personelu mogła sobie pozwolić na takie żarty wobec szefów.

- Ach, ty czarownico. Przytyłem trzy. - Mimo to Edwin położył sobie na talerzyku dwie bułeczki.

- Wcale tego nie widać. O jedenastej trzydzieści ma pan spotkanie z Mackenzie z działu sprzedaży. Chce pan, żebym je przesunęła? - zwróciła się do Reeda.

- Nie z mojego powodu - rzucił Edwin.

Reed spojrział na zegarek i stwierdził, że ma jeszcze trzydzieści pięć minut.

- Przyjmę go o jedenastej trzydzieści, Hanno. Dziękuję.

- Co za kobieta! - rzekł z pełnymi ustami Edwin, kiedy zostali sami. - Dobrze zrobiłeś, zatrzymując ją.

- Valentine Records nie dałoby sobie bez niej rady. - Reed popatrzył na zalane deszczem okno, myśląc o innej kobiecie.

- O czym dumasz, synu?

- Co? - Wracając do rzeczywistości, Reed pociągnął łyk kawy. - Finanse wyglądają całkiem nieźle. Pod koniec roku będziesz zadowolony.

Edwin nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Reed był produktem jego serca i umysłu. Czasem tylko żałował, że jest do niego podobny aż za bardzo.

- Coś mi się zdaje, że nie o liczbach myślisz. Reed postanowił odpowiedzieć na to pytanie.

Szczerze, choć nie do końca.

- Myślę o sztuce, którą sponsorujemy.

- Czyżby o moim przeczuciu?

- Nie. - Teraz mógł już mówić zupełnie szczerze. - Odbyłem kilka spotkań z producentem i reżyserem. Byłem nawet na kilku próbach. Uważam, że sztuka odniesie wielki sukces. Muzyka, co przecież w naszym przypadku jest najważniejsze, jest wspaniała. Pracujemy teraz nad promocją albumu.

- . Jeśli nie masz nic przeciw temu, chętnie trochę bym się w to włączył.

- Wiesz, że nie musisz pytać.

- Muszę - poprawił go Edwin. - To ty tu rządzisz, Reed. Moja rezygnacja nie była tylko formalnością. Po prostu tak się akurat składa, że to przedsięwzięcie to moje ukochane dziecko. Jestem nim osobiście zainteresowany.

- Nigdy nie powiedziałaś mi dlaczego. Edwin uśmiechnął się i oderwał kawałek drugiej bułeczki.

- To dawna historia. Czy poznałeś już Maddy O'Hurley?

Reed ściągnął brwi. Czyżby ojciec aż tak dobrze go znał?

- Prawdę mówiąc... - Kiedy na jego biurku zadzwonił interkom, wcale go to nie zezłościło. Wprost przeciwnie. Wręcz się ucieszył, że zyskał trochę czasu. - Tak, Hanno?

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszła tu jedna pani. - Hanna może była i surowa, ale patrząc na stojącą przed nią przemokniętą dziewczynę, nie mogła się nie uśmiechnąć. - Mówi, że przyniosła coś dla pana.

- Weź to od niej, dobrze?

- Ta pani chce dać to panu osobiście. Ma na imię... uhm... Maddy.

- Maddy? - A on już chciał odmówić! - Dobrze, wprowadź ją.

Ociekająca deszczem, z torbą i zdychającą rośliną w ręku, Maddy weszła do gabinetu.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Reed. Po prostu zastanowiłam się i postanowiłam ci go przynieść, zanim go wykończę. Zawsze bardzo cierpię, kiedy znika mi kolejny rododendron, i pomyślałam sobie, że może ty mi tego oszczędzisz.

Na widok wstającego Edwina przerwała.

- Dzień dobry. - Uśmiechnęła się do niego, próbując ignorować leżące na tacy bułeczki. - Wiem, że przeszkadzam, ale to naprawdę sprawa życia i śmierci. - Postawiła mokrą doniczkę na nieskazitelnym blacie biurka. - Tylko mi nie mów, jeśli zginie, dobrze? Ale jeśli przeżyje, daj mi znać. Dzięki - zakończyła i ruszyła z powrotem w stronę drzwi.

- Maddy... - Kiedy w końcu zamilkła, Reed wykorzystał szansę. - Poznaj mojego ojca. Edwin Valentine. Maddy O'Hurley.

- Witam. - Maddy już wyciągała do niego rękę, szybko jednak schowała ją za plecami. - Jestem cała mokra - wyjaśniła. - Miło mi pana poznać.

- Ja też się cieszę. Proszę usiąść.

- Nie, nie mogę. Jestem przemoczona.

- Dobrej skórze odrobina wilgoci nie zaszkodzi.

- Zanim zdążyła zaprotestować, Edwin ujął ją pod ramię i poprowadził do jednego z szerokich foteli.

- Podziwiałem panią na scenie.

- Dziękuję. - Wcale nie czuła się zmieszana, choć siedziała tuż obok jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w kraju. Podobała jej się jego szeroka, rumiana twarz, choć nie widziała w nim żadnego podobieństwa do syna.

- Napijesz się kawy, Maddy? - spytał Reed. Nie, Reed nie jest podobny do ojca.

- Przestałam pić kawę. Ale gdybyś miał herbatę z miodem, to chętnie.

- Może się pani poczęstuje bułeczką - zaproponował Edwin, widząc jej głodny wzrok.

- Nie będę miała czasu na lunch - przyznała chętnie. - Trochę cukru dobrze mi zrobi. - Skoro już grzeszyć, to na całego, pomyślała i wybrała bułkę najgrubiej polukrowaną. - Wszyscy się zastanawialiśmy, czy przyjdzie pan na próbę.

- Myślałem o tym. Właśnie rozmawialiśmy o waszej sztuce. Reed jest przekonany, że odniesie sukces. A pani co o tym sądzi?

- Nie chcę zapeszyć. Najpierw musimy wystąpić z nią w Filadelfii. - Ugryzła pierwszy kęs i od razu poczuła przypływ nowych sił. - Ale te numery taneczne są bombowe. Dziś po południu mamy następną próbę. Musi się udać, bo ja bynajmniej nie zamierzam wracać do kelnerowania.

- Ufam pani osądowi. - Edwin poklepał ją po ramieniu. - Kto jak kto, ale O'Hurleyówna na pewno umie tańczyć. Co do tego nie mam wątpliwości. Znałem pani rodziców - wyjaśnił, widząc jej zdziwioną minę.

- Naprawdę? - Była tak zaskoczona, że zupełnie zapomniała o bułeczce. - Nie przypominam sobie, żeby któreś z nich o panu wspominało.

- To stara historia. Dopiero wtedy zaczynałem, polowałem na pierwsze talenty, szukałem pieniędzy. Poznałem pani rodziców właśnie tu, w Nowym Jorku. Cienko przedłem, a oni pozwolili mi spać na leżance u siebie. Nigdy im tego nie zapomnę.

Maddy zlustrowała elegancki gabinet.

- Ale w końcu się panu udało, nie można powiedzieć.

Edwin zaśmiał się i podsunął jej talerz z bułeczkami.

- Zawsze chciałem im się zrewanżować. To było dobre dwadzieścia pięć lat temu. Pani i pani siostry byłyście jeszcze w becikach. Pomagałem nawet pani mamie zmieniać wam pieluchy.

- Trudno nas było rozróżnić, prawda?

- Miałyście brata - przypomniał sobie Edwin. - Prawdziwy pistolet.

- I taki jest do dziś.

- Śpiewał jak anioł. Powiedziałem pani ojcu, że kiedy stanę na nogi, natychmiast podpiszę z nim kontrakt. Ale zanim do tego doszło i zanim odnalazłem pani rodzinę, chłopak już zniknął.

- Ku nieutulonemu żalowi taty.

- Pani i siostry stworzyłyście grupę.

- Trio Sióstr O'Hurley. - Maddy nigdy nie wiedziała, czy śmiać się z tego, czy płakać.

- Zamierzałem zaproponować wam kontrakt. Mniej więcej w tym czasie pani siostra Abby wyszła za mąż.

Kontrakt na płytę? W dodatku z Valentine Records!

- Czy tata o tym wiedział?

- Rozmawialiśmy.

- O mój Boże! Pewnie był załamany, że taka okazja przeszła mu koło nosa, ale nie puścił pary z ust. Chantel i ja po ślubie Abby skończyłyśmy jeszcze turę, a potem ona pojechała na zachód, a ja na wschód. Biedny tatuś.

- I bez tego ma powody, aby być z was dumny.

- Bardzo jest pan miły. Czy właśnie w rewanżu za tamtą noc sponsoruje pan tę sztukę?

- W rewanżu, który przyniesie mojej firmie mnóstwo pieniędzy. Chętnie znów bym zobaczył pani rodziców.

- Sprawdzę, co się da zrobić.

Maddy wstała, bo za chwilę zaczynała się próba.

- Przepraszam, że ci przeszkodziłam, Reed.

- Nie przepraszaj. - Reed wstał, nie spuszczać z niej wzroku. - Dowiedziałem się tylu ciekawych rzeczy.

Jakże idealnie pasował do tego miejsca, za tym ogromnym biurkiem, w otoczeniu starych obrazów i skórzanych foteli.

- Już raz zgodziliśmy się, że świat jest mały.

Włosy opadły jej na plecy. Przedziwne czerwone kolczyki zatańczyły w uszach. Jaskrawożółte ogrodniczki i niebieska koszulka były jedynymi kolorowymi plamami w ten ponury, deszczowy dzień.

- A, owszem.

- Weźmiesz tę roślinę, co?

Reed kątem oka spojrzął na filodendron. Wyglądał rzeczywiście żałośnie.

- Zrobię, co będę mógł, ale niczego nie obiecuję.

- To dobrze. Nie lubię obietnic. Trzeba ich dotrzymywać. - Wiedziała, że powinna już wyjść, ale jakoś nie mogła się na to zdobyć. - Dokładnie tak sobie wyobrażałam twój gabinet. Zorganizowana elegancja. Pasuje do ciebie. Dzięki za herbatę.

Chciał jej dotknąć, i bardzo go to zaskoczyło.

- Zawsze miło cię widzieć.

- A w piątek?

- Co w piątek?

- Mam wolne. Po próbie. Mogłabym się z tobą spotkać.

Omam nie pokręcił głową. Nie miał pojęcia, czy ma jakieś spotkanie. Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć kobiecie, która nie ma żadnych zamówień. I nie miał pojęcia, dlaczego sprawia mu to taką przyjemność.

- Gdzie?

- W Rockefeller Center. O siódmej. Spóźnię się. - Maddy odwróciła się i wyciągnęła rękę do Edwina. - Bardzo mi było miło. - I po prostu pocałowała go w policzek. - Do widzenia.

- Do widzenia, Maddy.

Dopiero gdy zamknęły się za nią drzwi, Edwin Valentine spojrzał na syna. Nieczęsto widział go tak zagubionego.

- Uważaj, synku... - Edwin uśmiechnął się domyślnie i wziął ostatnią bułeczkę. - Jeśli przytrafi ci się taka kobieta, to albo uciekaj, albo szalej razem z nią...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Reed zastanawiał się, czy Maddy czymś go nie zauroczyła. Nie wygląda co prawda jak czarownica, ale byłoby to najbardziej racjonalne wyjaśnienie faktu, że w duszny piątkowy wieczór snuje się pod Rockefeller Center. Już dawno powinien być w domu, zjeść spokojną kolację i zabrać się za papiery wypychające mu teczkę.

Wzdłuż Piątej Alei ciągnął się długi sznur samochodów. Ci szczęściarze, którzy byli posiadaczami domów letniskowych, kierowali się za miasto z nadzieją, że do poniedziałku upał nieco zelżeje. Mężczyźni idący chodnikami mieli rozluźnione krawaty, rozpięte pod szyją koszule. Zachowywali się jak nomadowie w poszukiwaniu oazy - czyli jakiegoś pomieszczenia z klimatyzacją, gdzie serwuje się zimne napoje.

Reed bez szczególnego zainteresowania przypatrywał się grupce dzieci pochodzących z biednych przedmieść, oferujących długie, czerwone goździki po dolarze sztuka. Cena była uczciwa, ale jakoś żadne nie podeszło do niego. Nie wyglądał ani na hojnego, ani na naiwnego.

I choć czasem do jego uszu dobiegały urywki rozmów mijających go ludzi, w ogóle go to nie obchodziło. Zbyt był zajęty własnymi myślami.

Dlaczego zgodził się na to spotkanie? Odpowiedź była aż nadto prosta. Chciał ją zobaczyć. To już wiedział. Wzbudziła jego... ciekawość. Tak to określił, z braku lepszego słowa. Kobieta taka jak ona zaciekałaby każdego. Odniosła sukces, ale obojętne jej były związane z nim przywileje. Była ładna, lecz nie wykorzystywała tego faktu. Jej spojrzenie było szczere i uczciwe. Tak, Maddy O'Hurley może wzbudzić ciekawość.

Czemu więc nie był w stanie zebrać myśli i zaproponować jakiegoś miejsca bardziej... no, powiedzmy, odpowiedniego?

Kiedy mijala go grupka rozbawionych nastolatków, odsunął się na bok. Jedna z nich spojrzała na niego z zainteresowaniem, powiedziała coś szeptem do koleżanek i wszystkie parsknęły śmiechem. Po chwili zniknęły w tłumie.

Stojący na rogu sprzedawca lodów robił znakomity interes na urzędnikach, którym nie udało się w ten weekend uciec z miasta. Sprzedawca lizaków cieszył się dużo mniejszym powodzeniem. Nawet człowiek oferujący bilety na wieczorne przedstawienie w Radio City spotkał się z zainteresowaniem tylko jednej starszej pary. Przecznice dalej rozległa się syrena. Nikt nawet nie spojrzał w tamtą stronę.

Reed poczuł spływający mu po plecach strumyczek potu. Spojrzał na zegarek. Była siódma dwadzieścia.

Kiedy w końcu ją ujrzał, jego cierpliwość była już na wyczerpaniu. Dlaczego wyglądała tak inaczej od dziesiątków mijających ją ludzi? Jej włosy i strój rzucały się w oczy, ale wielu innych ubrało się jeszcze bardziej krzykliwie. Szła ze swobodną gracją, ale nie powoli. Ona niczego nie robiła powoli. Emanowała jednak od niej jakaś beztroska. Reed wiedział, że gdyby rozejrzał się dokoła, w ciągu pięciu minut znalazłby pięć kobiet ładniejszych od niej. A jednak jego wzrok biegł do niej. Podobnie jak myśli.

Na jego widok przyspieszyła kroku.

- Przepraszam za spóźnienie. Spodziewałam się, że będziesz w garniturze, więc po próbie pojechałam jeszcze do domu, żeby się przebrać. - Spojrzała na niego z pełnym satysfakcji uśmiechem. - I nie myliłam się.

Ogrodniczki zmieniła na sukienkę w cygańskich barwach, przy której stroje wszystkich innych wydawały się szare.

- Mogłaś wziąć taksówkę - mruknął pod nosem.

- Jakoś wciąż się nie mogę do tego przyzwyczaić. Ale zobaczysz, jak szybko umiem chodzić. Zaraz to nadrobimy. - Wzięła go pod ramię tak swobodnym gestem, że nawet nie wpadło mu do głowy, by się obruszyć. - Założę się, że po tym czekaniu umierasz z głodu. Bo ja tak, choć wcale nie czekałam. Tu zaraz za rogiem mają znakomitą pizzę...

- Ja stawiam - przerwał jej, prowadząc ją przez tłum. - I zjemy coś lepszego.

Szybkość, z jaką złapał taksówkę, zaimponowała nawet jej, i nie zaprotestowała, kiedy podał kierowcy jakiś modny adres w pobliżu Park Avenue.

- Nawet chętnie zjem dla odmiany coś innego - stwierdziła, jak zwykle otwarta na niespodzianki.

- A wiesz, podobał mi się twój ojciec.

- Zapewniam cię, że z wzajemnością.

Nawet nie mrugnęła okiem, gdy taksówka utknęła w korku i kierowca mrucał pod nosem jakieś przekleństwa, chyba po arabsku.

- Jakie to dziwne, że znał moich rodziców. Tata chętnie wtrąca do rozmowy popularne nazwiska, nawet jeśli wcale nie zna tej osoby. Ale o twoim ojcu nie wspomniał nigdy.

Reed ciekaw był, czy jej zapach pozostanie w dusznej taksówce jeszcze długo po ich wyjściu.

- Może zapomniał.

- Nie ma mowy - oznajmiła. - Poznał kiedyś kuzynkę żony człowieka, którego brat statystował w „Deszczowej piosence”. Nigdy tego nie zapomniał. Dziwi mnie jednak, że twój ojciec pamięta coś tak zwyczajnego jak jakaś jedna noc na hotelowej kozetce.

Reedowi też wydawało się to dość niezwykle. Edwin spotyka setki ludzi. Czemu tak dokładnie pamięta parę wędrownych tancerzy, którzy raz udzielili mu schronienia?

- Może zrobili na nim wrażenie? - pomyślał na głos.

- Tak, to na pewno dlatego. Są wyjątkowi - dodała, akurat gdy taksówka zajęła przed francuską restauracją. - Rzadko bywam w tej okolicy.

- Dlaczego?

- Zasadniczo wszystko, czego potrzebuję, mam w pobliżu. - Gdyby Reed nie ujął jej za rękę i nie pociągnął za sobą, wysiadłaby z drugiej strony, prosto na jezdnię. - Na randki mało mam czasu, a jeśli już, to umawiam się z mężczyznami, których znajomość francuskiego ogranicza się do nazw kroków baletowych. Przepraszam, to chyba nie była szczególnie elegancka uwaga - dodała, kiedy otwierał przed nią drzwi.

- Rzeczywiście, ale elegancja chyba nigdy cię szczególnie nie interesowała.

Wnętrze, w jakim się znaleźli, było chłodne, subtelnie pachnące i pastelowe.

- Później się zastanowię, czy to była zniewaga, czy komplement - zdecydowała. - Nie chcę, żeby cokolwiek zepsuło mi kolację.

- Witam pana, panie Valentine.

- Dzień dobry, Jean Paul. - Reed skinął głową kierownikowi sali. - Nie zarezerwowałem stolika, ale mam nadzieję, że coś dla nas znajdziesz.

- Dla pana zawsze. - Jean Paul obrzucił Maddy szybkim, taksującym spojrzeniem. Nie była w typie kobiet pasujących do pana Valentine, ale bardzo ładna. - Proszę za mną.

Maddy była ciekawa, jakie przedstawienie restaurator przed nimi odstawi. Nie wątpiła, że Reed na to właśnie Uczy. Ta knajpa była bardzo w jego stylu. Dostojna, elegancka, niemal klasyczna. Pastelowe tapety w kwiaty, przyćmione światło, dyskretny zapach. Ale na tym właśnie polega urok Nowego Jorku. Podrzędne speluny i wytworne lokale tuż obok siebie.

- Szampan, proszę pana?

- Maddy? - Reed wziął do ręki kartę win, ale decyzję zostawił jej.

- Nielatwo odmówić takiej propozycji. - Kiedy uśmiechnęła się do kelnera, zdobyła u niego kolejne punkty.

- Dziękuję, Jean Paul. - Reed oddał kartę, bo nie miał problemu z wyborem odpowiedniego trunku.

- Ładnie tu - stwierdziła Maddy, rozejrzawszy się uważnie dokoła. - Nie spodziewałam się czegoś takiego.

- A czego się spodziewałaś?

- Właśnie dlatego lubię się z tobą spotykać. Nigdy nie wiem, czego mogę się spodziewać. Zastanawiałam się, czy zajrzysz jeszcze na próbę.

Nie chciał się przyznać, że miał na to ochotę i że musiał się zmuszać, by nie zrobić czegoś, co wykracza poza jego służbowe zainteresowania.

- Chyba nie, bo przecież i tak nie wniosę do waszej sztuki niczego konstruktywnego. Nas interesują tylko wyniki finansowe.

Maddy spojrzała na niego poważnie.

- Rozumiem. - W zamyśleniu rysowała palcem po obrusie jakieś skomplikowane wzory. - Wytwórni Valentine zależy, żeby sztuka odniosła sukces, bo tylko wtedy zwróci się wam inwestycja. A kasowa sztuka oznacza sprzedaż większej liczby płyt.

- To oczywiste. Ale wydaje nam się, że sztuka jest w dobrych rękach.

- No to chyba powinno mnie uspokoić - stwierdziła bez entuzjazmu.

Kiedy zjawił się kelner z szampanem, przyglądała się z zainteresowaniem ciekawemu rytuałowi: mężczyzna szybkim ruchem zademonstrował etykietę, fachowo otworzył butelkę, nalał odrobinę do kieliszka Reeda, ten skinął głową.

- Chyba powinniśmy wypić za Filadelfię - powiedziała, kiedy bursztynowy płyn znalazł się w jej kieliszku.

- Za Filadelfię?

- Tam gramy po raz pierwszy. Powodzenie w Filadelfii to dobra wróżba na przyszłość.

- Lekko stuknęła kieliszkiem o jego kieliszek i pociągnęła łyk szampana. Alkohol, podobnie jak jedzenie, spożywała w ograniczonych ilościach. Ale cieszyła się każdą jego kroplą. - Przepyszny. Ostami raz piłam szampana na przyjęciu wydanym na moją cześć, kiedy opuszczałam „Park Suzanny”, ale nawet się nie umywał do tego.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Co takiego?

- Dlaczego zrezygnowałaś z tamtej roli? Wypiła następny łyk i zastanawiała się nad odpowiedzią. Jak ładnie wygląda szampan w migoczącym świetle świecy. Jaka szkoda, że tak niewielu ludzi to zauważa.

- Dałam w tej sztuce z siebie wszystko, i od niej też wzięłam wszystko, co tylko mogłam. Czuję, że stoję w miejscu. A moje nogi nie cierpią bezruchu, Reed.

- Nie zależy ci na poczuciu bezpieczeństwa?

- Tak już ułożyło mi się życie.

Reed znał takie nie mogące sobie znaleźć miejsca kobiety, które nieustannie dokądś przenoszą się, nigdy i nigdzie nie znajdując satysfakcji.

- A może po prostu szybko się nudzisz?

Coś w tonie jego głosu wzbudziło jej czujność. Nie potrafiła mu jednak odpowiedzieć inaczej niż szczerze.

- Ja się nigdy nie nudzę. No bo jak? Na świecie jest tyle ciekawych rzeczy.

- A więc to nie z powodu utraty zainteresowania?

Czuła, że Reed poddaje ją jakiemuś testowi.

- Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żebyś kiedyś straciła coś zainteresowanie. Nie, nieprawda. Raz zobaczyłam w sklepie bawelnianą poduszkę w łąty. Ogromną i bardzo drogą. Zwariowałam na jej punkcie, więc w końcu ją kupiłam, przyniosłam do domu... i stwierdziłam, że jest okropna. Ale nie o to ci chodzi, prawda?

- Nie. - Reed przyglądał jej się znad kieliszka.

- To chyba kwestia punktu widzenia. Ty pewnie zbudowałaś sobie własny styl i sposób życia i ludzie już się do tego przyzwyczaili. Jeśli o mnie chodzi, to moje życie układają i kształtują głównie inni. Na szczęście trochę mam do powiedzenia. Niewiele, ale jednak. To dla mnie bardzo ważne. O pewnych sprawach decyduję sama i tu właśnie jest miejsce na zmiany, na rozwój. Powinieneś to zrozumieć, bo chyba często masz do czynienia z ludźmi ze świata rozrywki.

- Owszem.

- Bawią cię?

- Czasami - przyznał. - Czasami też denerwują, ale to nie znaczy, że ich nie podziwiam.

- Choć wiesz, że wszyscy są trochę zakręcenii. Teraz uśmiechały się nie tylko jego usta.

- Zgadza się.

- Lubię cię, Reed. - Położyła mu rękę na dłoni. - Szkoda, że nie masz więcej złudzeń.

Nie spytał, co ma na myśli. Nie był pewien, czy chce to wiedzieć. Przerwali rozmowę, kiedy zjawił się kelner z kartą i specjalną ofertą przedstawioną po francusku.

- No i jest problem - mruknęła pod nosem Maddy, kiedy znów zostali sami.

- Nie lubisz francuskiej kuchni?

- Nie żartuj! Uwielbiam ją. Uwielbiam kuchnię włoską, ormiańską, hinduską i tak dalej. "Właśnie na tym polega problem.

- Proponowałaś pizzę - przypomniał. - Jakoś nie mogę uwierzyć, że liczysz kalorie.

- Zamierzałam zjeść tylko jeden kawałek, a resztę tylko powąchać. - Maddy przygryzła wargi. Z ochotą zjadłaby wszystko, co jest w karcie. Bez wyjątku. I nawet poprosiła o dokładkę. - Mam dwie rzeczy do wyboru. Albo zamówię tylko sałatę i będę cierpieć, albo powiem sobie, że dziś święto i pójde na całość.

- Mogę polecić steki z łososia.

- Naprawdę?

- Tak.

- Reed, jestem dorosła i z natury niezależna. Jednak jeśli chodzi o jedzenie, często zachowuję się jak dwunastolatka w cukierni. Oddaję się w twoje ręce. - Zamknęła kartę i odłożyła ją na bok. - Chyba rozumiesz, że jeśli nie chcę się toczyć jak beczułka po scenie, mogę tak jeść tylko raz czy dwa w roku.

- Jasne. - Postanowił z powodu, którego wolał nie analizować, zaoferować jej ucztę życia.

Nie rozczarowała go. Jej nieukrywany podziw i uznanie dla wszystkiego, co przed nią postawiono, był dla niego nowy i... bardzo pociągający. Jadła wolno, rozkoszując się każdym kęsem. Już dawno zapomniał, że można tak jeść. Spróbowała wszystkiego, ale niczego nie zjadła do końca, jakby cały czas trzymała apetyt na wodzy. Brała do ust kęs ryby i zamykała oczy. Trzymała go na języku, potem przelżykała powoli, jakby chciała, by ta przyjemność nigdy się nie skończyła.

- Och, ale pycha. Spróbuj.

Chcąc podzielić się z nim swą przyjemnością, wyciągnęła ku niemu widelec. Ku własnemu zdumieniu Reed aż zeszywniał. Był podniecony, patrząc na nią, ale dopiero teraz odkrył, że chciałby rozkoszować się nią samą tak, jak ona rozkoszuje się jedzeniem. Otworzył usta i pozwolił, by go nakarmiła. Przelżykając, spojrział jej w oczy i zobaczył, że wie, co się z nim dzieje. I że bardzo jest tym zaciekawiona.

- Znakomite.

- Tancerze strasznie dużo myślą o jedzeniu. Pewnie dlatego, że widzimy, jak wiele przyjemności nas omija.

- Mówiłaś kiedyś, że tancerze są zawsze głodni. Nie miał teraz na myśli jedzenia. Zobaczyła to w jego oczach. By zyskać na czasie, uniosła kieliszek i upiła łyk.

- Takiego dokonujemy wyboru, zazwyczaj już w dzieciństwie. Rezygnujemy z meczów, telewizji, imprez, i zamiast tego chodzimy na lekcje. I tak już zostaje.

- Jak wiele jesteś gotowa poświęcić?

- Ile trzeba.

- Warto?

- Tak. - Czuła się teraz dużo swobodniej, zdobyła się więc na uśmiech. - Zawsze. Nawet kiedy bywa trudno.

Reed odchylił się do tyłu, jakby chciał zwiększyć między nimi dystans. Wyczuła to i zastanawiała się, czy też czuje to istniejące między nimi napięcie.

- Czym jest dla ciebie sukces?

- Kiedy miałam szesnaście lat, sukcesem był Broadway. - Rozejrzała się po cichej restauracji i westchnęła. - W pewien sposób pozostaje tak do dziś.

- No to osiągnęłaś sukces.

Nie rozumiał jej, ale wcale się tego nie spodziewała.

- Czuję, że odniosłam sukces, bo wmawiam sobie, że ta sztuka będzie rewelacją. Nawet nie dopuszczam do siebie myśli, że mogłaby być klapą.

- No to masz klapki na oczach.

- Ależ nie. Różowe okulary, owszem, ale nigdy klapki. A ty jesteś realistą, i to mi się w tobie podoba. Może dlatego, że tak bardzo się różnimy. Ja lubię udawać.

- Interesów nie można opierać na iluzjach.

- A życie osobiste?

- Też nie.

- Dlaczego?

- Bo tylko wtedy wszystko ci się ułoży, jeśli potrafisz odróżnić realne od nierealnego.

- Ja wolę myśleć, że człowiek sam może sprawić, aby to, czego chce, stało się realnym.

- Valentine!

Przy stoliku stanął wysoki, szczupły mężczyzna w brzoskwiniowej marynarce z krawatem koloru melona.

- Selby, jak się masz.

- W porządku, dzięki. - Mężczyzna spojrzął na Maddy. - Przepraszam, czy my się znamy?

- Nie. - Maddy typowym dla siebie, przyjaznym gestem wyciągnęła do niego rękę.

- Maddy O'Hurley. Allen Selby.

- Maddy O'Hurley? - Selby przerwał Reedowi i mocno uściskał rękę Maddy. - Bardzo mi przyjemnie. Widziałem „Park Suzanny” aż dwa razy.

Nie spodobał się jej jego uścisk, ale zawsze miała do siebie pretensje o to, że zbyt szybko ocenia ludzi.

- No to i mnie bardzo przyjemnie.

- Słyszałem, że Valentine wchodzi na Broadway, Reed.

- No popatrz, jaki ten świat mały. Wszyscy wszystko o wszystkim wiedzą. - Reed znów nappełnił kieliszek Maddy. - Allen jest szefem Galloway Records - wyjaśnił.

- Przyjazna konkurencja - zapewnił ją Allen Selby, ale czuła, że przy pierwszej okazji podciąłby Reedowi gardło. Oczywiście wyłącznie w sensie zawodowym. - Zastanawiałaś się kiedyś nad solowym albumem, Maddy?

Przez chwilę bawiła się kieliszkiem.

- Niełatwo przyznać się do czegoś takiego producentowi płyt, ale głos nigdy nie był moją mocną stroną.

- Jeśli Reedowi nie uda się przekonać cię, że jest inaczej, przyjdź do mnie. - Mówiąc to, Allen położył rękę na ramieniu Reeda. Nie, nie podobają mi się te ręce, pomyślała znowu. Zauważyła zimne spojrzenie Reeda, który jednak opanował się i tylko wziął do ręki kieliszek. - Chętnie wypiłbym z wami chociaż kawę - mówił dalej Allen Selby, ignorując fakt, że nikt go nie zapraszał - ale jestem umówiony na kolację z klientem. Pozdrów przy okazji swojego staruszka, Reed. Pomyśl o tym albumie, Maddy. - Na pożegnanie mrugnął do nich porozumiewawczo.

Maddy odczekała chwilę, potem wypła resztę szampana.

- Czy wszyscy producenci płyt ubierają się jak sałatka owocowa?

Reed najpierw popatrzył na nią uważnie, ale kiedy zobaczył w jej oczach tylko szczerą ciekawość, wybuchnął śmiechem.

- Selby jest wyjątkowy.

- Ty też. - Szczęśliwa, że udało jej się go rozbawić, Maddy znów ujęła go za rękę.

- Czy to miał być komplement, czy obelga?

- Zdecydowanie komplement. Nie lubisz go. Powiedziała to tak po prostu, że nie próbował się wykręcać.

- Jesteśmy rywalami w interesach.

- Nie to miałam na myśli. Nie lubisz jego. Jako człowieka.

Zainteresowało go to, bo cieszył się opinią umiejącego ukrywać uczucia.

- Czemu tak myślisz?

- Bo twoje spojrzenie nagle zlodowaciało. - Zadrżała, wspominając jego wzrok. - Nie chciałabym, żeby ktoś tak na mnie patrzył. No dobrze, nie chcesz plotkować i złości cię jego obecność, więc może stąd pójdziemy?

Na dworze nie było już tak gorąco, ruch też osłabł. Maddy ujęła Reeda pod ramię i z radością wdychała ostre powietrze.

- Możemy się trochę przejść? Jest za ładnie, żeby od razu wsiadać do taksówki.

Ruszyli wolno przed siebie, mijając wystawy i zamknięte sklepy.

- Wiesz co? Selby miał rację. Z dobrym materiałem chyba naprawdę zrobiłabyś niezły album.

Maddy wzruszyła ramionami. Nie marzyła o płycie, choć tak całkiem tego pomysłu nie wykluczała.

- Może kiedyś, ale wydaje mi się, że póki co Barbra Streisand może spać spokojnie. Uwielbiam patrzeć na gwiazdy - szepnęła, spoglądając w niebo. - W takie noce zawsze zazdroszczę Abby jej farmy na wsi.

- Siedzenia na wsi nie da się pogodzić z występami.

- Właśnie. Wciąż jednak planuję, że któregoś dnia zrobię sobie wspaniałe wakacje. Rejs po Karaibach, gdzie steward przynosi ci mrożoną herbatę, a ty patrzysz na księżyc unoszący się nad wodą. Albo chatka gdzieś w lesie, na przykład w Oregonie, gdzie rano leżysz w łóżku i słuchasz budzących się ptaków. Problem tylko w tym, czy zdążyłabym na lekcję tańca? - Maddy zaśmiała się do siebie i mocniej ścisnęła go za ramię. - A ty co robisz w wolnym czasie, Reed?

Od dwóch lat nie wyjeżdżał dłużej niż na weekend. Dwa lata temu przejął Valentine Records.

- Mamy dom w St. Thomas. Można tam siedzieć na tarasie i zapomnieć, że w ogóle gdzieś jest jakiś Manhattan.

- To pewnie jeden z tych wspaniałych biało - różowych domków z ogrodem pełnym kwiatów, jakie widuje się na filmach. Ale na pewno macie tam telefon. Ktoś taki jak ty raczej nie zrywa łączności ze światem.

- Wszystko ma swoją cenę.

Pamiętała o tym aż za dobrze za każdym razem, kiedy kładła rękę na drążku.

- O, popatrz. - Maddy przystanąła przy wystawie i patrzyła na jasnoblękitny peniuar spływający kaskadą do stóp manekina. - To Chantel.

Reed spojrział na pozbawiony twarzy manekin.

- Chantel?

- Ten peniuar. Zupełnie taki jak ona. Chłodny i seksowny. Jest stworzona, żeby nosić takie rzeczy. - Maddy zaśmiała się i cofnęła o krok, by zobaczyć nazwę sklepu. - Muszę jej go kupić. Za dwa miesiące są nasze urodziny.

- Chantel O'Hurley. - Reed pokręcił głową. - To dziwne, że nie przyszło mi to do głowy. To twoja siostra.

- Wcale nie dziwne. Z wyglądu wcale nie jesteśmy podobne.

Chłodna i seksowna, powtórzył w duchu Reed. Chantel, symbol Hollywoodu. Kobieta u jego boku na pewno nie jest chłodna, a jej zmysłowość nie jest powierzchownie błyskotliwa, lecz bardzo namacalna. I to w bardzo niebezpieczny sposób.

- To chyba dziwne uczucie być jedną z trojaczek.

- Trudno mi powiedzieć, bo zawsze nią byłam. - Znow ruszyli chodnikiem. - Ale to coś wyjątkowego. Tak naprawdę nigdy nie jesteś sam. Przypuszczam, że właśnie dzięki temu miałam dość odwagi, żeby ruszyć do Nowego Jorku i postawić wszystko na jedną kartę. Zawsze miałam przy sobie Chantel i Abby, nawet jeśli dzieliły nas setki kilometrów.

- Tęsknisz za nimi, co?

- O tak. Czasami strasznie mi ich brakuje, tak jak mamy i taty, i Trace'a. Byliśmy sobie tak bliscy. Pracowaliśmy razem, bawiliśmy się i krzyczeliśmy na siebie.

Widząc jego zdziwione spojrzenie, parsknęła śmiechem.

- To nic dziwnego. Każdy czasem musi na kogoś pokrzyczeć. Kiedy Trace wyjechał, z początku czułam się tak, jakby odcięto mi rękę. Tata właściwie nigdy się po tym nie podniósł. Później wyjechała Abby, po niej Chantel, no i ja. Nigdy się nie zastanawiałam, jak trudne to musiało być dla rodziców, bo wiedziałam, że przecież mają siebie. A ty? Pewnie jesteś blisko ze swymi rodzicami?

Reed zamknął się w sobie. Poczula, że zeszywniał.

- Mam tylko ojca.

- Przepraszam. - Maddy nigdy naumyślnie nie rozdrapywała niezabliźnionych ran, ale jej wrodzona ciekawość czasem zwyciężała. - Nigdy nie straciłam nikogo bliskiego, ale wyobrażam sobie, jakie to musi być ciężkie.

- Moja matka nie umarła. - Reed nie lubił współczucia.

W jej głowie kłębiły się dziesiątki pytań, ale nie zadała żadnego.

- Twój ojciec jest wspaniałym człowiekiem. Od razu to zauważyłam. Ma takie dobre oczy. Zawsze to uwielbiałam u własnego ojca, ten sposób, w jaki jego oczy mówiły „Ufaj mi”, a ty wiedziałeś, że to prawda. Moja mama z nim uciekła, wiesz? Wydawało mi się to takie romantyczne. Miała siedemnaście lat, a już od dawna występowała w klubach. Nagle

zjawił się mój ojciec i obiecał jej gwiazdkę z nieba. Pewnie mu nie uwierzyła, ale poszła za nim. Kiedy byłyśmy małe, razem z siostrami też wyobrażałyśmy sobie, że pewnego dnia ktoś nam zaproponuje taką gwiazdkę.

- Tego właśnie pragniesz?

- Gwiazdki? Oczywiście! - Znów się roześmiała. - I jeszcze księżyc. Mogę nawet wziąć tego mężczyznę.

- Każdego, który ci je da?

- Nie. Nie da. Zaoferuje. - Jej serce biło coraz szybciej.

- Jakiegoś marzyciela. - Reed wsunął palce w jej włosy i poczuł ich jedwabistą miękkość. - Podobnego do ciebie.

- Jeśli nie marzysz, to nie żyjesz. Twarz Reeda była teraz bardzo blisko.

- Ja przestałem marzyć dawno, i wciąż żyję.

Jego wargi musnęły jej usta, tak lekko jak poprzednim razem. Maddy położyła mu rękę na piersi, ale nie dlatego, by zachować między nimi dystans. Przeciwnie - chciała, by pozostał blisko.

- A czemu przestałeś?

- Wolę rzeczywistość.

Tym razem, gdy jego wargi spoczęły na jej ustach, nie było w nich już wahania. Wziął to, czego pragnął od wielu dni. Jej wargi były ciepłe i miękkie. Położyła mu rękę na karku i przyciągnęła bliżej. Pomyślała, że jego smak to władza i bezwzględność. Choć wiedziała, że powinna uciekać, nie posłuchała głosu instynktu. Pozostała w jego objęciach.

On wiedział to samo. Od ich pierwszego spotkania. A mimo to z każdym krokiem się do niej zbliżał. Wiedział, że ani on nie jest dla niej, ani ona dla niego, że to wszystko skończyć się może tylko katastrofą, że między nimi nie będzie miejsca na przelotny romans, lecz tylko na coś dużo poważniejszego.

Czuł to w jej pocałunku, słyszał w jej cichych westchnieniach, mówiło mu to jej ciało.

A mimo to pragnął jej tak, jak niczego i nikogo dotąd.

Odsunął się i... znów ją pocałował.

Taka kobieta może mężczyznę zniszczyć. Od dziecka całe jego życie zbudowane było na przekonaniu, że nigdy nie pozwoli, by jakakolwiek kobieta stała się dla niego na tyle ważna, by mogła go zranić. A Maddy nie jest żadnym wyjątkiem.

Gdy odsunął ją w końcu od siebie, jej nogi były jak z waty. Nie skomentowała tego żadną dowcipną uwagą, nie uśmiechnęła się. Popatrzyła mu tylko w oczy i dostrzegła w nich już nie namiętność ani pożądanie, lecz złość. I tego nie pojmowała.

- Odwiozę cię do domu - rzekł.

- Za chwilę.

Chciała złapać oddech, znów poczuć pod stopami twardą ziemię. Kiedy ją puścił, niepewnym krokiem podeszła do latarni i oparła dłoń o jej solidną, metalową powierzchnię. Światło padało tylko na nią, on pozostał w cieniu.

- Czuję, że jesteś zły o to, co się stało. Milczał. Jego oczy były zimne i twarde jak kamień. Zrobiło jej się go żal, siebie przy okazji też.

- A ja niczego nie żałuję, więc czuję się jak idiotka. - Łzy przychodziły jej równie łatwo jak śmiech, ale tym razem nie pozwoliła jej na to duma, którą odziedziczyła po rodzicach. - Zaraz sobie pójdę.

- Powiedziałem, że cię odwiozę. Odzyskała siłę i pewność siebie. Sprawił to jego chłodny, rozkazujący ton.

- Jestem dużą dziewczynką, Reed. Od dawna sama za siebie odpowiadam. Cześć.

Podeszła do rogu i uniosła rękę. Los się nad nią zlitował i natychmiast zesłał wolną taksówkę. Wskoczyła do niej, nie oglądając się za siebie.

Reed zaczekał, aż zniknie bezpiecznie w aucie, a kiedy odjechała, stał przez chwilę samotnie na chodniku. Przekonywał sam siebie, że zrobił to dla ich własnego dobra. I mimo że wciąż pamiętał, jak krucho i delikatnie Maddy wyglądała w świetle tej latarni, powtórzył to sobie parokrotnie.

W końcu, pogrążony w myślach, powlókł się do domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Maddy stanęła po lewej stronie sceny tuż obok Wandy. Na sali nie siedziała jeszcze publiczność, lecz teatr bynajmniej nie był pusty. Tancerze stali w różnych miejscach sceny, a Macke ustawił się twarzą do nich, gotów do wyłapania wszystkich potknięć. Oprócz nich obecni byli też inspicjent, operator światła, ich asystenci, bardzo zdenerwowany kompozytor, kilku techników oraz ten, który to wszystko złoży w całość - reżyser.

- Wiesz co? - zaczęła mówić swój tekst Wanda, grająca rolę Maureen Core, drugiej striptizerki. - Ten facet jest jak marzenie. Wpakujesz się w niezłą kabałę.

- Dla mnie to chyba jest wyjście - odparła Maddy i przeszła do miejsca, gdzie w czasie prawdziwego przedstawienia miał być bar. Nalała sobie niewidzialnego drinka i uśmiechnęła się do koleżanki. - To bilet, po który przez całe życie stałam w kolejce.

- Bierz wszystko w brylantach. - Wanda podeszła do niej i pogładziła ją po nadgarstku, jakby cieszyła się zmysłowym dotykiem bransolety z diamentami. - I schowaj je natychmiast w jakiejś miłej, ciemnej szafie pancерnej, bo jeśli on się dowie, kim jesteś, zniknie, zanim zdążysz...

- Nie dowie się - przerwała jej Maddy. - Nigdy się tego nie dowie. Myślisz, że taki elegant jak on kiedykolwiek znajdzie się w takiej spelunie? - Obrzuciła scenę pogardliwym wzrokiem. - Mówię ci, Maureen, to moja szansa. Po raz pierwszy w życiu mam szansę.

Akompaniator zaintonował melodię, lecz w głowie Maddy była pustka.

- Maddy! ~ warknął reżyser, z natury nie grzeszący cierpliwością.

Maddy ostro zaklęła pod nosem. Na takie komentarze pozwalała sobie jedynie w odniesieniu do siebie, i tylko na scenie.

- Przepraszam, Don.

- Grasz na pół gwizdka, Maddy. Masz dawać z siebie wszystko i jeszcze trochę.

- Jasne. - Potarła zeszywniały kark. - Ale daj mi jeszcze minutkę, dobrze?

- Pięć - warknął ponownie, lecz tak ostro, że tancerze najpierw zeszywnieli, a dopiero potem się rozeszli.

Maddy zeszła ze sceny i przysiadła na pudle w kulisie.

- Masz kłopoty? - Wanda dołączyła do niej. Rozejrzała się wokół tak niechętnym wzrokiem, że nikomu nie wpadło nawet do głowy, by do nich podejść.

- Zawsze jestem wściekła, kiedy coś popsuję.

- Z zasady nie wtrącam się w czyjeś sprawy, ale...

- Zawsze jest jakieś ale.

- Od tygodnia jesteś podminowana.

Nie mogła temu zaprzeczyć, nawet nie próbowała. Wsparła się tylko ręką pod brodę.

- Dlaczego mężczyźni to takie palanty? Wanda zastanawiała się przez chwilę.

- Z tego samego powodu, dla którego niebo jest niebieskie, myszko. Tak już mają.

W innej sytuacji pewnie by się nawet roześmiała, teraz jednak tylko ponuro skinęła głową.

- Podejrzewam, że rozsądniej byłoby zostawić ich w spokoju.

- Dużo rozsądniej - zgodziła się Wanda. - Mniej zabawnie, ale rozsądniej. Jakieś problemy z twoim facetem?

- To nie jest mój facet. - Maddy westchnęła i spojrzała na czubek swego buta. - Ale rzeczywiście sprawia mi problemy. Co można zrobić z facetem, który całuje cię tak, jakby nie miał zamiaru nasycić się tobą przez co najmniej dwadzieścia lat, a potem cię odpycha, jakbyś w ogóle nie istniała?

- No cóż, możesz o nim zapomnieć. Albo dać mu jeszcze jedną szansę. Niech całuje tak długo, aż wpadnie.

- Nie chcę nikogo łąpać w sidła - mruknęła Maddy.

- Ale sama już w nie wpadłaś. - Wanda masowała spięte mięśnie łydki. - Widać to gołym okiem.

- Wiem. - Była smutna i zrezygnowana, chyba pierwszy raz w życiu. - Najgorsze jest to, że on też o tym wie, ale nie chce mieć z tym nic wspólnego.

- Przede wszystkim powinnaś się zastanowić, czego ty chcesz. Jego?

- Być może. - Maddy wzruszyła ramionami.

- No to spróbuj skorzystać z rady Mary. Zdobądź to, czego pragniesz.

Jakie to proste...

- Wiesz, dlaczego życie tancerek jest takie trudne?

Nie zważając na kłócące się w pobliżu dwie statystki, Wanda spojrzała na koleżankę z zaciekawieniem.

- Mogłabym wymienić co najmniej setkę powodów, ale mów.

- Nie mają nigdy czasu, żeby po prostu być człowiekiem. Kiedy inne dziewczyny obściskowały się ze swoimi chłopakami w samochodzie, my dawno już spałyśmy, bo rano musiałyśmy wstać na lekcje. Po prostu nie wiem, co mam z nim zrobić.

- Rzuć na niego urok.

- Co takiego?

- Po prostu rzuć na niego urok. A resztę zrobi już on.

Maddy parsknęła śmiechem i podparła ręką brodę.

- A takie coś na przykład? Spodoba mu się?

- Możliwe, ale nigdy się nie dowiesz, dopóki nie spróbujesz.

Maddy jeszcze przez chwilę w zamyśleniu gładziła się po brodzie.

- Masz rację - stwierdziła w końcu i wstała. - Chodźmy. Chyba już będę w stanie pokazać Donowi, na co mnie stać.

Przećwiczyły dialog jeszcze raz, ale teraz Maddy dodała swej postaci trochę własnego nastroju. Kiedy akompaniator rzucił sygnał do rozpoczęcia piosenki, włożyła w nią całą duszę. A potem, tańcząc ramię w ramię z Wandą, dostrzegła w jej oczach, podziw i uznanie. Sprawilo jej to ogromną przyjemność.

Nawet oddychanie przychodziło jej z dziecięcą łatwością. Tańczyła po całej scenie, jej ciało płynnie reagowało na najmniejszy sygnał z mózgu.

Ktoś rzucił jej ręcznik.

Ćwiczyły tę samą scenę kilka razy i przeszły do następnej, dopiero kiedy operator światła i inspicjent wszystko zaakceptowali. Raz tylko Maddy zrobiła sobie krótką przerwę na wypicie soku pomarańczowego i jogurtu. A potem pracowała dalej.

Zmierzchało już, kiedy w końcu wyszła z teatru. Kilkoro tancerzy wybierało się do pobliskiej restauracji, by odreagować nagromadzone w czasie ćwiczeń napięcie. Normalnie Maddy poszłaby razem z nimi, bo lubiła ich towarzystwo. Tego wieczoru jednak miała tylko dwie możliwości. Albo wrócić do domu i zanurzyć się w gorącej kąpieli, albo zająć się Reedem.

Powrót do domu był rozsądniejszy. Ostatnia seria ćwiczeń wykończyła ją zupełnie. A poza tym kobieta, która ugania się za nie zainteresowanym nią mężczyzną - lub mężczyzna, który ściga niechętną mu kobietę - wykazują wyjątkowy brak rozsądku.

Jest mnóstwo innych ludzi o tych samych co ona zainteresowaniach i ambicjach, z którymi przyjemniej spędzałyby czas. Na jej widok mężczyźni przecież nie uciekali. Lubili ją, cenili za to, kim była, i bez trudu mogłaby znaleźć kogoś, z kim mogłaby spędzić miły wieczór.

Zajrzała do pięciu budek telefonicznych, zanim znalazła taką, w której była jeszcze książka telefoniczna. Tak tylko sprawdzam, wmawiała sobie, kiedy szukała nazwiska Reeda. To przecież nic nie szkodzi.

Domyślała się, że mieszka w eleganckiej dzielnicy na przedmieściu i że powinna odłożyć niezapowiedzianą wizytę na później, kiedy będzie mniej zmęczona. Mimo to, kiedy

znalazła jego adres, poczuła przygnębienie. Central Park West. Dzieli ich pięćdziesiąt przecznic, i to bynajmniej nie w linii prostej.

Ze smutkiem zamknęła książkę. Nawet jej nie przyszło do głowy, że też mogłaby tam mieszkać. Nie mogłaby tam żyć, bo tamta część miasta jest jej duchowo obca. Village, SoHo, dzielnice cyganerii i artystów są jej bliższe.

Nie mają z Reedem nic wspólnego i głupotą byłoby myśleć, że może być inaczej. Opuściła budkę i ruszyła przed siebie, wmawiając sobie, że idzie do domu, by wziąć kąpiel, a potem położyć się na kanapie z książką. Przypomniała sobie, że przecież i tak nigdy dotąd nie potrzebowała mężczyzny. Mężczyźni komplikują życie, ciągle czegoś chcą. Ona ma w głowie dziesiątki figur tanecznych i nie ma już tam miejsca na myślenie o stałym związku.

Zeszła do metra i wmieszała się w tłum. Po chwili poszukiwań znalazła na dnie torby żeton. Karcąc się w myślach za lekkomyślność, przeszła przez bramkę wiodącą na peron, z którego odjeżdżały pociągi na przedmieścia.

Chyba powinna wcześniej zadzwonić, pomyślała znacznie później, gdy już stała przed wysokim, deprymującym budynkiem, w którym mieściło się mieszkanie Reeda. Może nie ma go w domu. Przez chwilę spacerowała tam i z powrotem. A może jest w domu, lecz nie sam? Mijająca ją kobieta w spodniach z surowego jedwabiu, prowadząca na smyczy dwa pudelki, nawet na nią nie spojrzała.

To jest taka właśnie dzielnica, jedwabnych spodni i pudelków. A ona? Ona wygląda jak kundel w dzinsie. Spojrzała na swe obszerne spodnie i znoszone adidasy. Mogła przynajmniej wpaść wcześniej do domu i lepiej się ubrać.

Posłuchaj sama, co ty wygadujesz, powiedziała do siebie. Stoisz tu i narzekasz na swój strój. To typowe dla Chantel, nie dla ciebie. Zresztą, tobie on w zupełności wystarcza. I twoim znajomym. Jeśli Reedowi się nie spodoba, to co tu w ogóle robisz?

Nie wiem. Jestem idiotką.

Nie można się z tym nie zgodzić.

Wciągnęła powietrze głęboko w płuca i przez szerokie, oszklone drzwi weszła do cichego, wyłożonego marmurem holu.

Od lat była aktorką, więc przybrała pewny siebie uśmiech, odrzuciła włosy na plecy i zdecydowanym krokiem podeszła do stojącego za dębowym kontuarem ochroniarza.

- Dzień dobry. Czy zastałam Reeda? Reeda Valentine?

- Niestety, proszę pani. Jeszcze nie wrócił.

- Ooo. - Maddy z trudem ukryła rozczarowanie. - Byłam akurat w pobliżu, więc tak tylko wpadłam po drodze.

- Chętnie mu coś przekażę. Pani nazwisko? - Dopiero teraz uważniej jej się przyjrzał i na chwilę zaniemówił. - Przecież... to pani Maddy O'Hurley, prawda?

Uniosła ze zdumieniem brwi. Poza teatrem mało kto ją rozpoznawał. Wiedziała aż nadto dobrze, że na scenie wygląda zupełnie inaczej.

- Tak. - Automatycznie wyciągnęła do niego rękę. - Bardzo mi przyjemnie.

- A ja jak się cieszę! - Mężczyzna, niewiele od niej wyższy i dwa razy szerszy, ujął jej dłoń w obie ręce. - Kiedy moja żona miała ochotę na coś specjalnego, żeby uczcić naszą rocznicę ślubu, dzieci kupiły nam dwa bilety na „Park Suzanny”. Na parterze. To był cudowny wieczór.

- Miło mi to słyszeć. - Maddy spojrzała na jego identyfikator. - Musi pan mieć wspaniałe dzieci, Johnny.

- To prawda. Cała szóstka. - Johnny ukazał w uśmiechu złoty ząb. - Nie ma pani pojęcia, jak byliśmy panią zachwyceni. Żona powiedziała, że to jakby patrzeć na wschód słońca.

- Bardzo się cieszę. - To dzięki takim komplementom lata nieudźkanych wysiłków zyskiwały sens. - Naprawdę bardzo mi miło.

- Na przykład ta scena... Boże, ale moja żona płakała, kiedy pani myśli, że Peter odjechał tamtym pociągiem, że już go nie ma, i gasną wszystkie światła i tylko jedno, takie delikatne, jasnoniebieskie, pada na panią. A pani śpiewa... - Johnny odchrząknął i zaczął drżącym barytonem: - Jak mógł tak odejść, kiedy otuliłam go swą miłością?

- Jak mógł tak odejść - zawtórowała mu Maddy silnym, wibrującym kontraltem - unosząc ze sobą moje serce? Przecież pozwoliłam mu wybrać. Ale on nie wybrał mnie.

- O właśnie, o to mi chodzi. - Johnny westchnął z rozmarzeniem. - Muszę przyznać, że i mnie spociły się oczy.

- Mam teraz próby do nowego musicalu. Premiera za sześć tygodni.

- Naprawdę? - Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech. - Na pewno przyjdziemy.

Maddy wzięła z blatu ołówek i na kawałku papieru napisała nazwę teatru i nazwisko asystenta inspicjenta.

- Proszę jeszcze w tym tygodniu zadzwonić pod ten numer, poprosić Freda i podać moje nazwisko. Dopilnuję, żeby dostali państwo dwa bilety na premierę.

- Na premierę! - Jego zaskoczona mina wzruszyła Maddy. - Żona mi nie uwierzy. Nie wiem, jak pani dziękować.

- Proszę klaskać - odparła z uśmiechem.

- Na to może pani liczyć. Będziemy... O, dobry wieczór, panie Valentine.

Maddy zeszywniała, ale zdobyła się na uśmiech.

- Cześć, Reed.

- Cześć, Maddy.

Zjawił się w holu podczas ich zaimprovizowanego występu, ale żadne z nich tego nie zauważyło. Stał i patrzył na nią w milczeniu, odchrząknęła więc i odezwała się pierwsza.

- Byłam tu w pobliżu i pomyślałam, że zajrzę i powiem cześć. Cześć.

Reed zakończył przed chwilą długą naradę, podczas której nie mógł się skupić, bo cały czas myślał o swej nowej znajomej. Cały czas o niej myślał, lecz gdy ją zobaczył, wcale nie był tym zachwycony. A jednocześnie miał ogromną ochotę jej dotknąć. Nic z tego nie rozumiał.

- Wybierasz się gdzieś?

Mogła udać, że jest rozrywana, i powiedzieć, że spieszy się na przyjęcie. Mogła również znieść jajko.

- Nie. Bo przysłam tutaj.

Reed skinął głową Johnny'emu, ujął ją pod ramię i poprowadził w stronę windy.

- Zawsze jesteś taka hojna wobec obcych? - spytał już w środku.

- Co? - Po chwili namysłu Maddy wzruszyła ramionami. - Chyba tak. Jesteś jakiś zmęczony. - I bardzo przystojny, dodała w duchu. Cudownie przystojny.

- Miałem ciężki dzień.

- Ja też. Robiliśmy pierwszą próbę całego spektaklu. Istne zoo. - Parsknęła nerwowym śmiechem i w zakłopotaniu wsunęła ręce głęboko do kieszeni. - Chyba nie powinnam tego mówić człowiekowi, który za to płaci.

Reed nie odpowiedział, więc i ona uznała milczenie za najlepszą taktykę.

Potem otworzył drzwi i wprowadził ją do mieszkania.

Spodziewała się ujrzeć imponujące, eleganckie i gustowne wnętrze - i się nie zawiodła.

Jasne ściany, obrazy impresjonistów, trzy wielkie okna z zapierającym dech widokiem na park i miasto. Cynowoszary dywan kontrastujący z szeroką, wygodną kanapą o barwie koralowej czerwieni. W rogu pyszniły się dwa ogromne fikusy, a w dwóch niszach stały, tak jak to sobie wyobrażała, wazy z epoki Ming. Schody łukiem prowadziły na antresolę.

Każda rzecz była na swoim ściśle określonym miejscu, ale tego się właśnie spodziewała. Mimo to wnętrze wcale nie było zimne, a to już stanowiło dla niej zaskoczenie.

- Pięknie tu, Reed. - Powolnym krokiem zbliżyła się do okien. Już wiedziała, w czym tkwi problem. Reed trzymał się z daleka od miasta, w którym żył, z dala od jego dźwięków, zapachów, ludzi. - Czy stajesz tu czasem i myślisz, co się dzieje?

- Co się dzieje gdzie?

- Tam w dole. - Odwróciła się do niego i gestem wezwała go do siebie. Kiedy do niej dołączył, znów spojrzała przez okno. - Kto się kłóci, kto śmieje, a kto kocha. Gdzie jedzie ten policyjny radiowóz, i czy dojedzie na czas. Ilu bezdomnych będzie dziś spać w parku? Ile butelek zostanie otwartych, ile dzieci się narodzi? To niesamowite miejsce, prawda?

Emanował od niej ten sam zapach - delikatny, kuszący niewinnością.

- Nie wszyscy patrzą na to jak ty.

- Zawsze chciałam mieszkać w Nowym Jorku. Odkąd pamiętam. - Maddy cofnęła się o krok. Widziała teraz tylko światła, ich oślepiający blask. - Jakie to dziwne, że cała nasza trójka, mówię o sobie i moich siostrach, wybrała sobie tak różne miejsca do życia. Jesteśmy sobie bardzo bliskie, a jednak Abby mieszka w prowincjonalnej Wirginii, Chantel w krainie marzeń, a ja żyję tutaj.

Z trudem powstrzymał się, by nie pogłodzić jej po włosach. Zawsze gdy mówiła o siostrach, w jej głosie pobrzmiewała tęsknota. On w ogóle nie wiedział, czym właściwie jest prawdziwa rodzina. Miał tylko ojca.

- Napijesz się czegoś?

Było coś niemiłego w jego głosie - jakiś dystans, oficjalna uprzejmość. Udała, że nie sprawia jej to przykrości.

- Może wody mineralnej.

Kiedy podszedł do miniaturowego, mahoniowego barku, opuściła swe miejsce przy oknie. Nie mogła dłużej tak stać i myśleć o milionach ludzi, kiedy czuła się daleka od mężczyzny, z którym przyszła się zobaczyć.

Wtedy zauważyła swą roślinę. Postawił ją na niewielkim stoliczku, w miejscu, gdzie promienie słońca były rozproszone. Ziemia w doniczce była wilgotna, ale nie za mokra. Dotknęła jednego z liści i uśmiechnęła się. A więc jednak jest coś, o co Reed potrafi się troszczyć.

- Wygląda zdecydowanie lepiej - oznajmiła, biorąc od niego szklanę.

- Moim zdaniem wygląda dalej żałośnie - poprawił ją Reed, wachając koniak w swym kieliszku.

- Nie, lepiej. Nie jest już taka, no... pozbawiona koloru, blada. Dziękuję ci.

- Przelewałaś ją i tyle. Może usiądziesz, co? I powiesz mi, po co przyszłaś.

- Po prostu chciałam cię zobaczyć. - Po raz pierwszy żałowała, że nie ma takiej łatwości w postępowaniu z mężczyznami jak Chantel. - Wiesz, nie jestem w tym dobra. - Nerwowo chodziła po pokoju. - Nie miałam czasu, żeby nabrać ogłady, nauczyć się jakiegoś stylu, i mówię składnie tylko to, czego się nauczę na pamięć. Chciałam cię zobaczyć - powtórzyła lekko zbuntowanym tonem i przysiadła na brzeжку kanapy. - No i przyszłam.

- Uważasz, że nie masz stylu. Rozumiem. - On też usiadł, ale tak, by dzieliła ich poduszka. - Przyszłaś, żeby złożyć mi propozycję?

W jej oczach błysnęła furia.

- Ty chyba przywykłeś do tego, że kobiety wskakują ci do łóżka na skinienie palcem.

W jego spojrzeniu pojawiło się rozbawienie.

- Kobiety, z którymi się zadaję, na pewno nie śpiewają w duecie z ochroniarzami.

Maddy z brzękiem odstawiła szklanę.

- Bo może słoń im na ucho nadepnął.

- Możliwe, bardzo możliwe. Problem w tym, Maddy, że nie wiem, co z tobą zrobić.

- Zrobić? Nie musisz niczego robić. Nie chcę, żebyś cokolwiek ze mną robił. Nie jestem Elizą Doolittle.

- No, no, widzę, że nie tylko mówisz czyimś tekstem, ale także myślisz.

- A jeśli nawet? Ty za to myślisz tylko kolumnami cyfr. - Skrzywiła się i podjęła swój spacer po pokoju. - Sama nie wiem, co tutaj robię. To było idiotyczne. A niech to cholera, przez cały tydzień byłam tak strasznie nieszczęśliwa! Nie znałam dotąd tego uczucia. - Spojrzała na niego z irytacją. - Nawet zgubiłam rytm, bo myślałam o tobie.

- Naprawdę? - Wstał, choć obiecywał sobie, że tego nie zrobi. Wiedział, że powinien podtrzymywać jej złość. Musi sprawić, by wyszła, zanim on zrobi coś, czego będzie żałował. A jednak... A jednak podszedł do niej i musnął palcem jej policzek.

- Tak. - Jej złość ustąpiła miejsca pożądaniu. Ujęła go za nadgarstek, zanim zdążył opuścić rękę. - Chciałam, żebyś ty też o mnie myślał.

- Może i myślałem... - Chciał przygarnąć ją do siebie i choćby przez chwilę udawać zadowolonego. - Może stałem przy oknie mojego gabinetu i myślałem o tobie...

Maddy wspięła się na palce, żeby sięgnąć do jego ust. Czuła, że Reed jest bardzo wzburzony. Ona też była niespokojna, lecz w innego powodu. Czy koniecznie musi go zrozumieć? Jest jej z nim dobrze i wystarczy. Ale czy wystarczy jemu?

- Reed...

- Nie. - Jego ręce spoczęły na jej plecach. Po chwili przyciągnął ją do siebie. - Nic nie mów.

Pragnął tego, co mogła mu dać, swoimi ustami, ramionami, całym swoim ciałem. Dopóki nie pojawiła się w jego życiu, jego dom nigdy nie wydawał mu się pusty. Teraz, gdy tu była razem z nim, nie chciał myśleć o tym, że znów będzie sam.

Jej usta były jak aksamit, ciepłe i gładkie, czułe i podniecające. Kiedy go dotknęła, miał wrażenie, że chciałaby raczej dawać, niż brać. Na moment prawie w to uwierzył. A pocałunek... pocałunek był dla niej zawsze czymś zwyczajnym. Sposobem okazania miłości kochanej osobie, przyjaźni przyjacielowi. Z Reedem jednak ta zwyczajność nie istniała. Oszłoł ją, przyprowadził o drżenie, o zawrót głowy...

- Pragniesz mnie? - wyszeptała. Poczowała, że odrobinę zeszywniał.

- Tak.

Usłyszała w jego słowach irytację i odsunęła się od niego.

- Masz z tym jakiś problem?

Dlaczego z tą kobietą nie jest tak łatwo jak z innymi? Obopólne zadowolenie, z góry ustalone reguły i nikt nie cierpi. A z Maddy... Gdy po raz pierwszy ją dotknął, już wtedy wiedział, że pakuje się w coś trudnego.

- Tak. - Sięgnął po kieliszek. - Mam z tym problem.

A więc za bardzo się pospieszyłam, uznała Maddy. Taką już miała naturę - gnała do przodu, nie zważając na przeszkody.

- Podzielisz się nim ze mną?

- Pragnę cię. Chciałem cię wziąć do łóżka już wtedy, kiedy patrzyłem, jak zbierasz z chodnika monety i brudne ubranie.

Postąpiła krok w jego stronę. Czy zdaje sobie sprawę, że to właśnie chciała usłyszeć, nawet jeśli trochę ją to przeraża?

- Dlaczego więc kazałeś mi wtedy odejść?

- Za bardzo się różnimy. Nie jestem dla ciebie odpowiedni, Maddy.

- Chwileczkę. Chcę cię dobrze zrozumieć. Kazałeś mi odejść dla mojego dobra, tak?

Koniak wcale mu nie pomógł, lecz trochę sobie dołał.

- Owszem.

- Wiesz co? To dziecku każe się nosić w zimie czapkę, szalik i rękawiczki dla jego dobra. W pewnym wieku staje się jednak samodzielne.

Jak tu dyskutować z takim porównaniem?

- Nie wydaje mi się, żeby interesowały cię przygody.

- Bo nie interesują.

- No to wyświadczyłem ci przysługę - powiedział i poczuł do siebie wstręt.

- Pewnie powinnam ci podziękować.' - Maddy wzięła do ręki swoją torbę, zaraz jednak odłożyła ją z powrotem. Nikt z jej rodziny nigdy łatwo się nie poddawał. - Ciekawa jestem, czemu uważasz, że byłaby to tylko przygoda?

- Bo dłuższe związki mnie nie interesują. Nakazując sobie spokój, Maddy skinęła głową.

- Poza jedną nocą a czymś dłuższym jest jeszcze wiele innych możliwości. Chyba że myślisz, że próbuję zbudować wokół ciebie klatkę i zamknąć cię w niej przed całym światem.

Nie wiedziała, że taka klatka już istnieje, i że Reed sam ją zbudował.

- Dlaczego nie moglibyśmy po prostu przyznać, że nic z tego nie będzie, bo zbyt wiele nas dzieli?

- Myślałam o tym. To prawda, ale tylko do pewnego stopnia. Jak się dobrze zastanowisz, to zobaczysz, że równie wiele nas łączy. Oboje mieszkamy w Nowym Jorku. Reed uniósł brwi i oparł się o barek.

- No właśnie. To eliminuje wszystko pozostałe.

- Zaraz, zaraz, jeszcze nie skończyłam. - Zauważyła w jego spojrzeniu rozbawienie i to ją zachęciło. - Oboje jesteśmy obecnie żywotnie zainteresowani pewnym musicaliem. - Uśmiechnęła się do niego urzekająco. - Ja rano włożyłam najpierw skarpetki, a potem buty. A ty?

- Maddy...

- Bierzesz prysznic na stojąco?

- Nie widzę...

- Zaraz, zaraz, żadnych uników. No to jak?

Musiał się uśmiechnąć.

- Tak.

- Niesamowite. Ja też. Czytałeś „Przeminęło z wiatrem”?

- Tak.

- No więc mamy podobne zainteresowania literackie. Pewnie mogłabym tak wyliczać godzinami.

- Nie wątpię. - Odstawił kieliszek i znów do niej podszedł. - O co chodzi, Maddy?

- O to, że cię lubię, Reed. - Położyła mu ręce na ramionach, jakby chciała, by się odprężył i jeszcze choć przez chwilę tak się uśmiechał. - Myślę, że gdybyś dał sobie trochę luzu, moglibyśmy być przyjaciółmi. Podobasz mi się. Myślę, że z czasem też moglibyśmy zostać kochankami.

To był oczywiście błąd. Wiedział o tym, ale Maddy wyglądała w tej chwili tak pociągająco, że nie potrafił jej się oprzeć.

- Jesteś wyjątkowa - szepnął, bawiąc się jej włosami.

- Mam nadzieję. - Z uśmiechem wspięła się na palce i pocałowała go. Zwyczajnie, nie namiętnie. - Umowa stoi?

- Żebyś tylko nie żałowała.

- To już mój problem. Zgoda? - Wyciągnęła do niego rękę. Minę miała poważną, lecz jej oczy się śmiały.

- Zgoda - odparł, mając nadzieję, że to nie on będzie żałował.

- Super. Wiesz co? Umieram z głodu. Masz może puszkę zupy czy coś w tym rodzaju?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Z pozoru wszystko wyglądało tak prosto, jak Maddy zapowiedziała. Wiele osób uznałoby, że proste jest nie tylko z pozoru. Ale nie każdy pragnął tak głęboko jak Reed, czy nie udawał tak dobrze jak Maddy.

Chodzili do kina. Kiedy pozwalały na to ich zajęcia, a pogoda sprzyjała, jedli lunch w Central Parku. Spędzili jedno niedzielne popołudnie, włóczęc się po muzeum, choć bardziej interesowali się sobą nawzajem niż eksponatami. Gdyby Reed nie znał siebie lepiej, mógłby powiedzieć, że jest już bardzo bliski romansu. On jednak nie wierzył w miłość.

Miłość przyniosła jego ojcu zdradę, z którą sam Reed żył na co dzień. Nawet jeśli Edwin jakoś się z tym pogodził, to jego syn nie potrafił. Większość ludzi, z którymi pracował, uważała wierność za sprawę ambiwalentną. Miewali oni przygody przed, podczas i w trakcie małżeństwa, tak więc ślub nie stanowił dla nich punktu zwrotnego. Nic nie trwa wiecznie, a już na pewno nie małżeństwa.

Reed jednak myślał o Maddy, kiedy nie byli razem, a gdy się spotykali, potrafił myśleć już tylko o niej.

Przyjaźń. Jakoś udało im się zostać przyjaciółmi, mimo różnych poglądów, pochodzenia i wychowania. Nawet jeśli przyjaźń z jego strony była ostrożna, a z jej swobodna, udało im się stworzyć dla niej podstawę. Tylko co dalej?

Miłość. Wydawało się nieuniknione, że zostaną kochankami. Wzbierająca tuż pod powierzchnią namiętność groziła wybuchem w każdej wspólnie spędzanej chwili. Oboje o tym wiedzieli i, każde na swój sposób, to akceptowało. Reeda niepokoił jednak fakt, że kiedy w końcu weźmie Maddy do łóżka, straci jednocześnie tę przyjaźń, którą już zdążył polubić.

Seks wszystko zmieni. Na pewno. Bliskość fizyczna zakłóci bliskość uczuciową, jaką dopiero zaczęli budować. I choć bardzo pragnął mieć Maddy w łóżku, zastanawiał się, czy ryzykować utratę takiej Maddy, jaką była poza łóżkiem. Było to jak przeciąganie liny, coś, czego nigdy nie mógł wygrać.

Nie wierzył jednak w przegraną. A może uda się jakoś zdobyć obie te rzeczy? Trzeba będzie trochę o tym pomyśleć, nawet na zimno, ale skoro końcowy rezultat może zadowolić ich oboje?

Nie miał jednak pojęcia, jak to osiągnąć. Zamiast tego stanął mu przed oczami obraz Maddy sprzed kilku dni - roześmianej, karmiącej gołębice w Central Parku.

Kiedy na biurku zadzwonił brzęczyk, odkrył, że strawił na marzeniach kolejne dziesięć minut.

- Tak, Hanno?

- Na pierwszej linii jest pański ojciec.

- Dzięki. - Reed nacisnął właściwy guzik. - Tato?

- Reed, podobno Selby przejął kolejną grupę niezależnych producentów. Wiesz coś o tym?

Reed przygotował już wstępny raport na temat niezależnych producentów płytowych, których przejął Galloway.

- Czy ty kiedyś wreszcie odpoczniesz?

- Dopiero na tamtym świecie.

- Mówi się o nacisku na kilka stacji nadających listy przebojów, żeby dodały kilka płyt. Nic nowego. Są jakieś plotki, ale nic się chyba nie wykryło.

- Selby to kawał łobuza. Jeśli dowiesz się czegoś konkretnego, daj mi znać.

- Masz to jak w banku. Będziesz pierwszy.

- Nigdy nie podobał mi się pomysł, żeby płacić stacjom za puszczenie płyty - mruknął Edwin. - No cóż, to stara zagrywka, a ja myślę raczej o nowych sprawach. Chciałbym zobaczyć próbę naszej sztuki. Co ty na to?

Reed spojrział na leżący na biurku kalendarz.

- Kiedy?

- Za godzinę. Wiem, że powinienem ich uprzedzić. Pewnie zechcieliby stanąć na rżęsach, kiedy odwiedza ich książeczka czekowa, ale ja lubię niespodzianki.

Widząc, że ma dwa spotkania zaplanowane na przedpołudnie, Reed zamierzał odmówić. Pod wpływem impulsu jednak postanowił je przełożyć.

- Czekam na ciebie w teatrze o jedenastej.

- A potem lunch, co? Staruszek stawia.

Reed uświadomił sobie, jak bardzo ojciec jest samotny. Edwin Valentine miał swój klub, swoich przyjaciół i dość pieniędzy, by podróżować po całym świecie, a jednak był samotny.

- Obiecuję, że będę miał apetyt - odparł.

Edwin wszedł do teatru ukradkiem, jak chłopak bez biletu.

- Usiądziemy sobie gdzieś z boku i zerkniemy, za co płacimy.

Reed szedł za ojcem, ale nie odrywał wzroku od sceny, gdzie stała Maddy w ramionach innego mężczyzny. Poczuł ukłucie zazdrości tak zadziwiająco mocne, że aż przystanął.

Z rozświetloną twarzą, z rękoma zarzuconymi na jego szyję, wpatrywała się intensywnie w oczy tego mężczyzny.

- Naprawdę cudownie się bawiłam. Mogłabym tak tańczyć bez końca.

- Mówisz, jakby to był już koniec. Mamy przecież przed sobą całą noc. - Reed patrzył, jak mężczyzna całuje ją w czoło. - Chodźmy do mnie.

- Mam iść z tobą do twojego domu? - Nawet z tej odległości Reed widział przerażenie w jej oczach. - Och, Jonathanie, bardzo bym chciała, naprawdę. - Odsunęła się odrobinę, ale chwycił ją za rękę. - Ale nie mogę. Muszę... Muszę być wcześniej w pracy. Tak, właśnie. No i jest jeszcze moja mama. - Odwróciła się znów i wzniosła oczy do góry. Jej kłamstwa domyślić się mogła bez trudu publiczność, ale nie stojący obok mężczyzna. - Nie czuje się dobrze, wiesz, i powinnam być przy niej, gdyby czegoś potrzebowała.

- Jesteś taka dobra, Mary.

- Och, nie. - W jej głosie dało się słyszeć poczucie winy i rozpacz. - Nie, Jonathanie. Nie jestem dobra.

- Nie mów tak. - Znów wziął ją w ramiona. - Bo chyba się w tobie zakochałem.

Znów ją pocałował, a Reedowi, choć wiedział, że to tylko sztuka, zrobiło się bardzo nieprzyjemnie.

- Muszę już iść - powiedziała szybko. - Naprawdę.

Oderwała się od niego i przeszła na prawą stronę sceny.

- Kiedy cię znów zobaczę?

Zatrzymała się i przez chwilę jakby walczyła z sobą.

- Jutro. Przyjdź do biblioteki o szóstej. Tam się z tobą spotkam.

- Mary... - Ruszył ku niej, ale powstrzymała go uniesioną ręką.

- Jutro - powtórzyła i zniknęła za kulisami.

- W porządku - oznajmił reżyser. - Piętnaście sekund na przestawienie dekoracji. Teraz Wanda, Rose i Maddy.

Znów wybiegła na scenę, gdzie w fotelu siedziała Wanda, a kobieta o imieniu Rose malowała się przed lustrem.

- Spóźniłaś się - zauważyła leniwie Wanda.

- A ty co? Zegarek jesteś? - Głos i ruchy Maddy były teraz szybsze i ostrzejsze.

- Jackie cię szukał.

Maddy przerwała wkładanie płomiennorudej peruki.

- Co mu powiedziałaś?

- Że szuka w złym miejscu. Nie przeciągaj struny, Mary. Musiałam cię kryć.

- Tak, kryła cię - potwierdziła Rose, poprawiając niesamowity różowo - pomarańczowy kostium.

- Dzięki. - Maddy wygładziła spódnicę, odsunęła Rose od lustra i zaczęła się malować.

- Nie dziękuj. Wiem, że musimy się trzymać razem. - Wanda patrzyła od niechcienia na ćwiczącą Rose. - Mimo to uważam, że zwariowałaś.

- Wiem, co robię. - Maddy skryła się za parawanem, na którym po chwili powiesiła bluzkę. - Poradzę sobie.

- Najpierw raczej sprawdź, czy poradzisz sobie z Jackiem. Domyślasz się, co by zrobił z tobą i twoim pięknym chłoptasiem, gdyby się o wszystkim dowiedział?

- Nie dowie się. - Maddy wyszła zza parawanu w długiej, lejącej się sukni obszytej czerwonymi cekinami. - Zresztą zdążyłam.

- Publiczność jest dziś bardzo gorąca.

- To dobrze. Taką właśnie lubię. - Znów zeszła do prawej kulisy.

- Oświetlić lewą stronę! - zawołał inspicjent. - Wchodzi Terry.

Tancerz, którego Reed pamiętał z poprzedniej próby, pojawił się w lewym rogu sceny. Włosy miał gładko zaczesane do tyłu, pod nosem cieniutkie wąsiki. Do czarnej koszuli nosił biały krawat. Kiedy Maddy wyłoniła się zza kulisy i stanęła za nim, chwycił ją za ramię.

- Gdzieś ty, do cholery, była?

- Tu i ówdzie. - Maddy odrzuciła na plecy szopę rudych włosów i uwodzicielsko położyła rękę na biodrze. - W czym problem?

- Aż nie mogę uwierzyć, że to ta sama młoda dama, która przyszła do twojego gabinetu z tą nędzną roślinką - szepnął Edwin, pochylając się do Reeda.

- Ja też.

- Urośnie, Reed. Bardzo urośnie.

Reed poczuł jednocześnie dumę i strach, i żadnego z tych uczuć nie potrafiłby wytłumaczyć.

- Tak, masz rację.

- Posłuchaj, słonko. - Maddy poklepała partnera po policzku. - Mam robić striptiz czy zostać tutaj i czytać ci mój pamiętnik?

- Striptiz - rozkazał Jackie.

- Taaak. - Maddy potrząsnęła głową. - Przekonasz się, że w tym jestem najlepsza.

- Światła! - zawołał inspicjent. - Muzyka.

Maddy chwyciła czerwone boa i przeszła - nie, przepłynęła - na środek sceny. Wyglądała jak płomień pożądania. Gdy zaczęła śpiewać, jej głos był tak samo uwodzicielski i podniecający jak ruchy. Rzuciła boa na widownię. Zanim sztuka zejdzie z afisza, trzeba będzie kupić spory zapas.

- Nigdy nie wziąłem cię do lokalu ze striptizem, co, Reed?

Patrząc, jak Maddy zaczyna ściągać długie, sięgające do łokcia rękawiczki, Reed musiał się uśmiechnąć.

- Nie, nigdy.

- To błąd.

Na scenie Maddy przeszła do numeru, który bez wątpienia okaże się hitem całego przedstawienia. Gdy zrzuciła spódnicę, kilku techników aż gwizdnęło. Był to tylko dwuminutowy występ, lecz gdy dobiegł końca, wykończona opadła na deski sceny. Ku jej zdziwieniu i radości, ze środka widowni rozległy się gromkie brawa.

Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy. Don zszedł na widownię, zły, że nikt go nie uprzedził o wizycie.

- Dzień dobry panom. - Wyciągnął rękę najpierw do Edwina, potem do Reeda. - Co za miła niespodzianka...

- Tak nam to nagle przyszło do głowy - rzekł Reed, nie odrywając wzroku od sceny, gdzie siedząca na podłodze Maddy ocierała pot z szyi. - Imponujące.

- Musimy jeszcze trochę poprawić, ale powinniśmy zdążyć przed Filadelfią.

- Nie wątpię. - Edwin przyjacielskim gestem poklepał go po ramieniu. - Nie przeszkadzajcie sobie.

- Byłbym szczęśliwy, gdyby zostali panowie dłużej. Zaraz będziemy próbować pierwszą scenę drugiego aktu. Proszę przesiąść się bliżej.

- Ty decyduj, Reed.

Wiedział, że będzie musiał potem w pracy nadrobić te dwie godziny, ale postanowił nie tracić okazji.

- Chodźmy.

Następna scena składała się ze scenicznych gagów. Reed nie był aż takim znawcą, by ocenić poziom dowcipów i reżyserii, lecz zauważył, że Maddy zna się na rzeczy. Wiedział, że publiczność będzie zachwycona.

Ta dziewczyna miała w sobie coś tak przekonującego i prawdziwego, że nawet w roli prostej, trochę wulgarnej striptizerki była znakomita. Grała też drugą rolę - niewinnej

bibliotekarki opiekującej się chorą matką. I była w tej roli tak boleśnie prawdziwa, że nagle zaczął jej wierzyć bez zastrzeżeń. I ta świadomość go zaniepokoiła.

- To naprawdę znakomita aktorka - zauważył Edwin.

- Zgadza się.

- Pewnie to nie moja sprawa, ale co jest między wami?

- Dlaczego myślisz, że coś między nami jest? - zapytał Reed z kamienną twarzą.

Edwin potarł palcem nasadę nosa.

- Gdyby nie mój nos, nie mielibyśmy tej firmy, mój drogi. Intuicja to w interesach bardzo ważna rzecz.

- Jesteśmy... przyjaciółmi - rzekł po chwili wahania Reed.

Edwin westchnął i poprawił się w krześle.

- Wiesz co, Reed? Zawsze marzyłem dla ciebie o takiej kobiecie jak Maddy O'Hurley. O zdolnej, pięknej kobiecie, która cię uszczęśliwi.

- Jestem szczęśliwy.

- E tam, nie wygląda na to. Jesteś rozgoryczony i rozczarowany.

- Ale nie tobą - odparł szybko Reed.

- Twoja matka...

- Nie mówmy o niej. Ona nie ma z tym nic wspólnego. - Choć mówił cicho, jego głos był zimny jak lód.

Oj, ma, ma, pomyślał jego ojciec, lecz nie odważył się powiedzieć tego na głos.

Edwin nie mógł cofnąć wskazówek zegara i nie dopuścić do tamtej zdrady. Nawet gdyby było to możliwe, nie zrobiłby tego. Gdyby bowiem to zrobił, Reed nie siedziałby teraz obok niego. Jak ma nauczyć swego syna, że życie to nie kwestia wybaczenia, lecz godzenia się z faktami? Jak ma nauczyć go, by ufał, skoro narodził się z kłamstwa?

Edwin spojrzał na jasną, pełną wyrazu twarz Maddy. Czy to właśnie ona mogłaby go tego nauczyć?

Może jest tą kobietą, której Reed zawsze potrzebował, odpowiedzią, której szukał, nawet się do tego nie przyznając? Może poprzez Maddy i on, Edwin, uleczy swe dawne rany?

Choć była to tylko próba, Maddy się nie oszczędzała. Zawsze, czy to w teatrze czy to w życiu, szła na całość. I choć powtarzała wyuczony tekst i wytrenowane ruchy, część jej uwagi skierowana była na Reeda. On zaś patrzył na nią w takim skupieniu, jakby poprzez jej rolę chciał dostrzec, jaka naprawdę jest. Czy nie rozumie, że na tym polega jej zawód, by tak bardzo wcielić się w Mary, by sama Maddy aż zniknęła?

Miała wrażenie, że wyczuwa jego dezaprobatę, nawet irytację. Zapra gnęła zeskoczyć ze sceny i przekonać go, że... No właśnie, o czym? Wiedziała jednak, że on wcale tego od niej nie oczekuje. Przynajmniej nie teraz. Tymczasem wołał, by wszystko było niezobowiązujące. Żadnych obietnic, żadnej przyszłości.

Potknęła się i zakłęła pod nosem. Akompaniator powtórzył frazę.

Nie mogła mu powiedzieć, co czuje, bo Reed nie chciałby słuchać, że go kocha, że pokochała go już wtedy na chodniku przed teatrem. Byłby zły, bo nie chciał wpaść w pułapkę jej uczuć. Nie rozumiałby, że uczucia potrzebne są jej do życia jak powietrze.

Może Reed pomyśli, że ona rozdaje swe uczucia lekką ręką. To prawda, ale nie w przypadku takiej miłości. Miłość do rodziny to coś naturalnego i stałego. Miłość do przyjaciół powstaje szybko lub powoli, lecz nie łączą się z nią problemy. Ona może pokochać spotkane w parku dziecko za samą jego niewinność, albo staruszka na ulicy za samą jego starość.

Tymczasem z miłością do Reeda wiąże się absolutnie wszystko. Jest to miłość bardzo skomplikowana, a ona zawsze myślała, że miłość to coś prostego. Ta miłość jest bolesna, a ona myślała, że miłość niesie z sobą radość.

Zaprosiła go do swojego życia i o tym nie mogła zapomnieć. Co więcej, namówiła go do tego, kiedy się wahał. To wszystko znaczy, że go kocha, ale nie może mu o tym powiedzieć.

- Proszę państwa, przerwa na lunch. Wracamy o drugiej. Zrobimy dwie końcowe sceny.

- A więc to jest ten twój anioł - szepnęła Wanda do ucha Maddy. - Ten w pierwszym rzędzie, który wygląda jak z żurnala? To on, prawda?

- Jaki on? - Maddy zaczęła masować obolałe plecy.

- No on. - Wanda klepnęła ją lekko w ramię. - Ten, przez którego masz zamglone oczy.

- No wiesz... - Była zaskoczona spostrzeżeniem przyjaciółki.

- Aha, to już nie mam wątpliwości - oznajmiła z satysfakcją Wanda i zniknęła za kulisami.

Mrucząc coś pod nosem, Maddy zeszła ze sceny.

- Cześć, Reed - rzekła z uśmiechem. - Bardzo się cieszę, że przyszedłeś. - Nie dotknęła go ani nie obdarzyła przyjacielskim pocałunkiem, jakim zazwyczaj go witała. - Dzień dobry panu. Miło pana znów widzieć - zwróciła się do jego ojca.

- Bardzo mi się to podobało. - Edwin Valentine ujął jej dłoń w obie ręce. - Z przyjemnością patrzyłem, jak pani pracuje. Czy dobrze słyszałem, że reżyser wspominał coś o lunchu?

- Owszem. - Maddy pogłaskała się po brzuchu.

- Przyłączy się więc pani do nas, prawda?

- Ja... No... - Ponieważ Reed milczał, zaczęła zastanawiać się nad jakąś wymówką.

- Proszę mi nie odmawiać. - Edwin zignorował milczenie syna i mówił dalej: - To pani strony. Na pewno zna pani tu jakąś miłą restauracyjkę.

- Zaraz za rogiem są delikatesy - zaczęła.

- Wspaniale. Chętnie zjem kanapkę z pastrami.

- Wystarczy szybki telefon do tej modnej francuskiej restauracji, by odwołać zarezerwowany stolik.

- Co ty na to, Reed?

- Maddy musi się chyba przebrać... - powiedział i wreszcie się uśmiechnął.

Spojrzała na swe różowe szorty i kusą, pomarańczową bluzeczkę.

- Dajcie mi pięć minut - rzuciła.

Dotrzymała słowa co do sekundy. Pięć minut później w żółtym dresie narzuconym na kostium szła razem z Reedem i jego ojcem do delikatesów.

Zapachy w małym barku zawsze były wspaniałe. Czasami wpadała tam tylko dla nich. Plastry mięsa w ziołach, musztarda, mocna kawa. Umieszczony pod sufitem wentylator mieszał je wszystkie razem. Większość tancerzy z teatru też tam przybiegła; wyglądali jak stado głodnych wilków. Sprytny właściciel ustawił w rogu szafę grającą, która w tej chwili wyła na cały regulator.

Potężny Grek za ladą zauważył Maddy i uśmiechnął się do niej szeroko.

- To co zwykle?

- Oczywiście. - Oparta o kontuar patrzyła, jak szykuje misę zielonej sałaty, posypuje ją szczodrze serem i polewa jogurtem.

- Jada pani coś takiego?

- Pochłaniam to pasjami.

- Ciało potrzebuje mięsa. - Edwin zamówił pasztet na ogromnej kajzerce.

- Znajdę nam stolik - zaproponowała Maddy, biorąc filiżankę herbaty i szukając stolika ustawionego jak najdalej od szafy.

- Jesz lunch z forszą, co, Maddy? - Terry, z włosami wciąż ulizanymi a la Jackie, zaczepił ją po drodze. - Wspomnisz im o mnie?

- Jak mam cię przedstawić?

- Powiedz, że jestem gwiazdą.

- Nie wiem, czy mi coś takiego przejdzie przez usta.

Chciał jakoś zareagować, lecz spojrzał na swój własny stolik i mocno się zaniepokoił.

- Ej, Leroy, to mój ogórek...

Kiedy Reed i Edwin do niej dołączyli, jeszcze się śmiała.

- Ciekawe miejsce - skomentował Edwin, który już nie mógł doczekać się swojej kanapki i sałatki ziemniaczanej.

- Koledzy starają się jak najlepiej zachowywać, choć nie zawsze im to wychodzi.

Kiedy ktoś zaczął śpiewać do wtóru z szafą, Maddy po prostu podniosła głos.

- Przyjedzie pan na premierę do Filadelfii?

- Ostatnio już mniej podróżuję. W dawnych czasach szef wytwórni płytowej tyle samo czasu spędzał na miejscu co w terenie.

- Musiało być bardzo fajnie. - Maddy zajęła się swoją sałatą, udając, że nie zazdrości Reedowi rostbefu.

- Pokoje hotelowe, spotkania. - Edwin wzruszył ramionami. - I tęskniłem za moim chłopakiem.

- Spojrzenie, jakim obdarzył syna, było zarazem ciepłe i karcące. - De jego meczy opuściłem.

- Wcale nie tak dużo. - Reed odkroił kawałek kanapki i podał go Maddy. Ten naturalny gest zwrócił uwagę Edwina.

- Grałeś w piłkę? - zainteresowała się Maddy. - Nigdy mi o tym nie mówiłeś. - Ledwo wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, że w ogóle niewiele o nim wie.

- W baseball.

- Dopiero kiedy zamieszkałam w Nowym Jorku, dowiedziałam się, na czym ta gra polega - powiedziała szybko.

- Był naprawdę dobry, zawsze mu to mówiłem. Ale on wolał pracować w biznesie.

- To też pewnego rodzaju sport, prawda? - Ugryzła kawałek kanapki, który dostała od Reeda.

- Większość z nas patrzy tylko na produkt końcowy, na album, na kasetę, którą wkładamy do magnetofonu w aucie. A nie zdajemy sobie sprawy, jak długa jest droga od partytury do tego kawałka winylu.

- Jeśli będzie pani miała trzy, cztery dni wolne, chętnie pani o tym opowiem - zaśmiał się Edwin.

- Nie odmówię. - Popijała herbatę z miodem, która miała dodać jej sił i energii na dalsze kilka godzin ciężkiej pracy. - Kiedy nagrywaliśmy album z muzyką do „Parku Suzanny”, trochę tego liznęłam. Studio to zupełnie coś innego niż teatr. Jest takie... no, nie wiem... zamknięte. Przepraszam.

- Nie ma za co.

- Studio rzeczywiście ma pewne ograniczenia - wtrącił się Reed. Pociągnął łyk bardzo mocnej kawy. - Ma też i dobre strony, choć niewidoczne na pierwszy rzut oka. Możemy na przykład wziąć tego faceta z za lady, zabrać go do studia i zrobić z niego drugiego Carusa, tylko przyciskając odpowiednie guziki.

Maddy przez chwilę rozważała jego słowa, potem pokręciła głową.

- To oszustwo.

- To marketing - poprawił ją Red. - Wiele wytwórni tak robi.

- A Valentine?

Popatrzył na nią uważnie swymi pięknymi, szarymi oczami, w których zakochała się już pierwszego dnia.

- Nie. Valentine stawia na jakość, nie na ilość.

- Ale zamierzał pan zaproponować kontrakt Trio Sióstr O'Hurley. - Maddy spojrzała na Edwina.

- A nie byłyście dobre?

- Tylko odrobinę powyżej... średniej.

- Dużo powyżej, jeśli to, co widziałem dziś na scenie, ma o czymś świadczyć.

- Bardzo dziękuję.

- Miewa pani czas na życie towarzyskie?

Maddy podparła się pod brodę.

- Proponuje mi pan randkę?

Edwin Valentine zrobił zaskoczoną minę, a potem wybuchnął śmiechem, który zwrócił na niego uwagę całej sali.

- Proszę mi wierzyć, że gdybym był dwadzieścia lat młodszy, na pewno bym nie odmówił. Z taką panną!

- Właśnie - zgodził się z nim Reed.

- Chciałbym wkrótce wydać przyjęcie - rzekł pod wpływem impulsu Edwin. - Na cześć naszej sztuki przed wyjazdem do Filadelfii. Co pani na to, Maddy?

- Uważam, że to znakomity pomysł. Mogę się czuć zaproszona?

- Pod warunkiem, że zarezerwuje pani dla mnie jeden taniec.

Musiała przyznać, że ojciec podoba jej się tak samo jak syn.

- Może pan dostać więcej.

- Obawiam się, że więcej niż jednego nie wytrzymam.

Zaśmiała się razem z nim. A kiedy podniosła do ust filiżankę z herbatą, zauważyła, że Reed znów jej się przygląda, tym razem chłodno i z dezaprobatą. Zabolęła ją to.

- Ja... muszę już wracać. Mam jeszcze coś do zrobienia przed popołudniową próbą.

- Odprowadź panią, Reed. Masz młodsze nogi.

- Ależ nie, nie trzeba. - Maddy podniosła się z krzesła. - Nie potrzebuję...

- Odprowadzę cię. - Reed ujął ją po ramię.

Nie zamierzała robić sceny. Choć Bóg jej świadkiem, miała na to wielką ochotę. Zamiast tego pochyliła się i pocałowała Edwina w policzek.

- Dzięki za lunch.

Do Reeda odezwała się dopiero, kiedy byli już na dworze.

- Słuchaj, ja naprawdę umiem sama przejść przez jezdnię. Wracaj do ojca.

- Masz jakiś problem?

- Czy ja mam jakiś problem? - Wyrwała mu rękę i spojrzała na niego z oburzeniem. -

Nie znoszę, jak mówisz do mnie takim kulturalnym tonem. - Przyspieszyła kroku.

- Masz jeszcze dwadzieścia minut. - Znów chwycił ją za rękę.

- Mówiłam, że muszę coś załatwić.

- Kłamiesz.

Pośrodku jezdni, przy świetle zmieniającym się z zielonego na żółte, znów odwróciła się ku niemu.

- No to powiedzmy, że mam coś lepszego do roboty. Coś lepszego niż siedzieć tu pod twoim intelektualnym mikroskopem. Co się stało? Nie podoba ci się, że dobrze się bawię w towarzystwie twojego ojca? Boisz się, że próbuję go uwieść?

- Przestań. - Pociągnął ją za sobą, bo czekające przed pasami auta zaczęły już trąbić.

- Ty chyba w ogóle nie lubisz kobiet, co? Wsadziłeś wszystkie do pudełka z napisem „Nie ufać”. Ciekawa jestem dlaczego?

- Maddy, zaczynasz histeryzować.

- Jeszcze mnie nie widziałeś w stanie prawdziwej hysterii. Obserwowałam cię ze sceny. Patrzyłeś na mnie tym swoim zimnym, szacującym wzrokiem. Jakbyś patrzył na mnie, a nie na postać, którą gram, i jakbyś nie chciał, żeby którakolwiek z nas wygrała.

Było w tym ziarno prawdy, ale nie zamierzał się do tego przyznawać.

- Nie bądź śmieszna.

- Nie jestem śmieszna. - Byli już przed drzwiami do teatru. - Dobrze wiem, kiedy jestem śmieszna, i to akurat nie jest ten moment. Nie wiem, co cię gnębi, Reed, ale bardzo ci współczuję. Próbowałam się tym nie przejmować, w ogóle próbuję się wieloma rzeczami nie przejmować, ale to już za wiele.

- Czego za wiele? - Chwyił ją za ramiona i praktycznie przygwoździł do ściany budynku.

- Widziałam twoją minę, kiedy twój ojciec mówił o przyjęciu. Wiesz, nie musisz się tym martwić, nie przyjdę. Znajdę jakąś wymówkę.

- O czym ty mówisz? - wycedził.

- Nie przypuszczałam, że będziesz się wstydził, że ktoś cię zobaczy w moim towarzystwie.

- Maddy...

- To zrozumiałe, prawda? Jestem zwyczajną Maddy O'Hurley, bez dyplomu i bez drzewa genealogicznego. Szkołę skończyłam zaocznie, a moi przodkowie to chłopcy z południa Irlandii.

Reed ujął ją pod brodę.

- Jeśli następnym razem zechcesz mi zrobić podobny wykład, to daj mi wcześniej jakieś instrukcje, żebym się nie pogubił. Nie wiem, o czym mówisz!

- Mówię o nas! - zawołała. - Zresztą sama nie wiem dlaczego, bo nie ma żadnych „nas”. Ty nie chcesz żadnych „nas”. Tak naprawdę nie chcesz nawet żadnego ty i ja, więc...

Uciszył ją w bardzo prosty, ale skuteczny sposób. Przywarł wargami do jej ust.

- Zamknij się - ostrzegł, kiedy próbowała protestować. - Po prostu na chwilę się zamknij.

Od dawna czekał na ten moment. Gdyby wiedziała, jak cierpiał, patrząc, jak ona uwodzi pusty teatr, jak strasznie się czuł, siedząc obok niej i nie mogąc jej dotknąć.

- Uspokoilaś się? - spytał, gdy oderwał od niej usta.

- Nie.

- No to spróbuj choć pomilczeć. Nie potrafię sobie nawet przypomnieć, o czym myślałem, patrząc na ciebie na scenie. W ogóle trudno mi o czymkolwiek myśleć, kiedy na ciebie patrzę.

Chciała mu się odgryźć, ale zmieniła zdanie.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Jeśli chodzi o tamte inne sprawy, to jesteś śmieszna. Nie obchodzi mnie, czy kształciłaś się korespondencyjnie, czy na uniwersytecie. Nie obchodzi mnie pochodzenie twojej rodziny ani to, czy twój ojciec otrzymał szlachectwo, czy został skazany za kradzież.

- Za zakłócanie spokoju - mruknęła pod nosem. - Ale to było tylko raz, nie, przepraszam, dwa. - Kiedy po jej twarzy zaczęły płynąć łzy, znów go przeprosiła. - Naprawdę jest mi przykro. Kiedy jestem zła, to mnie ponosi i nie mogę przestać.

- Nie przepraszaj. - Reed otarł jej łzy. - Nie byłem z tobą do końca szczery. Musimy sobie parę rzeczy wyjaśnić.

- W porządku. Kiedy?

- Czy jest taki dzień, kiedy nie masz lekcji o świcie?

Maddy pociągnęła nosem i wyciągnęła z torby chusteczkę.

- W niedzielę.

- No to przyjdź do mnie w sobotę. Dobrze?

- Tak, Reed, przyjdę. Nie chciałam robić sceny.

- Ja też nie. Maddy... - zawahał się - ta sprawa z moim ojcem. To nie miało nic wspólnego z przyjęciem, jakie planuje. Nic wspólnego z twoją obecnością na tym przyjęciu, ani ze mną.

Bardzo chciała mu wierzyć.

- No to z czym? - zapytała.

- Od dawna nie widziałem ojca tak..., oczarowanego. Chciał mieć dom pełen dzieci, ale mu się nie udało. Gdyby miał córkę, pewnie cieszyłby się, gdyby była podobna do ciebie.

- Reed, nie wiem, czego ode mnie oczekujesz. ...

- Nie zrań go. Nie zniósłbym tego po raz drugi.

Lekko musnął dłonią jej policzek i odszedł.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy weszła do mieszkania, myślała o Reedzie. Wcale jej to nie zdziwiło. Myśli o nim tak zdominowały jej dzień, że z trudem koncentrowała się na swej roli jako Mary Howard. Do premiery w Filadelfii pozostały zaledwie trzy tygodnie. Nie mogła sobie pozwolić na domysły w odniesieniu do Reeda Valentine'a.

Ale co wydarzy się w sobotę? Co mu powie? Jak powinna się zachować? Uznała, że zachowuje się idiotycznie, i wsunęła klucz w zamek, nie przestając się jednak zastanawiać.

W mieszkaniu paliły się światła. Zamknęła za sobą drzwi i ze zmarszczonymi brwiami stanęła pośrodku pokoju. Owszem, często jest roztrzepana lub bardzo się spieszy, ale nigdy nie zostawia zapalonych świateł. Już w dzieciństwie nauczyła się oszczędzać energię i pieniądze. Zresztą rano, wychodząc na lekcje, chyba nawet ich nie zapalała.

Co dziwniejsze, poczuła zapach świeżo parzonej kawy.

Odstawiła torbę i ruszyła w stronę kuchni, kiedy z sypialni dobiegł ją jakiś hałas. Z bijącym sercem wyjęła z torby but do stepowania i uniosła przed sobą niczym broń. Nie uważała się za osobę agresywną, lecz nawet nie przyszło jej do głowy, by biec po pomoc. To był jej dom, a ona zawsze broniła swego.

Powoli i ostrożnie, by nie narobić hałasu, przeszła przez pokój. Usłyszała odgłos przesuwanych wieszaków i mocniej ścisnęła but. Jeśli złodziej myśli, że znajdzie tu coś wartościowego, to znaczy, że jest za głupi, aby z nim dyskutować. Postraszenie butem z metalowym obcasem powinno wystarczyć. Mimo to, im bliżej była drzwi, tym bardziej ściśnięte miała gardło.

Wstrzymując oddech, położyła wolną rękę na kłamce i ostrożnie ją nacisnęła. Ciszę panującą w mieszkaniu przerwały dwa przerażone okrzyki.

- No tak. - Chantel położyła sobie rękę na piersi. - Ja też cieszę się, że cię widzę.

- Chantel! - Z okrzykiem radości Maddy rzuciła but i chwyciła siostrę w ramiona. - Omal ci nie przyłożyłam.

- Możesz być pewna, że bym ci się zrewanżowała.

- Co tu robisz?

- Wieszam ubrania. - Chantel pocałowała siostrę w policzek i odrzuciła na plecy burzę platynowych włosów. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Jedwab strasznie się gniece.

- Oczywiście, że nie. Pytałam, co robisz w Nowym Jorku. Trzeba mi było dać znać, że przyjeżdżasz.

- Słoneczko, przecież pisałam do ciebie w zeszłym tygodniu.

- Nie... - Maddy przypomniała sobie stos listów leżących na stoliku. - Wiesz, chyba rzeczywiście za rzadko otwieram pocztę.

- Typowe.

- Tak, wiem.

Odsunęła siostrę od siebie, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Znała tę twarz tak dobrze jak własną, ale nigdy nie przestała jej podziwiać. Delikatne francuskie perfumy pasowały do Chantel tak idealnie jak ciemnoniebieskie oczy i usta w kształcie serca. - Och, Chantel, przepięknie wyglądasz. Tak się cieszę, że cię widzę.

- To ty wyglądasz przepięknie. - Chantel przyglądała się zaróżowionej buzi siostry. - Albo to te witaminy, które łykasz, albo się zakochałaś.

- Chyba jedno i drugie.

Brwi siostry powędrowały do góry.

- Naprawdę? Może wreszcie wyjdziemy z tej sypialni i pogadamy?

- Usiądźmy i napijmy się. - Maddy ujęła siostrę pod rękę. - Szkoda, że nie ma z nami Abby. Dopiero byłoby cudownie. Jak długo tu zostaniesz?

- Tylko dwa dni - wyjaśniła Chantel, kiedy przechodziły do salonu. - W piątek wieczorem wręczam jakąś ważną nagrodę. Moi agenci uważają, że to będzie „bardzo interesująca impreza”.

- A ty nie. - Maddy otworzyła szafkę i zaczęła w niej czegoś szukać.

- Wiesz, że Nowy Jork nie jest miastem moich marzeń. Jest za...

- Przyjemny?

- Powiedzmy, że zbyt hałaśliwy. - Jakby na potwierdzenie jej słów ulicą przejechały z głośnym wyciem dwa radiowozy. - Mam nadzieję, że masz jakieś wino, Maddy. Kawy już nie miałaś.

- Przestałam pić kawę.

- Ty?

- Za dużo jej pochłaniałam. Kofeina mi nie służy. Przerzuciłam się na herbatki ziołowe. - Maddy znów wciągnęła w nozdrza bogaty aromat kawy. - Skąd ją zdobyłaś?

- Pożyczyłam kilka łyżeczek od twojego sąsiada.

- Chyba nie od Guida?

- Od Guida. Tego z bicepsami i dużymi zębami. Maddy wyjęła z szafki dwa kieliszki.

- Wiesz co, Chantel? Od lat mieszkam z nim drzwi w drzwi i bez obstawy nawet nie powiedziałabym mu dzień dobry.

- Był uroczy. - Chantel oparła się o blat i odgarnęła włosy. - Choć koniecznie chciał ze mną tę kawę wypić.

Maddy spojrzała na klasyczne rysy siostry, na jej wspaniałe ciało i lazurowe oczy, tak łatwo hipnotyzujące mężczyzn.

- Nie dziwię się. Za O'Hurleyów - powiedziała, stukając się z siostrą kieliszkiem.

- Niech Bóg ma w opiece każdego z nich - szepnęła Chantel i wypła łyk, po czym się skrzywiła. - Widzę, że wciąż kupujesz wino na pchlim targu.

- Nie jest takie złe. Usiądźmy. Miałaś ostatnio jakieś wiadomości od Abby?

- Dzwoniłam do niej przed wyjazdem, żeby wiedziała, że jesteśmy na tym samym wybrzeżu. Rozdzielała właśnie walczących chłopców i była w siódmym niebie.

- A Dylan?

Chantel, zmęczona długim lotem, z przyjemnością opadła na kanapę.

- Mówiła, że prawie już skończył pisać tę swoją książkę.

- Podoba jej się?

- Chyba tak. Abby ufa mu bezgranicznie. - W głosie Chantel słychać było lekką ironię, której do końca nie potrafiła ukryć. - Chyba już zapomniała o Rockwellu. Podobno Dylan chce adoptować chłopców.

- To świetnie. - Maddy poczuła, że oczy jej wilgotnieją. - Naprawdę świetnie.

- To jej było potrzebne. Ktoś taki jak on. O, i wiesz co? Tracie przysłał jej w prezencie ślubnym koronkowy obrus.

- Miejmy nadzieję, że uda mu się przyjechać na wesele. Gdzie on się teraz podziewa?

- Chyba jest w Bretanii.

- Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, co on właściwie robi?

- Wolę raczej o tym myśleć. A nuż to coś nielegalnego? Czy mama i tata przyjadą na twoją premierę?

- Mam nadzieję. To dopiero za trzy tygodnie. Ty pewnie nie dasz rady przyjechać z powrotem na wschód.

- Nie gniewaj się. - Chantel pogładziła siostrę po ręce. - Zdjęcia do „Nieznajomych” trochę się opóźniły, podobno są jakieś problemy z plenerami. Zaczynamy za dwa tygodnie. Wiesz, że gdybym tylko mogła, na pewno bym przyjechała.

- Wiem. Na pewno bardzo się cieszysz. To taka wspaniała rola.

- Tak. - Przez oczy Chantel przemknął cień niepewności.

- Coś nie tak?

Chantel wahała się, czy opowiedzieć o anonimach, jakie dostaje, i o telefonach. Nie zdobyła się jednak na to.

- Sama nie wiem. To pewnie nerwy. Nigdy nie grałam w serialu. To coś zupełnie innego niż telewizja czy film fabularny.

- Nie żartuj, Chantel. Znam cię jak zły szeląg.

- Naprawdę nic mi nie jest. - Była zdecydowana nie mówić nikomu o takiej drobnostce, która pewnie po jej powrocie do Kalifornii będzie już tylko złym snem. - Muszę się tylko wziąć w garść. Porozmawiajmy raczej o tym mężczyźnie, który teraz zaprzęta twoje myśli. No, Maddy, zwierz się starszej siostrze.

- Nie wiem, czy jest tu coś do opowiadania.

- Maddy usiadła w pozycji kwiatu lotosu. - Czy przypominasz sobie, żeby tata kiedyś mówił, że zna Edwina Valentine'a?

- Edwina Valentine'a? - Chantel zmrużyła oczy i zaczęła się zastanawiać. Jednym z powodów jej szybkiej kariery w Hollywood był fakt, że nigdy niczego nie zapomniała. Ani tekstu, ani nazwisk, ani twarzy. - Nie, nie przypominam sobie tego nazwiska.

- Jest właścicielem Valentine Records. - Chantel znów uniosła brwi i czekała na dalszy ciąg. - To jedna z najlepszych wytwórni płytowych, może nawet najlepsza. No więc Valentine poznał tatę i mamę, kiedy byliśmy malutkie. Dopiero zaczynał, a oni przenocowali go na leżance w swoim pokoju hotelowym.

- To do nich podobne. - Chantel zsunęła pantofle i zgarbiła się. Na taką swobodę pozwalała sobie tylko przy rodzinie. - I co dalej?

- Ta wytwórnia sponsoruje naszą sztukę.

- To ciekawe. Maddy, chyba nic cię z nim nie łączy? Przecież on musi być w wieku taty. Nie twierdzę, że wiek odgrywa w związku jakąś znaczącą rolę, ale jeśli dotyczy to mojej siostry...

- Ejże, ejże. - Maddy parsknęła śmiechem. - Gdzieś chyba czytałam, że spotykałaś się z hrabią DeVardo, tym jubilerem. Facet ma dobrze pod sześćdziesiątkę.

- To było co innego. Europejczycy są bez wieku.

- A, w takim razie wszystko w porządku.

- Dzięki za uznanie. Zresztą byliśmy tylko przyjaciółmi. Jeśli tracisz głowę dla faceta, który mógłby być twoim ojcem...

- Nie tracę głowy. I chodzi o jego syna.

- Czyjego syna? Aha. - Chantel odetchnęła z ulgą i rozsiadła się wygodnie na kanapie.
- A więc ten Edwin Valentine ma syna. Tancerza?

- Nie. - Maddy nie mogła się nie uśmiechnąć. - Przejął po nim firmę.

- No, no. Wchodzimy w wielki świat, co?

- Sama nie wiem, co robię. - Maddy rozplotła nogi i wstała. - Chwilami myślę, że zwariowałam. Jest cudowny, konserwatywny i odnosi sukcesy. Lubi francuskie restauracje.

- A to świnią.

- Nie śmiej się, Chantel. Lepiej powiedz, co mam robić.

- Spałaś z nim? - Chantel swoim zwyczajem od razu przeszła do konkretów.

- Nie. - Maddy westchnęła głęboko i znów usiadła.

- Ale myślałaś o tym.

- Ostatnio w ogóle nie myślę o niczym innym oprócz niego.

Chantel sięgnęła po butelkę i dołała sobie wina. Kiedy już przełknęła pierwszy łyk, okazało się całkiem znośne.

- A co on do ciebie czuje?

- Tego właśnie nie wiem. Jest miły, uprzejmy i ma w sobie jakąś, ja wiem... dobroć. Ale jeśli chodzi o kobiety, zasłania się przed nimi żelazną tarczą. W jednej chwili trzyma mnie w ramionach i czuję się, jakbym czekała na to całe życie, a zaraz potem traktuje mnie, jakbyśmy się prawie nie znali.

- Czy on zdaje sobie sprawę z twoich uczuć?

- Boję się, że tak. Nie odważyłabym się powiedzieć mu o nich wprost. Dał mi jasno do zrozumienia, że nie interesują go stałe związki.

- A ciebie tak? - Chantel chyba się trochę przestraszyła.

- Mogłabym spędzić z nim całe życie. - Maddy spojrzała siostrze prosto w oczy. - Chantel, ja bym go mogła uszczęśliwić.

- Maddy, kochanie, do takich rzeczy trzeba dwojga. - Och, sama o tym wiedziała aż za dobrze. - A on? Czy on może uszczęśliwić ciebie?

- Gdyby tylko pozwolił mi do siebie dotrzeć. Tak tylko trochę, żebyśmy mogła zrozumieć, dlaczego tak bardzo boi się uczuć. Wiem, że w jego życiu coś się wydarzyło, coś strasznego. Dlatego jest taki nieufny. Gdybym wiedziała, co to było, mogłabym coś z tym zrobić. A tak poruszam się po omacku.

Chantel odstawiła kieliszek i czułym gestem ujęła siostrę za rękę.

- Naprawdę go kochasz?

- Naprawdę.

- Szczęściarz z niego.

- Nie jesteś obiektywna.

- Racja. Ale jestem pewna, że choćby nie wiem jak się opierał, nie ma szans. No, popatrz tylko na tę twarz. - Chantel ujęła Maddy pod brodę. - Aż bije z niej szczerłość, lojalność, oddanie.

- Mówisz o mnie jak o cocker spanielu.

- Posłuchaj, siostrzyczko, to proste. Jeśli kochasz tego człowieka i chcesz, żeby on też cię kochał, to najlepiej po prostu bądź sobą.

Maddy, wyraźnie zniechęcona, uniosła do ust kieliszek. A niech tam, pozwoli sobie na jeszcze trochę wina.

- Myślałam, że poinstruujesz mnie trochę w sztuce uwodzenia.

- Właśnie to zrobiłam. Specjalnie dla ciebie. Gdybym wyjawiała ci niektóre moje sekrety, włosy na głowie by ci dęba stały. Zresztą tobie chodzi o małżeństwo, prawda?

- Chyba tak.

- Wobec tego, mimo że w większości związków nie polecam szczerości, tu jest inaczej. Jeśli chcesz tego człowieka na dobre i na złe, musisz wziąć inicjatywę w swoje ręce. Kiedy się z nim spotykasz?

- Dopiero w sobotę.

Chantel zamyśliła się. Chętnie zobaczyłaby tego Valentine'a, ale w sobotę będzie już w drodze do domu.

- Po pierwsze nie zaszkodzi ci jakiś nowy ciuch. - Z niesmakiem spojrzała na wypchany, bezkształtny dres siostry. - Coś seksownego, ale takiego, żeby do ciebie pasowało.

- Znajdę coś takiego?

- Zostaw to mnie. - Chantel szybkim spojrzeniem oceniła, że wciąż noszą ten sam rozmiar. - Jediną rzeczą, jaka mi się podoba w Nowym Jorku, to zakupy. A skoro już o zakupach mowa, to wiesz, że masz w lodówce tylko trzy zwiędłe marchewki i karton soku?

- Zamierzałam coś kupić w sklepie ze zdrową żywnością. To zaraz za rogiem.

- Oszczędź mi tego. Nie jadam kiełków.

- Przecnicę dalej jest restauracja, gdzie można zjeść wspaniałe spaghetti.

- Super. Kto ma się przebrać? Ja czy ty? Maddy popatrzyła na swój dres, potem na elegancki, jedwabny kostium siostry.

- Ty. Wzięłaś ze sobą coś mniej hollywoodzkiego?

- Nie mogłam wziąć czegoś, czego nie mam. Muszę dbać o mój wizerunek gwiazdy. Nawet nie wiesz, jaka to ciężka praca.

- Mam coś, co możesz na siebie narzucić, nie niszcząc za bardzo tego twojego wizerunku. Zresztą to taka knajpa dla zwykłych ludzi, więc raczej nikt cię w niej nie rozpozna.

Chantel wstała i uśmiechnęła się leniwie.

- Założysz się? Maddy przytuliła siostrę.

- Chantel, jesteś jedna na milion.

Och, gdyby życie mogło być takie proste jak w tej chwili, pomyślała ze smutkiem Chantel i oparła policzek na ramieniu Maddy.

- Nie, jest nas trzy na milion. Jak to dobrze, że was mam.

Gdy w sobotę po próbie Maddy wróciła do domu, mieszkanie było puste. Spędziła prawie trzy dni z Chantel. Podczas swej krótkiej wizyty siostra oczarowała opryskliwego Guida, podczas swej krótkiej obecności na próbie wzbudziła respekt całej obsługi technicznej teatru i wykupiła połowę sklepów na Piątej Alei.

Maddy już za nią tęskniła. Gdyby Chantel mogła zostać jeszcze jeden dzień...

Z westchnieniem ruszyła pod prysznic. Jakie to głupie, że potrzebuje moralnego wsparcia przed zwykłym spotkaniem z Reedem. Przecież chce tylko porozmawiać o ich znajomości.

Umyje się, przebierze i złapie metro. Przecież nie pierwszy raz spędzi wieczór w mieszkaniu Reeda. Zresztą naprawdę muszą porozmawiać. Nie ma powodu, by się denerwować.

Sztuka idzie całkiem nieźle. Powie mu o tym. Zacznie właśnie od tego. Doda, że w przyszłym tygodniu wyjeżdżają na ostatnie dni intensywne próby do Filadelfii. Czy będzie za nią tęsknił? Czy jej o tym powie?

Przemawiając tak do siebie, wyszła z kabiny prysznicowej i zaczęła grzebać w szafie w poszukiwaniu suszarki. Znalazła ją nie bez trudu i szybko wysuszyła włosy. Wyjęła z szafki górę kosmetyków i zabrała się za makijaż.

Nieraz sama robiła sobie fryzurę i makijaż na scenę. Szybko się nauczyła, że jeśli nie chce być zależną od czyjegoś czasu i fochów, musi umieć robić to samodzielnie. Jeśli trzeba było, umiała znaleźć odpowiednie cienie i kremy, i błyskawicznie przeistoczyć się w Mary, Suzanne czy kogokolwiek innego. Tego wieczoru jednak była po prostu sobą.

Zadowolona, weszła do sypialni. Tam, na łóżku, leżał prezent od Chantel. Najpierw wzięła do ręki kartkę, napisaną dużymi, nieporządnymi literami.

Po długich, wyczerpujących poszukiwaniach oraz długim namyśle uznałam, że to jest coś dla ciebie. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, to już w przyszłym miesiącu. Włóż to

dzisiaj dla twojego Reeda. A jeszcze lepiej - włóż to dla siebie. Zaufaj mi. Będę o tobie myślała. Wiesz, że cię kocham, maleńka. Złam nogę. Chantel

Maddy przygryzła wargę i spojrzała na podarunek od siostry. Lejące się, jedwabne spodnie miały ostrą, różową barwę. Właśnie taką, jakiej ona przy swych włosach raczej by unikała. Popatrzyła na nie podejrzliwie, ale nachyliła się, by ich dotknąć. Do tego Chantel kupiła małą, obcisłą górę w kolorze nefrytu. Interesujące połączenie i, o dziwo, nawet w jej stylu. Maddy uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Największe wrażenie zrobił na niej jednak żakiet. Także z jedwabiu, trochę zbyt obszerny, i tak samo lejący się jak spodnie. Przyszyto do niego tysiące perełek mieniących się wszystkimi barwami tęczy. Kiedy nim poruszyła, za każdym razem pojawiał się inny wzór, jak w kalejdoskopie. Na pierwszy rzut oka nazwałaby go zbyt wyrafinowanym jak na jej gust, zbyt eleganckim jak na jej styl, ale te zmieniające się przy każdym ruchu wzory pobudziły jej wyobraźnię i wzbudziły podziw.

- Dobrze - powiedziała na głos. - Niech się dzieje, co chce.

Dlaczego jest taki zdenerwowany? Reed po raz dziesiąty przemierzył swe ciche mieszkanie. To idiotyzm denerwować się tylko dlatego, że ma spędzić wieczór z kobietą, nawet jeśli tą kobietą jest Maddy. Szczególnie dlatego, że tą kobietą jest Maddy, poprawił się w myślach.

Już wcześniej spędzali razem wieczory, ale dzisiejszy był chyba inny. Mając nadzieję, że muzyka go uspokoi, włączył stereo.

Pragnąc udowodnić samemu sobie, że potrafi żyć bez Maddy, celowo unikał jej przez cały tydzień. Gdzieś koło czwartku przestał już liczyć, ile razy podnosił słuchawkę i wykrecał pierwszych kilka cyfr jej numeru, tylko po to, by zaraz się rozłączyć.

Będą przecież tylko rozmawiać. Muszą ustalić, czego się nawzajem po sobie spodziewają, jakie są zasady ich znajomości, gdzie które z nich wytycza granice. Chciał się z nią kochać. Nie, pragnął się z nią kochać, sprostował, i na samą myśl poczuł gorące pożądanie.

Mogą być kochankami i mimo to pozostać na przyjacielskiej stopie. To muszą od razu sobie powiedzieć. Gdy Maddy przyjdzie, usiądą i porozmawiają o swych potrzebach i ograniczeniach jak dorośli ludzie. Dojdą do rozsądnego porozumienia i przejdą dalej. Nikt nie będzie pokrzywdzony.

Zrani ją. Reed masował sobie kark i zastanawiał się, czemu jest tego taki pewien. Wciąż pamiętał, jak patrzyły na niego oczy Maddy podczas ich ostatniego spotkania. Wyglądała wtedy na zranioną i jednocześnie silną.

Ile razy powtarzał sobie, że wykorzysta ten wieczór, by to zerwać, by zakończyć to wszystko, zanim posuną się dalej? Ile razy ostatecznie przyznawał, że nie będzie to możliwe?

Stała się dla niego ważna, a na to nie mógł sobie pozwolić. Najlepszym sposobem, by to przerwać, będzie ustalenie pewnych zasad. Znow zaczął spacerować od okien do ściany i spoglądać na zegarek. Spóźnia się. Doprowadza go do szału.

Co w niej jest takiego? Nie jest szczególnie ładna, nie jest ani trochę taką kobietą, na którą mógłby zwrócić uwagę. A jednak chwyciła go za gardło. Musiał jakoś zwolnić ten uścisk, zyskać kontrolę, ruszyć do przodu we własnym tempie.

Gdzie ona się, do cholery, podziewa?

Właśnie ją przeklinał, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Przystanął na chwilę, by ochłonać. Nie powinien otwierać jej taki rozdrażniony. Jeśli zacznie rozmawiać z nią spokojnie, zachowa spokój do końca. Kiedy jednak otworzył drzwi, przestał logicznie myśleć.

Stwierdził, że wcale nie jest taka ładna? Jak mógł się tak pomylić? Powtarzał sobie, że nie jest pociągająca, a tymczasem stała teraz przed nim świeża, błyszcząca i kipiąca energią, a on nigdy w życiu nie był tak oczarowany.

- Cześć. Jak się masz? - Nie mógł słyszeć, jak nierówno bije jej serce, kiedy uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

- Cześć. - To był ten zapach, który towarzyszył mu przez wszystkie dni. To idiotyzm, by dorosły mężczyzna marzył o perfumach, które można kupić w każdym sklepie z kosmetykami.

Maddy zawahała się na moment.

- Chciałeś się ze mną zobaczyć dziś wieczorem, tak?

- Owszem.

- No więc może mnie wpuścisz?

Jej rozbawiony wzrok sprawił, że poczuł się dziwnie.

- Oczywiście. Przepraszam.

Zamknął za nią drzwi i zastanawiał się, czy właśnie nie popełnia największego błędu w swoim życiu.

- Cudownie wyglądasz. Tak jakoś inaczej...

- Tak uważasz? - Znow się uśmiechnęła i zrobiła piruet. - Moja siostra wpadła do miasta na dwa dni i kupiła mi to. - Obróciła się jeszcze raz, jakby chciała podzielić się z nim swoją radością. - Super, prawda?

- Tak. Jesteś piękna.

Łatwo było skwitować to śmiechem.

- No bo mam piękny strój. Nie zająłeś na żadną próbę.

- Nie. - Bo musiał dać sobie trochę czasu. - Napijesz się czegoś?

- Może odrobinę wina. - Jak zwykle podeszła do okna. - Naprawdę sztuka zaczyna nabierać kształtu. Już prawie wszystko jest dopracowane.

- Moi księżowi będą zachwyceni.

- Przecież i tak nic nie stracisz! - Znów się roześmiała. - Jeśli odniesiemy sukces, zgarniesz swoją kasę, jeśli padniemy, odpiszesz sobie od podatku. Ale ta sztuka żyje, Reed. Za każdym razem, kiedy wychodzę na scenę jako Mary, staje się coraz żywsza. Potrzebuję takich wibracji. Wtedy i ja czuję, że naprawdę żyję.

- I sztuka ci to daje?

Maddy spojrzała na swój kieliszek, potem znów na leżące w dole miasto.

- Tak. To, co przeżywam w teatrze, stanowi ważną część mojego życia. Kiedy jestem na scenie. .. Kiedy jestem na scenie - zaczęła jeszcze raz - i widzę teatr pełen ludzi czekających na mnie... Nie wiem, jak to wytłumaczyć, Reed.

- Spróbuj. - Patrzył na nią i na światła miasta za jej plecami. - Chcę wiedzieć.

- Czuję akceptację. Może nawet czuję się kochana, i potrafię odwzajemnić tę miłość. Tańcem, piosenką. To głupio zabrzmie, jeśli powiem, że po to się urodziłam, ale to prawda. Po to właśnie się urodziłam.

- Wystarczy ci tak stać na scenie i być uwielbianą przez tysiące obcych ludzi?

Patrzyła na niego długo i przenikliwie. Wiedziała, że jej nie rozumie. Coś takiego potrafi zrozumieć tylko aktor.

- Może, ale tylko gdybym na pewno wiedziała, że nic więcej mnie już w życiu nie spotka.

- Nie potrzebujesz jakiejś jednej stałej osoby czy rzeczy? Pociąga cię ta zmienność i różnorodność, jaką daje ci teatr?

- Tego nie powiedziałam. Chodzi mi o to, że zawsze umiałam się przystosować. Umiałam, bo musiałam. Brawa wypełniają część pustki, Reed. Jak się bardzo postarasz, to nawet całą. Podejrzewam, że dla ciebie tę samą rolę odgrywa praca.

- Owszem. Mówiłem ci, że nie mam czasu ani ochoty na długi związek.

- Owszem, mówiłeś.

- I to jest prawda, Maddy. - Musiał wypić łyk wina, bo jego własne słowa zostały w jego ustach niesmak. Dlaczego kiedy tak bardzo stara się być szczery, czuje się jak kłamca? - Próbowaliśmy tego tak, jak chciałaś. Jako przyjaciele.

Jej palce były zimne jak lód. Odstawiła kieliszek i splotła je, żeby się rozgrzały.

- Chyba nam się udało.

- Chcę więcej. - Wsunął rękę w jej włosy i przyciągnął ją do siebie. - A jeśli wezmę więcej, sprawię ci ból.

To była prawda. Przyjęła ją i zaraz potem zlekceważyła.

- Ja sama za siebie odpowiadam, Reed. Także za swoje uczucia. Ja też chcę więcej. Cokolwiek się stanie, wybór był mój.

- Jaki wybór, Maddy? Czy nie pora przyznać, że od początku żadne z nas nie miało wyboru? Chciałem cię odepchnąć. To był mój wybór. I cały czas przyciągałem cię bliżej i bliżej. - Położył ręce na jej ramionach i powoli zsunął z nich żakiet. - Nie znasz mnie - szepnął, kiedy poczuł dreszcz przeszywający jej ciało. - Nie wiesz, co siedzi we mnie w środku. Wiele rzeczy by ci się nie podobało, jeszcze innych nawet byś nie zrozumiała. Gdybyś była rozsądna, wyszłabyś teraz z tego mieszkania.

- Chyba nie jestem rozsądna...

- Zresztą, już bym cię nie puścił.

Jej skóra pod jego palcami była ciepła i miękka.

- Znienawidzisz mnie, zanim to się skończy.

- Ja tak łatwo nie zaczynam nienawidzić, Reed.

- Chcąc go uspokoić, pogładziła go po policzku.

- Zaufaj mi choć trochę.

- Zaufanie nie ma z tym nic wspólnego. - Na moment w jego oczach pojawiło się coś, czego nie rozumiała. - Zupełnie nic. Pragnę cię i to pragnienie nie daje mi żyć. Tylko to mogę ci ofiarować.

Zgodnie z jego zapowiedzią, poczuła ból, lecz go zignorowała.

- Gdyby to była prawda, chyba byś z tym tak bardzo nie walczył.

- Już nie walczę. - Jego wargi musnęły jej usta. - Zostaniesz ze mną na noc?

- Tak, zostanę. Bo tego chcę.

Ujął jej dłoń i pocałował. Była to obietnica. Jedyna, jaką mógł jej dać.

- Chodź ze mną.

Poszła za nim. I za głosem serca.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wisząca w holu lampa rzucała nieco światła do sypialni. Reszta mieszkania pogrążona była w mroku. Reed zostawił włączone stereo, ale teraz, kiedy przystanęli i zaczęli się dotykać, docierały do nich już tylko echa muzyki.

Chciała zobaczyć jego oczy w takiej sytuacji, całe skoncentrowane na niej i na tym, czego od niej pragnął. Uśmiechnęła się, przysuwając usta do jego warg i domagając się pocałunku.

- Robisz błąd - szepnął.

- Óóó. Zostawmy ocenę tego na później. Chciałam wiedzieć, jak to będzie od chwili, kiedy cię pierwszy raz ujrzałam. - Patrząc mu w oczy, zaczęła rozpinąć mu koszulę. - Chciałam wiedzieć, jak wyglądasz, chciałam cię poczuć. - Zdjęła z niego koszulę i dotknęła skóry na jego piersi. - Leżałam w nocy i zastanawiałam się, kiedy będziemy razem, tak jak teraz. Reed, ja się ciebie nie boję. Nie boję się też tego, co czuję.

- Powinnaś się bać...

- To pokaż mi dlaczego. - W jej oczach było wyzwanie.

Przyciągnął ją mocno do siebie i poczuł, jak drży.

Ze strachu czy podniecenia? Nie wiedział. Ale jej palce mocno zacisnęły się na jego ramionach, a jej usta powitały go z radością.

Kiedyś myślał, że jest czarownicą. Teraz znów coś takiego przyszło mu do głowy. Gdy trzymał ją w ramionach, nie był w stanie myśleć, zapominał o dawniejszych postanowieniach i poddawał się tylko zmysłom. Zmysłom, które w nim obudziła.

Chciał wziąć ją szybko i gwałtownie, nawet pośrodku pokoju, żyć tylko tą chwilą, niczego nie obiecywać. Tak byłoby lepiej. Dla niej i dla niego.

I wtedy wyszeptała jego imię, cicho i łagodnie.

A on nie potrafił już być szybki i gwałtowny. Kiedyś może przyjdzie taki czas, że ją zrani, ale nie teraz. Ten wieczór będzie wyjątkowy. Zapomni o przeszłości, nie będzie myślał o przyszłości. Będzie tylko teraźniejszość. Ta jedna noc, kiedy spróbuje dać jej tyle, ile zdoła.

Delikatnie zsunął jej stanik. Maddy jakby wyczuła zmianę jego nastroju, bo znieruchomiała. Z czułością, jaka zaskoczyła nawet jego, muskał wargami jej nagie, gładkie jak jedwab ramiona i wdychał oszałamiający, tak dobrze mu już znany zapach jej ciała. Nagle wydała mu się małeńka, krucha, niewinna...

Maddy zaś odniosła wrażenie, że Reed przestał walczyć. Nie wiedziała tylko z kim. Z nią czy może z sobą samym? Jej serce było już dawno otwarte i gotowe go przyjąć.

Choć oddychała z trudem, ona też pieściła wargami jego ciało. Długo i powoli, by dać mu czas na oswojenie się z tym, co teraz dzieje się między nimi. Czuła, że kierują nim teraz uczucia, a nie zwykłe, czysto fizyczne pożądanie.

Zbyt dobrze знаła swe ciało, by czuć się niezręcznie. Biodra miała szczupłe, nogi długie. Nie zawstydziała się, kiedy obnażył jej piersi, westchnęła tylko z zachwytem i poddała się jego pieszczotom.

- Pocałuj mnie jeszcze raz - szepnęła w pewnej chwili. - Lubię to, co się ze mną dzieje, jak mnie całujesz.

A gdy oboje byli już nadzy, wtuliła się w niego całą sobą.

- Tak bardzo chciałam, żebyś mnie dotykał. Czasem leżałam w łóżku i wyobrażałam sobie, że właśnie to robisz. O, tutaj - ręką pokierowała jego dłonią. - I tutaj. Chyba nigdy nie będę miała dosyć.

I dopiero wtedy zapomniał o delikatności. Z każdym ruchem, każdym oddechem jego serce biło szybciej i mocniej. Kiedy ją wziął, gorącą i wilgotną, zrozumiał, że i on nigdy nie będzie w stanie się nią nasycić.

Gdy się obudził, Maddy już nie było. Miejsce w łóżku, na którym leżała, kiedy zasypiał, było puste. Napełniło go to lękiem i bólem. Z salonu dobiegały poranne wiadomości z nie wyląconego od wczoraj radia. Reed patrzył w sufit i analizował to dziwne, dotąd mu nie znane uczucie. Uczucie pustki.

Dlaczego tak się czuł? Spędził podniecającą noc z podniecającą kobietą, która teraz poszła w swoją stronę. Przecież właśnie tego chciał. Taki miał być przebieg tej gry. W tę noc dali sobie nawzajem pocieszenie, ciepło i namiętność. Teraz wzeszło słońce i wszystko się skończyło. Powinien być wdzięczny, że potraktowała to tak lekko, że potrafiła zniknąć bez choćby „do widzenia”.

Dlaczego więc czuje się taki pusty, taki samotny i opuszczony? Nie może sobie pozwolić na żal, że nie ma jej przy nim, że się do niego nie uśmiechnie leniwie i nie przytuli. Dobrze wiedział, że związki na ogół są krótkie i powierzchowne. Powinien ją podziwiać za szczerość, za przyznanie, że to, co zdarzyło się między nimi, było tylko fizycznym zaspokojeniem. Nikt niczego nie obiecywał, nikt nie prosił o obietnice. Przeżyli po prostu parę godzin zwyczajnej przyjemności, która nie wymaga przeprosin ani wyjaśnień.

Czemu więc czuje się taki pusty, taki wydrążony?

Bo Maddy odeszła, a on chciał trzymać ją w ramionach.

Reed zdusił w ustach przekleństwo i usiadł. Przeczesał ręką włosy i... zauważył na podłodze obok łóżka różową, jedwabną plamę. Odrzucił koc i wstał, by podnieść spodnie, które poprzedniego wieczoru zsunął z nóg Maddy. Chyba nie mogła pójść daleko bez nich? Nadal trzymał je w ręku, gdy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi wejściowe.

Rzucił spodnie na krzesło i wciągnął na siebie szlafrok. Znalazł Maddy w kuchni. Stawiała właśnie na blacie torbę z zakupami.

- Maddy?

Na dźwięk jego głosu aż podskoczyła.

- Reed! - Przyłożyła rękę do serca i na moment zamknęła oczy. - Ależ mnie przestraszyłeś. Myślałam, że śpisz.

A on myślał, że sobie poszła.

- Co robisz?

- Wyszłam kupić coś na śniadanie.

Już nie czuł się pusty.

- Myślałem, że zniknęłaś na dobre.

- Nie wygłupiaj się. Nie mogłabym tak po prostu sobie zniknąć. - Przeczesała palcami włosy, które tego ranka nie widziały jeszcze szczotki. - Może wrócisz do łóżka? Za minutę wszystko będzie gotowe.

- Maddy... - Postąpił krok w jej stronę. - Co ty masz na sobie?

- Podoba ci się? - Ze śmiechem ujęła w palce rąbek jego koszuli i obróciła się dokoła.

- Masz znakomity gust. Wyglądałam w niej bardzo modnie.

Zbyt obszerna koszula zwisała jej z ramion, muskała jej uda i sprawiała, że wyglądała cholernie pociągająco.

- Czy to mój krawat?

Mocno zacisnęła usta, by powstrzymać śmiech, i pogłaskała czarny jedwab, którym obwiązała się w pasie.

- Nic innego nie znalazłam. Ale nie martw się, zaniosę go do prasowania.

Nogi miała gołe. Znów na nie spojrzał i pokręcił głową.

- Wyszłaś w tym stroju?

- Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. - Zapewniła go o tym z takim przekonaniem, że omal jej nie uwierzył. - Wiesz co? Umieram z głodu. - Zarzuciła mu ręce na ramiona i pocałowała tak serdecznie, że serce zaczęło mu szybciej bić. - Wracaj do łóżka, a ja za chwilę wszystko przyniosę.

Posłuchał jej, bo potrzebował chwili, by dojść do siebie. A więc nie zniknęła. Jest tu, w jego kuchni, szykuje śniadanie, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Sprawilo mu to przyjemność, a potem go zmartwiło. Zastanawiał się, co ma z tym wszystkim począć.

- Mam dodatkową porcję bitej śmietany, gdybyśmy mieli na nią ochotę - oznajmiła Maddy, wchodząc do sypialni.

Wskoczyła do łóżka i postawiła tacę między nimi.

- Co to?

- Lody. Z truskawkami i bitą śmietaną - wyjaśniła, zanurzając palec w białym puchu. Kiedy włożyła go do ust, aż jęknęła z rozkoszy.

- Lody z truskawkami i bitą śmietaną - powtórzył. - Na śniadanie? Czy to ta sama Maddy O'Hurley, która liczy kalorie?

- Lody to nabiał - przypomniała, wręczając mu łyżeczkę. - Truskawki są świeże. Czemu więcej można chcieć...

- Jajek na bekonie!

- Za dużo tłuszczu i cholesterolu. No i są ciężkostrawne. A poza tym ja świętuję.

- Co?

Ich oczy się spotkały. Potem Maddy lekko westchnęła. Jak może nie wiedzieć? A jeśli rzeczywiście nie wie, to jak mu to wytłumaczyć?

- Ty wyglądasz cudownie. Ja czuję się cudownie. Jest niedziela i świeci słońce. To chyba dosyć przyczyn, żeby świętować. - Maddy wzięła truskawkę i włożyła ją Reedowi do ust. - Ciesz się chwilą. Nie zważaj na niebezpieczeństwa.

- A ja myślałem, że żywisz się tylko ziarnami i kielkami.

- Głównie tak. Dlatego to jest takie wspaniałe, - Maddy zamknęła oczy i rozkoszowała się smakiem rozpuszczających się na języku lodów. - Zazwyczaj w niedzielę rano biegam.

- Biegasz? - powtórzył Reed, zaczynając jeść.

- Tylko dwa, trzy kilometry.

- Tylko.

- Ale dzisiaj jestem kobietą upadłą.

- Naprawdę? - Reed delikatnie położył jej rękę na kolanie.

- Oczywiście. Jutro za to zapłacę, więc idę na całość.

- Postanowiłaś zostać tutaj i iść na całość?

- Chyba że wolisz, żeby mnie tu nie było.

Ujął jej dłoń tak zwyczajnym gestem, że sam by się zdziwił, gdyby zdał sobie sprawę, że to zrobił.

- Chcę, żebyś tu została.

- I mam iść na całość?

- Liczę na to.

Maddy znów zanurzyła palec w bitej śmietanie, a potem bardzo powoli ją zlizwała.

- Żebyś się tylko nie dziwił...

Kiedy znów sięgnęła po śmietanę, Reed chwycił ją za nadgarstek i wsunął jej palec do swoich ust.

- No to może się przekonamy?

Odstawił tacę, a gdy znów spojrzał na Maddy, jej oczy były ogromne, a ciało spragnione.

- Ciekawiło mnie, jak będziesz wyglądała rano.

- No i?

- Świeżo. - Leciutko musnął palcem jej policzek. - Jesteś trochę rozkochana, ale... apetyczna.

- Najbardziej podoba mi się to ostatnie. - Maddy wolniutko oblizwała wargi.

- Wiesz co? Właściwie to chyba nawet nie spytałaś, czy możesz pożyczyć moją koszulę.

Jej oczy były rozbawione, ale odpowiedź bardzo poważna.

- Nie, nie zapytałam. Bardzo przepraszam.

- Oddaj mi ją. Natychmiast.

- Natychmiast? - Było jej coraz bardziej gorąco. - I krawat pewnie też?

- Oczywiście.

- Chyba masz prawo domagać się zwrotu...

Uklękła na łóżku, rozluźniła węzeł, zsunęła krawat i wręczyła mu go. Sięgnęła do guzików koszuli, zawahała się, potem zaczęła je rozpinać. Jej oczy nie odrywały się od jego oczu, kiedy koszula rozchyliła się, ukazując fragment nagiego ciała. Uśmiechnęła się, kiedy materiał zsunął jej się z ramion. Bez śladu wstydu przez chwilę tak pozostała, pozwalając mu cieszyć się jej widokiem. Poranne słońce rozświetlało jej skórę. Po chwili, która zdawała się trwać wieczność, ujęła koszulę za kołnierzyk i podała mu.

- To chyba twoje.

Reed odrzucił koszulę, ukląkł naprzeciwko Maddy i położył jej ręce na ramionach.

- Bardziej podoba mi się to, co jest w środku. - Jego ręce zsunęły się po jej ciele, wargi musnęły podbródek. - Masz zupełnie niesamowite ciało. Twarde, miękkie, zwarte, gibkie. - Na moment odsunął ją od siebie. - Ciekaw jestem, czy... Ej, Maddy, a co to takiego?

- Co? - Trochę zaskoczona, powędrowała wzrokiem za jego oczami. - To są stringi. Nie widziałeś nigdy stringów?

Spojrzał na nią rozbawiony i zaintrygowany.

- Owszem, widziałem. Czy ty przypadkiem nie za poważnie traktujesz rolę Wesołej Wdówki?

- Nie mówiłeś tak, kiedy przed chwilą robiłam dla ciebie striptiz - zauważyła i zarzuciła mu ręce na szyję. - Odkryłam je, kiedy przygotowywałam się do tej roli.

- Przygotowywałaś się? - Zaczął ją całować, potem nagle znów odsunął ją od siebie. - Jak mam to rozumieć?

- Tak jak mówię. Nie mogłam wejść w taką rolę bez żadnego doświadczenia.

- Chodziłaś do lokali striptizowych? - Zły i sfrustrowany, ujął ją mocno pod brodę. - Czyś ty zwariowała? Wiesz, co mogło cię tam spotkać?

- No co? Wiesz to z doświadczenia?

- Tak... Nie. Do cholery, Maddy, nie zmieniaj tematu.

- Wcale tego nie robię. - Znów się do niego uśmiechnęła. - Przecież musiałam najpierw zrozumieć postać, którą miałam grać. Pomyślałam sobie, że najlepiej mi się to uda, kiedy pogadam trochę z prawdziwymi striptizerkami. Poznałam paru naprawdę fascynujących ludzi. Na przykład Lottę Oomph.

- Lottę...

- Oomph - dokończyła za niego. - Miała taki numer z pudłami. Pięć pudli i...

- Chyba nie chcę o tym słuchać. - Choć miał wielką ochotę się roześmiać, wciąż mocno ją trzymał. - Maddy, zrozum, nie powinnaś chodzić do takich lokali.

- Nie wygłupiaj się. Kiedy miałam dwanaście lat, pracowałam w miejscach niewiele lepszych. Przecież to wszystko polega na iluzji. Tam są zwyczajni ludzie, którzy zarabiają na życie. A rozmowy z niektórymi z tych kobiet naprawdę pomogły mi lepiej zrozumieć Mary.

- To Mary jest iluzją - poprawił ją. - To, co dzieje się w takich lokalach, to twarda rzeczywistość.

- Ja bardzo dobrze rozumiem rzeczywistość, Reed. - Wzruszona jego troską, pogładziła go po policzku. - Nie twierdzę, że rozbieranie się to godny podziwu zawód, ale w większości ludzie, z którymi rozmawiałam, są dumni ze swojej pracy.

- Ja nie dyskutuję o moralności czy społecznym znaczeniu tańca erotycznego, Maddy. Po prostu nie podoba mi się, że bywasz w takich lokalach.

- Nigdy nie zamierzałam tam chodzić co tydzień. Choć chętnie jeszcze raz zobaczyłabym ten numer z pudłami.

- Maddy...

Zamknęła oczy, by nie zobaczył, jak się śmieją.

- Były naprawdę niesamowite.

- Ty też. - Przesunął ręką po jej biodrze, tuż obok stringów. - A ten pomysł skąd?

- Z wygody... - Tłumiąc śmiech, Maddy ssła teraz koniuszek jego ucha. - Każda Amerykanka powinna nosić stringi.

- Zawsze je nosisz?

- Yhm. Oprócz sceny.

- Tego dnia, kiedy oglądaliśmy wystawę architektury wiktoriańskiej, miałaś na sobie takie szerokie spodnie w kolorze khaki, które wyglądały jak z demobilu.

- Bo były z demobilu.

- Miałaś pod spodem stringi?

- Yhm.

- Czy wiesz, co mogło się zdarzyć, gdybym wiedział?

Zadowolona, otarła się policzkiem o jego policzek.

- No co?

- Tam, przed modelem letniego domu królowej Wiktorii?

- No mów...

- Z czteroosobową rodziną z New Jersey tuż za nami?

- O Boże. - Zarzuciła mu ręce na ramiona. - Może wrócimy tam dziś po południu?

- Nie ma mowy. - Reed wtulił twarz w jej szyję. Nie powinien się śmiać, mając pod sobą nagą kobietę. Kochanie się to poważna sprawa, należy ją szanować i traktować ostrożnie. Nie powinien się czuć jak nastolatek uprawiający seks w samochodzie. Jest przecież dorosły.

Kiedy jednak przetoczył się razem z nią na łóżku, nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Śmiał się, kiedy trzymał ją mocno przy sobie, kiedy wtuliła się w niego, kiedy brał to, co mu ofiarowała. Jego zachwyty był tak ogromny, tak silny, że radosny śmiech wydawał się jedyną odpowiedzią. Maddy przyjmowała to tak naturalnie, odpowiadając mu także śmiechem. Nawet chwilę później, gdy śmiech zastąpiły westchnienia rozkoszy, radość wcale nie zniknęła.

Tyle w niej było miłości! A Reed był taki czuły, delikatny, uważny. Tak bardzo jej pragnął. Gdyby już wcześniej nie dała mu swego serca, na pewno zrobiłaby to teraz.

Nie wiedziała, że tak wiele jest do odkrycia. Tak wiele przyjemności, tak wiele wrażeń. Wobec nikogo nie była tak hojna. Znała dobrze swoje ciało, jego siłę i słabości. Jakie to dziwne odkrywać, jak mało w gruncie rzeczy wie o jego potrzebach. Gdy jego usta zamknęły się na jej piersi, poczuła przyjemność, ból i rozpacz. Jego dłoń na jej udzie przypawiła ją o dreszcze. Muśnięcie wargami o szyję wywołało jęk i westchnienie.

Należał do niej. Nieważne, że tak będzie tylko przez chwilę. Nieważne, że być może tylko się łudzi. Dopóki leżą tak mocno do siebie przytuleni, Reed należy do niej.

Pragnie jej. Czują to, była tego pewna. Mówiło jej to jego ciało. Gdyby choć na ułamek sekundy pozwolił się ponieść tym uczuciom, mógłby ją pokochać. Tego też była pewna. W jego pieściznach było coś więcej niż tylko namiętność, więcej niż pożądanie. Były oddanie i czułość. Kiedy jego wargi muskały jej usta, kiedy całował ją tak namiętnie, że oboje tracili zmysły, wiedziała, że są bliscy, by dać sobie jak najwięcej.

Miłość. Miłość leczy rany, chroni, koi. Chciała mu powiedzieć, jak to cudownie być z kimś nieodwołalnie, nierozzerwalnie związanym. Chciała, by zobaczył, jak to jest, gdy ma się kogoś oddanego na zawsze.

Jego skóra była gorąca i wilgotna. Był coraz bardziej podniecony i jego ręce stopniowo traciły delikatność. Odpowiadała na każdy jego ruch, na każdy gest. Jej energia zdawała się niespożyta. Otoczyła go nogami, mocno objęła ramionami, wciągnęła w siebie.

A potem, kiedy mokrzy i dyszący leżeli przytuleni, kiedy pogłodził ją po plecach, zamknęła oczy i poddała się.

- Kocham cię - szepnęła.

Z początku była zbyt pogrążona w swych marzeniach, by zauważyć, że zeszywniał, że pieścizną jej palce znieruchomiały. Odzyskiwała powoli kontakt z rzeczywistością, wciąż jednak nie otwierała oczu. Wiedziała, że nie da się już cofnąć tego, co przed chwilą wyznała.

- Przykro mi. - Spojrzała na niego. Choć wciąż spleceni byli w uścisku, czuła, że Reed jest od niej daleko. - Nie żałuję, że to powiedziałam, ani że to czuję. Przykro mi, że tego nie chcesz.

Sam nie wiedział, czy to, co czuje, to żal czy nadzieja.

- Nie wierzę we frazesy. Są zupełnie niepotrzebne.

- Frazesy? - Maddy aż potrzęsnęła głową. - Uważasz „kocham cię” za frazes?

- A co to jest? - Ujął ją za ramiona i posadził obok siebie. - Maddy, oboje wiemy, że jest między nami coś dobrego. Nie ubierajmy tego w wygodne kłamstwa.

Poczuła się zraniona.

- Ja nie kłamię, Reed.

Uczucia, jakie go ogarnęło, wolałby nie nazywać nadzieją.

- No to nazwijmy to fantazjami.

Gdy ponownie się odezwała, jej głos był cichy i drżący.

- Nie wierzysz, że mogłabym cię pokochać?

- Miłość to tylko słowo. - Reed wstał z łóżka i włożył szlafrok. - Istnieje, owszem.

Miłość ojca do syna, matki do córki, brata do siostry. Ale jeśli chodzi o mężczyznę i kobietę, to jest to raczej fascynacja, pociąg, nawet obsesja. Takie uczucia przychodzą i odchodzą, Maddy.

Nie była w stanie się ruszyć. Siedziała tam, gdzie ją zostawił, i patrzyła na niego z rozpaczą w oczach.

- Sam w to nie wierzysz.

- Ja to wiem. - Przerwał jej tak ostro, że aż się zdrygnęła. Zrobiło mu się z tego powodu przykro, lecz postanowił mieć to za sobą. - Ludzie łączą się, bo czegoś od siebie chcą. Zostają ze sobą tak długo, dopóki nie zechcą czegoś od kogoś innego. Dopóki są razem, obiecują sobie rzeczy, których nie mają zamiaru dotrzymać, i mówią coś, czego tak naprawdę nie myślą, bo tego się spodziewa druga strona. Ja nie spodziewam się niczego.

Podciągnęła sobie prześcieradło aż pod brodę, bo nagle zrobiło jej się zimno. Znowu wydała mu się bardzo krucha.

- Nigdy nie powiedziałam żadnemu mężczyźnie, że go kocham. Ale ciebie pewnie to nie obchodzi.

- Ja nie chcę słów, Maddy. - Odwrócony do niej plecami, stał przy oknie. Dlaczego tak mu źle? Przecież mówi prawdę. - Nie mogę ci się nimi odwzajemnić.

- Dlaczego? - Postanowiła, że nie będzie płakać, przycisnęła więc powieki rękami. - Co takiego się stało? Dlaczego postanowiłeś nie dopuszczać do siebie uczuć? Powiedziałam, że cię kocham. - Mówiła coraz głośniejsze, bo złość stała się silniejsza niż ból. - Nie wstydę się tego. Nie powiedziałam tak, żeby wyciągnąć od ciebie jakąś deklarację. To po prostu prawda. Szukasz kłamstw tam, gdzie ich nie ma.

Postanowiła, że zrobi wszystko, by nie stracić panowania nad sobą. Wzięła głęboki oddech. Jeszcze nie skończyli.

- Powiesz mi może, że nic teraz nie czujesz? Czy naprawdę wierzysz, że między nami był tylko seks i nic więcej?

Walka toczyła się tylko w jego sercu. W jego spojrzeniu nie było jej ani śladu.

- Nie mogę dać ci więcej, Maddy. Wybór należy do ciebie.
- Rozumiem. - Jej palce mocno zacisnęły się na prześcieradle.
- Muszę napić się kawy.

Odwrócił się na pięcie i zostawił ją samą. Ręce mu drżały. Dlaczego ma wrażenie, że wszystko, co powiedział, to były myśli i słowa kogoś innego? Co się z nim, do cholery, dzieje?

Reed gwałtownym ruchem postawił czajnik na kuchence i wsparł się o blat. Kiedy Maddy oznajmiła, że go kocha, jakaś jego część z radością uwierzyła w jej słowa.

Czuł, że zaczyna tracić dla Maddy głowę. To się musi skończyć. Dobrze pamiętał, co dzieje się z mężczyzną, który ufa kobiecie, który poświęca jej życie. Już dawno przyrzekł sobie, że jeśli chodzi o niego, nigdy do takiej sytuacji nie dopuści. Maddy tego nie zmieni. Nie pozwoli jej na to.

Może nawet wierzy, że go kocha. Szybko jednak zda sobie sprawę, że jest inaczej. Przez ten czas muszą po prostu zachowywać się jak dotąd i przestrzegać ustalonych zasad.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi wejściowych, lecz nie ruszył się z miejsca. Pozostał w tej pozycji, nawet gdy woda się zagotowała. Wiedział, że tym razem Maddy naprawdę sobie poszła. I poczuł się obrzydliwie pusty.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Nic mnie to nie obchodzi. Nawet jeśli masz zaplanowaną operację na otwartym sercu, idziesz na przyjęcie.

Maddy poprawiła wysoko sznurowany but.

- O co ci chodzi?

- O nic. - Wanda włożyła bluzę Maddy i przyjrzała się sobie w lustrze. - Pójdiesz do domu, ubierzesz się w tę swoją super sukienkę i udasz się grzecznie na przyjęcie.

- Przecież ci mówię, że jestem trochę zmęczona i nie mam ochoty na przyjęcie.

- A ja mówię, że marudzisz.

- Marudzę? - Maddy zmrużyła oczy i wciągnęła drugi but. Była gotowa do walki, miała nawet na nią ochotę. - Ja nigdy nie marudzę.

- Jesteś w tym mistrzynią.

- Odczep się, Wanda. Nie jestem w nastroju do żartów.

- Dobra, skoro nie chcesz rozmawiać o tym, jaki kretyn z tego twojego faceta, to w porządku.

- To nie jest mój facet.

- Kto nie jest twój facet?

- On... On nie jest moim facetem. Nie mam żadnego faceta. W ogóle nie chcę mieć żadnego faceta. Dlatego kimkolwiek on jest, nie może należeć do mnie.

- Uhm. - Wanda przyjrzała się swoim paznokciom i uznała, że ten konkretny odcień czerwieni bardzo jej odpowiada. - Ale tak czy owak, jest kretynem.

- Nie powiedziałam... - Poczucie humoru zwyciężyło i Maddy parsknęła śmiechem. - Tak, jest kretynem.

- Wszyscy jesteśmy kretynami, słonko. Problem polega na tym, że pan Valentine senior wydaje to przyjęcie dla nas, a nasza gwiazda nie może iść do domu i dąsać się we własnej wannie.

- Wcale nie miałam zamiaru dąsać się w wannie. Miałam zamiar robić to w łóżku.

Wanda przyglądała się, jak Maddy zawiązuje drugi but.

- Jeśli nie pójdziesz, powiem wszystkim tancerzom, że się wywyższasz i uważasz wspólną zabawę za nie licującą z twoją godnością.

- Kto ci uwierzy?

- Wszyscy.

- Powiedz mi, Wanda, dlaczego nie dajesz mi spokoju?

- Bo lubię twoją buźkę.

- Naprawdę jestem zbyt zmęczona, żeby iść.

- Akurat. Już dobrych parę tygodni ćwiczymy razem i wiem, że ty nigdy się nie męczysz.

Maddy spojrzała w oczy Wandy odbite w lustrze.

- Dzisiaj się zmęczyłam.

- Dzisiaj się dąsasz.

- Wcale nie... - Owszem, tak, przyznała w duchu. - On tam będzie! - wybuchnęła. -

Chyba... chyba bym sobie z tym nie poradziła.

Wanda poczuła, że mija jej ochota do żartów. Była teraz wyraźnie zatroskana. Wstała i objęła Maddy za ramiona.

- Jesteś zakochana?

- Tak. Bardzo.

- Popłakałaś już sobie?

- Nie. Nie chciałam się jeszcze bardziej wygłupiać.

- Wygłupisz się, jeśli sobie porządnie nie popłaczesz. - Wanda pociągnęła ją z powrotem na ławkę. - Usiądź i połóż główkę na ramieniu starej, pocziwej Wandy.

- Nigdy nie przypuszczałam, że to będzie aż tak bolało.

- Nikt się tego nie spodziewa. Gdybyśmy wiedziały, jak bardzo można potem cierpieć, nie dopuściłybyśmy żadnego mężczyzny bliżej niż na pół metra. Wciąż popełniamy te same błędy, bo nie wymyślono jeszcze nic lepszego.

- To wszystko jest takie okropne.

- Ale bywa i cudowne...

- On nie jest wart moich łez. - Maddy wierzchem dłoni otarła policzki.

- Nikt nie jest wart niczych łez. Z wyjątkiem, oczywiście, tego jednego jedyne.

- Ja go kocham, Wanda.

Wanda uważnie spojrzała jej w oczy.

- To jest właśnie ten?

- Tak. Tylko że on mnie nie kocha. Nawet nie chce, żebym ja go kochała. A mnie się zawsze wydawało, że jeśli ja się zakocham, to ta druga osoba też się we mnie zakocha, i że będziemy żyć długo i szczęśliwie. Reed nawet nie wierzy, że miłość istnieje.

- To jego problem.

- Nie, mój też, bo od tylu dni próbuję o nim zapomnieć, i nic. - Maddy odetchnęła głęboko. - Więc sama rozumiesz, że nie mogę iść.

- Rozumiem, że w tej sytuacji musisz iść.

- Wanda...

- Posłuchaj, malutka, jak pójdziesz do domu i schowasz głowę w piasek, to jutro będziesz się czuła tak samo. Przypomnij sobie, co robisz, kiedy publiczność siedzi nieruchomo i nie reaguje na twoje wysiłki?

- Mam ochotę zwać do garderoby.

- Ale co wtedy robisz?

- Staję na scenie i daję z siebie wszystko.

- I to właśnie zrobisz dziś wieczór. A jeśli znam się na mężczyznach, to i on się postara. Widziałam, jak na ciebie patrzył, kiedy przyszedł tu z ojcem na próbę. No, ruszamy. Szkoda czasu.

Maddy przygotowywała się do spotkania z Reedem tak samo, jak szykowała się do występu przed publicznością. Powtarzała sobie, że zna tekst, zna ruchy, a jeśli zrobi jakiś błąd, błyskawicznie go naprawi i nikt niczego nie zauważy. Wybrała suknię bez ramiączek, z boku wysoko rozciętą i podkreślającą krągłości jej ciała. Jeśli ma ponieść klęskę, to przynajmniej będzie świetnie wyglądała.

Mimo to, stojąc przed imponującymi drzwiami do apartamentu Edwina Valentine'a, nadal chciała obrócić się na pięcie i uciec. Rozsądek jednak wziął górę. Niech się dzieje, co chce.

Dumnie uniosła brodę i zapukała do drzwi. Była gotowa znów stanąć przed nim twarzą w twarz, była gotowa zachowywać się zwyczajnie i chłodno. Jediną rzeczą, na jaką nie była przygotowana, było to, że drzwi otworzy jej sam Reed.

Wpatrywała się w niego zdumiona, on też sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Cześć, Maddy.

- Cześć. - Nie, nie uśmiechnie się. Jeszcze nie jest w stanie. Ale też nie zemdleje u jego stóp. - Chyba nie przyszłam za wcześnie?

- Nie. Ojciec na ciebie czeka.

- No to od razu się z nim przywitam. - Z głębi mieszkania dobiegł ją dźwięk trąbki. - Domyślałam się, że przyjęcie jest tam. - Minęła go, ignorując bolesny skurecz żołądka.

- Maddy...

- Tak? - Spojrzała na niego przez ramię.

- Czy... Co słyhać?

- Byłam bardzo zajęta. - Za ich plecami zadzwonił dzwonek i Maddy uniosła brwi. - Widzę, że i ty masz dużo roboty. To na razie. - Gwałtownie mrugając powiekami, ruszyła w stronę miejsca, skąd dobiegała muzyka.

Przyjęcie trwało w najlepsze. Maddy zebrała się w sobie i zdobyła nawet na uśmiech.

- Już się bałam, że stchórzyłaś i nie przyjdiesz - rzekła Wanda, przerywając rozmowę z jednym z muzyków.

- W naszej rodzinie nie ma tchórzy.

- Może poczujesz się lepiej, jeśli ci powiem, że młodszy Valentine od pół godziny nie odrywał oczu od drzwi.

- Naprawdę? - Już chciała odwrócić się i poszukać go wzrokiem, lecz w ostatniej chwili zrezygnowała. - Eee tam, nieważne. Napijmy się czegoś. Szampana?

- Tak, Wiesz, pan Valentine jest w porządku. To naprawdę miły człowiek. - Wanda wzięła kieliszek szampana i wypila do dna. - Wcale się nie wywyższa. Traktuje nas, jakbyśmy byli normalnymi ludźmi.

- My jesteśmy normalnymi ludźmi.

- Tylko nie mów tego głośno. - Spoglądając przez ramię Maddy, Wanda posmutniała.

- O, jest Phil. Postanowiłam, że pozwolę mu się przekonać, że ma poważne zamiary.

- Phil? - Maddy z zainteresowaniem spojrzała na tancerza, który grał partnera Wandy.

- A ma jakieś zamiary?

- Może tak, może nie. - Wanda chwyciła następny kieliszek szampana. - Zabawne będzie się dowiedzieć.

Żałując, że nie może się z nią zgodzić, Maddy podeszła do bufetu, gdzie stała grupka zgłodniałych tancerzy. Jedz, pij, ciesz się, nakazała sobie w duchu. Bo jutro jedziemy do Filadelfii.

- Maddy...

Zanim zdążyła postanowić, czy woli pasztet, czy indyka w galarecie, stanął przy niej Edwin Valentine.

- Och, dobry wieczór panu. Bardzo miłe przyjęcie.

- Mów mi po imieniu, Maddy. Mam na imię Edwin, po prostu Edwin. No i przypominam ci, że obiecałaś mi taniec.

- A więc dobrze, Edwin, cała przyjemność po mojej stronie. - Położyła mu rękę na ramieniu i pozwoliła poprowadzić się na parkiet. - Rozmawiałam z rodzicami - zaczęła. - Są w Nowym Orleanie, ale oczywiście przyjadą na premierę do Filadelfii. Mam nadzieję, że ty też będziesz.

- Oczywiście. Wiesz co? Ta sztuka to najlepsza rzecz, jaką zrobiłem od lat. Już zaczynałem myśleć, że powinienem pogodzić się ze starością.

- To najbardziej idiotyczna rzecz, jaką w życiu słyszałam.

- Jesteś taka młoda. - Edwin poklepał ją lekko po plecach. - Kiedy człowiek dobiega sześćdziesiątki, rozgląda się wokół i mówi sobie: no dobra, pora zwolnić. Zasłużyłeś na to. Odpreż się i korzystaj z czasu, jaki ci jeszcze pozostał.

- Bzdura. - Maddy roześmiała się i potrząsnęła głową. Popatrzyła na starszego pana i pożałowała, że Reed nie odziedziczył po ojcu tych ciemnych, dobrych oczu.

- Wcale nie. - Choć mówił serio, on też się roześmiał. - Na szczęście mam przy sobie Reeda. Przy nim zawsze czuję się młody. Jest nie tylko moim synem, ale i najlepszym przyjacielem. Czego więcej można chcieć...

- Reed bardzo cię kocha.

- Tak, to prawda. Chciałem dać mu szansę w interesach, więcej się nie wtrącać. Radzi sobie lepiej niż dobrze. Ta wytwórnia to całe jego życie. Może to błąd.

- On tak nie uważa.

- Nie jestem taki pewien. No, w każdym razie dopóki nie pojawiła się ta sztuka, nie wiedziałem, co z sobą począć. Teraz chyba już wiem.

- Broadwayowska gorączka?

- Właśnie. - Domyślał się, że Maddy go zrozumie. Miał nadzieję, że zrozumie także jego syna. - Kiedy ta sztuka zdobędzie należną jej pozycję, poszukam sobie innej. Chyba znalazłem już eksperta, na którego radę mogę liczyć.

Zauważyła jego pytające spojrzenie i skinęła głową.

- Jeśli zechcesz grać anioła, Edwin, ja chętnie zagram adwokata diabła.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Całe życie spędziłem wśród artystów. Żyłem z nich i żyłem z nimi. Golf nigdy nie da ci takiej satysfakcji. - Urwał i poklepał ją delikatnie po ramieniu. - Zjedzmy coś.

Maddy spojrzała na bufet i westchnęła.

- Czytasz w moich myślach.

Gdy zespół zaczął grać musicalowe przeboje, Phil pociągnął Wandę na parkiet.

- No, Maddy, pokażmy im, jak się tańczy - rzekł Terry, ujmując ją za łokieć.

- Daj spokój - odrzekła, nakładając sobie pasztet.

- Nie, musimy dbać o opinię. Pamiętasz taniec z musicalu „Na wyciągnięcie ręki”?

- Numer tak, ale o sztuce wolę nie pamiętać.

- Racja, ale my jedyni dostaliśmy dobre recenzje. No, chodź, Maddy, przez wzgląd na dawne czasy.

Był to wolny, zmysłowy taniec. Już po pierwszych krokach przypomniała go sobie tak dobrze, jakby tańczyła wczoraj, a nie przed czterema laty. Po chwili cieszyła się jak dziecko.

- Może ta sztuka wcale nie była taka zła - przyznała, kiedy skończyli.

- No wiesz! Była beznadziejna - zaśmiał się Terry.

Kiedy muzycy zaczęli grać nastrojową melodię, Terry poklepał ją przyjacielsko po pupie i zniknął. Reed cały czas ją obserwował. Kiedy poczuła jego wzrok na sobie, zrobiło jej się gorąco. Jedyłą drogą ucieczki wydawały się drzwi na taras.

Powietrze było parne i gorące. Maddy oparła się o balustradę i wsłuchiwała w dźwięki leżącego u jej stóp miasta. Nie, jest silna i nie będzie niczego żałować...

Wiedziała, że Reed poszedł za nią na taras, jeszcze zanim się odezwał. To idiotyczne, że myślała o ucieczce, o ukryciu się. Czy chciała tego, czy nie, nadal go pragnęła.

- Powiedz, jeśli wolisz, żebym sobie poszedł. Nie chciałbym się narzucać.

Jakie to do niego podobne. Zawsze jasno i uczciwie przedstawia możliwe opcje. I decyzję zostawia w jej rękach. Maddy odwróciła się i zatrzymała na nim wzrok.

- Zostań.

Reed włożył ręce głęboko do kieszeni i zwinął je w pięści.

- Jesteś taka wspaniałomyślna wobec wszystkich, czy tylko wobec mnie?

- Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Podszedł do balustrady okalającej taras, by znaleźć się bliżej niej.

- Tęskniłem za tobą.

- Miałam nadzieję, że tak będzie. Planowałam, że jeśli tu dzisiaj przyjdę, będę cały czas chłodna i obojętna. Chyba niezbyt mi się to udaje.

- Patrzyłem, jak tańczysz z moim ojcem, i wiesz, co sobie uświadomiłem? - Gdy pokręciła głową, wyciągnął rękę, by dotknąć jej włosów. - Ze mną nie tańczyłaś nigdy.

- Nigdy mnie nie prosiłeś.

- Proszę teraz.

Wyciągnął rękę, znów pozostawiając jej wybór. Dokonała go bez wahania. Po chwili byli jedyną parą tańczącą na tarasie.

- Kiedy w zeszłym tygodniu odeszłaś, myślałem, że na dobre.

- Ja też.

- Nie było dnia, żebym o tobie nie myślał. Nie było dnia, żebym cię nie pragnął.

Powoli, ostrożnie, musnął wargami jej usta. Były tak samo ciepłe i zapraszające jak zawsze. Jej ciało tak pasowało do jego ciała, jakby los ją dla niego stworzył. Albo jego stworzył dla niej.

- Maddy, chcę, żebyś wróciła.

- Ja też bym tego chciała - uniosła dłonie do jego twarzy - ale nie mogę.

Przerażony, chwycił ją za nadgarstki.

- Dlaczego?

- Bo nie zgadzam się na twoje warunki, Reed. Nie mogę przestać cię kochać, a ty nie chcesz kochać mnie.

- Cholera, Maddy, prosisz o więcej, niż mogę ci dać.

- Nie. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Nigdy nie prosiłabym o więcej, niż jesteś zdolny dać, ani o więcej, niż mogę dać ja. Kocham cię, Reed. Gdybym wróciła, nie przestałabym ci tego mówić. A ty nie mógłbyś się przed tym bronić.

- Chcę, żebyś była ze mną - mówił z coraz większą desperacją. - Czy to mało?

- Nie wiem. Chcę być częścią twojego życia. Chcę, żebyś był częścią mojego.

- Małżeństwo? Tego chcesz? - Odwrócił się i oparł o balustradę. - Co jest w małżeństwie takiego ważnego, Maddy?

- Uczuciowy związek dwojga ludzi, którzy obiecują sobie, że zrobią wszystko, co w ich mocy, aby być razem.

- Na dobre i na złe? Ile takich związków przechodzi próbę czasu?

- Tylko te, w których ludzie naprawdę się starają.

- Sama instytucja nic nie znaczy. To kontrakt zawarty w imieniu prawa, rozwiązywany innym aktem prawnym. A zanim to się stanie, niektórym parom wiele można zarzucić z moralnego punktu widzenia.

Jego słowa wzbudziły w niej współczucie.

- Reed, nie możesz tak generalizować.

- Ile znasz szczęśliwych małżeństw? Właściwie ile trwałych - sprecyzował - bo o szczęściu lepiej nie mówić.

- Reed, to bez sensu. Ja...

- Nie potrafisz wymienić nawet jednego małżeństwa?

- Oczywiście że potrafię. - Maddy zaczynała tracić cierpliwość. - Państwo Gianelli z mojej kamienicy.

- Ci, którzy cały czas na siebie krzyczą?

- Lubią krzyczeć. Wtedy czują się szczęśliwi. - Zdała sobie sprawę, że sama też zaczyna krzyczeć, odwróciła się więc i nakazała sobie spokój.

- Gdybyś tak mnie nie atakował, lepiej by mi się myślało. Ozzie i Harriet.

- Nie żartuj, Maddy.

- Nie żartuję. - Wsparła się pod boki i spojrzała na niego ze złością. - Jimmy Stewart jest żonaty od stu pięćdziesięciu lat. I... królowa Elżbieta i książę Filip mają się nieźle. Moi rodzice, są razem od zawsze. Moja własna ciotka Jo była zamężna przez pięćdziesiąt pięć lat.

- Nieźle wytrzymałaś pamięć, co? - W jego głosie zabrzmiał cynizm. - Łatwiej by ci przyszło wyliczyć małżeństwa, które się rozpadły.

- W porządku, może. Ale to nie znaczy, że tylko dlatego, że niektórzy popełniają błędy, inni mają rezygnować. Zresztą nie prosiłam cię, żebyś się ze mną ożenił. Pytałam tylko, co czujesz.

Chwyił ją, zanim zdążyła opuścić taras.

- Chcesz powiedzieć, że nie chodzi ci o małżeństwo?

Maddy stanęła z nim twarzą w twarz.

- Nie, nie chcę.

- Nie mogę obiecać ci małżeństwa. Podziwiam cię jako kobietę i jako artystkę. Lubię cię, pragnę cię, pożądam...

- Te wszystkie rzeczy są ważne, Reed, ale wystarczają tylko przez pewien czas. Gdybym się w tobie nie zakochała, oboje bylibyśmy z tym szczęśliwi. Nie, już dłużej nie mogę. Zostaw mnie, proszę. - Maddy chwyciła się balustrady jak liny ratunkowej.

- Przecież to nie koniec i dobrze o tym wiesz. Choćbyśmy nie wiem, jak bardzo chcieli.

- Może nie. Ale ostatnim razem zrobiłam z siebie idiotkę, i to się już nie powtórzy. Zostaw mnie teraz samą.

Kiedy odszedł, mocno zacisnęła powieki. Nie będzie płakać, Gdy tylko weźmie się w garść, wróci do ludzi, przeprosi kogo trzeba i pójdzie do domu. Nie, nie ma zamiaru uciekać, ale musi stawić czoło rzeczywistości.

- Maddy...

Tuż za nią stał Edwin. Jego mina powiedziała jej, że nie musi zmuszać się do uśmiechu.

- Przepraszam cię. Słyszałem większą część waszej rozmowy i masz prawo być na mnie zła. Ale Reed to mój syn i bardzo go kocham.

- Nie jestem zła. - To prawda, w tej chwili nie była już zdolna do jakichkolwiek uczuć.
- Po prostu muszę iść.

- Odwiozę cię.

- Nie, przecież masz gości. Wezmę taksówkę.

- Nawet nie zauważają, że mnie nie ma. - Edwin ujął ją pod ramię. - Chcę cię odwiedzić, Maddy. Muszę ci o czymś powiedzieć.

Początkowo prawie się do siebie nie odzywali. Edwin był pograżony we własnych myślach, Maddy, zazwyczaj rozmowna, tym razem milczała jak zaklęta. Edwin odezwał się dopiero na schodach - skomentował brak środków bezpieczeństwa w budynku.

- Z każdym wyjściem na scenę stajesz się bardziej popularna, Maddy. Sława ma swoją cenę. Musisz o tym pamiętać.

Sięgając po klucze, rozejrzała się po słabo oświetlonej klatce schodowej. Nigdy się tu nie bała, wiedziała jednak, że czas beztroskiego, cygańskiego życia się kończy.

- Zrobię herbatę - oznajmiła i zostawiła Edwina w salonie.

- Pasuje do ciebie to miejsce - powiedział, gdy wróciła. - Jest przyjazne, wesołe, szczere. - Uśmiechnął się na widok neonu. - Pewnie cię trochę zawstydzę, ale powiem ci, jak bardzo podziwiam to, co zrobiłaś ze swoim życiem.

- Nie zawstydziłeś mnie. Miło mi to słyszeć.

- Talent nie zawsze wystarcza. Dobrze o tym wiem. Widziałem wielu zdolnych ludzi, którzy popadli w zapomnienie, bo nie mieli dość siły czy pewności siebie, żeby dotrzeć na szczyt. Ty już tam jesteś i nawet tego nie zauważyłaś.

- Nie uważam, żebym dotarła na szczyt. Ale dobrze mi tam, gdzie jestem.

- I w tym właśnie cały urok. Lubisz to, co osiągnęłaś. Lubisz siebie. To bardzo wyjątkowe w tej branży. - Przyjął od niej filiżankę i pogładził ją delikatnie po ręce. - Reed cię potrzebuje.

- Tylko pod pewnym względem. - Stwierdziła że mówienie o tym sprawia jej ból. - A mnie to nie wystarczy.

- On też chce więcej, Maddy, ale jest zbyt uparty, żeby się do tego przyznać. A może się boi.

- Nie rozumiem dlaczego. Nie rozumiem, jak może być taki... - Urwała i mruknęła coś pod nosem. - Przepraszam.

- Nie musisz przeproszać. Chyba rozumiem. Czy Reed mówił ci kiedyś o swojej matce?

- Nie. To jeden z tematów tabu.

- Myślę, że masz prawo wiedzieć. - Edwin westchnął i upił łyk herbaty. Wiedział, że za chwilę poruszy bardzo bolesne wspomnienia. - Gdybym nie był pewien, że naprawdę ci na nim zależy i że jesteś dla niego stworzona, nigdy bym ci tego nie mówił.

- Czy jesteś pewien, że Reed by tego chciał?

- Troszczysz się o niego, i dlatego ci powiem. - Edwin odstawił filiżankę i nachylił się ku niej. Wyczuła, że nie ma już odwrotu. - Matka Reeda była fantastyczną kobietą. Jestem pewien, że jest taka nadal, choć od lat jej nie widziałem.

- A Reed?

- Reed nie chce widzieć jej na oczy.

- Nie chce zobaczyć swojej matki? Ale dlaczego?

- Kiedy ci wytłumaczę, może zrozumiesz.

Mówił z takim trudem, że zrobiło jej się go żal.

- Poślubiłem Elaine, kiedy oboje byliśmy bardzo młodzi. Ja miałem trochę rodzinnych pieniędzy, a ona była początkującą piosenkarką występującą w klubach. Rozumiesz...

- Tak, oczywiście.

- Miała talent, może niezbyt wielki, ale gdyby dobrze nią ktoś pokierował, bez problemu zarobiłaby na życie. Zdecydowałem, że to ja nią pokieruję. Potem postanowiłem się z nią ożenić. Osiągnąłem jedno i drugie. Wiem, że brzydko to brzmi, ale od małego przyzwyczajony byłem do tego, że dostaję to, czego chcę. Przez rok czy dwa wszystko szło dobrze. Była wdzięczna za to, co robię dla jej kariery. Ja byłem wdzięczny, że mam piękną żonę. Kochałem ją i ciężko pracowałem, żeby odniosła sukces, bo na tym jej najbardziej zależało. Gdzieś po drodze coś zaczęło się zmieniać. Elaine stała się niecierpliwa.

Edwin usiadł wygodniej na kanapie, pił w zamyśleniu herbatę i rozglądał się po mieszkaniu Maddy. Dawał swojej żonie wszystko, co mógł, lecz ona przestała być z tego zadowolona.

- Była młoda - stwierdził, choć wiedział, że to żadne wytłumaczenie. - Chciała coraz lepszych sal i oburzała się, kiedy doradzałem jej w sprawach strojów czy fryzury. Uważała, że hamuję jej karierę, że wykorzystuję ją dla własnej.

- Chyba w ogóle cię nie rozumiała.

Uśmiechnął się, słysząc jej słowa. Nie od każdego mógł liczyć na takie wsparcie.

- Może nie, ale i ja chyba jej nie rozumiałem. Nasze małżeństwo przeżywało kryzys. Już prawie pogodziłem się z faktem, że to koniec, kiedy powiedziała mi, że będzie miała dziecko. Jesteś nowoczesną kobietą, Maddy, i wyrozumiała. Pewnie zrozumiesz, że choć ja zawsze bardzo chciałem dzieci, Elaine nie miała takich potrzeb.

Maddy w milczeniu podziwiała barwę herbaty w swej filiżance. Żal jej było Edwina.

- Mogę tylko współczuć kobiecie, która nie chciała albo nie umiała mieć dziecka, które nosiła pod sercem.

To była właściwa odpowiedź.

- Elaine zależało tylko na karierze. Urodziła Reeda chyba tylko dlatego, że brakło jej odwagi, aby zrobić inaczej. Niedługo przedtem zdobyłem dla niej niewielki kontrakt na płytę. Jej decyzja, żeby zostać ze mną i urodzić Reeda, była przede wszystkim posunięciem zawodowym, a nie czymkolwiek innym.

- Nadal ją kochałeś.

- Nadal coś do niej czułem. No i był Reed. Kiedy się urodził, czułem się, jakbym dostał najcenniejszy skarb na świecie. Syna. Kogoś, kto będzie mnie kochał, kto przyjmie miłość, którą chciałem się odwzajemnić. Było to śliczne, cudowne niemowlę, które stało się cudownym dzieckiem. Z chwilą jego narodzin moje życie się zmieniło, nabrało sensu. Chciałem dać mu wszystko, miałem prawdziwy cel. Mogłem stracić klienta, stracić kontrakt, ale syna nigdy.

- To dzięki rodzinie naprawdę istniejemy.

- Tak, to prawda. Zanim dokończę, chcę, żebyś wiedziała, że Reed zawsze dawał mi tylko i wyłącznie radość. Nigdy nie był dla mnie obowiązkiem czy zbędnym balastem.

- Nie musisz mi tego mówić. Widzę to. Edwin potarł czoło i mówił dalej.

- Kiedy miał pięć lat, miałem wypadek. W szpitalu zrobili mi mnóstwo badań. - Jego głos stał się teraz twardy, jakby odległy. Wyczuła, że nadszedł najtrudniejszy moment. - Przy okazji któregoś z nich wyszło na jaw, że jestem bezpłodny.

Ręka jej drgnęła, musiała więc odstawić filiżankę.

- Nie rozumiem.

- Nie mogłem mieć dzieci. - Patrzył jej prosto w oczy. - Nigdy. W przeszłości też nie.

- Reed...

Tym jednym słowem zadawała wszystkie pytania i ofiarowała mu swą miłość.

- Nie byłem jego ojcem. To był straszny cios. Nie umiem ci go nawet opisać.

- Och, Edwin. - Zerwała się z fotela i uklękła przy nim.

- Poinformowałem o tym Elaine. Nawet nie próbowała kłamać. Podejrzewam, że ją samą też już zmęczyły kłamstwa. Zrozumiała, że nasze małżeństwo się skończyło, a kariery też nie zrobi. Był inny mężczyzna. Zostawił ją, kiedy dowiedział się, że jest w ciąży. To musiał być dla niej straszny cios. Wiedziała, że nie będę zadawał pytań, że po prostu przyjmę

dziecko jak własne. Co więcej, wiedziała też w głębi duszy, że beze mnie nigdy nie wydobyłaby się z tych okropnych klubów.

- Musiała być bardzo nieszczęśliwa.

- Nie każdy łatwo znajduje spokój ducha. Elaine była niespokojna, ciągle go szukała. Jeśli nie była zadowolona, szła dalej. Kiedy wyszedłem ze szpitala, jej już nie było. Reeda zostawiła u sąsiadów.

- Choć minęło już tyle lat, wciąż go to bolało.

- Maddy, ona mu wszystko powiedziała.

- O Boże. To straszne. - Maddy oparła mu głowę o kolana i zapłakała nad całą trójką. - Biedne dziecko.

- Ja też nie byłem lepszy. - Edwin położył rękę na jej głowie, czując, że ta rozmowa sprawia mu wielką ulgę. - Musiałem gdzieś uciec od tego wszystkiego, więc zapłaciłem sąsiadce i zostawiłem Reeda u niej. Nie było mnie prawie miesiąc. Zbierałem pieniądze, żeby stworzyć Valentine Records. Dopóki nie spotkałem twojej rodziny, chyba tak naprawdę nie zamierzałem wracać. Sam nie mogę sobie tego wybaczyć.

- Zostałeś zraniony i...

- Reed był w szoku. W ogóle nie myślałem o tym, jak on musiał to wszystko przyjąć. Rzuciłem się w wir pracy i próbowałem zapomnieć o przeszłości. Wtedy spotkałem twoich rodziców. W ten jeden wieczór zobaczyłem, co naprawdę znaczy rodzina.

- I spałeś na leżance w ich pokoju.

- Spałem na leżance i patrzyłem na miłość, jaka łączyła twoich rodziców, widziałem, jak kochają swoje dzieci. To było tak, jakby ktoś odsłonił kurtynę i pozwolił mi na chwilę popatrzeć na prawdziwe życie, na to, co naprawdę ważne. Załamałem się. Twój ojciec wziął mnie do baru i opowiedziałem mu o wszystkim. Bóg jeden wie dlaczego.

- Tata umie słuchać.

- Wysłuchał mnie, trochę mi nawet współczuł, ale nie tyle, ile się spodziewałem. - Po tylu latach Edwin pamiętał każdy szczegół tamtej rozmowy, ale dopiero teraz był w stanie się uśmiechnąć, wspominając ją. - Trzymał w ręku szklankę whisky. Wypił do dna, walnął mnie w ramię i powiedział, że mam syna i że powinienem do niego wrócić. Miał rację. Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobił, mówiąc mi po prostu prawdę.

- A Reed? - Maddy ujęła jego dłonie.

- Zawsze był i będzie moim synem. Byłem idiotą, że o tym zapomniałem.

- Nie zapomniałeś - szepnęła. - Chyba ani na chwilę nie zapomniałeś.

- W głębi serca nie. Kiedy wróciłem, Reed akurat samotnie bawił się w ogródku. To dziecko, niespełna sześćoletnie, odwróciło się i popatrzyło na mnie oczami człowieka dorosłego. Dopiero wtedy tak naprawdę zrozumiałem, jaką krzywdę mu wyrządziliśmy. Ja i jego matka.

- Nie powinieneś się za to winić. Nie - dodała, widząc, że chce jej przerwać. - Widziałam was razem. Nie masz żadnego powodu, aby czuć się winnym.

- Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby mu to wynagrodzić, żeby wszystko znów stało się normalne. W gruncie rzeczy nawet dość szybko zapomniałem, co zrobiła jego matka. Reed jednak nigdy nie zapomniał. Wciąż nosi w sobie ten żal, który zobaczyłem w jego oczach, kiedy miał pięć lat.

- Teraz rozumiem już trochę więcej, jeśli chodzi o Reeda, ale wciąż nie wiem, co mogę zrobić.

- Kochasz go, prawda?

- Tak. Kocham go.

- Dałaś mu coś ważnego. Zaczyna komuś ufać...

- On nie chce tego, co mogę mu dać.

- Chce, i wkrótce sam to odkryje. Tylko nie rezygnuj z niego.

Maddy wstała, splotła ręce na piersiach i popatrzyła na Edwina.

- Jesteś pewien, że on pragnie właśnie mnie?

- To mój syn. Tak, jestem tego pewny.

Nie mógł zasnąć. Mało brakowało, a zaczęłby szukać zapomnienia w alkoholu, lecz w końcu uznał, że smutek to lepsze towarzystwo niż boląca głowa.

Stracił Maddy. Nie potrafili zaakceptować siebie takimi, jakimi są, więc ją stracił. No tak, jej będzie lepiej bez niego. Nie miał co do tego wątpliwości. A jednak było mu żal, bo zrozumiał, że Maddy była najlepszą rzeczą, jaka mu się w życiu przytrafiła.

Zranił ją, oczywiście, ale dlaczego jego też tak to boli?

Jutro Maddy stąd wyjedzie. Najlepiej zapomnieć o wszystkim i przekazać sprawy sztuki i płyty w ręce ojca. Najlepiej by było odizolować się od Maddy całkowicie.

Chciał podejść do okien i zerknąć na panoramę miasta, ale przypomniał sobie, że ona bardzo to lubiła. Zaklął pod nosem i zaczął spacerować po pokoju.

Stukanie do drzwi zaskoczyło go. Nieczęsto miewał gości o pierwszej w nocy. Nie miał ochoty nikogo widzieć, więc zignorował pukanie. Gdy jednak nie ustawało, zirytowany podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie. W duchu miotał gromy na tego, kto miał czelność zakłócić jego spokój.

- Cześć. - W progu, z torbą przerzuconą przez ramię, z rękami schowanymi głęboko w kieszenie dzinsowej spódnicy, stała Maddy.

- Maddy...

- Byłam w pobliżu - zaczęła i mijając go, weszła do mieszkania - więc postanowiłam wpaść. Nie obudziłam cię, prawda?

- Nie, ja...

- To dobrze. Ja zawsze jestem wściekła, jeśli ktoś mnie budzi. No cóż... - Rzuciła torbę na kanapę. - Dostanę coś do picia?

- Co tu robisz?

- Mówiłam już, że byłam niedaleko.

Reed zdecydowanym krokiem podszedł do niej i wziął ją za ramiona.

- Pytałem, co robisz tutaj?

Maddy pochyliła głowę.

- Nie mogłam bez ciebie wytrzymać.

Zanim zdążył temu zapobiec, jego ręka sięgnęła do jej policzka. Cofnął ją natychmiast.

- Maddy, kilka godzin temu...

- Powiedziałam wiele rzeczy - dokończyła za niego. - Wszystkie były prawdziwe. Kocham cię, Reed. Chcę za ciebie wyjść. Chcę spędzić z tobą życie. I myślę, że mogłby to być całkiem dobry związek. Ale dopóki i ty nie będziesz tego zdania, weźmiemy na przeczekanie.

- Popelniasz błąd.

Maddy wzniosła oczy do góry.

- Reed, daj wreszcie spokój. Po ślubie być może będziesz mógł sugerować, co jest dla mnie najlepsze, ale na razie sama podejmuję decyzje. Naprawdę chciałabym się czegoś napić. Masz wodę mineralną? Bez gazu?

- Nie.

- No to niech będzie whisky. Reed, to bardzo niegrzecznie odmawiać gościowi drinka. Jeszcze przez chwilę trzymał ją za ramiona, potem poddał się i oparł czołem o jej czoło.

- Jesteś mi potrzebna, Maddy.

- Wiem. - Maddy ujęła w dłonie jego twarz. - Wiem. Cieszę się, że i ty to wiesz.

- Gdybym mógł dać ci to, czego pragniesz...

- Już dość o tym rozmawialiśmy. Jutro wyjeżdżam do Filadelfii.

- Grać piękną Mary...

- Tak, i zamierzam dać z siebie wszystko. Nie chcę rozmawiać. Nie chcę się kłócić.

Dzisiaj ogłaszam rozejm.

- W porządku. Zrobię nam coś do picia.

Podszedł do barku i wybrał butelkę.

- Wiesz co? Ciągłe głupio się czuję, kiedy muszę się na scenie rozbierać.

Nie mógł się nie roześmiać.

- Domyślam się.

- Owszem, mam trykot i cekiny i nie pokazuję więcej niż na publicznej plaży, ale sam ten akt jest dziwny. Za kilka dni będę musiała robić to na oczach paruset ludzi. A to oznacza ćwiczenia, ćwiczenia i jeszcze raz ćwiczenia.

Kiedy się do niej odwrócił, uśmiechała się do niego i bardzo powoli rozpiniała bluzkę.

- Pomyślałam sobie, że chętnie wysłucham twojej bezstronnej opinii o... moim występie. Striptiz to sztuka, wiesz? Podniecająca... - Odwróciła się do niego plecami i delikatnie zsunęła z ramion bluzkę. - Wyrafinowana. Co ty na to?

- Myślę, że jesteś super. Jak do tej pory.

- Po prostu muszę być pewna, że moja Mary jest prawdziwa. - Zsunęła teraz spódnicę i pozostała w czarnym, koronkowym pasie i kabaretkach.

- Pierwszy raz widzę cię w czymś takim - wyjąkał Reed.

- Mówisz o tym? - Maddy przesunęła rękę po swym ciele. - Nie w moim stylu. Średnio wygodne. Ale jeśli chodzi o Mary... Myślisz, że publiczność to kupi?

- Myślę, że jeśli włożysz to na scenę, to cię uduszę.

Maddy roześmiała się i zaczęła zsuwać pończochę.

- Kiedy kurtyna pójdzie w górę, muszę się wcielić w rolę Mary. Przecież oboje chcemy, żeby sztuka odniosła sukces. Szkoda tylko, że nie mam pełniejszej figury.

- Twoja zupełnie wystarczy.

- Tak myślisz? - Teraz ostrożnie rozpiniała miniaturowy, koronkowy stanik. - Reed, nie chcę być namolna, ale wciąż jeszcze nie dostałam tego drinka.

- O, przepraszam.

Wziął szklankę i podszedł do niej. Przyjęła ją i na moment spoważniała.

- Za zdrowie mojego taty.

- Co?

- Nie musisz rozumieć. - Znow się uśmiechnęła i wypila spory łyk whisky. - No więc, co myślisz o moim występie? Warto będzie za niego zapłacić?

Chciał być delikatny, chciał być czuły i pokazać tej kobiecie, jak ważny jest dla niego jej powrót. Ale ręce, które wsunęły się w jej włosy, były gwałtowne i niecierpliwe.

- Nigdy bardziej cię nie pragnąłem.

Maddy odrzuciła do tyłu głowę i wypuściła z ręki szklanę, która bezszelestnie upadła na miękki dywan.

- No to mi to udowodnij.

Nigdy dotąd nie kochali się tak szybko, tak prawdziwie, tak szaleńczo. Miłość i namiętność stały się jednym.

Oddała mu się całą sobą. I dopóki przyjmował jej pieszczoty, on także się jej oddawał.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Wygodniej by było pójść piechotą.

Maddy zwolniła, wyminęła kolejną dziurę w jezdni i uśmiechnęła się do Wandy.

- A gdzie twoja fantazja?

- Straciłam ją parę kilometrów wcześniej w tamtym rowie.

- To nie był żaden rów - sprostowała Maddy, przedzierając się przez zatłoczone ulice centrum Filadelfii. - Patrz przez okno i powiedz mi, kiedy będziemy mijać coś o wielkim historycznym znaczeniu.

- Nie mogę wyglądać przez okno. - Wanda próbowała ułożyć nogi w jakiejś wygodniejszej pozycji. Nie było to proste, bo Maddy wynajęła maleńkie, dwuosobowe auto z siedzeniami wmontowanymi prosto w podłogę. - Dostaję mdłości, kiedy te wszystkie budynki tak mi podskakują.

- To nie budynki, tylko samochód.

- On też. - Wanda złapała się za klamkę. - Po co w ogóle wynajęłaś to cudo?

- Bo w Nowym Jorku nigdy nie mam czasu, żeby usiąść za kierownicą. Czy to Independence Hall?

Kiedy Maddy wyciągnęła szyję, Wanda bynajmniej nie delikatnie szturchnęła ją w bok.

- Ej, jeśli w ogóle chcesz wrócić do Nowego Jorku, lepiej patrz na drogę.

- Jak ja lubię prowadzić! - mruknęła Maddy, hamując gwałtownie na skrzyżowaniu, bo zapaliło się czerwone światło.

- A niektórzy lubią skakać z samolotu.

- Gdybym miała auto w Nowym Jorku, pewnie nigdy bym nim nie jeździła. He mamy jeszcze czasu?

- Piętnaście minut pełnych pysznej zabawy. - Kiedy Maddy ostro ruszyła spod świateł, Wanda znów chwyciła za klamkę. - Wiem, że powinnam o to spytać, zanim z tobą wsiadłam, ale kiedy ostatnio siedziałaś za kierownicą?

- Och, nie pamiętam. Rok temu, może dwa. Po próbie musimy koniecznie zajrzeć do tych uroczych sklepików na South Street.

- Jeśli dożyjemy - mruknęła Wanda z sarkazmem i przycisnęła niewidzialny hamulec, kiedy Maddy prawie otarła się o mijane auto. - Wiesz co? Ten, kto cię nie zna, uznałby cię

pewnie za najszcześniejszą osobę na świecie. Ale jeśli ktoś zna cię choć trochę, bałby się, że usta ci pękają od tego sztucznego uśmiechu.

Maddy zwolniła przy kolejnej dziurze.

- Widać to?

- Owszem. Jak tam z tobą i tym twoim panem Wspaniałym?

- Tak jakoś idzie, z dnia na dzień. - Maddy ciężko westchnęła.

- A ty wolałabyś planować choćby z tygodnia na tydzień, co?

Wanda miała oczywiście rację, ale Maddy pokręciła głową.

- Ma powód, żeby tak to traktować.

- Ale to nie zmienia twojego samopoczucia.

- Chyba nie. Wiesz co? Nigdy dotąd nie wierzyłam, kiedy ludzie mówili, że życie jest skomplikowane. Przerwij mi, jeśli zacznę mówić o rzeczach zbyt osobistych - poprosiła, a Wanda tylko wzruszyła ramionami. - Kiedy byłaś zameżna, to czy myślałaś, że to na zawsze?

- Ja chyba tak, ale on nie.

- A gdybyś... gdybyś tak spotkała kogoś, na kim bardzo ci zależy, wyszłabyś za niego?

- Znowu? Gdyby to był ktoś, z kim wszystko by się układało, to pewnie tak. Ale dłużej bym się nad tym zastanawiała. Nie, nieprawda. Rzuciłabym się do ołtarza z zamkniętymi oczami.

- Dlaczego?

- Bo gwarancji nigdy nie ma. Gdybym uznała, że jest szansa, skorzystałabym z niej bez wahania. Małżeństwo to jak loteria. Nie powinnaś tu skreślić?

- Skreślić? O, cholera. - Maddy gwałtownie zahamowała. - Teraz to na pewno się spóźnimy.

- Lepiej jednak najpierw wyrzucić z siebie wszystko, co leży ci na sercu.

- Miałam nadzieję, że on tu przyjedzie. - Maddy zawróciła i teraz już spokojnie jechała z powrotem. - Wiem, że nie mógł siedzieć tu przez cały tydzień prób, ale obiecał przyjechać dzisiaj.

- I nie przyjechał?

- Coś mu wypadło. Nie mówił konkretnie co, jakieś kłopoty z techniką czy promocją. Zresztą, nie wiem.

- Każde z nas ma swoją pracę, słonko.

- Tak. - Z wprawą, która zadziwiła nawet Wandę, zdołała zaparkować tuż przy teatrze.

- Chyba powinnam skupić się na swojej. Jeszcze dwie pełne próby i ruszamy.

- Nie przypominaj mi. Za każdym razem, kiedy o tym pomyślę, czuję się, jakby odrzutowiec łądował mi w żołądku.

- Będziemy bombowe. - Maddy wysiadła z samochodu i zatrzasnęła drzwi. Na sąsiednim rogu ktoś sprzedawał kwiaty. Postanowiła, że po próbie kupi sobie ogromny bukiet.

- Naprawdę będziemy bombowe.

- Trzymam cię za słowo. Ostatnia sztuka, w której grałam, zeszła z afisza po dwóch przedstawieniach. Już się poważnie zastanawiałam, czy nie wsadzić głowy do piekarnika. Niestety, był elektryczny.

- Wiesz, co ci powiem? - Maddy przystanąła przy drzwiach do teatru i uśmiechnęła się. - Jeśli zrobimy klapę, możesz skorzystać z mojego. Mam gazowy.

- Wielkie dzięki.

- Po to w końcu są przyjaciele.

Maddy otworzyła drzwi, zrobiła pierwszy krok i... stanęła jak wryta. Zaintrygowana Wanda patrzyła, jak biegnie korytarzem i rzuca się na jakąś grupę ludzi.

- Jesteście! I to wszyscy!

- A dlaczego miałyby nas nie być? - Frank O'Hurley chwycił swoją córeczkę w ramiona i podniósł do góry.

- Naprawdę wszyscy! - Ledwo jej stopy na powrót dotknęły ziemi, Maddy objęła matkę. I to tak mocno, że omal nie połamała jej żeber. - Wyglądasz wspaniale!

- Ty też. - Molly odwzajemniła i uścisk, i komplement. - I jak zawsze spóźniłaś się na próbę.

- Nie zauważyłam skreću. Och, Abby! - Maddy przytuliła siostrę. - Tak się cieszę, że udało ci się przyjechać. Bałam się, że nie zdołasz się wyrwać z tej swojej farmy.

- Jak często moja siostra ma premierę? - rzekła Abby żartobliwie, choć w jej oczach był smutek. Znała siostrę tak dobrze jak siebie i wyczuła, że napięcie Maddy nie ma nic wspólnego ze sprawami zawodowymi.

Nie wypuszczając z objęć siostry, Maddy chwyciła za rękę szwagra.

- Dzięki, że ją przywiozłeś, Dylan.

- Raczej odwrotnie. - Dylan uśmiechnął się i pocałował Maddy w policzek. - Ale bardzo proszę.

- Szkoda, że nie przywieźliście chłopców...

- Tutaj jesteśmy!

Maddy specjalnie spojrzała w przeciwnym kierunku.

- Czy ja dobrze słyszałam?

- My też przyjechaliśmy!

- Jedziemy do Nowego Jorku!

- Mogłabym przysiąc... - Maddy nie dokończyła i skierowała wzrok na siostrzeńców. Przez chwilę udawała, że ich nie poznaje. - Czy to naprawdę Ben i Chris? Nie wierzę. To byli przecież mali chłopcy, a wy jesteście tacy duzi.

- To naprawdę my! - rzekł Chris, podskakując z radości. - Urośliśmy.

- Nie nabieracie mnie? - Maddy lubiła się z nimi droczyć.

- Ej, przestań, Maddy. - Ben nawet nie próbował ukrywać dumy. - Przecież wiesz, że to my.

- No to dajcie mi buziaka.

Maddy nachyliła się i objęła chłopców.

- Lecieliśmy samolotem - zaczął Chris. - Siedziałem przy oknie.

- Pani O'Hurley, jest pani proszona do garderoby.

- Już idę. - Maddy puściła siostrzeńców i wyprostowała się. - Hej, a gdzie się zatrzymaliście? Mamy tu gdzieś w teatrze listę hoteli. Zaraz...

- Mamy rezerwację w tym samym hotelu co ty - poinformowała ją Molly. - A teraz biegnij. Jeszcze się sobą nacieszymy.

- Dobra. Zostaniecie na próbie?

- Myślisz, że ktoś nam tego zabroni? - spytał Frank.

Kiedy znów usłyszała swoje nazwisko, posłusznie ruszyła korytarzem. Szła tyłem, by jak najdłużej cieszyć się widokiem swej licznej rodziny.

- Kiedy skończę, idziemy coś zjeść. Ja stawiam.

Frank parsknął śmiechem i objął żonę.

- Czy ona myśli, że będziemy protestować? Chodźmy na widownię. Do pierwszego rzędu, oczywiście.

- Pan Selby do pana - oznajmiła chłodnym, profesjonalnym tonem Hanna, wprowadzając gościa do gabinetu Reeda.

- Dziękuję, Hanno. Nie łącz mnie z nikim. Reed zauważył pełne dezaprobaty spojrzenie Hanny, kiedy zamykała drzwi. Nie poprosił jej przecież ani o kawę, ani o słodkie bułeczki.

- Usiądź, Selby.

- Twój staruszek musi być z ciebie dumny. - Allen Selby, zanim zajął miejsce, rozejrzał się po gabinecie. - Dobrze dbasz o firmę. Słyszałem, że podpisałeś kontrakt z tą małą grupą z Waszyngtonu. To chyba nieco ryzykowne posunięcie...

Reed uniósł brwi. Ani na moment nie spuszczał oczu z gościa. Wiedział, że Selby Galloway też proponował tej grupie kontrakt, tyle że Valentine zaproponował lepszy.

- Lubimy czasem zaryzykować.

- Trzeba się nieźle namęczyć, żeby umieścić nowy talent na liście. Płyta kogoś nieznanego nie zaistnieje bez solidnej promocji. - Allen Selby wyjął małe, cienkie cygaro i zapalniczkę. - Dlatego tu jestem. Pomyślałem sobie, że powinniśmy pogadać przed dzisiejszą naradą Stowarzyszenia.

Reed czekał w milczeniu, aż gość zapali cygaro. Już w chwili, kiedy poprosił go o spotkanie, wiedział, że facet wpadł w panikę. Nie codziennie Stowarzyszenie Wytwórci Płytowych Ameryki odbywa zamknięte posiedzenia. Ci, których to dotyczy, zdawali sobie sprawę, że szefowie największych firm będą decydować, czy ich organizacja powinna przeprowadzić dochodzenie w sprawie firm niezależnych. Niektóre wielkie firmy nagraniowe, w tym Galloway, nadal korzystały z ich usług, choć działalność taka owiana była mrokiem tajemnicy i często ocierała się o granice prawa.

- Posłuchaj, Valentine - zaczął Allen Selby, choć milczenie Reeda trochę zbiło go z tropu. - Żaden z nas nie jest w tym biznesie nowicjuszem. Wiemy, co jest najważniejsze. Eter. Bez eteru każda płyta zginie.

Reed zauważył, że Selby się poci. Pod modnym, pastelowym garniturem i opalenizną z solarium był cały mokry. A więc aż tak bardzo boi się tego dochodzenia?

- Jeśli płacisz stacjom za puszczenie twoich płyt, to stąpasz po kruchym lodzie, Selby. Prędzej czy później załamie się pod tobą.

Allen Selby wypuścił z ust kłęb dymu i nachylił się ku Reedowi.

- Obaj wiemy, jak ten system działa. Jeśli nawet czasem trzeba wsunąć szefowi programu parę setek do kieszeni, to komu to przeszkadza?

- A jeśli czasem trzeba tego samego szefa programu trochę postraszyć, bo nie daje się kupić? - Reed nie próbował nawet ukryć ironii.

- To bzdura - obruszył się Selby, ale teraz pot widoczny był nawet na jego czole.

- Skoro tak, to dochodzenie wszystko wyjaśni. Do tej pory Valentine Records będzie umieszczać swe produkcje w stacjach radiowych bez pomocy niezależnych.

- Wylewasz dziecko z kąpielą - warknął Selby i wstał. - Czterdzieści największych stacji informuje dystrybutorów o swoich listach przebojów. Jeśli nowa płyta nie znajdzie się w handlu, to tak jakby nie istniała. Tak działa ten system.

- To może trzeba go trochę zmienić.

- Masz tak samo ograniczony horyzont i tę samą uczciwość, co twój ojciec.

- Bardzo ci dziękuję. - Na wargach Reeda pojawił się lekki uśmiech.

- Dla ciebie to proste, co? Siedzisz tu sobie w zacisznym gabinecie, nie brudzisz rączek. Bo wszystko dostałeś od ojca.

Reed z trudem powstrzymywał złość.

- Jak się dobrze przyjrzyysz, to zobaczysz, że ręce mojego ojca są czyste. Valentine nigdy nie wspomagał swojej działalności szantażem, oszustwem czy naginaniem prawa.

- Wcale nie jesteś taki nieskazitelnie czysty, Valentine.

- Możesz więc być pewien, że za godzinę Valentine Records będzie głosować za przeprowadzeniem dokładnego dochodzenia.

- Nie uda ci się mnie zniszczyć. - Allen Selby drżącą ręką zduślił cygaro w popielniczce. Przyszedł do Reeda, bo miał opinię człowieka, który mógłby wpłynąć na głosowanie. Okazuje się jednak, że facet jest nieprzejednany. Zrobiło mu się słabo, musiał rozluźnić krawat. - Zbyt wiele firm wie, gdzie stoją konfitury. Dobrze, parę może padnie, ale nie Galloway. Dziesięć lat temu byliśmy na dnie, dziś jesteśmy na szczycie. Tylko dlatego, że znałem zasady. Kiedy kurz opadnie, nadal tam będę, Valentine.

- Nie wątpię - mruknął pod nosem Reed, kiedy Selby już wybiegł z jego gabinetu.

Tacy ludzie jak on nigdy nie płacą za swoje czyny. Zawsze się jakoś wywiną od odpowiedzialności. Gdyby Reed miał ochotę na zemstę, mógłby bez trudu zainicjować własne dochodzenie. Miał już informację o pobitym dyskdzokeju, który odmówił puszczenia sugerowanych mu płyt. Pogrożki otrzymywała żona pewnego dyrektora programowego z New Jersey. Inny z dyrektorów programowych często latał do Las Vegas pierwszą klasą, a w kasynach bardzo wysoko stawiał. Wyżej, niż pozwalałyby mu na to dochody. Reed mógłby się nimi zająć, ale po co?

Selby pewnie w rezultacie nie zapłaci za swoje postęпки. Czy ktokolwiek w ogóle zapłaci za takie zwyczajne, dla niektórych normalne oszustwa?

Reed wstał zza biurka i sprawdził zawartość swojej teczki. To prawda, że przejął firmę o ustalonej już pozycji i renomie. Nie przebijał się na szczyt. Może gdyby musiał, poszedłby na skróty? Lecz nie musiał kombinować, więc nie mógł wiedzieć, jak się zachowa. Postanowił zostawić śledztwo w rękach Stowarzyszenia. Niech kurz opadnie. Wiedział, że czeka go długie, prawdopodobnie nieprzyjemne zebranie.

- Dziś już nie wracam, Hanno.

- Powodzenia. Kiedy pan rozmawiał z tamtym panem, było kilka telefonów.

- Coś ważnego?

- Nie, nic, co nie mogłoby poczekać. Dzwoniła panna O'Hurley. - Hanna posłała mu niewinny uśmiech i czekała na reakcję. Fakt, że na moment, się zawahał, wyjaśnił jej wszystko.

- Jeśli jeszcze raz zadzwoni, powiedz jej...

- Tak, panie Valentine?

- Powiedz, że oddzwonię.

Hanna nawet nie starała się ukryć rozczarowania.

- A, jeszcze jedno.

- Tak?

Był wyraźnie zniecierpliwiony, ale nie rezygnowała.

- Nie wiem, czy wybiera się pan na premierę do Filadelfii, czy też mam wysłać kwiaty.

Pomyślał o czekającym go zebraniu, o pracy, której nie mógł zignorować. Pomyślał o twarzy Maddy i o tych wszystkich pogmatwanych uczuciach, które w nim budziła. O jej uczuciach, jego uczuciach, jej pragnieniach, jego pragnieniach. Czy naprawdę są takie same, czy też może tak inne, że nigdy się nie spotkają?

- Ojciec wybiera się do Filadelfii. Nawet jeśli ja nie pojadę, będziemy reprezentowani na premierze.

- Rozumiem.

- Kwiatami sam się zajmę.

- Proszę nie zapomnieć.

Wszystko poszło znakomicie. Maddy rzuciła się na łóżko i przypominała sobie próbę. Nie zapeszy, mówiąc sobie, że poszło świetnie, ale pomyśleć może.

Jutro wieczorem. Jutro wieczorem o tej porze, pomyślała, czując, że serce zaczyna jej szybciej bić, będzie w garderobie. Za dwadzieścia cztery godziny. Położyła się na plecach i zapatrzyła w sufit. Jak przeżyć te dwadzieścia cztery długie godziny?

Reed nie zadzwonił. Maddy spojrzała na telefon. Od jej wyjazdu do Filadelfii rozmawiali tylko parę razy i za każdym razem odniosła wrażenie, że Reed próbuje o niej zapomnieć. Może mu się w końcu udało.

Żadnej tancerce ból nie jest obcy. Czujesz go, cierpisz, potem godzisz się z nim i idziesz dalej. Ból serca jest może trudniejszy do zniesienia niż ból mięśni, lecz ona przetrwa. Zawsze była dumna z tego, że umie sobie radzić.

Na myśl przyszła jej rodzina. Z niechęcią wstała z łóżka. Przebierze się, przywdzieje na twarz szczęśliwą maskę i zabierze ich do miasta. Nie każdy ma tyle szczęścia, by cieszyć się rodziną, która cię kocha, która za tobą stoi, która cię wspiera i ceni takim, jakim jesteś.

Jej kariera też jest na dobrej drodze. Tańca nikt jej nie zabierze. Zawsze może wrócić do klubów, do podrzędnych teatrów, a i tak będzie szczęśliwa.

Maddy O'Hurley nie potrzebuje mężczyzny, by dopełnił jej życie, bo jej życie jest kompletne. Nie potrzebuje rycerza na białym koniu, który wyzwoli ją od tego wszystkiego. Dobrze jej tam, gdzie jest, z siebie także jest zadowolona.

Jeśli Reed zniknie z jej życia... - Maddy z westchnieniem oparła się o drzwi szafy - będzie pewnie najbardziej nieszczęśliwą osobą na świecie. Nie, nie potrzebuje go, by ją przed czymś chronił. Potrzebuje go, by ją kochał i, choć on pewnie tego nie zrozumie, potrzebuje go, by jej pozwolił kochać siebie.

Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, otrząsnęła się z tych przygnębiających myśli.

- Kto tam?

- Abby.

Nie zawiązując szlafroka, Maddy podbiegła do drzwi. Siostra zdążyła się już przebrać. Stała teraz przed nią świeża i śliczna w dopasowanej, białej sukience.

- Och, już jesteś gotowa, a ja jeszcze w proszku...

- Ubrałam się wcześniej, bo chciałam z tobą pogadać.

- Najpierw ja ci coś powiem. Przede wszystkim to, że wspaniale wyglądasz. Może to zasługa Dylana, może powietrza na wsi, ale nigdy nie wyglądałaś lepiej.

- Chyba raczej z powodu ciąży.

- Co takiego?

- Dowiedzieliśmy się o tym tuż przed wyjazdem. Będę miała jeszcze jedno dziecko - rzekła Abby, promieniejąc radością.

- O Boże, Abby. To cudownie! Chyba się zaraz rozplacę.

- W porządku, ale najpierw usiądź.

Maddy gorączkowo szukała w kieszeni szlafroka chusteczki.

- A co na to Dylan?

- Jest zachwycony - zaśmiała się Abby, kiedy usiadły na łóżku. Jej oczy błyszczały, policzki były zaróżowione. Odrzuciła na plecy swe gęste, jasne włosy i ujęła siostrę za rękę. - Ogłosimy to dziś wieczorem przy kolacji.

- Przede wszystkim musisz zacząć bardziej o siebie dbać. Żadnego więcej sprzątania stajni. Mówię poważnie, Abby - mówiła dalej, nie zważając na protesty siostry. -

Porozmawiam o tym z Dylanem. Lepiej niech cię przypilnuje, bo inaczej będzie miał ze mną do czynienia. - Nie musisz. On chętnie przez najbliższe siedem miesięcy trzymałby mnie cały czas w pudełeczku wyłożonym watą. Przecież nie tak nas wychowano, prawda? O'Hurleyowie nigdy nie trzęsą się nad sobą.

- Może i nie, ale daj sobie trochę luzu. Nawet nie wiesz, jak się cieszę. - Maddy mocno przytuliła siostrę.

- Wiem, wiem. A teraz ty mi coś opowiesz. Dzwoniła do mnie Chantel. Była bardzo tajemnicza, ale powiedziała mi, że podobno zwariowałaś na punkcie jakiegoś mężczyzny.

- Ona może by i zwariowała, ale nie ja. To nie w moim stylu.

Abby zrzuciła pantofle.

- Kto to jest?

- Nazywa się Reed Valentine.

- Z Valentine Records?

- Tak. Skąd wiesz?

- Nie straciłam tak zupełnie kontaktu z branżą. A Dylan jakiś czas temu pracował z nim nad swoją książką.

- Tak, Reed wspominał o tym.

- I?

- I nic. Zakochałam się w nim, zrobiłam z siebie idiotkę. - Próbowала mówić lekko i swobodnie, i mało brakowało, by zmyliła siostrę. - A teraz siedzę, patrząc na telefon, i czekam, żeby zadzwonił. Jak nastolatka.

- W wieku szesnastu lat nie miałaś możliwości, żeby być nastolatką.

- Niczego nie żałuję. A wracając do Reeda, to bardzo dobry człowiek, Abby. Ciepły, delikatny, czuły, choć pewnie sam o tym nie wie. Mogę ci o nim opowiedzieć?

- Przecież wiesz, że tak.

Zaczęła od początku, niczego nie pomijając; Nawet nie przyszło jej do głowy, że zdradza prywatne tajemnice Reeda, bo w gruncie rzeczy nie robiła tego. Rozmowa z Abby czy Chantel była dla niej zawsze jak rozmowa z samą sobą.

Abby słuchała spokojnie, kiedy opowiadała jej o miłości, o kompromisach, o tragedii, jaka spotkała Reeda w dzieciństwie i rzuciła cień na jego życie. Były sobie tak bliskie, że Cierpiała, kiedy cierpiała jej siostra.

- Więc sama widzisz, że niezależnie od tego, jak bardzo go kocham, nie zmienię ani jego przeszłości, ani jego uczuć.

- Tak mi przykro. Wiem, jakie to bolesne. Mogę ci tylko powiedzieć, że jeśli się bardzo kocha, można dokonać cudów. Dylan też nie chciał mnie kochać. Zresztą, ja też nie chciałam kochać jego, - Jakie to teraz wydawało jej się dalekie. Tak dalekie, że aż nierealne. - Oboje kiedyś podjęliśmy decyzję, że nie zaryzykujemy po raz drugi. Była to logiczna decyzja podjęta przez dwoje inteligentnych ludzi.

- Abby oparła głowę o ramię siostry. - Miłość sprawia, że liczy się tylko to, co naprawdę ważne.

- Ja też próbowałam tak sobie mówić, ale Reed nie był ze mną nieuczciwy. Od początku dał mi jasno do zrozumienia, że nie chce się wiązać. Nasz związek miał być niezobowiązujący. To ja przekroczyłam granicę, więc to ja musiałam ponieść konsekwencje.

- To także bardzo logiczne. Gdzie się podział twój optymizm, Maddy?

~ Zostawiłam go w szufladzie w domu.

- Pora, żebyś go znów wyjęła. Ten smutek, dostrzeganie tylko ciemnej strony, to nie w twoim stylu. Przecież nigdy się nie poddawałaś. Zawsze zdobywałaś to, czego pragnęłaś.

- Tym razem jest inaczej.

- Mylisz się. Nie masz pojęcia, jak zawsze chciałam być tak pewna siebie jak ty. Zawsze ci tego zazdrościłam, bo ja każdy dzień witałam z obawą.

- Och, Abby...

- To prawda, i nie możesz mnie teraz zawieść. Jeśli naprawdę go kochasz, to musisz tak długo tupać, aż przyzna, że i on cię kocha.

- Najpierw musi to poczuć.

- Myślę, że czuje. Przypomnij sobie to wszystko, co mi mówiłaś, ale daj też sobie powiedzieć, że moim zdaniem ten facet zwariował na twoim punkcie, tylko nie jest jeszcze w stanie się do tego przyznać. Przed tobą i przed sobą.

Maddy poczuła, że wraca jej nadzieja. W gruncie rzeczy chyba tak naprawdę ani na chwilę jej nie opuściła.

- Próbuję w to uwierzyć.

- Nie próbuj, tylko uwierz. Nie rezygnuj. Nie poddawaj się. Ale nie zamierzam siedzieć tu i patrzeć, jak cierpisz i czekasz, aż się zjawi i rzuci ci choćby nędzne okruchy. Ubieraj się - rozkazała. - Idziemy świętować.

- Zawsze lubiłaś rządzić - prychnęła Maddy, ale posłusznie spełniła polecenie siostry.

Reed dopiero po kilkunastu sygnałach odłożył słuchawkę. Była prawie północ. Gdzie ona się podziewa? Dlaczego nie leży w łóżku, nie odpoczywa przed kolejnym dniem? Pewien

był jedynie tego, że Maddy z oddaniem przygotowuje się do każdej roli. A to oznacza dietę, ćwiczenia i odpoczynek. Więc gdzie, do diabła, się podziewa?

W Filadelfii, pomyślał z niechęcią, krążąc znów po pokoju. Jest w Filadelfii, daleko od niego, w swoim własnym świecie, z bliskimi jej ludźmi. Może robić, co chce i z kim chce. A on nie ma prawa o nic jej pytać.

Do diabła z prawami. Znów podniósł słuchawkę. To ona mówiła o miłości, o zobowiązaniach, o zaufaniu. I to ona nie odbiera telefonu.

Wciąż pamiętał jej rozczarowanie, kiedy wyznał jej, że nie jest pewien, czy przyjedzie na premierę. Nad głową wisiało mu wtedy to cholerne zebranie Stowarzyszenia. Nawet teraz ciągle o nim myślał. Decyzja o wszczęciu śledztwa oznacza skandal, który odbije się na wszystkich, na każdej wytwórni płytowej, na każdym dyrektorze, nawet na tych o czystych rękach.

Rano na pewno będzie miał dziesiątki telefonów - od dziennikarzy, stacji radiowych, firm konsultingowych, własnych pracowników. Nie może rzucić wszystkiego i jechać tyle kilometrów, by obejrzyć premierę jakiejś sztuki.

Nie jakiejś, poprawił się, wsłuchując w sygnał w słuchawce. Sztuki Maddy. Nie, jego sztuki, znów się poprawił i ze złością rzucił słuchawkę. Valentine Records sponsoruje ten spektakl i obowiązkiem firmy jest chronić swe interesy. Będzie tam Edwin Valentine, i to powinno wystarczyć. Ale prezesem jest on, Reed.

Czy szuka pretekstu, by pojechać, czy żeby zostać tutaj?

Nieważne. Nic nie jest ważne. Ważne jest tylko to, dlaczego Maddy nie odbiera telefonu.

Ma prawo do własnego życia.

Bzdura.

Reed nerwowym gestem przeczesał palcami włosy. Zachowuje się jak idiota. Próbuje się uspokoić, podszedł do barku, by nalać sobie drinka, choć miał wątpliwości, czy to dobry pomysł. Jego wzrok padł na stojącą w rogu roślinę. Pojawiły się na niej nowe, zielone pędy, młode i zdrowe. Stare, pożółkłe liście dawno już opadły i zostały usunięte. Odruchowo wyciągnął rękę i pogładził jeden z delikatnych listków w kształcie serca.

Mały cud? Możliwe, ale to przecież tylko roślina. Bardzo uparta roślina, przyznał w duchu. Nie chciała umrzeć, choć była w stanie agonalnym, i zareagowała całym sercem na odpowiednią pielęgnację i uwagę.

A więc ma szczęście do roślin. Odwrócił się i objął wzrokiem swe puste mieszkanie. Nie, dość tych myśli. I dość tych drinków.

Gdy obudziło ją pukanie do drzwi, w pokoju panowały egipskie ciemności. Maddy postanowiła je zignorować, skuliła się pod kołdrą i schowała głowę pod poduszkę. Pukanie jednak nie ustawało. I brzmiało jak sygnał, który daje akompaniator do rozpoczęcia tańca.

Nie, przecież to środek nocy, uprzytomniła sobie, ziewając głośno. Na scenę wyjdzie dopiero za kilkanaście godzin.

Stukanie jednak niewątpliwie było realne i nie ustawało. Co więcej, stawało się coraz bardziej natarczywe.

- No dobrze! - krzyknęła poirytowana i otworzyła oczy.

Jeśli to któraś z tancerek ma tremę i nie może zasnąć, odeśle ją z powrotem do łóżka! O trzeciej w nocy nie ma siły ani ochoty nikogo podtrzymywać na duchu.

- Chwileczkę!

Mrucząc pod nosem, zapaliła światło i włożyła szlafrok. Podeszła do drzwi, przekreśliła klucz i...

- Reed! - Rzuciła mu się w ramiona. - Jednak przyjechałeś! A już się prawie pogodziłam z faktem, że cię nie będzie. Nie, nieprawda - poprawiła się natychmiast i pocałowała go. - Reed, co ty tu robisz o trzeciej nad ranem?

- Mogę wejść?

- Oczywiście. - Wpuściła go i ze zdumieniem patrzyła, jak rzuca na krzesło niewielką torbę. - Czy coś się stało? - Chwyciła go za kłapy marynarki. - O Boże, coś z ojcem? Reed...

- Nie, ojcu nic nie jest. Jutro powinien tu być.

- Jesteś zdenerwowany...

- Nie.

Cofnął się i rozejrzał po pokoju, który nosił ślady pośpiechu. Na podłodze leżały porzrzucone rajstopy, skarpetki i buty. Na toaletce stały buteleczki, słoiczki, kawałki ligniny. Powierzchnię znaczył też rozsypany puder, którego nie chciało jej się zetrzeć. Dotknął go palcem i wciągnął w nozdrza jego zapach.

- Nie mogłem się do ciebie dziś dodzwonić.

- Tak? Byłam na kolacji...

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć. - Wściekły, choć tylko na siebie, odwrócił się w jej stronę.

Trzecia rano. Reed jest wyraźnie wściekły, ona jest zmęczona. Tylko spokój może ich uratować.

- W porządku. Chyba nie chcesz powiedzieć, że przyjechałeś aż do Filadelfii tylko dlatego, że nie odbierałam telefonu. - Zrozumiała to dopiero kiedy spojrzała mu w oczy. -

Naprawdę? - Podbiegła do niego, zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła policzek do jego piersi. - To najmiłsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała. Ja...

Kiedy znów na niego spojrzała, zobaczyła w jego oczach podejrzenie. Odskokczyła jak oparzona.

- Myślałeś, że jestem z kimś innym? - zapytała wolno i wyraźnie. - Myślałeś, że śpię z kimś innym, więc przyjechałeś, żeby zobaczyć to na własne oczy. - Wskazała ręką na puste łóżko. - Przykro mi, że cię rozczarowałam.

- Nie. - Zanim zdążyła się odwrócić, chwycił ją za rękę, bo zauważył zbierające się w jej oczach łzy.

- To nie tak. Albo... dobrze, może masz rację, bo przyszło mi coś takiego do głowy. Miałabyś zresztą prawo...

- Dziękuję. - Wyrwała mu rękę, usiadła na brzegu łóżka, ale nie mogła powstrzymać łez. - No więc teraz, skoro już zaspokoiliś swoją ciekawość, możesz iść. Ja muszę się wyspać.

- Wiem. - Reed odważył się usiąść obok niej.

- Wiem, i kiedy zrobiło się późno i nie odbierałaś telefonu, zacząłem się niepokoić. - Gdy spojrzała mu w oczy, poczuł się jeszcze gorzej. - Dobra, niepokoiłem się, że może jesteś z kimś innym, mimo że wiem, że nie mam do ciebie prawa.

- Jesteś idiotą.

- To też wiem, ale posłuchaj mnie, proszę. Niepokoiłem się także o ciebie. Kiedy tu jechałem, martwiłem się, czy ci się coś nie stało.

- Nie wygłupiaj się. Co mogło mi się stać?

- Nic. Wszystko. - Zacisnął ręce na jej dłoniach. - Po prostu musiałem cię zobaczyć.

Gniew już ją opuścił, lecz uczucia, które zajęło jego miejsce, nie umiała jeszcze nazwać.

- No i mnie zobaczyłeś. Co teraz?

- To zależy od ciebie.

- Nie. - Wyrwała mu rękę i wstała. - Od ciebie. Spójrz mi w oczy i powiedz, czego chcesz.

- Ciebie. - On też wstał. - Chcę, żebyś pozwoliła mi zostać. Nie żeby się z tobą kochać, ale po prostu z tobą być.

Poczuła się nieco zraniona, lecz zebrała się na odwagę i z uśmiechem spytała:

- Nie chcesz się ze mną kochać?

- Oczywiście, że chcę, nawet nie wiesz, jak bardzo, ale przede wszystkim musisz się wyspać.

- Martwisz się o swoją inwestycję? - mruknęła, rozpinając guziki jego koszuli.
- Owszem. - Reed ujął w dłoń jej twarz. - Martwię się.
- Niepotrzebnie. Zaufaj mi. Przynajmniej dziś w nocy mi zaufaj.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Chciał jej zaufać. Po raz pierwszy bardzo tego pragnął i bardzo się starał. W którymś momencie tej długiej, nerwowej nocy zdał sobie sprawę, że jeśli jej zaufa, jego życie zmieni się diametralnie. Nie był tylko pewien, czy wtedy znajdzie odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania.

Ale dotyk jej ciała był taki kojący, a spojrzenie takie ciepłe. W tę jedną noc nic innego nie było ważne.

- Od chwili, kiedy kochaliśmy się poprzednio, cały czas marzyłem, żeby znów z tobą być - szepnął.

- Ja też chciałam, żebyś tu był. Każdej nocy, kiedy zamykałam oczy, udawałam, że rano cię zobaczę. No i się sprawdziło.

Była to wyjątkowa noc. Noc bardziej dla duszy niż dla ciała. Zmięte prześcieradła powitały z radością ich spragnione ciała. Nic, co ją do tej pory zachwycało, ani wspaniała kolacja, jaką zjadła z rodzicami, ani znakomite wino, które piła, nie dało się porównać z tym, co przeżywała teraz. Dawała Reedowi całą siebie i chciała brać wszystko, co on gotów był jej dać. Kiedy ją pieścił, była w siódmym niebie. Kiedy szeptał jej imię, jej serce szalało z radości.

Już wcześniej rano Maddy była na nogach. Rozsadzała ją energia. Za kilka godzin premiera, wieczór, który zadecyduje o ich przyszłości. Czowała, że musi już teraz pojechać do teatru.

- Myślałem, że trzeba tam być dopiero późnym popołudniem - skomentował Reed, kiedy jechali do teatru.

- Nie ma próby, ale przecież wszystko, co dzieje się dzisiaj, jest ważne.

- Miałem wrażenie, że ważny jest dopiero wieczór.

- O nie, wieczór to już tylko deser. Wcześniej trzeba sprawdzić światła, dekoracje, rekwizyty. Skręć w prawo, potem w lewo.

Reed, słuchając jej wskazówek, z trudem przeciskał się przez zatłoczone ulice.

- Nie wiedziałem, że artyści w ogóle martwią się o techniczną stronę przedstawienia.

- Musical w dużej mierze opiera się na technice, Reed. Spróbuj na przykład sobie wyobrazić „Króla i mnie” bez sali tronowej, czy „Klatkę” bez klubu nocnego. O, tu jest miejsce. - Maddy wychyliła się przez okno i wskazała mu niewielką lukę między autami. - Wciśniemy się jakoś?

Reed spojrział na nią z ukosa, a potem, kilkoma ruchami kierownicy, wprowadził swe bmw między dwa samochody stojące przy chodniku.

- Dobrze?

- Super. - Nachyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek. - Jesteś cudowny. Cieszę się, że tu jesteś, Reed. Mówiłam ci to?

- Parę razy. - Objął ją i przyciągnął do siebie. Jej bliskość stawała mu się coraz bardziej niezbędna.

- Szkoda, że nie próbowałem bardziej skutecznie namówić cię na pozostanie w łóżku. Żebyś odpoczęła, oczywiście - dodał, kiedy uniosła brwi. - Przecież zaraz wyskoczysz ze skóry.

- To zupełnie normalne w dniu premiery. Dopiero gdybym była spokojna, mógłbyś się niepokoić. Zresztą uważam, że powinieneś zobaczyć, za co płacisz. Przecież to nie w twoim stylu oglądać tylko produkt końcowy. No, chodź. - Maddy wysiadła z auta i czekała na niego na chodniku. - Musisz zajrzeć za kulisy.

Weszli bocznym wejściem dla artystów. Maddy pomachała strażnikowi i ruszyła tam, skąd dobiegał hałas. Na moment rozległ się dźwięk elektrycznej piły, głównie jednak były to ludzkie głosy, niektóre donośne, inne cichsze, jakby na coś się skarżące. Mężczyźni i kobiety w strojach roboczych biegali po całym teatrze. Jedni wydawali polecenia, inni je posłusznie wypełniali.

Gdyby miał się założyć, że za parę godzin będą gotowi na podniesienie kurtyny, pewnie by się nie zdecydował. Wszędzie unosił się kurz i panowało zamieszanie.

Pośrodku sceny stał mężczyzna ze słuchawkami na uszach i mówił coś do mikrofonu. Od czasu do czasu podnosił do góry ręce i wtedy padał na niego snop światła.

- Poznałeś już głównego specjalistę od światła, prawda? - spytała Maddy.

- Przelotnie - odparł Reed.

- Każdy z reflektorów ma odrębne zadanie. On zajmuje się dolnym rzędem, jego asystent górnym.

- Ile w sumie jest tych świateł?

- Mnóstwo.

- Przedstawienie zaczyna się o ósmej. Czy to wszystko nie powinno być gotowe już dawno?

- Wczoraj na próbie wprowadziliśmy kilka zmian. Nie bój się. - Maddy ujęła go pod ramię. - Skończą czy nie, przedstawienie zacznie się punktualnie.

Reed jeszcze raz rozejrzał się dokoła. Gdzieś tam stały ogromne, drewniane paki na kółkach, jedne otwarte, inne zamknięte. Zwoje kabli pokrywały podłogę, tu i ówdzie rozstawiono drabiny. Na podnośniku stał jakiś człowiek i poprawiał ustawienie reflektorów, podczas gdy inny dawał mu znaki rękami.

- Muszą być zawieszane na odpowiedniej wysokości - wyjaśniła Maddy. - To od tego zależy szerokość snopa światła. Chodź, pokażę ci nadscenie. To tam tworzymy całą magię.

Maddy ruszyła za scenę, zwinnie wymijając paki i pudła. Jak rasowa, a więc przesadna, aktorka nie przechodziła pod drabinami, lecz je omijała. I tu wszędzie leżały kable, zwisały jakieś liny. Reed zauważył gumowego kurczaka na linie i dwóch mężczyzn mocujących do drewnianej tablicy rozdzielczą szafkę.

- Dzień dobry, panno O'Hurley. - Na jej widok obaj uśmiechnęli się szeroko. - Pięknie pani wygląda.

- Postarajcie się, żebym tak samo wyglądała wieczorem.

Pod tylną ścianą stały rzędy kufrów, z których większość była oblepiona plakatami innych przedstawień. Maddy z trudem się między nie wcisnęła.

- W tym teatrze musimy przechodzić pod sceną - wyjaśniła. - Z tyłu jest za mało miejsca. To i tak lepiej, niż gdybyśmy musieli wychodzić na zewnątrz, żeby po zmianie dekoracji pojawić się po drugiej stronie sceny.

- Czy nie lepiej by było...

- To jest teatr, Reed. - Maddy wzięła go za rękę i poprowadziła wąskim wejściem. - Jest jak jest. W tym cały urok. Teraz w górę.

Wspięła się po wąskich, stromych schodkach i znów przeszła przez jakieś drzwi.

Reedowi przypominało to pokład statku, w dodatku miotanego sztormem. Wszędzie leżały lub wisiały liny, jedne grube jak ręce Maddy, inne cienkie i poskręcane. Nawet uwijający się między nimi ludzie wyglądali jak marynarze. Pachniało konopiami, papierosami i potem.

- To nasz stryszek - zaczęła. - Niewiele teatrów w Stanach ma takie stryszki, a szkoda. Łatwiej sobie poradzić z liną i workiem z piaskiem, niż z przeciwwagą. Stąd kieruje się wszystkim, co się rusza. Kurtyna. - Dotknęła kilku powiązanych razem lin, opatrzonych jakąś tabliczką. - Waży ponad dwieście kilo. Kiedy trzeba ją opuścić w trzecim akcie, inspicjent daje sygnał przez interkom. Drugi sygnał daje się światłem.

- Nie wygląda to na zbyt skomplikowane.

- Bo i nie jest, jeśli nie musisz podnosić tyłu kilogramów, i to parę razy. To duże przedstawienie. Ci faceci nieźle się napocą. Jedną linę czasem ciągną we trzech.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Spędziłam w teatrze całe życie. Chodźmy jeszcze na ten mostek. Stamtąd jest najlepszy widok.

Wymijając kolejne liny, paki i pudła weszli na wąską, żelazną platformę. Choć z tego miejsca wszystko wcale nie wyglądało na bardziej zorganizowane, Reed poczuł ducha zbiorowej pracy.

- Jeśli coś trzeba malować, robi się to właśnie tutaj - wyjaśniła Maddy, opierając się o metalową balustradę i patrząc w dół.

- Gdybym nie znał cię lepiej, pomyślałbym, że jesteś zdenerwowana - powiedział Reed.

- Nie jestem zdenerwowana... Jestem przerażona.

- Dlaczego? - Poglądził ją po ręce. - Wiesz przecież, co potrafisz.

- Wiem, co potrafiłam do tej pory - poprawiła go. - W tej sztuce jeszcze nie grałam. Dopiero dziś wieczór, kiedy kurtyna pójdzie w górę, będzie ten pierwszy raz. O, patrz, twój ojciec. - Wskazała dłonią scenę. - Zdaje się, że rozmawia z dyrektorem teatru. Chyba powinieneś do nich zejść.

- Nie, powinienem być z tobą.

Dopiero teraz zaczynał sobie uświadamiać, jak prawdziwe są te słowa. Przecież z tego właśnie powodu przyjechał w środku nocy do Filadelfii, z tego powodu przyszedł tu z Maddy. Wcale nie dlatego, by doglądać interesu. Nie po to też, by jakoś zabić czas. Zrobił to, ponieważ wiedział już, że jego miejsce jest przy niej.

Był przerażony. Doznał tego uczucia dziesięć metrów nad sceną, na wąskiej, żelaznej platformie. I bynajmniej nie był to strach fizyczny.

- Zejdźmy na dół - zaproponował.

Pragnął znaleźć się wśród ludzi, pośród hałasu i zamieszania, które odciągną jego myśli od rozterek serca.

- Dobra. O, patrz, jest moja rodzina. - Maddy natychmiast zapomniała o zdenerwowaniu, a jej radość była tak wielka, że objęła Reeda, nawet nie zauważywszy, że zeszytywniał. - Widzisz tego szczupłego, niskiego mężczyznę, który rozmawia z jednym ze stolarzy? To mój ojciec. W teatrze mógłby robić wszystko: światła, rekwizyty. Potrafi reżyserować lub opracować choreografię, ale nigdy go to nie interesowało.

- Pięknie o nim mówisz.

- Podobno jestem do niego podobna. I mama jest, o tam. Widzisz tę śliczną panią z chłopczykiem? To mój najmłodszy siostrzeniec, Chris. Wczoraj postanowił, że zajmie się w

teatrze światłem, bo będzie mógł jeździć podnośnikiem. I moja siostra Abby. Czy nie jest piękna?

Reed spojrział w dół na szczupłą kobietę z kręconymi blond włosami. Choć wokół panował chaos, bił od niej jakiś wewnętrzny spokój. Położyła rękę na ramieniu drugiego chłopca i pokazywała mu widownię.

- Pewnie wyjaśnia Benowi, gdzie będą wieczorem siedzieli. Jest strasznie podniecony, bo jutro jadą do Nowego Jorku. Dylan ma spotkanie z wydawcą. Chodźmy się przywitać.

Gdy znaleźli się z powrotem na dole, Maddy przeszła wzdłuż rampy. To jej światła oświetlą ją dziś wieczorem. Usłyszała sygnał i pociągnęła Reeda za sobą. Chwilę potem wyszywana błyszczącymi kamykami kurtyna wolno opadła w dół.

- Niesamowite, prawda?

- Robi wrażenie.

- Opadnie w drugim akcie, kiedy wyobrażam sobie, że jestem baletnicą, a nie striptizerką, i oczywiście wpadam prosto w ramiona Jonathana.

Nagle dobiegł ich wesoły głos Franka O'Hurleya.

- Valentine, a niech mnie kule biją! - Szczupły, żyłasty Frank chwycił w objęcia potężnego, krzepkiego Edwina. - Moja dziewczynka mówiła mi, że ich sponsorujecie. Ile to już lat, Edwin?

- Oj, dużo, dużo. - Edwin mocno ścisnął dłoń Franka. - Ale ty ani trochę się nie postarzałeś.

- Tak ci się tylko wydaje, bo postarzały się twoje oczy, staruszk.

- Witaj, Molly. - Edwin pocałował ją w policzek. - Jesteś śliczna jak zawsze.

- Ty za to masz zdrowe oczy, Edwinie - zapewniła go Molly, a on jeszcze raz ją pocałował. - Zawsze miło spotkać starego przyjaciela.

- Nigdy o was nie zapomniałem. I nigdy nie przestałem zazdrościć ci żony, Frank.

- W takim razie pozwolę ci jeszcze raz ją pocałować. Abby pewnie mniej pamiętasz.

- Jedna z trojaczek. - Edwin chwycił dłoń Abby w obie ręce. - Niesamowite. Która jesteś?

- Średnia - odparła wesoło Abby.

- Może to tobie zmieniałem pieluszki.

Abby ze śmiechem zwróciła się do Dylana:

- To mój mąż, Dylan Crosby. Pan Valentine to, jak widać, stary przyjaciel rodziny.

- Czytałem parę pańskich książek. Przy jednej chyba nawet pracował pan z moim synem.

- Zgadza się. - Dylan poczuł, jak Ben wsuwa małą rączkę w jego dłoń, i mocno ją uściskał. - Nie było pana wtedy w mieście, więc nie mieliśmy okazji się poznać.

- I wnuki. - Edwin spojrzał jeszcze raz na Franka i Molly i przykucnął przed chłopcami. - Ładne chłopaki. Miło mi poznać. - Wyciągnął do nich rękę jak do dorosłych. - Tego też ci zazdroszczę, Frank.

- Uwielbiam te małe diablęta - przyznał Frank. - W przyszłym roku Abby da nam jeszcze jednego.

- Gratuluję. - Edwin czuł, że zżera go zazdrość, lecz gdzieś tam pojawiła się także radość. - Jeśli nie macie innych planów, byłoby mi miło, gdybyście zjedli ze mną kolację przed przedstawieniem.

- Jesteśmy O'Hurleyami - przypomniał mu Frank. - Nigdy nie mamy planów, których nie można by zmienić. A jak twój chłopak, Edwin?

- W porządku. Prawdę mówiąc... O, też tu jest. Z waszą córką.

Kiedy Frank się odwrócił, w jego głowie natychmiast zapaliło się światełko. Ujrzał Maddy trzymającą za rękę wysokiego, szczupłego mężczyznę o klasycznych rysach. I zauważył jej oczy - ciepłe, błyszczące i odrobinę niepewne. Jego córeczka się zakochała. Ta świadomość wzbudziła w nim zarazem radość i ból. Oba te uczucia osłabły, gdy Molly wzięła go za rękę.

Kiedy się poznawali, Frank nie spuszczał z Reeda wzroku. A więc tak wygląda mężczyzna, którego wybrała jego Maddy.

- To ty teraz rządzisz Valentine Records - zaczął. Zawsze od razu przechodził do rzeczy. - Dobrze ci leci?

- Chyba tak - przyznał skromnie Reed. Stojący przed nim mężczyzna przypominał trochę kogucika - mały, ale żwawy. Na czole miał lekką łysinę, lecz jego oczy były zadziwiająco błękitne. Patrząc na niego, Reed widział Maddy, choć sam nie wiedział dlaczego. Fizycznie właściwie nawet nie byli do siebie podobni. To było coś w środku. Pewnie dlatego tak mu się ten człowiek spodobał i pewnie dlatego tak bardzo starał się zachować wobec niego dystans.

- Wytwórnia płytowa to olbrzymia odpowiedzialność - ciągnął Frank. - Wymaga sprawnej ręki. Jesteś żonaty, chłopcze?

Reed nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Nie.

- A byłeś?

- Tato, pokazywałam ci już, jak zmieniliśmy układ w finale? - Maddy złapała go za rękę i pociągnęła za lewą kulisę. - Co ty wyprawiasz?

- A ty o czym mówisz? - Frank uśmiechnął się i pocałował ją w oba policzki. - Boże, ale ty masz twarz. Ciągłe jak moja mała rzepka.

- Za takie komplementy można dostać prztyczka w nos. Przestań tak przesłuchiwać Reeda. To się... rzuca w oczy.

- Przede wszystkim rzuca się w oczy to, że jesteś moją małą córeczką i mam prawo się tobą opiekować. No, w każdym razie, kiedy jestem przy tobie.

Maddy złożyła ręce na piersiach i przechyliła głowę.

- Powiedz, tato, czy dobrze mnie wychowałeś?

- Najlepiej jak umiałem.

- Czy uważasz mnie za kobietę rozsądną i odpowiedzialną?

- Oczywiście, że tak. Każdy, kto jest innego zdania, będzie miał ze mną do czynienia.

- To dobrze. - Maddy mocno pocałowała go w policzek. - No to się odczep, O'Hurley. Poklepała go lekko po ramieniu i wróciła na scenę.

- Nie ma co tak tu stać - oświadczyła. - Na pewno wszyscy mamy coś ciekawszego do roboty. Ja na przykład muszę jeszcze trochę poćwiczyć.

Rozgrzewała się powoli, ostrożnie rozciągając wszystkie mięśnie. Nie mogła sobie pozwolić na najmniejszą kontuzję. W sali ćwiczeń nie było nikogo. Tylko ona i lustro.

Z garderoby za ścianą dobiegał ją warkot pralki. W małej kuchence po drugiej stronie korytarza ktoś otworzył i zamknął lodówkę. Dwaj konserwatorzy ucinali sobie pogawędkę tuż przy drzwiach sali.

Ona jednak była we własnym świecie. Tylko ona i lustro.

To był pomysł Macke' a, by do sceny snu włączyć elementy baletu. Gdy zauważyła, że od pół roku nie tańczyła na pointach, zaproponował, by wyciągnęła baletki i zaczęła ćwiczyć. Posłuchała go, wzięła też dodatkowe lekcje. Oby nie na darmo.

Pracowała ciężko i ćwiczyła tak długo, aż wszystkie ruchy i dźwięki chyba na zawsze wbiły się jej w głowę. Był jednak numer, którego bała się najbardziej. Właśnie ten.

Przez pierwsze cztery minuty będzie na scenie sama. W błękitnym świetle, z migoczącą kurtyną za plecami. Zabrzmi muzyka... Ręce położy na ramionach, stanie na czubkach palców i rozpocznie taniec.

Maddy nacisnęła guzik magnetofonu i stanęła przed lustrami. Skrzyżowała ramiona, wspięła się na pointy i wykonała pierwsze ruchy.

Nie słyszała już hałasu dobiegającego zza drzwi. Nie była już Maddy, nie grała Mary, lecz była najskrytszym marzeniem Mary. Złudzeniem, iluzją. Arabeska, piruet. Koniec.

To było wszystko, co mogła przeciwżyć bez partnera. Opuściła ręce i rozluźniła mięśnie. Podeszła do magnetofonu i wcisnęła przewijanie.

- Nigdy nie widziałem, żebyś tak tańczyła.

W drzwiach stał Reed.

- To rzeczywiście trochę dla mnie nietypowe - przyznała. - Nie wiedziałam, że wciąż tu jesteś.

- Nie przestajesz mnie zadziwiać - stwierdził, wchodząc do sali. - Wyglądasz jak prawdziwa baletnica. Gdybym cie nie znał, mógłbym się pomylić.

Roześmiała się, choć jego uwaga sprawiła jej przyjemność.

- Kilka klasycznych ruchów to jeszcze nie Jezioro łabędzie".

- Ale gdybyś chciała, to byś potrafiła, prawda? - Ręcznikiem delikatnie ocierał jej skronie.

- Nie wiem. Być może w połowie „Śpiącej królowny" miałabym ochotę postępować.

- Co balet stracił, Broadway zyskał.

- Mów tak dalej - roześmiała się wesoło. - Tego mi teraz trzeba.

- Jesteś tu już prawie dwie godziny. Zanim podniosą kurtynę, będziesz wykończona.

- Mam dziś tyle energii, że mogłabym zagrać całe przedstawienie nawet i trzy razy.

- A jedzenie?

- Podobno technicy gotują gulasz. Jeśli zjem trochę koło czwartej czy piątej, do ósmej powinnam to strawić.

- Chciałem wziąć cię do miasta.

- Och, Reed, nie mogę, nie przed premierą. Ale potem chętnie. - Chwyciła go za rękę.

- Zjemy razem późną kolację, dobrze?

- Jasne. - Jej dłonie, mimo że rozgrzała się podczas tańca, były chłodne. Chłodne i spięte. Reed wiedział, że musi ją uspokoić. - Zawsze jesteś taka przed premierą?

- Zawsze.

- Nawet jeśli jesteś pewna, że przedstawienie odniesie sukces?

- To, że jestem pewna, nie znaczy, że już nie muszę się starać. I dlatego się denerwuję.

Cenne rzeczy nie przychodzą łatwo.

- To prawda...

Zdawali sobie sprawę, że nie rozmawiają już ani o teatrze, ani o premierze.

- Naprawdę wierzysz, że jeśli czegoś bardzo chcesz i bardzo się postarasz, to nie może ci się nie udać?

- Naprawdę.

- Nam też?

- Też.

- Choć szanse są niewielkie?

- To nie jest sprawa szans, lecz ludzi, Reed.

Puścił jej ręce i odsunął się. Poczuł się tak samo jak na tamtej żelaznej platformie.

- Chciałbym być takim optymistą jak ty. Chciałbym wierzyć w cuda.

Nadzieja, która przed chwilą jeszcze wypełniała jej serce, zaczęła powoli przygasać.

- Ja też.

- Małżeństwo jest dla ciebie ważne, prawda? - Widział ją w lustrze, drobną, wyprostowaną.

- Tak. Bo to związek dwojga ludzi, pewne zobowiązanie. Wychowano mnie w szacunku dla tego zobowiązania, nauczono, że małżeństwo to nie koniec, ale początek. Tak, jest dla mnie ważne.

- To kontrakt - sprostował, mówiąc jakby do siebie. - Prawny i nieszczególnie wiążmy. Oboje wiemy, czym jest kontrakt. Możemy taki podpisać.

Maddy szeroko otworzyła usta, zamknęła je i dopiero po chwili była w stanie wydobyć z siebie głos.

- Co takiego?

- Powiedziałem, że możemy podpisać taki kontrakt. Zrozumiałem, że jest dla ciebie ważny, a mnie jest wszystko jedno. Zrobimy badania krwi, podpiszemy dokumenty i już.

- Badania krwi. - Nogi miała jak z waty, musiała oprzeć się o stolik. - Dokumenty. Jakie to romantyczne.

- To tylko formalność. - Kiedy odwrócił się ku niej, miał ściśnięty żołądek. Zamykał drzwi do własnej klatki. - Nie wiem, jak to wygląda od strony prawnej, ale jeśli trzeba, możemy w poniedziałek pojechać do Nowego Jorku i to załatwić. Zdążyłabyś z powrotem na wtorkowe przedstawienie.

Podejrzewała, że Reed ją zrani, ale nie spodziewała się, że złamie jej serce.

- Doceniam twoją propozycję, ale dziękuję. Nie.

Znów wcisnęła guzik magnetofonu.

- O co ci chodzi? - Chwyił ją za rękę, zanim zdążyła przybrać wyjściową pozycję.

- Chyba wyraziłam się jasno. Przepraszam cię, muszę ćwiczyć.

Jej głos nigdy jeszcze nie był tak lodowaty.

- Chcesz małżeństwa i ja się na nie zgodziłem, więc o co chodzi, Maddy?

Wyrwała mu się jednym szarpnięciem.

- Chcę dużo więcej, niż jesteś skłonny dać. Więcej niż potrafisz dać. Nie potrzebuję kawałka papieru, do cholery. Nie chcę od ciebie żadnej łaski. No tak, Maddy chce wyjść za mąż, a ponieważ mnie jest wszystko jedno, podpiszemy się we właściwym miejscu i będzie szczęśliwa. A idź do diabła!

- To nie tak...

- Tak, właśnie tak. Małżeństwo to tylko kontrakt, a kontrakty można zrywać. Może jeszcze zechcesz umieścić tam taką specjalną klauzulę, że żadne z nas nie będzie domagało się zadośćuczynienia. Nie, dziękuję.

Czy naprawdę brzmiało to tak zimno, tak... podle? Czuł, że traci grunt pod nogami.

- Maddy, kiedy tu szedłem, wcale nie wiedziałem, że poruszymy te sprawy. To po prostu samo tak wyszło.

- Jak dla ciebie zbyt spontanicznie, co? - Tym razem w jej głosie zabrzmiała ironia. - To może jeszcze raz przeciwicysz swoją rolę?

- A czego ty właściwie chcesz? Świec, kwiatów, mam paść ci do stóp?

- Już mi się nie chce mówić ci, czego chcę. Za parę godzin muszę być na scenie. Zostaw ranie w spokoju, Reed.

Dopiero gdy została sama, z jej oczu popłynęły łzy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Idąc korytarzem, Reed natknął się na ojca.

- Maddy ciągle jeszcze jest na górze? - Edwin położył synowi ręce na ramionach. - Właśnie skończyłem rozmawiać z dyrektorem. Wszystkie bilety na dzisiejszy wieczór zostały sprzedane. Na cały najbliższy tydzień zresztą też. Chciałem jej to powiedzieć.

- Może później. - Reed wsunął ręce głęboko do kieszeni, tłumiąc złość. - Teraz ćwicz.

- Rozumiem. - Tak mu się wydawało. - Wejdz tu ze mną na chwilę. - Wskazał mu gabinet dyrektora. Kiedy weszli, zamknął za nimi drzwi. - Zawsze dzieliłeś się ze mną problemami.

- Czasem trzeba radzić sobie samemu.

- Tak, w tym zawsze byłeś dobry. Ale to nie znaczy, że nie mogę o nich wiedzieć.

Edwin wyjął cygaro, zapalił je i czekał.

- Poprosiłem Maddy, żeby za mnie wyszła. Nie - sprostował, zanim w oczach ojca zdążyła pojawić się radość. - To niezupełnie prawda. Zaproponowałem jej umowę małżeńską. Rzuciła mi ją w twarz.

- Umowę?

- Tak, umowę. - Reed mówił ostro i z irytacją.

- Musimy zrobić badania krwi, zdobyć zezwolenie, dopasować termin do naszych zajęć.

- Termin? - powtórzył jak echo Edwin. - Jak sucho to brzmi w twoich ustach, synu. Żadnych kwiatów?

- Jeśli chce, może dostać całą ciężarówkę. - Gabinet był tak niewielki, że się w nim dusił. Ale wiedział, że nie z braku powietrza.

- Jeśli chce. - Edwin usiadł w fotelu. Biedna dziewczyna, pomyślał. I biedny chłopak. - Skoro tak jej to przedstawiłeś, to nic dziwnego, że ci odmówiła.

- Zresztą, może to i lepiej. Sam nie wiem, po co w ogóle to wszystko zaczynałem.

- Może dlatego, że ją kochasz.

- Miłość ładnie wygląda tylko w filmie.

- Gdybym ci uwierzył, musiałbym przyznać się do klęski, bo cię źle wychowałem.

- Nie, to nieprawda. - Reed spojrzał na niego z wściekłością. - Nigdy w niczym nie poniosłeś klęski.

- A w małżeństwie?

- To nie była twoja wina.

- Owszem, była. A teraz posłuchaj. Nigdy tak naprawdę o tym nie rozmawialiśmy. Nie chciałeś, a ja nie nalegałem, bo ta sprawa była dla mnie wciąż bolesna. - Edwin zgasił cygaro i nie zapalił nowego. - Ożeniłem się z twoją matką, choć wiedziałem, że mnie nie kocha. Myślałem, że utrzymam ją przy sobie, bo mogłem dać jej to, czego potrzebowała. Im bardziej się starałem, tym bardziej czuła się osaczona. Kiedy w końcu udało jej się wyzwolić, była to tak samo moja wina, jak i jej.

- Nie.

- Tak - sprostował Edwin. - Małżeństwo to dwoje ludzi. To nie interes, nie umowa.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. I nie wiem po co to robisz.

- Oj wiesz, wiesz. Mówię o tobie i o Maddy.

Reed, który położył już rękę na klamce, cofnął się i usiadł z powrotem.

- Masz rację.

- Twoja matka mnie nie kochała i nie kochała ciebie. Bardzo mi przykro z tego powodu, ale musisz wiedzieć, że miłość to nie jest coś, co przychodzi tylko dlatego, że się kogoś urodziło albo z poczucia obowiązku. Ona bierze się z serca.

- Zdradziła cię.

- Tak, ale także dała mi ciebie. Nie mogę jej nienawidzić, Reed, i pora już, żeby jej decyzja przestała rządzić twoim życiem.

- A jeśli się okaże, że jestem taki jak ona?

- To o to chodzi? - Edwin wstał, podszedł do syna i chwycił go za kłapy. Pierwszy raz w życiu był na niego naprawdę zły. - Jak mogło ci coś takiego wpaść do głowy!

- Mógłbym być taki jak ona - powtórzył Reed. - Albo jak ten mężczyzna, z którym spała, a nawet nie wiem, kto to był.

Edwin puścił syna i cofnął się o krok.

- A chcesz wiedzieć?

- Nie, dla mnie oni nie istnieją. Ale skąd mogę wiedzieć, co jest we mnie? Skąd mogę wiedzieć, czy nie odziedziczyłem po nich tego wszystkiego?

- Nie, nie możesz, ale możesz spojrzeć w lustro i pomyśleć raczej o tym, kim jesteś, a nie kim możesz być. I możesz uwierzyć, tak jak ja uwierzyłem, że ważniejsze jest te trzydzieści pięć lat, które przeżyliśmy razem, niż ewentualne dziedziczenie jakichś tam cech.

- Wiem, że tak, ale...

- Nie ma żadnego ale.

- Kocham Maddy. - Po raz pierwszy w życiu zdobył się na takie wyznanie. - Ale skąd mogę wiedzieć, że za miesiąc, za rok, to się nie zmieni? Skąd mogę wiedzieć, że do końca życia będę umiał dawać jej to, czego pragnie?

- Tego nigdy nie można wiedzieć. Trzeba zaryzykować, chcieć tego i bardzo się starać. Jeśli ją kochasz, zrobisz to.

- Najbardziej boję się, że mógłbym ją zranić. Maddy to najlepsza rzecz, jaka mi się w życiu trafiła.

- Domyślam się, że nie powiedziałaś jej tego?

- Niestety. Zabrakło mi odwagi i wszystko popsulem.

- Powiem ci coś. Żaden mój syn nie pozwoli, aby taka wspaniała kobieta jak Maddy O'Hurley wymknęła mu się z rąk tylko dlatego, że nie jest pewien, czy jest idealny.

Reed omal się nie roześmiał.

- To brzmi jak wyzwanie.

- Bo jest, do cholery. - Edwin położył ręce na ramionach syna. - A mój syn nigdy się nie poddaje. Teraz może postawisz staruszkowi drinka?

Z włosami związanymi w ciasny węzeł, w najgorszym ze swoich szlafroków luźno zawiązanymi w pasie, Maddy siedziała przed lustrem i przyklejała sobie sztuczne rzęsy. Była już prawie całkowicie umalowana i wyglądała jak Mary. Jeszcze tylko trochę koloru na policzki, odrobinę połysku na powieki i ostra czerwień na wargi.

Tylko dlaczego ma tak ściśnięty żołądek?

Na próżno wmawiała sobie, że to z powodu tremy.

Małżeństwo. Reed mówił o małżeństwie, ale na swoich warunkach. W głębi duszy Maddy zawsze żywiła nadzieję, że Reed zaakceptuje fakt, że powinni być razem. W głębi duszy była tego właściwie pewna. A gdy ten moment nadszedł, nastąpiła katastrofa. Reed nie proponował jej długich, szczęśliwych lat życia, lecz kawałek papieru, który połączy ich w obliczu prawa, nie zostawiając miejsca na uczucia.

Tak, tego miała w nadmiarze. Za dużo uczuć, za mało logiki. Kobieta logiczna przyjęłaby warunki Reeda i cieszyła tym, co tak wspaniały mężczyzna jej oferuje. A ona? Ona go odrzuciła.

Tak, to wieczór początków i zakończeń.

Miała dość patrzenia na swoją smutną twarz. Wstała i odeszła od lustra. Zza drzwi dobiegał wesoły, lekko nerwowy gwar, tak typowy w dniu premiery. Jej garderoba pełna była kwiatów odbijających się w lustrze, wypełniających wnętrze duszącym zapachem.

Wśród nich były białe róże od Chantel. Rodzice przysłali jej słodkie, niewinne stokrotki. Nawet nie patrząc na bilecik, wiedziała, że gardenie są od Trace'a. Napisał tylko: „Złam nogę”. Ciekawe, skąd wiedział, gdzie i kiedy przysłać kwiaty?

Były jeszcze inne bukiety, ale nic od Reeda. Nie, będzie cieszyć się tym, co ma, a nie żałować tego, czego mieć nie może.

- Trzydzieści minut, pani O'Hurley.

Słyszając te słowa, Maddy mocno przycisnęła rękę do żołądka. Tylko trzydzieści minut. Dlaczego nawet teraz nie może zapomnieć o Reedzie? Na myśl o tym, że za pół godziny wyjdzie na scenę, będzie śpiewać i tańczyć przed widownią pełną obcych ludzi, zrobiło jej się słabo. Wolałaby wrócić do domu i zasłonić szczelnie okna.

Szybkie pukanie do drzwi przerwało jej ponure rozmyślania i zanim zdążyła powiedzieć „Proszę”, rodzice już byli w środku.

- Przyda ci się widok przyjaznych twarzy? - spytała Molly.

- O, tak. - Maddy wyciągnęła do niej rękę. - I to bardzo.

- Widownia się zapełnia. - Dumny jak paw Frank rozejrzał się po garderobie. - Zostały już tylko miejsca stojące.

- Naprawdę?

- Tak, dziecinko. - Poklepał ją po ręce. - Rozmawiałem z inspicjentem. Mówi, że sukces murowany.

- Niech lepiej zaczeka, aż opadnie kurtyna. - Maddy znów położyła rękę na brzuchu. Przydałyby jej się sole trzeźwiące.

- Ani o tym nie myśl. - Matka bezbłędnie odczytała jej myśli. - W dniu premiery takie sensacją to normalne. Chyba że jest jakiś inny powód?

Maddy zawahała się, ale w jej rodzinie nigdy nie było tajemnic.

- Tylko taki, że zakochałam się w idiocie.

- A, to. - Molly uniosła brwi i spojrzała spod oka na Franka. - Dobrze wiem, jak to jest.

- Ej, chwileczkę! - zaprotestował Frank, ale w tej samej chwili żona wypchnęła go z pokoju.

- Pa, Frank. Maddy musi włożyć kostium.

- Zajmowałem się nią w niemowlęctwie - mruknął pod nosem. - Rzuć ich na kolana - zwrócił się do córki, puścił do niej oko i zniknął.

- Jest niesamowity, prawda? - uśmiechnęła się Maddy.

- Ma swoje dobre chwile. - Molly spojrzała na mieniący się kolorowymi cekinami kostium wiszący na drzwiach. - To na pierwszy akt?

- Tak.

- Pomogę ci. - Molly zdejmowała kostium z wieszaka. - Czy ten idiota przypadkiem nie nazywa się Reed Valentine?

- Owszem, to on.

- Wczoraj jedliśmy kolację z nim i jego ojcem. Miły młody człowiek.

- Zgadza się. Nie chcę go więcej widzieć.

- Uhm.

- Piętnaście minut, pani O'Hurley.

- Zaraz zwymiotuję - szepnęła Maddy.

- Nie bój się. - Wprawnymi rękami Molly zapinała drobne guziczki kostiumu córki. - Tylko wydawał mi się jakiś nieobecny.

- Ma dużo spraw na głowie. Głównie kontrakty. Wszystko jedno, i tak mnie to nie interesuje.

- Tak, właśnie widzę. Oni nie po to są, żeby nasze życie było łatwiejsze, Maddy. Oni po prostu są.

- Kto taki?

- Mężczyźni.

Po raz pierwszy tego wieczoru Maddy się roześmiała.

- A nie uważasz, że amazonki miały rację?

- Te, które najpierw się z mmi kochały, a potem ich zabijały? - Molly przez chwilę rozważała słowa córki. - Nie, nie uważam. Dobrze jest mieć jednego mężczyznę na całe życie. Przyzwyczajasz się do niego, czujesz się bezpieczna. Gdzie masz buty?

- Tutaj. Wciąż kochasz tatę, prawda? No wiesz, tak naprawdę go kochasz? Tak jak zawsze?

- Nie. Wszystko się zmienia, i miłość też. Kocham go teraz zupełnie inaczej niż trzydzieści lat temu. Mamy teraz czworo dzieci, a za sobą lata kłótni i śmiechu, i łez. Mając lat dwadzieścia, na pewno nie kochałam go bardziej. I pewnie teraz kocham go mniej, niż kiedy będę miała osiemdziesiątkę.

- Chciałabym... - zaczęła Maddy i urwała.

- No, powiedz. - Głos Molly był czuły jak rzadko. - Matce można powiedzieć o wszystkim. Nawet o marzeniach.

- Chciałabym, żeby Reed to zrozumiał. Żeby, uwierzył, że czasami może się udać, że miłość może, przetrwać. Och, mamó, tak bardzo go kocham.

- No to dam ci jedną radę. Nie rezygnuj z niego.

- Chyba rezygnuję z siebie.

- To byłabyś pierwsza z O'Hurleyów. My się nie poddajemy, zapomniałaś? Może ta peruka ochłodzi trochę ten twój gotujący się mózg.

- Dzięki.

- Pięć minut, pani O'Hurley.

Molly podeszła do drzwi i odwróciła się, żeby jeszcze raz spojrzeć na swoją córkę.

- Trzymaj się, Maddy.

- Rzucę ich na kolana. - Maddy wyprostowała się i dumnie uniosła głowę.

- Liczę na to.

Gdy Maddy wyszła z garderoby, grano już uverturę. Szła w kierunku sceny, z każdym krokiem tracąc trochę z Maddy O'Hurley. Wanda stała już za kulisami i ćwiczyła oddechy.

- No to już.

Maddy uśmiechnęła się i przez ramię inspicjenta spojrzała na ekran monitora. To na nim będzie oglądał całą sztukę tak, jak zobaczy ją publiczność.

- Ile najwięcej razy podnosiła się kurtyna w twoich przedstawieniach, Wanda?

- Raz, w Rochester, siedemnaście. Maddy podparła się pod boki.

- No to dzisiaj pobijemy ten rekord. Spojrzała na stojącego w prawej kulisie Macke'a i uniosła wysoko głowę. Była gotowa.

- Światła na widownię.

- Lewa, światło.

- Prawa, światło.

Całą scenę spowiła bladoniebieska poświata. Widownia ucichła.

- Kurtyna.

Poszła w górę. Orkiestra zaczęła grać.

Dla ciebie, tato, szepnęła w duchu. To ty mnie wszystkiego nauczyłeś.

Kiedy schodziła w prawą kulisę po pierwszej scenie, publiczność szalała. Garderobiane błyskawicznie zdjęły z niej kostium, buty i perukę.

- Bądź taka do końca, to postawię ci najlepszą kolację w całej Filadelfii.

Maddy, już przebrana, z poprawionym makijażem i fryzurą, spojrzała na Macke' a.

- No to szykuj portfel - rzuciła ze śmiechem i pod sceną przeszła do lewej kulisy.

To stamtąd zaczynała następną scenę. Słyszała, jak Jonathan i aktor, który grał jego najbliższego przyjaciela, mówią swój tekst. Tuż przy schodach, wiodących na scenę grupa techników zgromadziła się wokół małego, przenośnego telewizora. Głos oczywiście ściszyli, żeby nic nie zakłócało tego, co dzieje się na scenie. Maddy przystanęła przy nich. Do wejścia pozostało jej jeszcze kilka minut.

- Kto wygrywa? - spytała, widząc, że oglądają mecz.
- Na razie zero zero. Piraci przeciwko Metsom.
- Stawiam na Metsów.
- No to przegrasz - roześmiał się jeden z mężczyzn.
- Pięć dolicz - powiedziała, słysząc, że Jonatan kończy piosenkę.
- Zakład przyjęty. - I bardzo dobrze.

Z uśmiechem wspięła się po schodkach na swe pierwsze spotkanie z Jonathanem C. Wigginsera III. To przed biblioteką zaczynał się romans striptizerki i niewinnego potomka bogatej rodziny.

Zauważyła go dopiero przed finałem. Siedział obok Franka i tak jak on się uśmiechał. Dwaj mężczyźni jej życia. Potem cała widownia zlała jej się w jedną, bezkształtną plamę.

- Wyglądaj tak dalej, to uciekną jeszcze przed finałem.

Maddy zamglonymi od łez oczami spojrzała na Wandę. Obie ubrane były w nocne koszule do finałowej sceny we wspólnym mieszkaniu. Za chwilę opadnie kurtyna i Maddy odegra scenę swoich marzeń.

- Nigdy w życiu. Przecież musimy pobić rekord.
- Jest?
- Jest.

Nie musiała pytać, kogo Wanda ma na myśli.

- No to mu udowodnij.
- Że przeżyję. Że i bez niego moje życie będzie pełne.
- Nie jemu, ale sobie.

W sztuce autor może manipulować postaciami, jak mu się żywnie podoba. W finale Mary i Jonathan nareszcie są razem. Przewyciężyli trudności, zdrady, rozczarowania, kłamstwa i są razem. Na zawsze.

I wtedy zerwały się brawa. Potężne, ogłuszające, odbijające się echem po całym teatrze, słyszalne chyba nawet na ulicy.

Kurtyna szła w górę dwadzieścia sześć razy.

Maddy nieprędko dotarła do swej garderoby. Były uściski, łzy i gratulacje. Nawet Macke chwycił ją w ramiona i pocałował w same usta.

- Żebyś mi taka sama była jutro - szepnął. W końcu dotarła do siebie, zamknęła drzwi i opadła na krzesło. Udało się. Niedługo jednak pozostała sama. Pierwszy do garderoby wpadł Frank.

- Tato. Tato - szeptała mu do ucha. - Było super. Powiedz, że było super.

- Super? Kurtyna dwadzieścia sześć razy w górę to dużo więcej niż super.

- Liczyłeś!

- A pewnie! - Uścisnął ją mocno, uniósł w powietrze. - Przecież to moje maleństwo było na tej scenie. Moja dziewczynka pokazała im, co potrafi. Jestem z ciebie dumny, Maddy.

- Och, tato, nie płacz. - Pociągając nosem, Maddy wyjęła mu z kieszeni chusteczkę. - Byłbyś dumny, nawet gdybym była do niczego. Za to cię kocham.

- A mamusia też dostanie buzi? - Molly wyciągnęła ręce i objęła córkę. - Cały czas przypominałam sobie chwilę, kiedy pierwszy raz włożyłaś; buty do tańca. Aż nie mogłam uwierzyć, że to ty, taka silna, taka pełna życia. Ale przede wszystkim silna. Taka właśnie jesteś, Maddy.

- A mnie jeszcze teraz serce wali - oznajmiła Abby, odsuwając od siostry rodziców. - Za każdym razem, kiedy wychodziłaś na scenę, chwytalam Dylana za rękę. Wolę nie myśleć, ile siniaków mu narobiłam. Ben cały czas mówił siedzącej obok pani, że to jego ciocia. Szkoda, że...

- Tak, wiem. Szkoda, że nie ma z nami Chantel.

Maddy nachyliła się i przytuliła Bena i spojrzała na zaspanego Chrisa na rękach Dylana.

- Wcale nie zasnąłem - pochwalił się, szeroko ziewając. - Wszystko widziałem. Bardzo ładne.

- Dzięki. No jak, Dylan, możemy pokazać się na Broadwayu?

- Jestem pewien, że i Broadway padnie na kolana. Gratulacje, Maddy. Podobały mi się te twoje kostiumy - dodał z figlarnym uśmiechem.

- Błyszczące i skąpe, co?

- Musimy odprowadzić dzieciaki. - Abby spojrzała na Bena. - Zobaczymy się jutro, jeszcze przed wyjazdem. - Gest, jakim uścisnęła ramię siostry, powiedział jej wszystko. - Będziemy o tobie myśleć.

- My też pójdziemy. - Frank znacząco spojrzał na Molly. - Pewnie wybieracie się gdzieś całą grupą.

- Przecież wiesz, że możecie... - zaczęła Maddy.

- Nie, nie, w naszym wieku trzeba wcześniej kłaść się spać. Poza tym za dwa dni gramy w Buffalo. No chodźmy, pozwólmy jej się przebrać. - Frank wypchnął całą rodzinę za drzwi, po czym jeszcze na moment wsadził głowę do środka. - Byłaś najlepsza, moja rzepko.

- Nie. - Przypomniała sobie wszystko, co jej dał. - Ty byłeś najlepszy, tato.

Potem westchnęła i wróciła na swoje krzesło przed toaletką. Wyjęła z wazonu różę i przyłożyła ją do policzka. Najlepsza, pomyślała, zamykając oczy. Tylko dlaczego to nie wystarczy?

Gdy drzwi znów się otworzyły, wyprostowała się, gotowa do uśmiechu. Była to ta jedna jedyna osoba, której się tu nie spodziewała. Osoba, którą mimo wszystko chciała zobaczyć.

Reed.

Ostrożnie odłożyła różę. Uśmiech nie wydawał jej się już tak konieczny.

- Mogę wejść?

- Tak - odparła, ale na niego nie spojrzała. Specjalnie odwróciła się do lustra i zaczęła odklejać rzęsy.

- Chyba nie muszę ci mówić, że byłaś wspaniała.

- Wiesz, tego akurat nigdy za wiele. - Wklepywała teraz, w policzki krem. - .A więc zostałeś na przedstawieniu.

- Oczywiście, że zostałem.

Czuł się przy niej jak idiota. Jeszcze nigdy tak nie pragnął żadnej kobiety. Wiedział, że jeśli popełni choćby jeden więcej błąd, straci ją na zawsze. Gdy podszedł do niej, zauważył, że drżą jej ręce. A więc nie wszystko stracone.

- No to już wiesz, że nie wyrzuciłeś pieniędzy w błoto.

- Tak, wiem. Ale teraz już tylko tata będzie się zajmował teatrem. Prosił, żeby ci powiedzieć, że znakomicie się bawił i że jesteś wyjątkowa.

- Myślałam, że powie mi to osobiście.

- Wiedział, że muszę zobaczyć się z tobą sam na sam.

Wyrzuciła do kosza zużyte chusteczki. Mary zniknęła. Była już tylko Maddy. Wstała i sięgnęła po szlafrok.

- Muszę zdjąć kostium. Nie przeszkadza ci to?

- Nie - odparł, nie odrywając od niej oczu. Widząc, że Reed nie zamierza wyjść, schowała się za parawanem.

- No to jutro wracasz do Nowego Jorku.

- Nie.

Haftki wysunęły jej się z rąk. Zaciśnęła zęby i zaatakowała kostium jeszcze raz.

- Skoro to twój ojciec przejmuje interes, to nie ma powodu, żebyś zostawał.

- Nigdzie nie wyjeżdżam, Maddy. Jeśli chcesz mnie upokorzyć, to proszę, masz prawo. Sam na to zasłużyłem.

- Nie chcę cię upokorzyć. Skąd ci to przyszło do głowy? - Przerzuciła kostium przez parawan.

- Skąd? Zachowałem się jak idiota. Przyznaję to i jeśli nie chcesz jeszcze mi tego wybaczyć, gotów jestem zaczekać.

Mocno zawiązała pasek szlafroka i wyszła zza parawanu.

- Grasz nie fair. Jak zawsze.

- To prawda. I drogo za to zapłaciłem. - Zrobił krok w jej stronę, ale powstrzymała go wzrokiem. - Jeśli to znaczy, że muszę zacząć od początku, to zacznę. Pragnę cię, Maddy, jak nigdy nikogo i niczego dotąd.

- Dlaczego to robisz? - Gorączkowo szukała jakiegoś wyjścia. - Za każdym razem, kiedy już sobie powiem, że to koniec, że powinnam się poddać, ty robisz coś takiego. Mam tego dość, Reed. Muszę odzyskać spokój.

Tym razem do niej podszedł i nic nie mogło go zatrzymać. Oczy miał poważne, ale nie było w nich strachu.

- Wiem, że możesz żyć beze mnie. Wiem, że i beze mnie dojdiesz na sam szczyt. I może ja też potrafię odejść od ciebie i żyć dalej. Ale nie chcę. Nie chcę, Maddy.

- Czy nie rozumiesz, że to się nigdy nie uda? Bez zaufania, bez zrozumienia niczego nie osiągniemy. Kocham cię, Reed, ale...

- Nie kończ, proszę. Jeszcze przez chwilę nie kości. Od kiedy cię poznałem, dużo myślałem i bardzo się zmieniłem. Przedtem wszystko było dla mnie tylko czarne i białe. Ty dodałaś mojemu życiu koloru i nie chcę tego stracić. Nie, nie mów nic. Najpierw otwórz to pudełko.

- Reed...

- Proszę cię, otwórz.

Jeśli zna ją tak dobrze, jak mu się Wydaje, to zawartość tego pudełka powie jej więcej niż jego. słowa.

Jest silna. Mama mówi, że jest silna. Musi teraz w to bardzo wierzyć. Maddy odwróciła się i uniosła pokrywkę. I na dłuższą chwilę zaniemówiła.

- Nie przysłałem ci kwiatów - zaczął, - Domyśliłem się, że będziesz ich miała mnóstwo. Pomyślałem sobie, że to powie ci więcej.

Oniemiała, wyjęła z pudła swoją roślinę. Kiedy dawała ją Reedowi, roślina była pożółkła i miejscami przegniła. Teraz była żywa, zielona, miała silne młode pędy. Ponieważ ręce jej drżały, musiała odstawić ją na stolik.

- Mały cud - szepnął Reed. - Nie umarła, choć powinna. Walczyła i przeżyła. Jeśli się bardzo chce, to nawet cuda są możliwe. Mówiłaś mi to kiedyś, a ja nie wierzyłem. Teraz już wierzę. - Dotknął jej włosów i zaczął, aż na niego spojrzy. - Kocham cię. I chcę móc ci to udowodnić przez całe życie.

Pozwoliła mu się przytulić.

- Zaczynaj już teraz.

Roześmiał się z ulgą i w końcu ją pocałował. Nareszcie. Tak długo na to czekał.

- Odkąd cię pierwszy raz ujrzałem, nic już nie było takie jak przedtem. - Odsunął ją od siebie, bo jeszcze coś musiał jej wyznać. - To wszystko, co powiedziałem dziś po południu...

Maddy położyła mu palec na ustach i pokręciła głową.

- Ze ślubu już się nie wykręcisz.

- Nie, oczywiście, że nie. - Przytulił ją na chwilę. - Ale nie mogę cię o to prosić, dopóki nie będziesz wiedziała wszystkiego.

Nawet nie podejrzewał, jakie to będzie trudne.

- Maddy, mój ojciec...

- To wyjątkowy człowiek - dokończyła za niego i ujęła go za rękę. - Reed, on mi już wszystko dawno powiedział.

- Powiedział ci?

- Tak. Myślałeś, że to coś zmieni?

- Nie byłem pewien.

Wspięła się na palce i znów go pocałowała. Z całą swoją miłością.

- No to bądź pewien. Nie ma światełka - zauważyła. - I nie chcę, żebyś klękał. Ale chcę, żebyś mi się oświadczył.

Ujął obie jej dłonie i podniósł do ust. Ani na moment nie oderwał od niej wzroku.

- Kocham cię, Maddy. Chcę spędzić z tobą całe życie, mieć z tobą dzieci, razem zdobywać świat. Chcę siedzieć w pierwszym rzędzie i wiedzieć, że kiedy opadnie kurtyna, wrócisz ze mną do domu. Maddy, zostaniesz moją żoną?

Uśmiech rozświetlił jej twarz. Już chciała mu odpowiedzieć, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Spław ich - zażądał Reed.

- Tylko się nie ruszaj. - Maddy ścisnęła go za rękę. - I nie oddychaj.

Otworzyła drzwi.

- Wygrała pani. - Jeden z techników wręczył jej piątkę. - Cztery do trzech. Dla Metsów. Coś mi się wydaje, że ma pani swój szczęśliwy dzień.

Maddy przyjęła banknot i z uśmiechem spojrzała na Reeda.

- Nawet nie wie pan, jak bardzo szczęśliwy...